

„PACJENT TO PRAWDZIWY ROLLERCOASTER EMOCJI I INTRYGI.
NIGDY NIE CZYTAŁAM CZEGOŚ PODOBNEGO”.

– Katherine Neville, autorka międzynarodowego bestsellera *Ósemka*



PACJENT

Juan Gómez-Jurado



WYDAWNICTWO
SIONKA DRACZA

Juan Gómez-Jurado

PACJENT

Z języka hiszpańskiego przełożył
Jerzy Wólk-Łaniewski



Tytuł oryginału:
EL PACIENTE

Copyright © Juan Gómez-Jurado, 2014
Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marcin Grabski i Olga Rutkowska
Korekta: Aneta Iwan, Barbara Maisner

ISBN: 978-83-7999-548-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

63 GODZINY PRZED OPERACJĄ

1

2

3

4

5

6

7

55 GODZIN PRZED OPERACJĄ

8

9

Kate

10

11

12

13

14

15

16

17

Kate

18

Kate

19

Kate

20

Kate

21

28 GODZIN PRZED OPERACJĄ

Kate

22

Kate

23

Kate

24

Kate

25

26

27

Kate

28

Kate

29

30

Kate

GODZINA PRZED OPERACJĄ

31

Kate

32

Kate

33

Kate

34

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Dla Andrei i Javiera

„Szaleństwo jest jak grawitacja. Wystarczy lekko pchnąć”
– JONATHAN NOLAN, *Mroczny rycerz*

Wszystkim wam się wydaje, że mnie znacie. Mylicie się.

Moją twarz widzieliście mnóstwo razy – od czasu, gdy w telewizji po raz pierwszy pokazano fotografię z mojego prawa jazdy i zaczęła mnie ścigać policja, aż po chwilę, kiedy ława przysięgłych uznała mnie za winnego, na żywo, wobec setek milionów widzów. Cały świat wie, jak się nazywam. Cały świat wyrobił sobie opinię o tym, co zrobiłem. Zarówno słowa potępienia, jak i wyrazy uznania są mi obojętne.

W celi śmierci spędziłem już tysiąc osiemset dwadzieścia trzy dni, jedenaście godzin i dwanaście minut. Cały ten czas, o ile tylko nie spałem, poświęciłem rozmyślaniom nad wydarzeniami, które przywiodły mnie w to miejsce. Drugi raz postąpiłbym jednak tak samo.

Może z wyjątkiem tego, co powiedziałem Kate.

Nie jestem ani świętym, ani męczennikiem, ani terrorystą, ani szaleńcem, ani mordercą. Określenia, pod którymi wydaje się wam, że mnie znacie, są nietrafne.

Jestem ojcem. Oto, co się wydarzyło.

63 GODZINY PRZED OPERACJĄ

Wszystko zaczęło się od Jamaala Cartera. Jeślibym go nie uratował, sprawy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

Kiedy zadzwijał pager, z wściekłością potarłem oczy. Pisk urzędnika wystraszył mnie i obudziłem się w złym nastroju. Swoją drogą, otoczenie także robiło swoje. W pomieszczeniu wypoczynkowym chirurgów na drugim piętrze unosiła się woń potu, stóp i seksu. Rezydenci zawsze parzyli się częściej i mocniej niż poranna kawa w McDonaldzie. Ani trochę by mnie nie zdziwiło, gdyby w czasie, kiedy spałem, na górnym łóżku figlowała jakaś para.

Mam ciężki sen. Rachel często żartowała, że aby mnie podnieść, należałoby posłużyć się dźwięgiem. Prawidłowość ta nie ma jednak zastosowania w wypadku pagera – przekłete urządzenie budzi mnie już drugim piknięciem. To konsekwencja siedmiu lat rezydentury. Jeśli natychmiast nie reagowałem na przywołanie pagerem, szef rezydentów robił ci z dupy bęben. Gdy zaś nie potrafię znaleźć okienka, aby podczas trzydziesto godzinowego dyżuru na chwilę się położyć, wówczas również było już po tobie. Jako chirurdzy wykształciliśmy więc wybitną umiejętność zasypiania na zawołanie, podobnie jak godną psa Pawłowa reakcję na dźwięk pagera. Od czterech lat jestem lekarzem na etacie i długość moich dyżurów skróciła się o połowę, ale wyuczona zależność nie odpuszcza.

Pomacałem pod poduszką, aż natrafiłem dłonią na urządzenie. Na ledowym ekraniku widniał numer 342, oznaczający piętro neurochirurgii. Z rosnącą irytacją spojrzałem na zegarek. Do końca mojej zmiany brakowało zaledwie dwudziestu trzech minut, poranek był zaś intensywny – wypadek samochodowy, który wydarzył się na Dupont Circle i znalazł finał na stole mojego bloku operacyjnego. Musiałem przez trzy godziny odtwarzać czaszkę attaché kulturalnego brytyjskiej ambasady. Facet był tutaj od niespełna dwóch dni, a już zdążył przekonać się na własnej skórze, że w Waszyngtonie zjeżdża się z ronda w przeciwnym kierunku niż w Londynie.

Pielęgniarki wiedziały, że odpoczywam, skoro więc ktoś mnie wzywał, oznaczało to, że sprawa jest poważna. Zadzwoniłem pod numer 342, ale linia była zajęta, postanowiłem zatem udać się na miejsce i sprawdzić, co się dzieje. Bez zapalania światła obmyłem twarz wodą z umywalki w głębi pomieszczenia. Był to okres, kiedy starałem się w miarę możliwości unikać spoglądania w lustro.

Wyszedłem na korytarz. Była godzina siedemnasta czterdzieści, słońce zachodziło już za korony drzew w Rock Creek Park. Światło wpadało przez ogromne okna i tworzyło na posadzce pomarańczowe prostokąty. Jeszcze rok temu, nawet biegnąc do windy, napawałbym się tak pięknym widokiem. Teraz jednak nie odrywałem wzroku od podłogi. Człowiek, którym się stałem, nie podziwiał już krajobrazów.

W windzie natknąłem się na Jerry'ego Gonzalesa, jednego z pielęgniarzy przypisanych do mojego oddziału, który wiozł nosze. Uśmiechnął się do mnie nieśmiało, odpowiedziałem skinięciem głowy. Jako człowiek słysznych rozmiarów musiał się odsunąć, aby pozwolić mi wejść. Jeśli jest coś, czego heteroseksualni mężczyźni szczerze nie znoszą, to jest tym ocieranie się o siebie w windzie. Zwłaszcza w sytuacji, gdy – jak w naszym wypadku – od wielu godzin nie mieli okazji wziąć prysznica.

– Doktorze Evans, dziękuję za tę książkę, którą mi pan pożyczył. Mam ją w szafce w szatni,

później panu oddam.

– Nie ma sprawy, Jerry, możesz ją zatrzymać – odparłem, gestem ręki odbierając znaczenie całej sprawie. – Mało teraz czytam.

Zapadła niezręczna cisza. Kiedyś przerzucalibyśmy się żartami i dowcipnymi anegdotami. Kiedyś było kiedyś.

Niemal słyszałem, jak przełyka słowa, które chciał już wypowiedzieć. I dobrze – nie znoszę współczucia.

– Panu się trafił ten gangster? – zapytał w końcu.

– To w tej sprawie mnie wzywają?

– W Barry Farm była strzelanina. W wiadomościach mówią o tym już od jakiegoś czasu – powiedział, wskazując swoje ucho, w którym stałe miał słuchawkę. – Siedmiu zabitych i wielu rannych. Porachunki gangów.

– Dlaczego nie wiozą ich do MedStaru?

Jerry wzruszył ramionami i się odsunął, aby umożliwić mi wyjście z windy.

Wysiadłem na czwartym piętrze, gdzie znajdował się oddział neurochirurgii. Szpital Saint Claire jest niewielki, przywatny i horrendalnie drogi. Nie słyszała o nim zapewne nawet większość mieszkańców Waszyngtonu. Mieści się na południowym skraju Rock Creek Park, nieopodal mostu Tafta, i jest prawdziwie snobistyczną lecznicą. Gros pacjentów stanowią mieszkańcy dzielnicy Kalorama, wielu z nich to cudzoziemcy i wyżsi rangą pracownicy placówek dyplomatycznych – osoby bez ubezpieczenia medycznego, za których leczenie olbrzymie rachunki płacą nie bez oporów rządu ich krajów. Szpital nie jest szczególnie dostępny w żadnym znaczeniu tego słowa, jest również mało prawdopodobne, żebyś go zobaczył, będąc w okolicy. Aby dotrzeć do jego siedziby w ogromnym wiktoriańskim budynku z czerwonej cegły i z białymi oknami, musiałbyś udać się tam z rozmysłem.

Kierownictwo szpitala – ku mojej odrazie – nie wierzy także w usługi publiczne, akcjonariuszom zależy bowiem na utrzymaniu niskich kosztów i wysokich dochodów. Na szczęście jednak podobnie jak w całym Stanach Zjednoczonych, również szpital Saint Claire ma obowiązek zająć się każdym nagłym przypadkiem, jaki pojawi się w pobliżu. W takich właśnie okolicznościach poznałem Jamaala Cartera.

Znajdował się pośrodku korytarza, przed dyżurką pielęgniarek. Towarzyszyli mu policjant i dwaj ratownicy medyczni w kombinezonach upakowanych krwią. Na odbłaskowych elementach ich służbowego ubioru życiodajny płyn pozostawił złowrogie czarne plamy. Na twarzach ratowników było widać wyraźne poruszenie, rozmawiali między sobą ścisłym głosem. Zważywszy na okropieństwa, z jakimi dzień w dzień przychodzi im się mierzyć, ostatnie zgłoszenie musiało dotyczyć naprawę grubszej sprawy.

Jedna z rezydentek z izby przyjęć stała obok noszy, z obliczem pasującym do nastroju sytuacji. Musiała być nowa, ponieważ jej nie znałem.

– Jesteś neurochirurgiem? – zapytała, gdy nadszedłem.

– Nie, hydraulikiem, ale pożyczyci mi ten odlotowy fartuch, żeby mi nie zaplamili ciuchów.

Przez chwilę patrzyła na mnie zdezorientowana, musiałem więc puścić do niej oko, żeby zrozumiała, że żartowałem. Zaśmiała się nerwowo. W kontaktach z młodymi osobami zawsze warto rozluźnić nieco atmosferę. Stażyści przeważnie traktują ich jak psie lupy przyklejone do podszewy, dlatego najdrobniejszy nawet ludzki gest jest dla nich niczym szklanka wody wręczona na środku pustyni.

Wskazała chłopaka na noszach.

– Mężczyzna, szesnaście lat, poziom przytomności piętnaście w skali Glasgow, rana

postrzałowa. Ciśnienie sto na sześćdziesiąt, tętno osiemdziesiąt dziewięć. Jest stabilny, ale pocisk utkwił przy piątej m ręgu piersiowym.

Rzuciłem okiem na podany przez rezydentkę wynik tomografii, aby zobaczyć dokładne umiejscowienie kuli. Nie wyglądało to dobrze. Nachyliłem się nad pacjentem. Chłopak leżał twarzą do dołu. Miał hipopowe spodnie i niebieską kurtkę drużyny koszykarskiej Washington Wizards. Ktoś rozciął mu ją noży czkami, aby opatrzeć powierzchowną ranę pokrytą tatuażami prawego ramienia. Druga ręka rannego była przykuta kajdanami do noszy.

Kurtce brakowało znacznej części pleców. W miejscu, gdzie powinno się znajdować logo stołecznej drużyny, ktoś wyciął wielki fragment tkaniny, odsłaniając nieznacznie krwawiącą ranę po kuli. Trafili go w kręgosłup między łopatkami. Wskaźniki miał stabilne, jego stan nie zagrażał życiu, ale obrażenia mogły zagrozić układowi nerwowemu.

Chłopak wydał z siebie ciche jęknięcie. Przykucnąłem, żeby spojrzeć mu w twarz. Miał delikatne rysy i był otumaniony środkami uspokajającymi. Dotknąłem jego policzka, starając się zwrócić jego uwagę.

– Jakię nazywasz, kolego?

Aby otrzymać odpowiedź, musiałem powtórzyć pytanie kilka razy.

– Jamaal. Jamaal Carter.

– Posłuchaj, Jamaal. Pomożemy ci, ale musisz ze mną współpracować. Możesz poruszyć palcami stóp?

Zdjąłem mu bardzo drogie najki, które przed strzelaniną były białe, teraz zaś przybrały brudny odcień wina. Palce ani drgnęły. Końcówką długopisu przycisnąłem środek podeszwy stopy.

– Czujesz to?

Przestraszony zaprzeczył ruchem głowy. Jeśli ten chłopak miał skończone szesnaście lat, to ja jestem polskim komiwojażerem. Do gangów trafiały coraz młodsze dzieciaki.

„Dureń, dureń, dureń” – pomyślałem.

– Co tutaj robi ten chłopak?! – krzyknąłem do przełożonej pielęgniarek, która właśnie zakończyła rozmowę telefoniczną i wychodziła z dyżurki, żeby do nas podejść. Nerwowo pocierała dłonie.

– Odesłali nam go z MedStaru. Sami mają mnóstwo roboty. Doktorze...

– Nie o to mi chodzi! Pytam, dlaczego, do diabła, nie jest jeszcze na bloku?! Trzeba mu natychmiast wyciągnąć tę kulę – powiedziałem, popychając nosze.

Stała z przodu, blokując mi przejazd. Nawet nie zadałem sobie trudu, żeby spróbować ją odsunąć. Nie ma sensu siłować się z szefową pielęgniarek, zwłaszcza gdy waży ona jakieś trzydzieści kilogramów więcej niż ja. Kiedy stoi za ladą dyżurki, wygląda, jakby się w nią ubrała.

– Przepraszam, doktorze Evans, że pana wzywałam. Rozmawiałam właśnie z szefową oddziału. Nie wyraża zgody na operację.

– Margo, o czym ty mówisz? Doktor Wong jest przecież na kongresie w Alabamie!

– Po tym, jak wywołałam pana pagerem, zadzwoniła, żeby zapytać, czy są jakieś nowiny. – Spojrzała na mnie jakby przeproszająco i pokręciła głową. – Kiedy dowiedziała się o tym bandy... o tym chłopcu, poleciła, żeby go ustabilizować, jak tego wymaga prawo. Teraz czekamy, aż jakaś publiczna placówka zgodzi się go przyjąć, i oddamy jej pacjenta.

Wzięłem głęboki wdech i zacisnąłem zęby. Szefowej oddziału bardzo łatwo było wydawać dyspozycje z apartamentu pięciogwiazdkowego hotelu. Tymczasem jednak w realnym świecie mieliśmy chłopaka, który miał być odesłany do jakiegoś przeciętnego ośrodka, gdzie przy dużym szczęściu zajęłyby się nim wyczerpany rezydent, który miałby podjąć się operacji wysokiego ryzyka z niewielką szansą powodzenia. Jeśli wyrzuciliby tego chłopca z Saint Claire, najprawdopodobniej już nigdy nie stanąłby na nogach.

– W porządku, Margo. Sam zadzwonię do doktor Wong – oznajmiłem, wyciągając komórkę. – Macie mi coś do powiedzenia? – zapytałem ratowników, czekając na połączenie.

– Kula odbiła się rykoszetem od ściany, zanim go trafiła, dlatego nie zginął – odpowiedział jeden z nich, kręcąc głową. – Gdyby go trafiła kilka centymetrów bardziej w prawo, byłoby to ledwie draśnięcie, ale...

„Jego pech jest teraz naszym pechem”.

Uniosłem palec i odsunąłem się od ratowników. Po drugiej stronie linii szefowa właśnie odebrała telefon.

– Evans, nawet nie próbuj!

– Jaktam kłakajle, szefowo?

– Nie będziesz go operował.

– Stephanie, to po prostu dzieciak, który potrzebuje pomocy.

– Pomocy, która kosztuje dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, czego nikt nam nie zwróci.

– Szefowo...

– Evans, i tak już podwoiliśmy nasz tegoroczny budżet *pro bono*. A mamy dopiero październik. Przykro mi, ale odpowiedź brzmi „nie”.

– Czeka go paraliż – Tylko tyle byłem w stanie powiedzieć. Jakby sama tego nie wiedziała.

– Mógł o tym pomyśleć, zanim wstąpił do gangu.

Proszę zbyt surowo nie oceniać ordynator Wong za jej słowa. Owszem, to pozbawiona serca sula, ale jednocześnie chirurg jakich mało. Do jej obowiązków należało dbanie o interesy szpitala – i to właśnie robiła. Jeśli zaś chodzi o uprzedzenia wobec członków gangu... My, lekarze, tacy już jesteśmy.

Racjonalizujemy.

Podjęmujemy trudne decyzje na podstawie posiadanych informacji i dostępnych zasobów. Mamy tylko jedną nerkę? Damy ją młodszemu pacjentowi, nawet jeśli na liście oczekujących jest kilka osób przed nim. Mimo tych ogromnych napisów z ostrzeżeniami palisz dwie paczki papierosów dziennie? Nie spodziewaj się, że uronimy łzę, gdy przyjdiesz do nas z rakiem płuc. Pijesz jak szewc? Kiedy pokażesz nam swoją marskość wątroby, najprawdopodobniej zaczniemy przyszywać cię do ściany. Rzecz jasna, za twoimi plecami.

Czy sam również taki jestem?

Dobre pytanie. Odpowiedź nie jest prosta. Nie jestem potworem – jestem istotą ludzką, taką jak ty. Tak dużo czasu spędzam jednak patrząc na przypadkowe cierpienie poczciwych ludzi, że kiedy trafię na kogoś „z uzasadnieniem”, przyjmuję, że sam jest sobie winien. To pierwotny instynkt samozachowawczy ludzkiego mózgu. Pracuję tak jak mogę, starając się nie traktować poszczególnych przypadków osobiście. Świętoszki i wyznawcy poprawności politycznej powiedzą, że to niehumanitarne, ale wiercie mi, dzięki temu jesteśmy w stanie zapewnić możliwie najlepszą opiekę.

Niemniej jednak czasem się zdarza, że przypadkowy pacjent ma w sobie coś szczególnego. Zjawia się z silnym zapachem wody kolońskiej, który przywołuje na myśl twojego ojczyma, wykonuje jakiś gest, mówi z określonym akcentem. Czy – jak w wypadku Jamaala – ma w oczach strach.

Wówczas wszystkie te przeszkody, które z taką determinacją uznawałeś za niezniszczalne, stają się przepuszczalną bibułą. I robisz coś, czego nie powinienesz robić: angażujesz się.

– Proszę cię, Stephanie... Jak mogę cię przekonać?

– Nijak. Odczekaś jedenaście minut, aż twoja zmiana dobiegnie końca, później zaś pójdziesz do domu. I wtedy ktoś inny będzie się martwić.

W jej głosie było coś, jakiś dziwny ton, którego nie mogłem należyćcie odczytać. Starając się

zrozumieć jego znaczenie, ucisnąłem mocno podstawę swojego nosa.

„Jedenaście minut”.

Nagle pojąłem, co szefowa chciała mi przez to powiedzieć. Przez następnych jedenaście minut odpowiedzialność prawna za losy chłopaka spoczywała na mnie jako najwyższym rangą dyżurnym chirurgu. Wyłącznie na mnie.

– Doktor Wong, muszę kończyć. Stan pacjenta uległ pogorszeniu. Boję się o jego życie. Będę operować, aby usunąć kulę.

– Przykro mi to słyszeć, Evans – powiedziała spiętym głosem na pożegnanie.

Rzuciłem kilka lakonicznych dyspozycji i ratownicy się rozstąpili. Pielęgniarki zawiozły pacjenta na blok operacyjny. Musiałem znaleźć anestezjologa, ale z tym nie powinno być problemu – żaden anestezjolog w tym szpitalu nie byłby w stanie mi niczego odmówić.

Nie po tym, co stało się z Rachel.

Zanim umyłem ręce do operacji, wykonałem ostatni telefon.

– Swietłana, mam w szpitalu nagły przypadek. Nie wrócę na czas na kolację.

– W porządku, doktorze Evans – odpowiedziała mechanicznym słowiańskim tonem. – Połóż pańską córkę spać. Chce pan, żebym jej o tym powiedziała?

Obiecałem Julii, że przeczytam jej tego wieczoru bajkę na dobranoc. Tyle razy zламаłem już tę obietnicę, że byłoby mi wstyd nie powiedzieć jej tego osobiście.

– Nie, podaj mi ją – westchnąłem.

Usłyszałem, jak Swietłana woła dziewczynkę, starając się przelkrzyżyć hałas telewizora.

– Cześć, tatusiu! Kiedy wrócisz? Tęsknię za tobą! Na kolację jest kurczak!

– Cześć, księżniczko. Nie mogę wyjść, mam tutaj chłopca, który ma problem i tylko tato może mu pomóc, wiesz?

– Okej.

Cisza, która następnie zapadła, była tak bardzo brzemienna od poczucia winy, jak tylko może to sprawić siedmioletnia dziewczynka. Była to cisza zimna, lepka i nieprzyjemna.

– Co oglądasz? – zapytałem, usiłując ją ożywić.

– SpongeBoba. O tym, jak Plankton mówi, że już nie chce ukrąść przepisu na kraboburgery, i otwiera sklep z upominkami.

– A pan Krab namawia go i namawia, żeby spróbował go ukrąść jeszcze raz. Uwielbiam ten odcinek.

– Mama także go lubiła.

Odpowiedź zajęła mi kilka sekund. Miałem w gardle kulę i nie chciałem, żeby Julia to spostrzegła.

– Jak tylko wrócę, przyjdę cię otulić. Ale teraz musisz być grzeczna, dla dobra drużyny.

Julia westchnęła, jasno dając do zrozumienia, że tyle jej nie zadowoli.

– Dasz mi buziaka na dobranoc? Nawet jeśli będę spała?

– Obiecuję. – Przywołałem nasz okrzyk bojowy, który wymyśliła Rachel. – Drużyno Evansów?

– Naprzód! – odpowiedziała bez nadmiernego entuzjazmu.

– Kocham cię, Julio – zdążyłem jeszcze powiedzieć przed wejściem na blok operacyjny.

Rozłączyła się bez słowa.

Była dwudziesta trzecia trzydzieści, ja zaś wlokłem się przez parking, wyczerpany po długiej operacji, kiedy ponownie odezwał się telefon. Dzwoniła szefowa.

– Jak poszło?

Przeciągała samogłoski, z miejsca więc zdałem sobie sprawę, że rachunek za hotelowy minibarek okazał się niemały. Zapewne nie zostanie wciągnięty w koszty szpitala, doktor Wong uiszczy go bowiem w gotówce. Wszyscy chirurdzy piją. W miarę jak przybywa lat, pijemy coraz więcej. Pomaga to zasnąć i uspokoić drżenie rąk, kiedy się starzejesz. Nigdy jednak, przynigdy nie przyznajemy się do tego publicznie. Chyba że – jak w mojej obecnej sytuacji – nie mamy nic do stracenia.

– Pewien przestępca ponownie zacznie grasować po ulicach Anacostii za trzy do pięciu lat. Albo może trochę wcześniej, gdy wyjdzie za dobre sprawowanie – odparłem, szukając w kieszeni kluczyków od samochodu.

– Będę musiała poinformować radę. Już były skargi na twoje swobodne podejście do dostępnych środków, Evans. Mam nadzieję, że twój późniejszy raport uzasadni decyzję o operacji.

Bez względu na ogromne zmęczenie doskonale pojąłem znaczenie tego zdania.

– Nie martw się, szefowo. Raport będzie bez zarzutu – odpowiedziałem słowami wprost ociekającymi cynizmem. – To będzie arcydzieło literatury medycznej. Ani myślę dawać im okazji do tego, żeby mnie zwolnili.

Stephanie się zaśmiała.

– Jeśli operacja w piątek pójdzie dobrze, będziesz nietykalny. Już na zawsze. Będziesz mógł być ordynatorem dowolnego szpitala w kraju – oświadczyła z zazdrością.

Doceniłem, że nie wspomniała o przeciwnej ewentualności, której rezultat również byłby definitywny.

– Nie przesadzaj. Sukces będzie należał do całego oddziału neurochirurgii.

Ponownie się zaśmiała, nieco zbyt żywiołowo. Była oficjalnie pijana.

– Evans, ja mam dwóch byłych mężów, którzy kłamali lepiej niż ty. A teraz idź do domu i odpocznij. Jutro masz spotkanie z Pacjentem – powiedziała, wyraźnie podkreślając wielką literę.

– Spokojnie, szefowo. Poradzę sobie.

– Evans, ile ty masz lat? Trzydzieści sześć?

– Trzydzieści osiem.

– W takim tempie, chłopcze, nie dociągniesz do czterdziestki.

Rozłączyłem się i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Znajomy pomruk silnika lexusa rozbrzmiał pod maską i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnąłem. Tak naprawdę to po raz pierwszy od wielu dni. Zanim tydzień dobiegnie końca, los wreszcie zacznie się do nas uśmiechać, co nie zdarzyło się od czasu śmierci Rachel. Czeka mnie lepsza praca, lepsze życie. Czas, żeby być z Julią.

„Nietykalny. Ładnie brzmi”.

Niecałą godzinę później wiedziałem już, jak bardzo się pomyliłem.

Kiedy otworzyłem drzwi, powitała mnie niepokojąca cisza.

Zbliżała się północ, nie była to jednak cisza, z jaką zwykle się mieć do czynienia o tej porze w dzielnicach mieszkalnych. Mieszkaliśmy przy Dale Drive w Silver Spring – niemal przy obwodnicy Beltway, choć po jej wewnętrznej stronie – w budynku z lat trzydziestych o ścianach licowanych szarym kamieniem. Być może widzieliście go z zewnątrz na fotografiach w „National Enquirer” lub na którymś z tych odrażających, goniących za sensacją blogów. Jeden z takich blogów zdobył nawet zdjęcia domu ze strony internetowej agencji nieruchomości, od której kupiliśmy go z Rachel. Była wtedy w ciąży z Julią. Akurat malowała na ścianie pokoju dziecięcego ogromnego uśmiechniętego misia, kiedy odeszły jej wody. Popędziliśmy do szpitala z wielkim strachem i równie wielką radością.

Mimo wysokiej ceny, pensje nas obojga pozwoliły łatwo nabyć dom tuż przed pęknięciem bańki na rynku nieruchomości. Kiedy jednak Rachel odeszła, jego utrzymanie zaczęło się robić coraz trudniejsze. Rachel miała polisę na życie, której beneficjentką była Julia, ale, rzecz jasna, firma nie wypłaciła złamanego centa. Otrzymaliśmy tylko utrzymany w nader formalnym tonie list, który podkreślał „dobrowolność” decyzji Rachel i w którym przytoczono w całości treść siódmego ustępu trzynastego punktu umowy ubezpieczeniowej. Do dziś pamiętam mdłości, jakie mnie ogarnęły, gdy zmiąłem to przekłete papierzyśko w kulkę i wyrzuciłem do kosza. Pewnego dnia w domu zjawiał się adwokat, który przeczytał o naszej sytuacji w gazecie, i oznajmił, że możemy pozwać ubezpieczyciela, ale kazałem mu spaść. Bez względu na to, jak bardzo doskwierał nam brak pieniędzy, byłoby to coś obrzydliwego.

Nie chodziło tylko o hipotekę – była przecież jeszcze Julia. Godziny pracy neurochirurga, który musi brać dodatkowe dyżury, żeby mieć z czego opłacić rachunki, nie są raczej przewidywalne. Musiałem zatrudnić pomoc domową. Najpierw była to kobieta z Brazylii, która przed miesiącem jak gdyby nigdy nic rozplynęła się w powietrzu. Następne dni stanowiły logistyczny koszmar, biedna Julia musiała zaś spędzić kilkadziesiąt wieczorów w dyżurce pielęgniarek, kolorując czarno-białe schematy ze starych podręczników do anatomii, jakie znalazła w moim gabinecie. Bardzo ładnie wychodziły jej nerki, które przypominały garbatego i sympatycznego Pana Ziemiaka.

Mimo szalejącego ponoć bezrobocia moje ogłoszenia na portalach Craigslist i DC Nanny nie zaowocowały choćby jedną odpowiedzią przesłaną na podany adres poczty elektronicznej. Kilka tygodni temu odebrałem jednak zgłoszenie Swietłany i poczułem się tak, jak gdybyśmy wygrali na loterii. Nie tylko wspaniale opiekowała się Julią, ale także niezmiernie gotowała. Do wszystkich potraw dodawała ogromne ilości gęsiego tłuszczu, jak to zwykle się czynić w jej rodzinnym Belgradzie, przez co przytyłem kilka kilogramów. Zawsze, gdy wracałem do domu, niezależnie od pory dnia lub nocy, na stole czekał na mnie talerz z gorącym posiłkiem.

Ale nie tej nocy.

Tej nocy czekała na mnie tylko cisza.

Zostawiłem teckę na jednym z krzeseł w kuchni, aby zaś zaspokoić głód, wzięłem jabłko z kosza z owocami. Kiedy się w nie wgrzyzałem, spostrzegłem, że na stole leżała książeczka z Dorą Małą Podróżniczką, otwarta na wpół pokolorowanym rysunku Butka. Zdziwiło mnie, że Julia poszła spać, nie kończąc kolorowanek. Zawsze się upierała, żeby kończyć rysunki przed snem, częściowo po to, żeby odwlec położenie się do łóżka, częściowo zaś dlatego, że zostawianie

niedokończonych spraw nie leżało w jej naturze. Być może była jeszcze obrażona za to, że nie wróciłem na czas na kolację?

Zamknąłem książeczkę. Chyba zbyt gwałtownie, ponieważ czerwona kredka przetoczyła się po okładce i spadła na podłogę. Przykucnąłem, żeby ją podnieść, i natychmiast poczułem ból w opuszkach palców. Błyskawicznie cofnąłem dłoń i zauważyłem, że czymś się skaleczyłem – po palcu wskazującym spływało kilka kropli krwi.

Klnąc pod nosem, podniosłem się, podszedłem do zlewu i na dłuższą chwilę włożyłem palec pod kran. Trudno jest wytłumaczyć komuś, kto nie poświęcił połowy życia medycynie, co wobec swoich rąk czuje neurochirurg, ale określeniami najbliższymi prawdzie byłyby „szacunek” i „czuć”.

Troszczyć się o swoje ręce z niemal chorobliwą dbałością i kiedy tylko przydarzy mi się jakiś drobny domowy wypadek, ogarnia mnie paniczny strach, trwający do czasu, aż ocenię skalę uszkodzeń. Kojarzycie ten miniatk serca, kiedy szef albo żona oznajmiają „musimy porozmawiać”? Chodzi właśnie o coś podobnego.

Dlatego w kuchennej szafce trzymam płyn dezynfekujący, gaziki i bandaże. Podobnie we wszystkich łazienkach. A także w garażu i w samochodowym schowku na rękawiczki. Przejrzony zawsze ubezpieczony.

Kiedy przemyłem skaleczenie ilością płynu wystarczającą do zdezynfekowania kontenera na śmieci, ponownie schyliłem się pod stół. Tym razem odsunąłem krzesło i spojrzałem na podłogę przed włożeniem ręki. Między nogą stołu a ścianą tkwił zaklinowany kawałek ceramiki. Ostrożnie go podniosłem – był to odłamek kubka z Dorą Młodą Podróżniczką. Młodej obięzyswiatce brakowało głowy, zza krzaków zaś spoglądała na nią ze złowieszczym uśmiechem zły lisek Rabuś.

Kubek ten kupiła Julii Rachel. Był jej ulubionym.

„Mam nadzieję, że nie widziała, jak się rozbił. Biedactwo wyplakałoby oczy” – pomyślałem.

Wyrzuciłem odłamek do śmieci i natychmiast wszedłem na piętro. Chciałem jak najszybciej dać Julii buziaka, nawet jeśli musiałbym ją w tym celu obudzić. Ten zwykły kubek znaleźliśmy kiedyś przypadkiem w Home Depot, rzadko więc wracałem do niego myślami. Gdy jednak zniemacka ujrzałem go w kawałkach, niecałe dwa tygodnie od pierwszej rocznicy śmierci Rachel, obudził we mnie falę wspomnień o tamtych dniach.

Była sobota i oboje mieliśmy w szpitalu dzień wolny. Całą trójką wybraliśmy się na poszukiwania kanapy, ustaliliśmy jednak, że o jej wyborze zadecyduje nasza córka. Sama zainteresowana skakała po wszystkich meblach w sklepie, aż doszła do wniosku, że żaden model nie jest dość miękki ani nie ma wystarczającej liczby słoni na obiciu. Wyszliśmy stamtąd jedynie z tym właśnie kubkiem i ogromnymi brązowymi wąsami, jakie pozostały Julii po wypiciu czekolady. Nie zgodziła się ich zetrzeć i całą drogę do domu robiła nam w lusterku samochodu wąsate miny.

Ogarnęło mnie potworne uczucie straty.

W tym momencie poczułem potrzebę przytulenia się do kogoś, tak samo jak musiała tego potrzebować Julia, kiedy rozbił się jej ulubiony kubek. Otworzyłem drzwi pokoju dziecięcego, który – ku mojemu zdziwieniu – był pogrążony w ciemnościach. Julia zawsze spała przy włączonej lampce nocnej. Po omacku znalazłem włącznik i spokojna, delikatna, różowa poświata odegnała mrok w kąty pokoju.

Łóżko było puste.

Było to coś bardzo dziwnego. Być może Julia miała zły sen i poprosiła Swietlanę, żeby pozwoliła jej spać ze sobą, ale jeśli tak w istocie było, niania mogła przy najmniej zostawić jakąś informację.

„I dlaczego, u licha, łóżko jest posłane? Czy żyby nawet nie próbowała jej położyć?”

Ubolewając nad wykazanym przez Swietlanę zaskakującym brakiem odpowiedzialności, wróciłem na parter. Niania zajmowała pokój po drugiej stronie kuchni – przestronne pomieszczenie z niewielkim salonem, wychodzące na podwórko na tyłach domu.

Delikatnie zapukałem, ale nie było odpowiedzi. Ostrożnie otworzyłem drzwi. Pokój był pusty.

Nie mam jednak na myśli tego, że nikogo w nim nie było – z pokoju zniknęło wszystko to, co mogłoby sugerować, że jeszcze do niedawna był przez kogoś zamieszkały. Poznikły prześcieradła, poszewka od poduszki, dywany i ręczniki. Żadnych kosmetyków, żadnych ubrań w szafach. Ze wszystkich powierzchni unosił się silny zapach wybielacza.

Poczucie pustki w żołądku, które ogarnęło mnie w chwili wejścia do domu, przybrało na sile, jak wtedy, kiedy dojeżdżasz na szczyt kolejki górskiej i wiesz, że za moment nastąpi spadek

– Julia! – zawołałem. – Julia, kochanie!

Przeszedłem przez dom, zapalając wszystkie światła i nawołując córkę. Zaciskałem zęby z taką siłą, że po kilku minutach bolały mnie dziąsła. Krew huczała mi w skroniach z prędkością widelca ubijającego w misce białka. Byłem świadom każdego zaczerpniętego oddechu.

„Zatrzymaj się – pomyślałem, choć głos, który rozbrzmiewał w mojej głowie, należał do doktora Colberta: człowieka, który nauczył mnie, jak się trzyma skalpel. – Zachowaj zimną krew. Podchodź do problemu jeden po drugim. Określ swój plan działania”.

Trzeba namierzyć Swietlanę.

„Zadzwoń do niej na komórkę”.

Jej numer miałem zapisany w ulubionych. Zadzwoniłem, przełączyło mnie jednak od razu na pocztę głosową.

„Gdzie mogą być o tej porze?”.

Przechodząc nieprzypadkiem z jednego końca pokoju do drugiego, sporządziłem w myślach listę miejsc, w które mogły się udać. Swietlana jeździła po sprawunki toyotą prius, która niegdyś należała do Rachel, ale samochód stał w garażu z zimnym silnikiem. To w znacznym stopniu ograniczało możliwe cele podróży. Być może poszły do kogoś z sąsiadów, dlaczego jednak nie zostawiły karteczki z informacją? Najważniejsza była jednak inna kwestia – dlaczego z pokoju niani zniknęły wszystkie jej rzeczy?

Nie pozostało mi nic innego, jak zawiadomić policję. Policję, FBI, Gwardię Narodową, a nawet pierdolonych Avengersów. Moja córeczka miała się znaleźć – i to natychmiast.

Zadzwoniłem pod 911.

Zajęte.

„Zajęte? Jak u diabła, linia alarmowa może być zajęta?”.

Stałem na chwilę, starając się uspokoić. Nie wiedziałem nawet, co miałbym im właściwie powiedzieć. Co radzili w ulotkach rozdawanych w centrach handlowych i na zebraaniach rodzicielskich? Żeby pamiętać, co dziecko miało na sobie. W co mogła być ubrana Julia?

W jej pokoju, jak mi się wydawało, niczego nie brakowało, nawet butów. Wszystko było czyste i uporządkowane. Za bardzo nawet. Żółtej pizamy z podobizną SpongeBoba, którą miała na sobie poprzedniej nocy, nie było pod poduszką ani w koszu na brudne ubrania. Zwykle przed wrzuceniem do prania nosiła ją dwa albo trzy dni. I zawsze przebierała się w pizamę przed kolacją.

Czyli co? Swietlana zabrała swoje rzeczy, przetała pokój wybielaczem i wyszła z Julią ubraną tylko w pizamę? Aby pomieścić rzeczy osobiste, potrzebowałyby jednak co najmniej kilku pudeł. Sama nie byłaby w stanie zabrać wszystkiego.

Ktoś musiał po nią przyjechać. I po Julię. Ktoś, kto wykorzystał dodatkowe godziny, które spędziłem na bloku operacyjnym, usuwając kulę z kręgosłupa Jamaala Cartera.

„To moja wina. Jasna cholera, powinienem być tutaj, w domu, i chronić moją córkę!”.

Ponownie zadzwoniłem pod 911.

Znowu zajęte.

Odsunąłem telefon od ucha i przyjrzałem mu się ze zdumieniem. Było to coś niemożliwego, nie zastanawiałem się jednak nad tym zbyt długo, nagle bowiem przyszła mi do głowy pewna myśl.

„Jeśli jednak ktoś je siłą uprowadził, dlaczego – nie licząc rozbitego kubka – nie ma śladów walki?”.

Myślała sprawiła, że zaschło mi w gardle. Swietłana musiała być w to zamieszana! Możliwe, że uprowadziła Julię dla okupu. Chryście Panie, a ja tej dziewczynie zaufałem! Przygarnąłem ją pod swój dach.

„Skoncentruj się. Przypomnij sobie wszystko, co o niej wiesz”.

Pochodziła z Belgradu. Miała dwadzieścia cztery lata. Studiowała filologię angielską i pragnęła zdobyć w Stanach Zjednoczonych doktorat. Miała list polecający od swoich profesorów z Uniwersytetu w Nowym Belgradzie. Zmieniła kierunek studiów i potrzebowała funduszy, aby utrzymać się w horrendalnie drogim Waszyngtonie.

Była niska i szczupła, wyglądała na delikatną. Sprawiała wrażenie przytomnej, choć miała w sobie pewien smutek. Z miejsca zaprzyjaźniła się z Julią, dziewczynką zaś szybko ją zaakceptowała. Wyglądało, że doskonale się rozumieją. Swietłana przecież także straciła matkę w podobnym wieku, w jakim była Julia, kiedy odeszła Rachel. Zdarzyło się to podczas wojny w Bośni, ale o tym małej nie wspominała. Mnie powiedziała przy okazji rozmowy wstępnej.

Dała mi numer telefonu swojego promotora z Georgetown. Był to człowiek o przyjemnym głosie, który zapewnił mnie, że Swietłana to studentka godna zaufania.

Wszystko wydawało się więc w porządku, ja zaś rozpaczliwie potrzebowałem pomocy, dlatego ją zatrudniłem. Nie miała nawet telefonu komórkowego, musiała go sobie kupić, żeby był z nią jakiś kontakt. Nie dzwoniła do ojczyzny, nie miała przyjaciół w Waszyngtonie. Nawet dni wolne spędzała zamknięta w pokoju, skupiając się na nauce. Nigdy nie widziałem, żeby z kimś rozmawiała, tylko...

Tylko w ubiegłym tygodniu.

W mojej głowie zaczęła nabierać kształtu pewna szalona myśl, od której nagle wezbrał we mnie gniew. Wziąłem kluczyki od samochodu.

Zanim zdecydowałbym się ponownie zadzwonić na policję, musiałem coś sprawdzić.

Z ojcem Rachel nigdy nie było mi po drodze.

W okresie naszego narzeczeństwa nie zadawał sobie trudu, żeby być miłym wobec mnie. Gdy się ze mną witał, uśmiechał się i podawał mi rękę, ale chował ją z powrotem do kieszeni szybciej niż fiskus zgarniający ostatnie oszczędności podatnika. Spojrzenia, które posyłał mi ukradkiem, kiedy sądził, że ich nie zauważam, byłyby jednak w stanie przepalić moje chirurgiczne klezcze wykonane ze stopu chromu z wanadem.

– Tak ci się tylko wydaje, kotku – szeptała Rachel, gdy wymykała się ze swojego pokoju i zakradała do mojego. – To po prostu ponurak, który życzy swoim córkom jak najlepiej.

– Rachel, jasna cholera! Będę przecież neurochirurgiem. Czego jeszcze chce?

– Przez całe życie chronił swoje córki. Sam się przekonasz, kiedy będziesz ojcem i jakis szczeniak będzie laził ci po domu z orężem takiego kalibru – odpowiadała, wsuwając dłoń pod kódrę i dotykając wspomnianego oręża.

Należy przyznać, że rodzina Robsonów była bardzo zżyta. Z dwojga siostr Rachel była tą starszą i bardziej odpowiedzialną. Rozsądna i uporządkowana, uczyła się na anestezjolożkę i ciągle perswadowała młodszej Kate wszystkie szaleństwa, które przychodziły jej do głowy. Ich matka Aura była osobą radosną i gadatliwą, wciąż krzątającą się po kuchni. Wypiekała kukurydziane chlebki i uwielbiała plotkować o sąsiadach. Był również Jim, patriarcha rodu, Wirginijczyk czystej krwi – z tych, którzy jeszcze odczuwali bujanie pokładu „Mayflowera”. Popijał piwo na werandzie i wściekał się na obecność wysokiego, ciemnowłosego, młodego rezydenta, który podawał się za narzeczonego jego córki.

– Jakież wieści z Północy? – pytał zawsze.

– Wiesz, Jim, na fladze mamy teraz już pięćdziesiąt gwiazdek.

Nigdy nie śmiał się z moich godnych pożalowania żarcików, sytuacja nie uległa również poprawie już po ślubie. Mimo to obaj czyniliśmy wysiłek, dlatego spotkania z Robsonami były niemal miłe, choć zawsze czułem się wówczas skrępowany. Nie była to jednak tylko kwestia nastawienia Jima. Odnosiłem wrażenie, że do nich nie pasuję. Tak naprawdę nigdy nie rozwinąłem w sobie tej dbałości o więzy rodzinne.

Jestem sierotą i nie miałem okazji poznać swoich rodziców biologicznych. Do dziewiątego roku życia moim domem były rozmaite schroniska, w pozostałych dzieciach nie widziałem jednak nigdy rodzeństwa, tylko rywali, z którymi przychodziło walczyć o żywność i inne dobra. Później zostałem adoptowany przez parę z Pottstown nieopodal Filadelfii. On był wiejskim lekarzem, ona pełniła zaś funkcję jego pielęgniarki i pomocnicy. Kiedy byłem na drugim roku studiów, jeszcze zanim poznałem Rachel, oboje zginęli w wypadku samochodowym, tym samym osierocając mnie po raz drugi. Szok spowodował, że straciłem cały rok nauki. Żał o dziecku gościł w moim domu, ale przez lata zdawał się chować w jakiejś szafie. W dniu śmierci przybranych rodziców ponownie wylazł na powierzchnię, ryjąc wokół swoimi czarnymi pazurami, i dopiero Rachel udało się go odegnąć.

Teraz jej już nie ma, a Julia i jej rodzina to wszystko, co mi zostało.

Tak więc od piętnastu lat co trzeci weekend – a także z okazji urodzin, Święta Dziękczynienia, Bożego Narodzenia i Dnia Niepodległości – pokonuję półtorej godziny drogi do Fredericksburga. Zważywszy jednak na prędkość, do jakiej rozpedziłem tej nocy mojego lexusa, tym razem miałem dojechać na miejsce dwa razy szybciej.

Nie pamiętam, ile wskazywał prędkościomierz, wiem jedynie, że ciało rozsadała mi adrenalina i że o mały włos się nie zabiłem przy zjeździe na Falmouth. Skręcałem tam już pewnie setki razy, tej nocy jednak jechałem tak szybko, że przegapiłem zjazd. Wbiłem hamulec w podłogę, pozostawiając połowę bieżnika na asfalcie, i na samym środku autostrady międzystanowej I-95 wrzuciłem wsteczny. Nie mam pojęcia, co mi przyszło do głowy. Na szczęście minęła pierwsza w nocy, autostrada zaś była czteropasmowa, inaczej to głupie zachowanie mogłoby mnie drogo kosztować. Na drodze za mną pojawiła się ogromna ciężarówka. Jej reflektory zajaśniały w moim lusterku, przenikliwy dźwięk klaksonu stawał się coraz bliższy.

Na chwilę przed zderzeniem kierowca zdołał wystarczająco zredukować prędkość, żeby zmienić pas. Jego przedni zderzak jedynie zarysował krawędź mojego, ale podmuch dwudziestotonowego kołosa poruszył moim niewielkim sportowym samochodem tak, jak kichnięcie porusza płomieniem świeczki.

Zatrzymałem się na poboczu między autostradą I-95 a zjazdem 133, starając się odzyskać spokój. Moje zachowanie było absurdalne i w niczym Julii nie pomagało. Niemal dałem się zabić.

I wszytko to przez głupie przecucie.

Przed kilkoma tygodniami teściowie przyjechali do nas, żeby odwiedzić małą. Jim jest właścicielem niewielkiej, ale znanej sieci sklepów z narzędziami Robson Hardware Repair. Z pewnością słyszeliście kiedyś jego slogan: Zrób to sam – lepszego pracownika nie znajdziesz. Zarówno branża, jak i slogan reklamowy idealnie pasują do pocziwego Jima, człowieka twardego jak skała. Sieć ma pięć lub sześć placówek, choć żadna nie znajduje się na północ od Arlington. Rzadko kiedy się więc zdarzało, żeby Jim przekroczył linię Potomacu, chyba że w takie dni jakten, gdy miał jakieś spotkanie w stolicy.

Aura obwieściła swoje przybycie w typowy dla niej sposób, z dyskrecją godną brązowego dzwonu, który spada po schodach. I to dwukrotnie.

– Juliaaaa! Gdzie jest mój cukiereczek?

Dziewczynka przybiegła z pełną prędkością, ostatni fragment parkietu pokonując ślizgiem w skarpetkach. Zarzuciła jej ręce na szyję i zasypała ją pocałunkami.

– Babciu! Chodź do mojego pokoju, chcę ci coś pokazać! – zawołała, biorąc ją za rękę i ciągnąc za sobą.

Przywitałem się z Jimem i zapytałem, czy się czegoś nie napije, wiedząc doskonale, że odmówi. Nigdy nie pił alkoholu, kiedy prowadził. Usiadł na mojej kanapie, z niezadowolaniem przyglądając się wystrojowi. Rachel lubiła meble o prostych, czystych formach, co kłóciło się z tradycjonalistycznym charakterem jej ojca.

– Julia sporo urosła. Nie widzieliśmy jej od przeszło miesiąca.

– Ostatnio miałem dużo pracy – odpowiedziałem poirytowany na swoją obronę.

Zdaję sobie sprawę, że od czasu śmierci Rachel nasze wizyty stały się nieco rzadsze, jednocześnie jednak trochę mnie frustrowało, że zawsze to ja musiałem zawozić małą. Odległość z Silver Spring do Fredericksburga jest taka sama jak z Fredericksburga do Silver Spring. Przez grzeczność jednak tego nie powiedziałem. A także dlatego, że – szlag by to trafiał! – teść nadal mnie nieco onieśmiewa.

– Na tym właśnie polega problem, David. Za dużo pracujesz.

Zaskakująco brzmiało to zdanie w ustach kogoś, kto spędził pół życia na jeżdżeniu po swoich sklepach i znał na pamięć każdą, najdrobniejszą nawet śrubkę, jaką miał w asortymencie.

– Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz, Jim.

– To, że tyle pracujesz, nie jest dobre dla Julii.

Ani myślałem odpowiadać. Wzruszyłem ramionami i wbiłem w niego wzrok. Wytrzymał moje spojrzenie.

– Niedawno sprzedałem moją sieć.

Wiadomość zupełnie mnie zaskoczyła. Jim ciągle się przechwalał, że w dniu, kiedy przyjdzie po niego kostucha, zastanie go za kontuarem. Zawsze sobie wyobrażałem, jak z dezaprobatą spogląda na ostrze należącej do Żniwiarza kosi i proponuje mu zakup ostrzałki firmy Bester.

– Ależ Jim... Przecież te sklepy... to całe twoje życie.

Poruszył się nerwowo na kanapie i skrzyżował ramiona.

– Odkąd nie ma Rachel, ledwie mogę się skupić na pracy. Całe miesiące nachodzą mnie myśli, że życie jest zbyt krótkie i że są w nim ważniejsze rzeczy od kluczy imbusowych Allena.

To właśnie, słowo w słowo, Rachel zawsze mu powtarzała, kiedy siedzieliśmy razem przy stole, gdzieś między purée ziemniaczanym a indykiem.

– Sam dobrze wiesz, że ci z koncernu Ace Hardware wiele razy usiłovali mnie wykupić – ciągnął. – Dziś zobaczyłem się z nimi i przystałem na ich propozycję. Nie zapłacili tyle, ile daliby pięć czy sześć lat temu, interes bowiem idzie nie najlepiej. Ale i tak to, co dostałem, wystarczy mi spokojnie do końca życia. Mam sześćdziesiąt trzy lata, przez pół wieku tyrałem jak wół. Zapracowałem na to, żeby korzystać z emerytury i zadbać o to, co dla mnie najważniejsze.

– Masz rację, Jim. Podjąłeś słuszną decyzję. Gratuluję.

Stary pokręcił głową, być może zbierając się na odwagę, żeby powiedzieć, o co mu tak naprawdę chodziło. W końcu wyduślił to z siebie w swoim stylu: szorstko i bez ogródek.

– Nie rozumiałeś mnie, David. Chcę, żeby Julia zamieszkała u nas.

Spojrzałem na niego z otwartymi ustami i wydałem z siebie głupi odgłos, coś jakby w połowie między śmiechem a parsknięciem z niedowierzania.

– Ty chyba żartujesz!

W oczach Jima Robsona nie krył się jednak nawet cień humoru.

– Tak będzie ci łatwiej. Wyświadczam ci przysługę. To będzie najlepsze dla mojej wnuczki.

– Jim, czy ty insynuujesz, że ucieszyłaby mnie możliwość uwolnienia się od mojej córki? – odparłem, starając się ogarnąć to wszystko i z każdą chwilą stając się coraz bardziej wkurzony.

– Waszyngton to nie miejsce dla dziewczynki. Stanie się kolejnym robotem w mundurku. Lepiej będzie, jeśli pójdzie do porządnej publicznej szkoły w niewielkiej miejscowości.

To ubodło mnie szczególnie. Rachel i ja poszukiwaliśmy najlepszej szkoły dla Julii od chwili, gdy tylko się dowiedzieliśmy, że będziemy mieli dziecko. Zdecydowaliśmy się wybrać taką, która kładłaby większy nacisk na twórczość i radość niż na współzawodnictwo. Na jedno miejsce w wymarzonej placówce było dwunastu chętnych. Odstaliśmy mnóstwo czasu w kolejkach, poprosiliśmy o rozmaite przysługi wszystkich naszych znajomych, aż w końcu udało nam się załatwić, żeby ją przyjęli. A teraz ten wścibski facet kwestionował naszą decyzję.

– Julia chodzi do Maret School, jednej z najlepszych prywatnych szkół w kraju, w której zresztą uczniowie nie noszą mundurków. A tak w ogóle, nie wydaje mi się, żebyś to ty miał mi mówić, jak mam wychowywać moją córkę.

– Przemysł to. Dzięki temu w chwili, kiedy wracałaby ze szkoły, ktoś by na nią czekał, ktoś miałby dla niej czas. I jadłaby jak należy – dobre domowe obiady. Ma zbyt kościste nogi.

Podniosłem się i obszedłem stolik przy kanapie, aby się do niego zbliżyć. Natychmiast się poderwał.

– Posłuchaj mnie, Jim! Przez szacunek, jaki mam do ciebie, i przez pamięć o Rachel udam, że ta rozmowa nigdy się nie odbyła – oznajmiłem, czyniąc dłonią gest, jakbym odganiał muchę. – Jesteś dziadkiem małej i nic ponadto. Zawsze, kiedy zechcesz, będziesz w tym domu mile

widziany. Proszę cię jednak, jeśli nie chcesz, żeby stan ten uległ zmianie, żebyś nigdy więcej nie sugerował podobnych bzdur!

Odsunąłem się od Jima, on zaś z powrotem usiadł.

– Będziesz tego żałował, Davidzie – upokorzony wymamrotał przez zęby. Puściłem jego odpowiedź mimo uszu, pragnąc jak najszybciej zakończyć rozmowę.

– Lepiej będzie, jeśli pójde sprawdzic, co robi Julia – stwierdziłem i udałem się schodami na górę.

Kiedy po pewnym czasie zszedłem na parter, zdziwiło mnie, że nie zastałem Jima w salonie. Poszedłem do kuchni i zobaczyłem, jak mówi coś na ucho Swietłanie, która z bardzo poważną miną mu przytakuje. Kiedy zdali sobie sprawę z mojej obecności, odsunęli się od siebie cokolwiek spłoszeni.

Na twarzy mojego teścia malowało się poczucie winy.

W tamtym czasie nie przywiązałem do tej sytuacji większej wagi. Zawołowaną groźbę ze strony Jima uznałem za oznakę frustracji człowieka przyzwyczajonego do monopolu na prawdę i do stawiania w każdej sytuacji na swoim. To zaś, że rozmawiał ze Swietlaną, odczytałem wówczas po prostu jako demonstrację siły po tym, jak jego duma została urażona. Pomyślałem, że pewnie pouczał ją w sprawie właściwego odżywiania jego wnuczki lub opowiadał o jakości pomidorów z Wirginii, które – trzeba przyznać – są rzeczywiście znakomite.

Kiedy jednak przed godziną wróciłem do domu i nie zastałem Julii, dochodząc następnie do wniosku, że Swietłana nie byłaby w stanie zniknąć samodzielnie, rzeczona groźba wydała mi się nad wyraz realna, to zaś, co mój teść szeptał do ucha niani, urosło do rozmiarów spisku.

Kiedy skręcałem w ostatni zjazd prowadzący do domu Robsonów, w głowie kłębiły mi się te same pytania, które stawiałem sobie przez całą drogę.

Czyżby Jim odważył się zabrać wnuczkę? W jaki sposób zdołał nakłonić do współpracy Swietlanę? Zaoferował jej pieniądze? Nie wiedziałem, ile koncern Ace Hardware zapłacił mu za jego firmę, z tego jednak, co pamiętałem, dwa lata temu Rachel wspomniała coś o ofercie opiewającej na kilka milionów dolarów. Jeśli więc nawet ostatecznie transakcja zamknęła się w niższej kwocie, to Jim i tak byłby w stanie opłacić młodej cudzoziemce studia doktoranckie. Jego nieustępliwy i uparty charakter nie był niczym nowym, czy jednak mój teść byłby w stanie posunąć się aż do porwania wnuczki, żeby tylko postawić na swoim?

„Nie może być aż tak głupi – pomyślałem. – Musi zdawać sobie sprawę, że taki plan nie może się udać. Czy naprawdę sądzi, że pozwolę, żeby odebrał mi córkę, jak gdyby chodziło o poży czoną sąsiadowi kosiarkę, którą dawno spisało się na straty?”

W końcu dojechałem do domu teściów i zaparkowałem na brukowanym podjeździe do garażu przylegającego do budynku – wiejskiej posiadłości od czterech pokoleń należącej do rodziny Robsonów. Przez większość tego okresu byli biedni – Rachel pierwsza z rodziny Robsonów zdołała pójść na studia – pod względem dumy nie mieli jednak sobie równych.

Padał drobny deszcz, który nie zdołał ostudzić moich nerwów. Kiedy podchodziłem do wejścia, zdziwiło mnie, że światło nad głównymi drzwiami nie jest zapalone. Zazwyczaj zostawiali je włączone na całą noc, podobnie jak kilka lamp na parterze. Zdaniem moich teściów, zmiany klimatyczne to wymysł, dzięki któremu Al Gore sprzedaje swoje książki.

Dwoma susami pokonałem schodki i już miałem chwycić za kołatkę, gdy drzwi otworzyły się na oścież. Stał w nich Jim, ubrany jedynie w szlafrok w kratę. Zmierzył mnie wzrokiem i odsunął się na bok. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego moją obecnością.

– Wejdz i nie hałasuj. Obie śpią na górze.

Słyszac to słowa, doznałem ogromnej ulgi. Nagle ciężar, który odczuwałem w piersi, zelżał i po raz pierwszy od wielu godzin byłem w stanie głęboko odetchnąć. Zauważyłem, że Jim miał tylko jeden pantofel, kiedy zaś szedł, jego stopy wydawały dziwny dźwięk. Nadal byłem zły, ale widok nagich, chudych łydek teścia był tak żalony, że osłabił moją wolę walki.

Podążyłem w ślad za popękanymi i wysuszonymi piętami do gabinetu Jima, gdzie każdego wieczoru się odprężał, wypijając piwko przed pójściem spać i oglądając program telewizyjny. Tyle że tej akurat nocy w wyjściowym składzie Budweisera zastępował Jack Daniel's. I z tego, co było widać, dawał z siebie wszystko.

Kolejna różnica niepokoiła jeszcze bardziej – telewizor był wyłączony, na fotelu teścia leżała zaś duża posrebrzana ramka na zdjęcia. Było oczywiste, że Jim jeszcze przed chwilą trzymał ją w dłoniach. Ja zaś doskonale wiedziałem, że ramka ta stała zwykle nie w jego gabinecie, ale na kominku.

Zabrał ją z fotela, usiadł i dolał sobie whisky.

– Wyglądała na tak spełnioną, Davidzie. Na tak szczęśliwą.

Podniósł ramkę, ale nie było to konieczne. Dokładnie znałem każdy szczegół tej fotografii, wiele bowiem nocy spędziłem z jej odbitką w dłoniach, podobnie jak Jim wpatrując się w nią i pijąc aż do otumanienia. Przynajmniej tyle nas zdziżyło.

Było to zdjęcie z naszego ślubu. Rachel w drzwiach kościoła trzymała bukiet kwiatów, patrzyliśmy sobie w oczy. Sam nie dostrzegałem w jej obliczu tego szczęścia, o którym mówił Jim, przynajmniej zaś nie widziałem szczęścia ogromnego i nieprzeparatego. Widziałem poczucie pełnego bezpieczeństwa, wynikające z odnalezienia towarzysza życia. Rzecz jasna, nie widziałem tylko samego zdjęcia, ale swego czasu znajdowałem się na drugim końcu tego spojrzenia.

– Bez wątpienia taka właśnie była, Jim. Sądzę, że była szczęśliwa przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem.

Przekrzywił głowę i wyglądał tak, jakby przez chwilę się nad tym namyślał. Skórę miał wyschniętą niczym pergamin, policzki niknęły mu pod pajęczyną czerwonych żyłek. Dokładnie przyjrzał się dnu swojej szklanki, próbując znaleźć w niej odpowiedź. Następnie opróżnił ją jednym haustem.

– Tak. Tak, pewnie masz rację.

Nalał sobie jeszcze whisky. Zrobił w moją stronę gest butelką, ale odmówiłem ruchem głowy, dlatego nie nalegał. Ktoś w tym momencie musiał zachować jasność umysłu, ja zaś byłem wyczerpany i zbyt podenerwowany, żeby zaczynać pić. Chciałem tylko zabrać Julię i odjechać stąd, ale nie mogłem wyjść bez rozmowy z Jimem, poza tym perspektywa wyciągania dziewczynki z kółka w środku nocy przyprawiała mnie o ból serca. Obawiałem się nie na żarty, że przyjdzie mi tutaj zostać na noc.

– Była taka słodka. Jak w tej piosence *Oh sweet Rachel, oh my darling dear...* – zanucił kawałek, coraz bardziej pijany i coraz mocniej fałszując. – Nie sposób było wyprowadzić ją z równowagi. Taka była rozsądna.

– Sądzisz, że pochwaliliby coś takiego?

– Nie miała nic przeciwko, żeby jej ojciec od czasu do czasu wypił sobie szklaneczkę czegoś mocniejszego. Absolutnie nie miała nic przeciwko.

– Nie o tym mówię, Jim. Gdzie jest Swietłana?

Wbił we mnie spojrzenie, otwierając szeroko oczy. Worki pod oczami, tworzące parę czarnych hamaków, na moment rozmyły się na jego wychudzonej twarzy.

– Podejrzewam, że w twoim cholernym domu. Masz ze sobą Julię? Przywiozłeś ją do nas?

Nie musiałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie kłamie. Zaskoczenie malujące się na jego obliczu było przytłaczająco autentyczne. Wraz z nim dopadło mnie poczucie dezorientacji.

Zakreśliło mi się w głowie i musiałem uchwycić się oparcia fotela.

– Nie, oczywiście, że jej nie przywiozłeś. Nigdy jej nie przywiozisz, Davidzie. Jesteś bardzo zajęty ratowaniem życia innych – stwierdził, zniżając głos do szeptu.

Prawie go nie słuchałem. Jego słowa wbijały mi się w trzewia niczym sztylety, było jednak w tym wszystkim coś znacznie ważniejszego. Wzięłem głęboki oddech i spróbowałem mu przerwać.

– Jim...

– Ważne jest życie każdego, tylko nie twojej żony, prawda, Davidzie?

– Jim, kiedy przyjechałem...

– Wielki neurochirurg, rodząca się gwiazda medycyny, ale tego nie przewidziałeś, prawda, gwiazdeczko? Nie przewidziałeś. Oj, nie przewidziałeś!

– Jim!

– Co?!

– Jim, powiedziałaś, że są na górze. Kto jest na górze?

Zamilkł i przez chwilę sprawiał wrażenie zdeзорientowanego, jak gdyby do jego uszu docierało odległe echo mojego pytania. W końcu znaczenie wypowiedzianych przeze mnie słów najwyraźniej zdołało się przebić przez opary alkoholu.

– O czym ty mówisz? Moja żona. I Kate. Kto niby inny? Ma wolne, przyjechała więc odwiedzić rodziców, taka ta Kate pocziwa. Ona akurat ma serce dla rodziny.

Na tym etapie miał już tak odrętwiały język, że ledwie zrozumiałem końcówkę ostatniego zdania, która zabrzmiała trochę jak „oonakuramaserziny”, lecz mało się tym przejąłem, ponieważ intuicja, jaka przywiodła mnie w to miejsce, błyskawicznie wyparowała. Wszystko to było jakimś ogromnym i nieprzyjemnym nieporozumieniem. Julia zniknęła już kilka godzin temu, ale nikt jej nie szukał. Jakby tego było mało, ja byłem tutaj, sto kilometrów od domu, kiedy powinienem właśnie rozmawiać z policją, łażąc im szukać Swietłany i jej ewentualnych współników. Nagle z powrotem ogarnęły mnie niepokój i strach.

Podniosłem się na nogi i wyciągnąłem komórkę. Wybrałem 911 i przyłożyłem aparat do ucha.

Zajęte.

To nie miało najmniejszego sensu. Numer alarmowy nigdy nie może być zajęty. Szyja zeszywniała mi od dziwnego uczucia, trochę jak od pomysłu, którego nie możesz sobie przypomnieć, albo od krzyku dochodzącego gdzieś z oddali, którego natury nie jesteś w stanie stwierdzić.

Coś było nie tak, i to nie tylko w związku z Julią.

– Posłuchaj, Jim... Muszę skorzystać z twojego telefonu.

Stary pokręcił przecząco głową i, zataczając się, wstał.

– Nie będziesz teraz dzwonił. Chcę z tobą porozmawiać.

– To pilna sprawa. Trzeba...

W tym momencie z mojego telefonu dobiegł sygnał otrzymanej wiadomości tekstowej. Spojrzałem natychmiast na ekran, sądząc, że być może jest to esemes od Swietłany, ale wiadomość nie była od niej. Pole nadawcy było puste, nawet bez informacji o tym, że numer jest nieznanym. Po prostu puste.

WYJDŹ STAMTĄD, DAVE

Odblokowałem ekran i otworzyłem aplikację wiadomości tekstowych, żeby zobaczyć, kto przysłał tego esemesa, ale tekst, który właśnie otrzymałem, nigdzie nie był widoczny. Ostatnią wiadomością była informacja przysłana przez koleżkę ze szpitala kilka godzin temu.

– Co ty mi mówisz o pilnej sprawie, Davidzie? Dla ciebie zawsze pilne sprawy były ważniejsze od twojej rodziny. Zgadza się! Wszystko było ważniejsze dla pana Ważnego Chirurga, otóż to. Kawał chuja jesteś, i tyle!

Na dźwięk obelgi podniosłem głowę i już miałem odpowiedzieć, ale telefon znowu zasygnalizował nadejście wiadomości.

NIE ROZMAWIĄJ JUŻ Z NIM. NIC MU NIE MÓW O JULII

– Jim, jeśli się na chwilę zamkniesz, to ci wyjaśnię.

– Nie waż się mnie uciszać w moim domu! Ona była chora, ty skurwysynu! Cały czas była chora, i to tuż pod twoim nosem. Tuż przed twoim nosem, pierdolony wszystkowiedzący jankesie.

Nie odpowiedziałem. Byłem zbyt oszołomiony tym wszystkim, co działo się wokół mnie, żeby zwracać uwagę na słowa teścia, które – jeśliby się nad tym dobrze zastanowić – stanowiły jedyny sposób, w jaki człowiek taki jak on był w stanie prosić o pomoc. W tym momencie cała nienawiść, cały żal, wszystkie resentymenty, które wyrzucał z siebie i kierował do mnie, nie spotykały się z jakimkolwiek odzewem, przez to wracały do niego po trzykroć mocniejsze.

– Odpowiedz coś, do kurwy nędzy! – krzyknął, unosząc pięść, aby mnie uderzyć. Twarz miał rozpaloną od gniewu i alkoholu.

Wykonałem unik, uchylając się w bok. Zatoczył się, poleciał do przodu i przewrócił stolik ustawiony obok fotela. Taca z butelką whisky i szklankami upadła na podłogę, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

Ponownie rozbrzmiał sygnał informujący o nadejściu esemesa.

WRACAJ DO DOMU, DAVE. KTOŚ TAM NA CIEBIE CZEKA

Wielkimi susami ruszyłem do drzwi, podczas gdy dziwne przecucie, które mną owładnęło, przybierało na sile. Cała sytuacja wydawała mi się niereczysta, ja zaś nie byłem w stanie zorientować się w jej mroku. Tak mi się spieszyło, że przez nieuwagę uderzyłem biodrem w jakiś mebel. Poczułem przejmujący ból w boku i otworzyłem na oścież drzwi wejściowe. Deszcz tymczasem przybrał na sile, tworząc ścianę wody, schodki prowadzące od wejścia stały się zaś śliską pułapką. Ponownie się potknąłem, tym razem upadając na kolana na mokry trawnik.

„Davidzie, całą zręczność, jaką Bóg dał twoim dłoniom, odebrał twoim nogom”.

Kiedy w ubłoconych spodniach podnosiłem się do pionu, w głowie dźwięczał mi kryształowy głos Rachel. Nie cierpiałem, kiedy śmiała się z mojej niezdarności. Gdyby ujrzała, jak ubrudzony wsiałam do lexusa, rozdarłaby się wniebogłosy.

Ja zaś oddałbym wszystkie samochody świata, żeby móc choćby raz jeszcze usłyszeć, jak się ze mnie śmieje.

– Wracaj tu! – zawołał Jim od drzwi.

Widziałem zaledwie tyle, żeby próbować trafić kluczykiem w zamek w drzwiach samochodu. Przekłeta bateria w pilocie szwankowała, wciąż jednak zapominałem o tym, żeby ją wymienić. Nagle światło na zewnątrz się zapaliło i zdołałem włożyć kluczyk do zamka. Odwróciłem się z wdzięcznością, ale natychmiast musiałem uchylić głowę, gdyż ujrzałem nadlatującą w moim kierunku butelkę whisky rzuconą przez teścia. Zaimprovizowany pocisk rozbił się na tysiąc odłamków na karoserii samochodu, nieopodal lusterka wstecznego, pozostawiając po sobie paskudne wgniecenie.

W tej właśnie chwili otrzymałem czwartą wiadomość, która sprawiła, że włosy stanęły mi dęba. Wsiadłem do samochodu i włączyłem silnik. Nie tracąc czasu na cofanie aż do drogi, zawróciłem na trawniku. Jim zbiegł po schodach i walnął pięścią w maskę samochodu.

– Uciekaj! Uciekaj! Tylko to potrafisz!

Sylwetka teścia, który wygrażał mi uniesioną w powietrzu kościstą pięścią, utrzymywała się przez kilka sekund w lusterku wstecznym, niemal jednak nie zwróciłem na to uwagi, moje myśli skupiały się bowiem wyłącznie na Julii i na wiadomości, którą właśnie otrzymałem:

ANI SŁOWA POLICJI

Nie pamiętam, jaktamtej nocy wróciłem do domu.

Wiem, że znajdowałem się w stanie zupełnej dezorientacji, jakiej nie doświadczyłem nigdy wcześniej, i nie sądzę, żebym miał doświadczyć w przyszłości. Niepokój i niepewność zawładnęły mną bez reszty, prowadziłem więc samochód niemal automatycznie, zagubiony we własnych rozmyślaniach. W miejsce pytań, które sobie stawiałem, jadąc do Fredericksburga, pojawiły się nowe, bardziej niepokojące. Straszliwe myśli – co jedna to okropniejsza – dotyczące tego, w czyich rękach mogła znajdować się Julia, napływały mi do głowy nieprzerwanym i oszłamiającym strumieniem.

„Oby nic jej nie było. Proszę, proszę!” – powtarzałem bezgłośnie, starając się odegnąć męczące wyobrażenia.

Zastanawiam się również, do kogo wtedy zanosilem swoje błagania. Podejrzewam, że do Boga, w którego nie wierzę i którego tyle już razy prosiłem o pomoc. W więzieniu, dwoje drzwi dalej od pomieszczenia, gdzie piszę te słowa, siedzi pewien więzień, który mawia, że w celach śmierci nie ma ateistów.

Łatwo zrozumieć dlaczego.

Kiedy dotarłem do Dale Drive, nawet nie kłopotalem się wprowadzaniem samochodu do garażu. Zostawiłem lexusa na podjeździe, otwartego i z kluczykami w stacyjce. Pospiesznie wysiadłem i jak błyskawica wpadłem do domu. Zdezorientowany przystanęłem w korytarzu, nie mogąc – bardziej ze względu na napięcie niż sprint od samochodu – złapać oddechu i brudząc dywan błotem, gdy nadeszła kolejna wiadomość.

ZEJDŹ DO PIWNICY

Drzwi prowadzące do piwnicy znajdowały się między korytarzem a kuchnią – pokryte taką samą tapetą jak ściany, były niemal niewidoczne. Musiałem mocno pociągnąć, ponieważ zawsze trochę się zacięły.

Bardzo powoli zszedłem po schodach. Stopnie skrzypiały pod ciężarem mojego ciała. Było to bardzo stare drewno, prawdopodobnie jeszcze z czasów budowy domu. Nigdy nie mieliśmy czasu ani pieniędzy, żeby je wymienić, i tak zresztą rzadko z nich korzystaliśmy. W połowie schodów coś uderzyło mnie w twarz. Łańcuszek od żarówki. Pociągnąłem za niego, żółtawe światło sprawiło zaś, że dotychczasowy mur ciemności zastąpiły długie cienie i mroczne zakamarki.

Zszedłem niżej, ponieważświe zdając sobie sprawę, że kilka godzin wcześniej, kiedy szukałem Julii, jedynie otworzyłem drzwi od piwnicy, zwołałem imię córki, a następnie je zamknąłem, nie zajrzawszy jednak na dół. Po plecach przebiegły mi ciarki. Być może popełniłem fatalny błąd.

Kiedy dotarłem do końca schodów, żarówka kilkakrotnie zamigłała, po czym zgąsła, pozostawiając mnie w zupełnych ciemnościach. Na półce w głębi pomieszczenia znajdowało się co prawda pudełko z żarówkami, piwnica była jednak dość duża i po omacku nie zdołałbym przez nią przejść, nie łamiąc sobie nóg. Wyjąłem telefon i uruchomiłem aplikację, która pozwalała użyć lampy błyskowej aparatu jako małej latarki.

– Julia?! – zwołałem, starając się uspokoić. Nie wiedziałem, co znajdę w głębi piwnicy, ale byłem bardzo wystraszony. I to nie tylko ze względu na Julię, ale także dlatego, że panicznie boję

się ciemności. Wąski strumień światła telefonicznej latarki tylko pozornie zmniejszał ten lęk.

Podszedłem do metalowej szafki, w której trzymaliśmy drobne części elektryczne i inne rzadko używane przedmioty. Po drodze natknąłem się jednak na przeszkołę. Na podłodze leżał rower Rachel. Zdumiało mnie to, ponieważ od ponad roku nikt z niego nie korzystał, powinien więc wisieć na ścianie. Za rowerem stały pudła, dlatego nie mogłem go przeskoczyć. Musiałem obejść przeskołę, przechodząc tym samym obokkoła.

To, co zobaczyłem, sprawiło, że zamarłem.

To była ona.

Nigdy nie bałem się ani widoku krwi, ani śmierci. Powiedziałbym nawet, że wykształciłem w sobie pewne zainteresowanie tymi zjawiskami, które inni uznaliby zapewne za niezdrową fascynację. Najdobitniejsze wspomnienie związane z tym zainteresowaniem pochodzi z czasu, kiedy miałem jedenaście lat. Było lato 1989 roku, akurat na ekrany wszedł nowy film z Batmanem i dzieci z sąsiedztwa biegały po ulicy w maskach i koszulkach z nietoperzami, przekonane, że bycie superbohaterem, sierotą stojącym na straży sprawiedliwości jest czymś megaodjazdowym. Sam mógłbym im co nieco powiedzieć na temat bycia sierotą, byłem jednak zbyt mocno zajęty własnymi sprawami.

Niestety, doktor Roger Evans, czyli mój przybrany ojciec, miał ugruntowane przekonanie dotyczące spędzania czasu z innymi dziećmi i akurat tego popołudnia wyszedł na podwórko, aby się tym ze mną podzielić.

– Davidzie, może byś tak wyszedł się pobawić...

Zdumiony przerwał w pół zdania.

Siedziałem w kucki, przede mną zaś leżał jeden z kotów pani Palandri, która mieszkała na końcu naszej ulicy. W dłoni trzymałem patyk, na który pracowicie nawijałem spory fragment jelita grubego nieszczonego zwierzała.

Doktor nie wyglądał na przerażonego ani zdjętego obrzydzeniem, jedynie na zaskoczonego.

Ktoś inny w jego położeniu – w tym również ja, gdybym zastał w takich okolicznościach Julię – krzyczałby lub zareagowałby irracjonalnie, ale nie doktor Evans. Był to człowiek, dla którego największą przyjemnością było pójść z wędką nad potok Narragansett i godzinami łowić w milczeniu.

Był to również człowiek niezwykle cierpliwy. Sam miałem okazję wypróbować granice tej cierpliwości, kiedy dwa lata wcześniej przybyłem do jego domu. Na początku sprawy między nami nie układały się dobrze: stłukłem kilka przedmiotów stanowiących cenne rodzinne pamiątki, nie chciałem jeść, wyrażałem się obraźliwie.

Moji przybrani rodzice postarali się to przeczekać. Kilka tygodni po moim przybyciu doktor Evans przyszedł do mojego pokoju i oznajmił:

– Zachowywałeś się tak niegrzecznie, jak tylko mogłeś, my jednak cię nie wyrzuciliśmy. I nigdy cię nie wyrzucimy. Nie sądzisz, że już dostatecznie nas sprawdziłeś?

Ten sam nieskończenie cierpliwy i mądry ton pobrzniwał w jego głosie, kiedy ujrawszy mnie nad kotem, zapytał:

– To ty go zabiłeś?

Zaprzeczyłem ruchem głowy i wstałem.

– Już tak leżał, kiedy go znalazłem.

– A co robisz tym patykiem?

– Chciałem go zobaczyć od środka. Chciałem zobaczyć, jak działa.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się we mnie z założonymi rękoma. Dziś taką odpowiedzią

zasłużyłbym sobie na lata wizyt u psychoterapeuty i lękania różowych pigułek. Wówczas jednak czasy były inne, doktor był zaś człowiekiem bystrym. Wiedział, że po dzieciach, które wyrwy wają muchom skrzydełka lub rozbijają kotom łby kamieniami, nie można się spodziewać niczego dobrego. Podejrzewam, że starał się doszukać w moim zainteresowaniu martwym kotem czegoś perwersyjnego lub niezdrowego, ale się tego doszukać nie zdołał. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że to spojrzenie było jednym z decydujących momentów w moim życiu. To, kim się stałem, w znacznej mierze stanowiło rezultat tego badawczego spojrzenia.

Koniec końców postanowił mi uwierzyć. Przykucnął przy zwierzęciu, dokładnie mi się przyjrzał, a następnie rozejrzał się wokół. Nasze podwórko było otoczone ogrodzeniem, w którym było więcej dziur niż w obronie nowojorskich Knicksów. Zaraz za nim rozpoznał się zaś las – niezbyt duży, ale gęsty.

– Musiał go zabić jakiś lis albo kojot. Podaj mi łopatę.

Wykonałem posłusznie polecenie, ale to, co nastąpiło później, wprawiło mnie w zdumienie. Zamiast – jak sądziłem, że uczyni – pochować nieszczęsne zwierzę, przeniósł je na stół w garażu. Porozkładał wokół worki na śmieci i stare gazety, po czym polecił mi przynieść jego torbę lekarską. Torba była wielka, z popękanej skóry, miała wycięte jego inicjały i ważyła chyba tonę. Dźwignięcie jej na stół kosztowało mnie wiele wysiłku. Doktor wyciągnął z niej skalpel i szczypcę.

– Krzywdzenie żywych stworzeń jest nie w porządku, ale tutaj było to działanie natury. To smutne zdarzenie, może jednak stanowić okazję, żeby się czegoś nauczyć. – Przez chwilę się zaważał, po czym ciągnął dalej. – Nadal pragniesz się dowiedzieć, jak wygląda zwierzę od środka?

Potwierdziłem.

– Takie rzeczy trzeba robić jak należy – oznajmił, podwijając rękawy koszuli. Miał silne, smagłe, owłosione ramiona oraz duże i zręczne dłonie.

Usiadłem obok, on zaś przystąpił do sekcji zwierzęcia. Robił to tak, jak wszystko w swoim życiu: powoli, delikatnie i z szacunkiem. Pobieżnie wyjaśnił mi rozmieszczenie organów wewnętrznych i ich funkcje, a także co się działo, gdy któryś z nich szwankował.

Teraz w szkołach nie wykonuje się już sekcji jak za moich czasów, nawet na żabach. Gdy nie ma się tyle szczęścia do opiekuna, ile ja miałem, może to być traumatyczne doświadczenie. Nawet po wielu latach niegdysiejsi uczniowie ze wstrętem wspominają towarzyszące sekcji zapachy i odgłosy.

Ja pamiętam jedynie zapach Old Spice'a i poważny, surowy ton głosu doktora Evansa. Tego popołudnia zaskrzył sobie, że bym nazywał go ojcem, i popchnął mnie na ścieżkę prowadzącą ku medycynie.

Dwadzieścia sześć lat później, stojąc nad zwłokami Swietłany Nikolic, przypomniałem sobie tę chwilę, kiedy ojciec nauczył mnie, że bym nie bał się ani widoku krwi, ani śmierci. Wziąłem głęboki oddech i spróbowałem przeanalizować to, co miałem przed oczami.

Niania była zawinięta w grubą przezroczystą folię. Z dolnej części zwoju wystawały jedynie jej gołe stopy. Miała na sobie niebieski dres, w którym zwykle chodziła po domu – widziany przez folię, wydawał się on jednak znacznie ciemniejszy, niemal czarny. Głowa, górująca nad drugim końcem małąbrzytnego opakowania, była ułożona pod nienaturalnym kątem. Nie trzeba było posiadać wiedzy neurochirurga, aby stwierdzić, że Swietłanie skręcono kark. Była to śmierć natychmiastowa i niemal bezbolesna, której zadanie wymagało jednak przerażającej krzepy – znacznie większej niż wynikałoby to ze scen w filmach kryminalnych. Nawet w wypadku

szczupłej studentki z Serbii.

Najgorsze jednak były oczy.

Ktokolwiek to zrobił, nie zadał sobie nawet trudu, żeby zamknąć jej powieki. Wprost przeciwnie – źrenice były wpatrzone przed siebie, oskarżycielsko odbijając światło latarki. Zostały ustawione pod dokładnym kątem, co było dziwne. Każdy, kto zbliżyłby się do szafki, musiałby obejść leżący rower, aby natknąć się na spojrzenie tych oczu.

Wydałem z siebie westchnienie czystej rozpacz.

Ktokolwiek zabił Swietlanę, był jakimś chorym popierdoleńcem. Co gorsze – miał Julię.

W tym momencie ponownie rozległ się sygnał otrzymanej wiadomości tekstowej. W gęstym mroku piwnicy trzy radosne dzwonki rozbrzmiały złowrogo niczym wycie bestii skrytej w głębinach pieczary.

WYDAJE MI SIĘ, DAVE, ŻE JESTEŚ JUŻ GOTÓW NA TO,
ŻEBYŚMY SIĘ POZNALI

Z piskiem opon zaparkowałem na ulicy przylegającej do Marblestone Diner. Wściekły wysiadłem z samochodu, czując potrzebę obicia twarzy każdemu, kogo tylko spotkam w środku. Gotów siłą wyrwać mu z gardła informację o miejscu pobytu mojej córki.

Zanim zdążyłem skrócić za róg, ktoś chwycił mnie od tyłu i przygwoździł do ściany. Tynk, do którego przywarł mój policzek, był chropowaty i chłodny i nie tak zimny i nie tak twardy jak metal, który przyłożono mi do karku.

– Doktorze, został pan zaproszony na cywilizowane spotkanie – oznajmił głos z silnym akcentem z Europy Wschodniej. – Gospodarz prosi, żeby zachował pan spokój.

Spróbowałem się odwrócić, ale ręka, która przyciskała mnie do ściany, czyniła to z siłą nieznoszącą sprzeciwu.

– Możemy tutaj zostać tak długo, jak długo będzie to konieczne, aby się pan uspokoił, doktorze.

Zdałem sobie sprawę, że szalejąca we mnie furia osłabła, ustępując miejsca strachowi.

– Już wystarczy – zdołałem wyartykułować.

– W takim razie pana puszczę. Proszę się nie odwracać, tylko iść przed siebie i zachowywać się jak należy.

Nacisk na moje plecy zniknął, odsunąłem się więc od ściany. Wyczuwałem za sobą ich obecność – dwóch ciemnych sylwetek, które kątem oka spostrzegłem w chwili, gdy zostałem napadnięty. Nie wyglądało na to, że podążają za mną aż do wejścia, niemniej jednak posłusznie zastosowałem się do otrzymanych poleceń. Zdołałi mnie przekonać, że nie jest to odpowiednia chwila, żeby zgrywać bohatera czy robić jakieś głupstwa.

Nie zobaczyłem go od razu po wejściu. Wnętrze kawiarni rozplanowano na rzucie litery „L”, on zaś siedział przy ostatnim stoliku pochłonięty zawartością ekranu swojego iPada. Kiedy jednak podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały, odczułem nagły skurcz żołądka.

Dziesięć minut wcześniej wpatrywałem się w martwe oblicze Swietłany Nikolić. Wierzcie mi – w zgaszłych oczach opiekunki było znacznie więcej życia niż w dwóch błękitnych, zimnych i błyszczących kamylkach, które wpatrywały się we mnie przenikliwie z głębi lokalu.

Kiedy podszedłem, podniósł się i wyciągnął do mnie dłoń. Nie uściśnąłem jej, nieznajomy uniknął jednak afrotu, elegancko wywijając ręką i wskazując kanapę naprzeciwko siebie.

– Proszę, Dave! Zechciej spocząć. Mam nadzieję, że znalezienie tego miejsca nie sprawiło ci szczególnej trudności.

Załącznik do wiadomości zawierał koordynaty z serwisu Google Maps, których i tak nie potrzebowałem. Dobrze znałem Marblestone Diner. Lokal mieści się blisko domu – każdego ranka wpadałem tam po kawę przed odwiezieniem Julii do szkoły. Zawsze obsługiwała mnie Juanita, kelnerka z nocnej zmiany. Teraz podeszła do naszego stolika z notesem w dłoni, sprawiając wrażenie zdumionej moją obecnością o drugiej w nocy.

– Witam, doktorze Evans! Pan już czy może jeszcze na nogach?

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem. Ta normalność, ta obojętność. Nie byłem w stanie ich pojąć. Czyżby nie zdawała sobie sprawy z tego, co się właśnie dzieło? Nie, oczywiście, że nie. Chciałem jakimś gestem poprosić ją o pomoc, ale nieznajomy nie spuszczał ze mnie oka.

Spróbowałem zachować się z wyuczajnie.

– Miałem długi dzień, Juanito. Jeśli to nie kłopot, przynieś mi, proszę, kawę.

– W tygodniu nikt nie przychodzi o tej porze, tym bardziej w taką noc jak dziś – powiedziała, wskazując długopisem za siebie. Poza nami w lokalu nie było żadnych klientów. – Nic do jedzenia?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Skoro nie mogła mi pomóc, chciałem już tylko, żeby jak najszybciej sobie poszła. Kiedy się oddaliła, mężczyzna i ja zaczęliśmy przyglądać się sobie nawzajem w milczeniu.

Był młody – zdecydowanie bliżej mu było do trzydziestki niż mnie – miał jasne, pofalowane włosy i równie jasną, delikatną cerę. Rysy twarzy zdawały się wykute w marmurze, jego szczęką można zaś było łupać orzechy. Nosił trzyczęściowy szary garnitur z lekkiej wełny od Field Tailors, choć bez krawata. Biorąc pod uwagę to, jak marynarka układała mu się na ramionach, zestaw sprawiał wrażenie uszytego na miarę, musiał go więc kosztować trzy do czterech tysięcy dolarów.

Nieszczęśliwie interesuję się ubraniami – to była domena Rachel, która teraz, gdy jej nie ma, pozostała w moim wypadku nieco zaniedbana – ale w końcu jestem neurochirurgiem w prywatnej klinice. Żyję w otoczeniu snobów, którzy komentują tego typu rzeczy. Mam jednak słabość do zegarków, choć nie mogę kupować ich sobie zbyt wielu. Wiedziałem więc, że Audemars Piguet z limitowanej edycji, który nieznajomy miał na ręku, kosztował ponad pół miliona dolarów. Nie był to zegarek rzucający się w oczy. Jego wartość wynikała z wnętrza – wykonanego ręcznie z ponad trzystu elementów – ale tytanowa koperta i zagraniczna marka uszłyby uwadze każdego nieobeznanego z ceną takiego urządzenia.

I o to właśnie chodziło.

Juanita przyniosła kawę i posłała uśmiech mojemu towarzyszkowi, ten zaś go odwzajemnił, odsłaniając śnieżnobiałe zębienie. Przypominał trochę tego szłockiego aktora, który w nowych częściach *Gwiezdných Wojen* wcielił się w postać Obi Wana.

– *Gracias, señorita linda* – rzucił po hiszpańsku.

Juanita zarumieniła się wobec takiej galanterii i umknęła za bar. Mężczyzna śledził ją wzrokiem, aż wróciła na miejsce i włożyła do uszu słuchawki iPoda.

– Tutejsza kawa jest wyśmienita, nie sądzisz? – stwierdził, podnosząc swoją filiżankę.

Akcent rodem z brytyjskiej szkoły i wygląd jakby żywcem wzięty ze stron pisma „Town and Country” pozostawały niewzruszone. Nie byłem w stanie uwierzyć, że to właśnie ten człowiek miałby zabić Świetlanę i przysyłać mi te wiadomości. Byłem zdezorientowany, ale także wściekły. Zaciśnąłem pięści pod blatem stolika.

– Kim pan jest? Czy przysyła pana mój teść? – spytałem. Zanim jeszcze słowa zdążyły opuścić moje usta, wiedziałem, że zabrzmiało to absurdalnie.

– Ten od narzędzi? Nie rozśmieszaj mnie, Dave.

W jego trupich oczach nie można było dostrzec choćby najmniejszego śladu poczucia humoru.

– Proszę powiedzieć, gdzie jest moja córka albo w tym momencie dzwonię na policję – oznajmiłem podniesionym głosem, nie będąc już w stanie nad sobą zapanować.

Pochylił się nieznacznie nad stolikiem i zmarszczył brwi.

– Dave. Jeśli jeszcze raz podniesiesz głos, zmusisz mnie, żebym potraktował naszą gospodynię tak samo, jak potraktowałem Świetlanę – zapowiedział, ulotnym gestem wskazując bar. – Będziemy musieli sobie stąd pójść i dokończyć tę rozmowę w samochodzie, w niewygodzie, zamiast w tym przestronnym lokalu, klimatyzowanym i chroniącym nas od deszczu. Wszyscy na tym stracimy, a już najbardziej stracą dzieci Juanity. Czy wyraziłem się jasno?

Wszystko to powiedział głosem tak czystym i neutralnym, jak kelner, który z pamięci recytuje

ofertę na dany dzień. Ta lodowata naturalność napawała strachem.

Zamilkłem na chwilę. Czułem, że zaszkło mi w gardle.

– To co? Jak będzie? – ponaglił mnie.

– Nie będę podnosił głosu.

Uśmiechnął się. Nie był to prawdziwy uśmiech. Brakowało w nim światła i emocji, jedynie zmieniła napięcie mięśni twarzy. Był to uśmiech całkiem odmienny od podstępnej i doskonale wystudiowanej miny, z jaką zwracał się do Juanity. Był również bardziej autentyczny.

– Fantasty cznie, Dave. Możesz mi mówić „panie White”.

Ponownie wyciągnął rękę nad stołem. Tym razem nie miałem innego wyjścia i musiałem ją uściskać. Była mocna i zimna w dotyku.

– Czego pan ode mnie chce? Pieniądzy? Nie mam ich wiele, ale oddam panu wszystko. Proszę tylko powiedzieć, gdzie jest Julia.

– Dave, Dave, Dave. Czy sprawiam wrażenie człowieka, któremu brakuje pieniędzy?

– Nie, raczej nie.

– A mimo to... chcesz mnie przekupić, wrzucając mi jakieś drobne do kubka, jakbym był tym bezdomnym na Kalarama Circle, któremu dla spokoju sumienia dajesz coś, wysiadając z lexusa?

Zmroziło mnie. Jeździliśmy czasem na zakupy do centrum handlowego, pod którym chodził pewien żebrak w czapce filadelfijskich Sixersów i z tabliczką WETERAN WOJENNY. Dawałem mu drobne, ponieważ sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Nic pan o mnie nie wie – odparłem obrażony.

– Mylisz się, Dave. Wiem o tobie wszystko. Wiem o tobie nawet więcej niż ty sam. Znam każde twoje oblicze i każde wcielenie. Sierota z instynktem przetrwania. Zdolny dzieciak ze stypendium na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. „Urodzony talent w medycynie” – jak pisali w „Pottstown Gazette”. Sporo się wydarzyło od czasu, gdy roznosiłeś gazety w miasteczku pod Filadelfią, prawda?

Nie odpowiedziałem, jedynie zamieszałem kawę, której nie miałem zamiaru pić. Czułem, jakbym miał w żołądku odwrócony wulkan.

– Czuły mąż. Troskliwy, choć trochę nieobecny ojciec. Uprzejmy sąsiad. Zbolały wdowiec.

– Wystarczy – wyszeptalem.

– Chirurg o magicznych dłoniach. Kumpel żartowniś. Twój koledy z Saint Claire nazywali cię „bystry Dave”. Przy najmniej do czasu, aż wróciłeś z długiego urlopu po sprawie z Rachel. Teraz mówią na ciebie „groźny Dave”. Wiedziałeś? Jasne, nie w twojej obecności, ale szepczą o tym w szatni i na korytarzach. Niektórzy anestezjologzy, kiedy się dowiadują, że mają być z tobą przy długiej operacji, zamieniają się dyżurami. Mają złe przeczucia.

Rzecz jasna, sam o tym wiedziałem. Czy może raczej się tego domyślałem. Co innego jednak coś podejrzewać, co innego zaś słuchać, gdy oznajmia to ktoś zupełnie niezajomy, kto właśnie wprowadził ci córkę. Każde słowo, które wypowiadał swoim metalicznym głosem z akcentem rodem z prywatnej szkoły, było jak cios w splot słoneczny. Niezdolny do riposty, bez sił do rozmowy czy możliwości zastosowania przemocy fizycznej, byłem niczym marionetka w rękach tego psychopaty.

– Z drugiej strony, wcale mnie to nie dziwi – ciągnął dalej. – Nie można bowiem powiedzieć, żebyś tryśkał radością od czasu samobójstwa Rachel, prawda?

– Ani słowa o mojej żonie, draniu – zdołałem z siebie wyrzucić.

– Nie powiesz mi teraz, że się tego wstydzisz. Choć rzeczwiście sama końcówka była wrzeszcząca. I te słowa, które napisała do ciebie w liście pożegnalnym. – Jego głos przeszedł w odrażający falset: – „Mój najdroższy Davidzie. Na zawsze pozostaniemy razem. Zachowaj każdy mój uśmiech i pamiętaj mnie taką, jaką jestem teraz”.

Dłużej nie mogłem tego znieść i uderzyłem dłonią w blat stolika. Filizanki podskoczyły, brzdęknięły sztućce i elementy zastawy. Nawet Juanita z zainteresowaniem podniosła wzrok w naszym kierunku, ale po chwili wróciła do swojego plotkarskiego pisemka. Na szczęście była zbyt daleko, aby dosłyszeć nasze słowa.

Pan White zerknął na nią kątem oka, po czym nachylił się w moją stronę.

– Nie muszę chyba powtarzać mojego wcześniejszego ostrzeżenia, racja, Dave?

Nie odpowiedziałem. Zbyt mocno byłem pochłonięty płaczem. Odwróciłem się do ściany, żeby ukryć łzy. Trwało to kilka minut.

Nikt poza mną nie znał treści tego listu. Rachel nie zostawiła go przy sobie, ale wysłała mi go początkowo tego samego dnia, gdy odeszła. Sądzę, że nie chciała, żeby policja czy ktokolwiek inny przeczytał te słowa, które płynęły prosto z jej serca. Poza tym zostawiła inną, lakoniczną notatkę, w której wyjaśniała przyczyny swojej decyzji, i na tym koniec. Sam nigdy nikomu nie mówiłem o tym liście i trzymałem go w domu, w zamkniętej na klucz szufladzie mojego biurka. Gdy teraz słuchałem urywków listu Rachel padających z ust tego skurwysyna, wydawało mi się to bluźnierstwem. Poczulem się tak zgwałcony, tak nagi i bezbronny, że przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie zebrać się w sobie.

Kiedy zdołałem się opanować, wierzchem dłoni otarłem łzy i zebrałem siły, żeby na niego spojrzeć. Uśmiechał się – tym razem był to autentyczny uśmiech.

Wiem, że taki był, ponieważ napawał śmiertelnym strachem.

– W porządku, White, przekłety, popierdolony skurwysynu! Dowiedział pan, że wie pan wszystko. Panuje pan nad sytuacją.

– Teraz zaczynasz to pojmować, Dave.

– Czego pan chce?

– To bardzo proste. Jeśli twój następny pacjent wyjdzie żywy z bloku operacyjnego, już nigdy więcej nie zobaczysz córki.

Spojrzałem na niego z przerażeniem. Teraz wszystko rozumiałem. Pojąłem w końcu, dlaczego ktoś taki jak pan White, który sprawiał wrażenie osoby śpiącej na pieniądzech, przygotował tak złożoną i dobrze zsynchronizowaną operację. Nie chodziło mu ani o Julię, ani o pozbawienie nas niewielkiego przecieży majątku. Niemniej jednak wysokość okupu była ogromna. Niewyobrażalna. Okupem miało być życie człowieka, którego za trzy dni miałem operować.

Żeby uratować Julię, miałem zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– A więc to tak! Jest pan terrorystą.

White pokręcił głową i cmoknął ustami tak, jak gdyby użyte określenie wydało mu się obraźliwe.

– Aby być terrorystą, musiałbym się kierować jakąś ideologią czy jakimiś przekonaniem, Dave, tego jednak u mnie nie uświadczysz. Nie, przyjacielu! Jestem raczej kimś w rodzaju pracownika najemnego, choć taka definicja również nie do końca mnie określa.

Oczy mu błyszczały, każde zdanie podkreślał żywą gestykulacją. Wszyscy lubią opowiadać o swojej pracy. Dla takiego narcystycznego egocentryka, jakim był pan White, niemożność rozgłaszania wszem i wobec o swoich wyuczonych musiała być jednak torturą nie do zniesienia.

– Powiedzmy, że jestem artystą w dziedzinie inżynierii społecznej. Klient zgłasza się do mnie z pewnym problemem, ja zaś znajduję rozwiązanie.

– Ale... – zająknąłem się i zamilkłem na chwilę. – Ja nie jestem mordercą. Niech pan poszuka kogoś żołnierza czy najemnika, kogoś umiającego posługiwać się bronią...

– Szalony samotny strzelec to koszmarna kalka z lat sześćdziesiątych. Strasznie zgrany wariant, po który sięgaliśmy wiele razy. Nie, Dave, gdyby chodziło o coś takiego, nie byłbym potrzebny. Pierwszy lepszy rzeźnik z trzema nabojami i lornetką może wykonać tego typu fuszerkę. Rzecz jasna, kiepsko by się to skończyło. Koniec byłby taki, że strzelec siedziałby przykuty do stołka i udzielał... jak by to ująć? Niewygodnych informacji na temat tożsamości swoich mocodawców. Nie wspominając już o spadkach na giełdzie, panice w społeczeństwie, napięciu na arenie międzynarodowej. Nasz kraj jest już w wystarczająco dużych tarapatkach, kolejny skandal z pewnością zagroziłby mu rozpadem. My jednak jesteśmy przecież patriotami i byśmy sobie tego nie życzyli, prawda, Dave?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziałem machinalnie.

Pochylił się do przodu i jeszcze bardziej ściszył głos, który przybrał teraz głośność szeptu. W tym samym momencie rozbrzmiewająca z głośników Joan Baez skończyła śpiewać *Hush Little Baby* i zaintonowała *Battle Hymn of the Republic*. Nie wiem, czy był to zbieg okoliczności, czy też White uprzednio to zaplanował, podobnie jak co do milimetra rozplanował każdy szczegół tego odrażającego przedsięwzięcia.

– Tymczasem zaś, drogi panie doktorze, zgon z przyczyn naturalnych byłby jak najbardziej do przyjęcia. Nasza osobistość w zupełnej tajemnicy trafia w piątek do szpitala. O jego chorobie nikt nic nie wie. Zostaje otoczony najlepszą opieką, niemniej jednak umiera na stole operacyjnym. Dzielny neurochirurg, wysoki brunet, pojawia się przed kamerami. To *self-made man*, typowy amerykański bohater, choćący przykład prawości. Ze łzami w oczach przekazuje smutną wieść, cały kraj płacze do wtóru. Wiceprezydent, również zapłakany, tego samego piątkowego wieczoru składa przysięgę, tak mu dopomóż Bóg. W sobotę kraj jest pogrążony w żałobie, w niedzielę w serwisach informacyjnych wychwalają postać nowego wodza narodu, którego nazwiska dwa dni wcześniej blisko połowa obywateli nie była w stanie przytoczyć. Kiedy poniedziałkowym rankiem Wall Street otwiera podwoje, sytuacja jest już opanowana. Fabryki pracują pełną parą, matki rozwożą dzieci do szkół i pielę szarlotki. Demokracja ocalała. Boże, pobłogosław Ameryce.

Podniósł rękę do piersi, naśladując zmanierowanym gestem uroczysty salut wobec flagi. W kawiarni, w której się znajdowaliśmy, urządzonej w stylu lat pięćdziesiątych i udekorowanej na czerwono, biało i niebiesko, jego przemowa zabrzmiała surrealistycznie i szaleńczo. Zarazem

jednak zupełnie prawdopodobnie. Na myśl o tym, w jak ogromną kabałę zostałem wpakowany, poczułem ucisk w gardle.

– White, jest pan świrem – wymamrotałem.

– Zdecydowanie nietrafne spostrzeżenie – mrużąc oczy, oznajmił z niezadowoleniem. – Tak się składa, że jestem człowiekiem do głębi racjonalnym i zrównoważonym, doskonale świadomym konsekwencji własnych czynów, a także wynikających z nich korzyści i zagrożeń. A ty, Dave? Czy możesz to samo powiedzieć o sobie?

Posłał mi przeciągłe spojrzenie, powoli rozcierając sobie przy tym skronie, jak gdyby oceniał skutki rzuconej groźby. Przekaz nie mógłby być jaśniejszy, nawet gdyby mi to wykrzyczał.

Moje ciało chciało jak najszybciej opuścić kawiarnię, mój umysł pragnął oddalić się od tego psychopaty. Ja sam nie mogłem jednak tego uczynić.

– Jak pan to sobie wyobraża? Nie mogę go tak po prostu zamordować! – Próbowałem się bronić, zyskać na czasie, wytłumaczyć mu niemożność spełnienia jego prośby. – To nie takie proste. Wiele par oczu będzie śledziło każdy mój ruch. Poza mną będzie tam co najmniej dwóch innych neurochirurgów, do tego anestezjolog i dwie pielęgniarki. Moje działania będą nagrywały kamery, a z kopuły nad blokiem operacyjnym będzie mnie obserwować połowa wszystkich agentów Secret Service.

– Detale i drobnostki – stwierdził, rozkładając ręce dłońmi do góry, jak gdyby były to kwestie niewarte uwagi. – To już pozostaw mnie. W czwartek wieczorem powiem ci, jak to zrobisz. Jestem przekonany, że metoda ci się spodoba.

Niewzruszona pewność pobrzmiwała w jego głosie. Wiedział doskonale, że konstrukcja klatki jest solidna. Ja jednak niczym pochwycione zwierzę, wciąż starałem się wyrwać z pułapki.

– Do ciężkiej cholery! Nie mogę pan prosić, żebym zabił człowieka. Przysięgałem nikomu nie robić krzywdy. Na Boga, przecież jestem lekarzem!

White westchnął i pokręcił głową, podkreślając wysiłek, jaki podejmował, żeby zachować spokój.

– Posłuchaj, Dave! Jestem niezwykle cierpliwym człowiekiem. Naprawdę. Rozumiem rozterki moralne, jakie wzbudza w tobie ta sprawa. Chciałbym zastosować odmienne podejście, zaproponować ci ogromną sumę pieniędzy i moc liczyć na twoją dobrowolną współpracę, podobnie jak w wypadku pozostałych uczestników tego przedsięwzięcia. Z tobą jednak nie poszło tak łatwo. Jesteś człowiekiem prawym. Od tego zależy twoja kariera, chodzi również o zasady moralne, którymi kierowałeś się przez całe życie. Szanuję to. Pozwól jednak, że ci o czymś przypomnę.

Sięgnął po iPada, który leżał na stole w diabelnie drogim etui marki Louis Vuitton. Podniósł osłonę, jak gdyby wnosząc między nami mur, po czym chwilę poklikał w ekran urządzenia. Po kilku sekundach opuścił osłonę i obrócił iPada w moją stronę.

Na wyświetlaczu było widać jedynie czarny prostokąt, który zajmował trzy czwarte powierzchni ekranu. Pod spodem widniały trzy rzędy szarych przycisków bez jakichkolwiek podpisów.

Nie pojmowałem, w jakim celu mi to pokazuje. Wykonałem gest sugerujący niezrozumienie.

– No tak, oczywiście. Niech się stanie światłość!

Wybrał kombinację trzech przycisków i zienacka czarny prostokąt stał się biały. Zaskoczony zamrugałem, podczas gdy moje oczy przyzwyczajały się do światła. To samo musiało uczynić soczewka znajdująca się po drugiej stronie ekranu. I wtedy zrozumiałem.

Była to wideotransmisja na żywo. Ukazywała rodzaj prymitywnego pomieszczenia wykopanego w ziemi. Kilka belek z neoheblowanego drewna chroniło konstrukcję przed zawaleniem. Ściany przepuszczały wilgoć, która niezdrowo połyskiwała, odbijając silne światło

reflektorów. Obraz w wysokiej rozdzielczości pozwalał przyjrzeć się każdemu szczegółowi.

Dziura była niewielka, musiała mierzyć ledwie półtora metra wysokości i blisko trzy szerokości. Jak zdążyłem to tak prędko obliczyć?

Ponieważ bardzo dobrze wiem, jakiego wzrostu jest moja córka.

Pośrodku nory leżała zwinięta w kłębek Julia. Miała na sobie piżamę ze SpongeBobem – granatowe spodnie i bluzkę z tym piskliwym żółtym stworem, którego, jak chyba wszyscy rodzice, zdążyłem zniechęcić. Na żółtych naszywkach było widać ślady błota i coś, co podejrzenie przypominało zakrzepłą krew. Julia była bosa, jeśli nie liczyć skarpetki na prawej stopie. Jedną ręką obejmowała kolana, podczas gdy drugą usiłowała osłonić się przed rażącym światłem halogenów. Jej wspaniałe blond włosy sprawiały wrażenie wygniecionych i zapoconych. Łzy, które spływały z niebieściutkich oczu, tworzyły strumienie błota na jej ubrudzonych policzkach. Blask świateł ją obudził – wyglądała na zdezorientowaną, zagubioną i śmiertelnie wystraszoną. Otwierała usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Oj, wygląda na to, że transmisja jest bez dźwięku. Pan pozwoli – powiedział głosem tak obojętnym, jakby był pracownikiem sklepu radiowo-telewizyjnego, który pokazuje klientowi najnowszy model telewizora z wyświetlaczem plazmowym.

Dwukrotnie kliknął na jeden z przycisków.

Żałosny jęk, który dobieł się z głośników, sprawił, że serce mi zamarło. Był to nieartykułowany, niepewny szloch. Poziom głośności był ustawiony bardzo nisko, ale i tak dźwięk ten wbił mi się w uszy niczym szpikulec do lodu.

Gwałtownie zacisnąłem pięści.

– Doktorze, jest pan inteligentnym człowiekiem – powiedział pan White, wyczytując z moich oczu, co zamierzałem uczynić. – Proszę nie robić żadnych głupstw.

Powoli rozprostowałem palce – jedyną część mojego ciała, która nie była napięta niczym gitarowa struna.

– Kryjówka znajduje się pod ziemią w hermetycznym pomieszczeniu. Dopływ powietrza zapewnia sześć zbiorników z tlenem – kontynuował White. – Łącznie zawierają dwadzieścia jeden tysięcy trzysta czterdzieści pięć litrów. Licząc zużycie pięć litrów na minutę, można uznać, że jest to dokładna ilość, dzięki której dziewczynka o jej masie ciała będzie mogła oddychać do piątku do godziny osiemnastej.

– Czy... czy ma zapewnione jedzenie?

– Ależ, Dave! Czy ty masz mnie za potwora? – zapytał, nadając swoim słowom ton zaskoczenia, jak gdybyśmy od dziecka byli przyjaciółmi, moje pytanie zaś dogłębnie go zraniło. – Potrzeby Julii, jeśli chodzi o temperaturę, nawodnienie, żywienie i higienę, zostały zabezpieczone. Jest jej, niestety, trochę niewygodnie, ale poza tym nic jej nie będzie. To znaczy, rzecz jasna, do ustalonej pory. Później jej dobrostan będzie zależeć tylko od ciebie.

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, o co mnie prosi?

– Oczywiście, Dave. Mój pracodawca ma do mnie pełne zaufanie, że zagwarantuję mu usługę czystą i najwyższej jakości.

– A następnie pozbędzie się pan narzędzi.

– Nie, to byłby poważny błąd. Po śmierci naszego naczelnego przywódcy wszyscy poświęcą ci mnóstwo uwagi, nie byłbyś także w stanie dłużej uzasadnić nieobecności małej. Julia na weekend wróci do domu, my zaś zapomnimy nawzajem o swoim istnieniu.

Ani przez moment mu nie wierzyłem, ale się nie odezwałem.

– Nadal nie rozumiem, jak pan to sobie wyobraża – powiedziałem, kręcąc głową.

– Dave, szczegółami zajmę się już sam. Ty zachowuj pozory i nie daj nic po sobie poznać. Odzyskaj swoje słynne... poczucie humoru. A teraz wracaj do domu i przemyśl to, o czym

porozmawialiśmy. Niebawem otrzymasz instrukcje.

Podniósł palec, aby przywołać Juanitę. Kelnerka położyła rachunek na stole.

– Pacjent w pierwszej kolejności nie brał ciebie pod uwagę – oznajmił, kiedy odeszła. – Ja zaś... jak najbardziej.

Wstałem, żeby wyjść.

– Dlaczego ja?

Spojrzał na mnie zaintrygowany. Jaksię wydaje, tego pytania się nie spodziewał.

– Mógł pan wybrać kogokolwiek – ciągnąłem. – Anestezjologa, pielęgniarkę. Dlaczego akurat wybrał pan mnie?

Przez chwilę zdawał się namyślać, wpatrzony w idealnie wypielęgnowane paznokcie na końcach długich i delikatnych palców.

„Dłonie chirurga” – pomyślałem.

– Ponieważ ty to rozumiesz, Dave – oznajmił spokojnym głosem. – Wiesz, że śmierć spotyka wszystkich i że można się z tym pogodzić. Wiesz także, jak trudno jest żyć z poczuciem winy, że nie zapobiegło się czemuś, co było do uniknięcia. Nie sposób jednak pogodzić się z wyrzutami sumienia, z tym gorzkim kielichem, który codziennie pije się od nowa.

Wobec tego ostatniego ciosu, zdaje mi się, zacisnąłem zęby i zamknąłem oczy. Wiedziałem, że jeśli nie uwolnię się od jego lodowatego spojrzenia, ponownie wybuchnę płaczem, nie chciałem jednak dać tej mendzie satysfakcji, jaką miałyby z ponownego upokorzenia mnie.

Chciałem już skierować się do wyjścia, ale zatrzymał mnie jego głos.

– O niczym nie zapomniałeś?

– O czym?

Bardzo powoli obróciłem się ku niemu. Pan White uśmiechnął się i podniósł rachunek przyniesiony przez Juanitę.

– Zapłać, Dave. I nie zapomnij o napiwku.

W celi śmierci cztery pomieszczenia dalej ode mnie siedzi pewien facet, niejaki Snow, który całym dniami układa pasjansa. Mówi, że aby wygrać, najważniejsze jest rozpocząć od dobrych kart. Jeśli początkowe rozdanie wychodzi mu niekorzystnie, po prostu zgarnia karty i zaczyna od nowa, jak gdyby był panem swojego czasu. Tak jednak nie jest. Za sześć tygodni odbędzie się egzekcja Snowa, tak więc już niebawem przyjdzie nam patrzeć, jak oddała się korytarzem.

Ta przemożna chęć rozpoczęcia od nowa, unieważnienia kart rozdanych nam przez los, to uczucie złudne i wzbudzające niepokój. Wszyscy w pewnym momencie zmierzylśmy się z podobną sytuacją, choć uczucie takie nigdy nie jest równie przytłaczające, pustoszące i niebezpieczne jak wtedy, gdy karmi się poczuciem winy i wyrzutami sumienia. Wówczas może doprowadzić człowieka do szaleństwa. Trudno się więc dziwić, że prawie wszyscy tutaj z czasem zdradzają kliniczne oznaki szaleństwa.

Nie sposób zmacać wyniku i zacząć od nowa.

Kiedy nocą wróciłem z pierwszego spotkania z panem White'em i z trudem wspiałem się po schodach na piętro, do pokoju Julii, uczyniłem to w stanie bliskim katatonii, otepiały niczym człowiek, który wychodzi z gabinetu dentysty ze sparaliżowaną połową twarzy.

Nie pamiętam, jak znalazłem się na białym taborecie, z którego moja córka korzystała przy zdejmowaniu ubrań z wieszaka. Najwyraźniej jednak to zrobiłem, ponieważ w pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że stoję na nim i ściskam worek z grubego plastiku z hermetycznym zamkiem – taki, jakich się używa do przechowywania nieużywanych akurat elementów garderoby. Wyciągnąłem z niego starą i znoszoną bluzę z uczelni, przyłożyłem ją do twarzy i mocno zaczerpnąłem powietrza. Wciąż miała w sobie zapach Rachel, tę mieszaninę woni dezodorantu, kwiatowego mydła i czystego ciała, którą moja żona zawsze zostawiała na noszonych ubraniach.

Wówczas zrozumiałem, że już nigdy więcej jej nie zobaczę. Że nie będzie żadnych herbat w kuchni przed snem, żadnych spacerów pod drzewami czy porozumiewawczych spojrzeń nad stołem operacyjnym. Przytłaczającemu objawieniu towarzyszyło poczucie akceptacji. Wszystkie te miesiące ponurego i pełnego winy smutku, podczas których przeistoczyłem się w gburowatego, uzależnionego od pracy pustelnika, w jednej chwili odeszły w przeszłość.

Ponieważ zrozumiałem.

Rachel Evans, z domu Robson, czterdzieści osiem godzin przed samobójstwem otrzymała wyniki rezonansu magnetycznego. Od wielu dni nękały ją dość intensywne bóle głowy, które sama starała się lekceważyć, ja zaś również nie przywiązywałem do nich większego znaczenia. Nie musicie mnie za to osądzać, sam bowiem czynię to już od bardzo dawna i znacznie surowiej. Na swoją obronę powiem, że nie ma osoby bardziej ślepej na problemy zdrowotne członków rodziny niż lekarz. W zetknięciu z jakimikolwiek objawami wykazywanymi przez własnego małżonka lub własne dzieci, lekarz podaje aspirynę i zaleca drzemkę.

Rachel była kobietą o niezwykle wysokim poziomie odporności na ból, która nigdy na nic się nie uskarżała i która urodziła Julię przy wsparciu farmakologicznym złożonym z zaledwie kilku

puszek coli light. Kiedy więc zdała sobie sprawę, że łyka dziennie opakowanie środków przeciwbólowych, potajmniej się do nich zgłosiła, żeby wykonali jej tomografię, podczas gdy ja, niczego nieświadomy, oglądałem przedstawienie w szkole Julii. W tym samym czasie, kiedy ja podziwiałem, jak nasza córka tańczy w stroju szopa pracza, żonie powiedziano, że ma glejaka wielopostaciowego w czwartym stadium. Najbardziej śmiertcionośną, przy tym – niestety – najpowszechniejszą formę nowotworu mózgu. Ponad połowa nowotworów sytuujących się w głowie to właśnie glejaki wielopostaciowe, nieubłągani zabójcy, których trudno pokonać.

– Ile mi zostało? – Rachel sie łzami w oczach zapytała neurologa.

– Bez operacji sześć, siedem tygodni. Jest kwestią dni, zanim zaatakuje obszar odpowiedzialny za funkcje językowe.

Z miejsca wszystko zrozumiała. Nie tylko była świetnym lekarzem, ale także uczestniczyła w wystarczającej liczbie operacji neurologicznych, żeby doskonale pojmować los, który ją czekał. Pojmować, jak stopniowo będzie traciła zdolności, aż przestanie być tym, kim była. I jakie potworne czeka ją przy tym cierpienie, jeszcze większe zaś – jej rodzinę.

– Być może David... – zasugerował neurolog.

– Nie.

– Ależ Rachel! Udało mu się osiągnąć pewne wyniki z...

– Nie! Ani słowa Davidowi. Przysięgnij. Zachowasz to w tajemnicy do poniedziałku. W ten weekend mamy rocznicę i nie chcę, żeby cokolwiek zakłóciło nam jej świętowanie.

Moi koledzy, jak później sami przyznali, kupili kłamstwo Rachel i nie powiedzieli ani słowa. Tak samo postąpił znajomy anestezjolog, do którego zwróciła się kilka dni później.

– Mam potworną migrenę, padam z nóg. Mógłbyś założyć mi wejście? Neurolog przepisał mi delikatny środek przeciwbólowy do brania co pięć godzin, a nie mam ochoty łykać go tutaj. Sam wiesz, jak się brzydzę igieł.

Anestezjolog popatrzył na nią z wahaniem.

– Mąż nie może ci go zrobić w domu?

– David i ja się rozmiijamy, zaraz zaczyna na zmianę – skłamała.

Rachel wyszła więc ze szpitala z wenflonem na lewym ramieniu i skierowała się do hotelu Four Seasons, gdzie poprzedniego wieczoru zarezerwowała pokój z widokiem. Wyjęła z torebki odręcznie napisany list i uważnie ułożyła go na stoliku przy łóżku. Zaprogramowała pocztę elektroniczną, aby za trzy godziny automatycznie wysłała na policję wiadomość z informacją, gdzie mogą ją znaleźć.

Następnie na oparciu łóżka zawiesiła koktajl z propofolu, fentanylu i wekuronium, który w tajemnicy przygotowała w szpitalu, podłączyła go do włącznika, które był jej uprzejmy założyć kolega, i pogrążyła się w przyjemnym śnie, z którego już nigdy nie miała się obudzić.

Z perspektywy czasu trzeba przyznać, że obmyślony przez Rachel plan był bez zarzutu. Tego ranka wrzuciła do skrzynki list, w którym się ze mną żegnała – list, o którym nigdy nikomu nie mówiłem. Następnie zadzwoniła do szkoły, żeby powiedzieć, że Julia tego dnia nie przyjdzie, i zabrała ją, aby pobawić się w parku, pójść na pizzę, lody i inne atrakcje zazwyczaj w tygodniu zakazane.

Wielokrotnie pytałem Julię o ten dzień. Co mama jej mówiła, czy ją wyściskała, czy zrobiła coś niespodziewanego. Julia pamiętała jednak niewiele, właściwie prawie nic. Zastanawiające, że czyste, niczym niezmacone szczęście nie pozostawia śladu w naszych sercach, podczas gdy

wzburzone wody smutku plamιά wszystko dokoła. Mnie dzień ten wyrył się w pamięci dokładnie, we wszystkich szczegółach. Julia pamięta tylko, jak Rachel powiedziała, że ją kocha i że zawsze przy niej będzie.

– Mama pachniała truskawkami.

Kiedy wróciłem z pracy, Rachel teoretycznie powinna zaczynać swoją zmianę. Zazwyczaj w takie dni dawaliśmy sobie kilka pospiesznych całusów w przejściu, tym razem jednak ku mojemu zdziwieniu spostrzegłem, że Rachel czeka na mnie bosa w ogródku przed domem.

– Co robisz? – zapytałem, spoglądając na nią ze zdumieniem.

– Chciałam poczuć trawę pod stopami.

– Spóźnisz się do pracy, nierobie – zaoponowałem, nieświadom, że niedawno zadzwoniła do ordynatora swojego oddziału, żeby powiedzieć, że się rozchorowała.

– Dziś nie ma wiele roboty. Napijmy się herbaty.

Przez chwilę pozostawiliśmy w przyjemnym milczeniu. Zanim w końcu wyszła, objęła mnie długo i pocałowała przeciągle.

– Bardzo cię kocham, doktorze Evans.

– Ja ciebie także, doktor Evans.

Kiedy szła do samochodu, krzyknąłem za nią:

– Jeśli nie zapomnisz, wracając, kup pączki!

Zatrzymała się i uśmiechnęła się do mnie przez ramię, a lekki wietrzyk poruszył jej grzywkę. Chcę wierzyć, że w tym momencie jej determinacja na moment osłabła, choćby przez tak prozaiczną prośbę. Może to jednak tylko kłamstwo, które sobie powtarzam, aby złagodzić uczucie, że ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedziałem, zanim odeszła, były tak banalne.

– Kocham cię! – powtórzyła. – Uściskaj mocno ode mnie Julię.

Pomachałem jej, kiedy odjeżdżała, i był to ostatni raz, gdy widziałem ją żywą.

Kiedy nazajutrz rano wysoki policjant z sumiastym wąsem zadzwonił do drzwi, niczego nie podejrzewałem. Jego skupione, badawcze spojrzenie mogłoby wyźłobić rysę w lustrze, w tamtej chwili jednak ledwie zwróciłem na nie uwagę. Stałem więc tylko z kamiennym obliczem i słuchałem jego relacji, jak to pokojówka, która przy szła posprzątać pokój, znalazła Rachel.

– To niemożliwe – odpowiedziałem.

– Tato, kto przyszedł? – zapytała z góry schodów Julia.

– Wracaj do łóżka, kochanie! – zawołałem. – Ktoś się pomylił.

– Obawiam się, że nie może być mowy o pomyłce. Ma pan jakieś przyuszczenia, dlaczego chciałaby to zrobić?

– To niemożliwe – powtórzyłem. Nogi się pode mną ugięły, głos funkcjonariusza zdawał się zaś dochodzić z bardzo daleka.

– W liście pisze, że była chora. Wiedział pan o tym, doktorze?

– Ona... ona... nienawidziła bólu.

– Czy w jej zachowaniu było może coś, co mogło sugerować, że zamierza odebrać sobie życie?

Pamiętam, że upadłem na kolana, niezdolny udzielić odpowiedzi. Niedowierzenie, zaskoczenie i poczucie klęski zdławiły w moim wnętrzu odpowiedzi, których obaj szukaliśmy.

Odpowiedzi, które dopiero teraz, wtulony w jej dawną bluzę w pokoju naszej uprowadzonej córki, zdołałem pojąć.

Rachel i ja byliśmy dla siebie jedyni we wszechświecie. Nikt nigdy nie miał takiej relacji

i nigdy takiej mieć nie będzie. Była to miłość wyjątkowa i jedyna w swoim rodzaju. Wszystko, o czym rozmawialiśmy, cała mądrość, którą pragnęliśmy razem przekazać małej, wszystkie błędy, które popełnili nasi rodzice i których zamierzaliśmy uniknąć w wypadku Julii – wszystko to rozplynęło się w jednej chwili. Postanowiła odejść bez bólu, możliwie przy tym minimalizując ból, jaki my odczuwamy.

Aby podjąć taką decyzję, musiała być bardzo silna i bardzo odważna, musiała kochać bezgranicznie. Niewiele osób odważyłoby się wybrać rozwiązanie najlepsze dla swoich bliskich, nie zważając na koszty ani konsekwencje.

Gdyby Rachel zobaczyła mnie teraz? Gdyby się dowiedziała, jak straciłem naszą córeczkę? W jaki sposób chciałaby, żebym ją odzyskał?

„Naprzód, drużyno Evansów!”.

Głos naszej trójki wykrzykującej rodzinne zawołanie bitewne rozbrzmiał mi w głowie. Dwadzieścia lat poświęcania się medycynie, ży ciowe marzenie chłopca, który zawsze chciał być lekarzem jak jego przybrany ojciec, moje sumienie – wszystko to w jednej chwili rozpadło się pod wpływem tego krzyku niczym zamek z piasku zmyty przez silną falę.

Jeśli ofiara Rachel czeokolwiek mnie nauczyła, to tego, że dobro tych, których kochasz, liczy się ponad wszystko. Jeśli musiałem wyrzec się mojej prawości, mojej etyki zawodowej i wszystkiego, co sobą reprezentowałem, byłem gotów tak uczynić. Musiałem podjąć grę pana White'a, ani jednak myślałem być po prostu marionetką w jego rękach. Sam również zamierzałem podjąć własną grę.

– Zrobię to, przekłety skurwysynu! Zrobię! – rzuciłem bezgłośnie w pusty pokój, w puste mieszkanie, w ciszę przedranka.

Po kilku sekundach przyszła wiadomość, która sprawiła, że włosy stanęły mi dęba.

JUŻ TO WIEM

55 GODZIN PRZED OPERACJĄ

Gdzieś w Columbia Heights

Pan White rozparł się w fotelu ze skórzaną tapicerką, pozwalając sobie na niespieszny uśmiech satysfakcji. Jego ubranie, pedantycznie poskładane, wisiało na bardzo kosztownym stojaku garderobianym. Pan White siedział zupełnie nago, a srebrzysty poblask monitorów obmywał jego sylwetkę widmem, wydobywając drobne błyski z kropelek potu, które uperliły jego skórę.

Było gorąco.

Pan White podniósł się i przeszedł do kuchni. Dźwięk jego bosych stóp odbijał się echem od pustych ścian. Niewielkie mieszkanie było prawie nieumeblowane, jeśli nie liczyć lateksowego materaca w narożniku i ogromnego stołu z ośmioma dwudziestosiedmiocalowymi monitorami zamontowanymi na stalowych wysięgnikach przyśrubowanych do drewnianego blatu. W waszyngtońskiej dzielnicy Columbia Heights, pełnej doktorantów i młodych profesjonalistów na pierwszej posadzce, którzy cały czas dokądś wychodzili i skądś wracali, nieskazitelny pan White pozostawał całkowicie niezauważony.

Otworzył lodówkę. Schłodzone powietrze z wnętrza urządzenia owiało jego nagie ciało, tu i ówdzie wywołując gęsią skórę. Każdą z pięciu półek szczelnie wypełniały butelki soku Hawaiian Punch. Na poszczególnych poziomach znajdowały się inne smaki: Fruit Juicy Red, Wild Purple Smash, Lemon Berry Squeeze, Polar Blast, Island Citrus Guava. Pan White powtórzył pod nosem ich nazwy niczym spokojną mantrę, po czym zdecydował się na Fruit Juicy Red. Wziął zimną butelkę i natychmiast na jej miejsce włożył kolejną o tym samym smaku, którą wyjął z szafki. Całkowicie zapełniona lodówka zużywa mniej energii niż do połowy pusta. Pan White zawsze dbał o środowisko.

Powrócił na fotel i ponownie przyjrzał się ekranom, które przekazywały obrazy z domu Evansa. Kamery zostały pieczołowicie ukryte, nie chodziło jednak o to, żeby doktor nie wiedział o ich obecności.

Wprost przeciwnie.

Nacisnął kombinację klawiszy na laptopie służącym do sterowania systemem monitoringu. Na wszystkich monitorach ukazał się obraz pokoju Julii sprzed sześciu minut. Najpierw było słychać tylko powolny i ciężki oddech, po czym nagle, niczym podmuch wiatru, rozległ się szept lekarza.

– Zrobię to, przeklęty skurwysynu! Zrobię!

W głośnikach zadudnił sygnał esemesa. White nacisnął klawisz spacji i powiększył obraz. Twarz Evansa pojawiła się na wszystkich ośmiu monitorach akurat w momencie, kiedy odczytywał wiadomość. Gwałtowny gest, oczy jak podłki.

„Otoż to, Dave. Teraz już pojmujesz skalę mojej władzy. Nie masz ucieczki” – pomyślał White, popijając łyk soku.

Z nostalgią przyjrzał się widniejącej na butelce czarno-białej sylwetce niezapomnianego PUNCHY’ego. Za sprawą poprawności politycznej stracił on cały swój urok. O wiele zabawniejszy był w latach osiemdziesiątych, kiedy pytał swoje ofiary, czy mają ochotę na poncz, a następnie częstował ich fangą*. Za każdym razem, gdy pan White widział tę reklamę, siedząc na perskim dywanie w salonie w domu swoich rodziców, związał się ze śmiechu.

Był szczęśliwym dzieckiem. Rozpieszczanym jedynakiem, podobnie jak wszystkie dzieci nowojorskich bankierów inwestycyjnych. Częściej niż z własną rodziną miał kontakt ze służbą, ale nie stanowiło to dla niego żadnego problemu. Nikt go nie bił, nikt go nie molestował ani nie spowodował u niego żadnej traumy.

White po prostu taki był.

Taki się już urodził – i nic nie można było z tym zrobić. W pełni to rozumiał w wieku ośmiu lat, w parku, do którego każdego popołudnia zabierała go opiekunka. Jakaś dziewczynka paskudnie

spadła ze szczytu zjeżdżalni i, lądując, złamała sobie lewe ramię. Koniec pękniętej kości rozciął skórę i, zalany krwią, wystawał na zewnątrz. Dziewczynka zawyla z bólu i się podniosła. Wiele dzieci złapało się za ramię w tym samym miejscu, w którym dziewczynka doznała zranienia.

Ale nie White.

Tego dnia rozumiał, że jest kimś wyjątkowym i niezależnym. Istoty ludzkie są w swoich ograniczeniach niedoskonałe – odczuwają we własnym ciele odzwierciedlenie emocji innych osób, emocje te wpływają zaś na ich uczucia. Żyją związane z innymi czymś w rodzaju układu uczuciowych naczyń połączonych.

On był wolny od tego defektu.

Jego absolutny brak empatii umiejscawiał go o stopień wyżej od reszty. Potrafił odczytywać czyjeś emocje i je interpretować, zarazem nie dopuszczając, żeby na niego przechodziły. Ta ewolucyjna przewaga okazywała się niezwykle praktyczna.

Bardziej złożonym procesem była nauka, jak z niej korzystać. White dopiero po latach odkrył, że u wszystkich istot ludzkich istnieje granica między komfortową strefą ich przekonań i obaw a niebezpiecznym grzęzawiskiem ich ciąggot i potrzeb. W celu całkowitego podporządkowania sobie ich woli należało wypchnąć ich z tej pierwszej, nie dopuszczając przy tym, żeby popadli w to ostatnie.

Aż do osiągnięcia stanu równowagi.

Każdy typ osobowości przedstawiał się odmiennie. Dla kogoś takiego jak doktor Evans przemoc nie była niczym więcej jak poboczną notatką w „Washington Post”, czymś, co nie mieściło się w granicach jego świata. Tak czy inaczej, natura ludzka to zaprzeczenie śmierci, natura oddanego profesji lekarza zaś tylko tę negację uwydatnia.

Aby zmusić osobę o tak silnych przekonaniach do zastosowania przemocy, należało po kolei zniszczyć jej mosty. Kontrolowanie, aż pogrąży się w sprzeczności między swoimi przekonaniami a rzeczywistością. Ustalając kalendarz działań z zegarmistrzowską precyzją. W wypadku kogoś bardziej porywczego, nie tak prawego jak Evans, czas reakcji mógłby być krótszy.

Na stole zawibrował telefon White'a. Podobnie jak komórka Evansa, był to model bardzo szczególny. Został zmodyfikowany przy wykorzystaniu najnowszej technologii, która pozwalała zabezpieczyć sygnał studwudziestoośmiobitowym systemem szyfrowania. Pan White nie musiał spoglądać na identyfikator dzwoniącego. Tylko jedna osoba na świecie знаła ten numer: jego zleceniodawca.

– Już się zaczęło.

Głos po drugiej stronie wypowiedział słowa przyzwolenia. White ledwie co go słuchał. W dalszym ciągu nie odrywał spojrzenia od monitorów.

Nacisnął klawisz, wracając do transmisji w czasie rzeczywistym. Wyglądało na to, że lekarz śpi.

White z zaintrygowaniem zmarszczył brew. Nigdy dotąd nie widział, żeby doktor Evans robił coś podobnego, żeby tak tulił się do tej bluzy. W zamyśleniu potarł płatek ucha i zanotował coś w iPadzie.

Jutrzejszy dzień zapowiadał się bardzo interesująco.

Kiedy następnego dnia rano przyjechałem do szpitala, mój umysł pracował na pełnych obrotach.

Niebawem po otrzymaniu przerażającej wiadomości od White'a poddałem się zmęczeniu i zasnąłem. Odkrycie, że mój dom naszpikowano mikrofonami i Bóg jeden raczy wiedzieć, jakim jeszcze sprzętem szpiegującym, sprawiło, że po plecach przebiegły mi ciarki. Po trzydziestosześciodzinnym dyżurze i wszystkich emocjach, które następnie stały się moim udziałem, byłem jednak zbyt wyczerpany, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Obudziłem się boleśnie świadomy. Kiedy brałem prysznic i się ubierałem, towarzyszyło mi poczucie całkowitego pogwałcenia mojej prywatności, jak gdyby z każdego kąta lypała na mnie para ciemnych, brudnych oczu. Nigdy specjalnie nie lubiłem filmów i seriali szpiegowskich, tymczasem Rachel je uwielbiała. Spróbowałem sobie przypomnieć, czego się nauczyłem z oglądania *Homeland* czy *Impersonalnych*, choć śledziłem je zazwyczaj jednym okiem, skupiając się na lekturze jakiejś powieści czy „Journal of Neurosurgery”. Niemal wszystko, co przychodziło mi do głowy, zdawało się dziecinadą i banałem.

Doskonale rozumiałem, dlaczego White wysłał wiadomość właśnie w tym momencie, w którym to uczynił. Chciał mi dać jasno do zrozumienia, że dociera do niego nawet najlżejszy szept, jaki wydobędzie się z moich ust. Tego poranka musiałem jednak pójść do pracy. Wyraźnie mi powiedział, że powinienem funkcjonować zgodnie z codzienną rutyną i w żaden sposób nie przyciągając niczyjej uwagi. Byłem pewien, że będzie monitorował telefon domowy i moją komórkę, czy jednak będzie również kontrolował telefony w szpitalu? Szczerze w to wątpiłem. Pewnego razu usłyszałem od stróża, że w budynku jest dziewięćset linii telefonicznych. White nie byłby w stanie podpiąć się pod wszystkie. Chyba że włamałby się do centrali i ograniczył się do monitorowania połączeń pod określone numery, na przykład 911 czy do FBI. Jasna cholera, nie wiedziałem nawet, czy coś takiego jest wykonalne!

Akurat w tym momencie zadzwoniła komórka. Na wyświetlaczu nie pojawił się jednak numer dzwoniącego.

„On”.

– Dzień dobry, Dave! Powinieneś się sprężyć, na szesnastce utworzył się korek.

– Dzięki za biuletyn drogowy – powiedziałem tonem, który sugerował coś zupełnie innego.

– Przystań wpatrywać się w tę lampę. Nie ma tam żadnej kamery.

Odskoczyłem od lampy i rozejrzałem się wokoło.

– Ani w tym obrazie, ani w tej ścianie, Dave. Choć może jest. To cię nie powinno obchodzić. Nie będziesz szukał kamer ani mikrofonów. A jeśli przez przypadek znajdziesz jedno z takich urządzeń, zostawisz je tam, gdzie było. Nie chcielibyśmy stracić kontaktu ze sobą, prawda?

– Prawda – wymamrotałem, przełykając upokorzenie.

– A teraz musisz zadzwonić do szkoły Julii i powiedzieć, że jest chora i przyjdzie dopiero w poniedziałek Dalej! Poczekam.

Zrobiłem, czego chciałem, posługując się telefonem stacjonarnym. Kiedy ponownie podniosłem komórkę, White delikatnie nucił jakąś piosenkę, której nie udało mi się rozpoznać.

– Dobra robota, Dave. Jeszcze tylko jedna sprawa. Spędzisz teraz mnóstwo czasu w ogromnym budynku pełnym telefonów, komputerów i wielu innych sprzętów groźnych dla życia twojej córki. Będzie cię kusilo, żeby posłużyć się nimi do wezwania pomocy. Nie rób tego.

Być może tego nie pojmujesz, ale ja czuwam. Zawsze. Na więcej sposobów niż byłbyś to w stanie ogarnąć.

Rozległ się dźwięk telefonu. Odsunąłem komórkę od ucha. Właśnie przyszła wiadomość ze zdjęciem. Kiedy ją otworzyłem, ujrzałem moją córkę uwięzioną w tej paskudnej norze. Miała zamknięte oczy i obejmowała się za kolana, na których oparła głowę, usiłując zasnąć.

– Dave, jeśli mnie nie posłuchasz, to będzie ostatnia okazja, przy której ją widziałeś.

Rozłączył się, nie dając mi szansy na odpowiedź. Przez chwilę wpatrywałem się w fotografię, ta jednak zniknęła.

Jak szalony zacząłem szukać jej w spisie wiadomości i w folderze ze zdjęciami, ale z obu miejsc została usunięta. Rzuciłem przekleństwo, nic to jednak nie pomogło. Skurwiel całkowicie panował nad moim telefonem, co dodatkowo podkreśliła wiadomość, którą po chwili otrzymałem.

CZAS BRĄC SIĘ DO PRACY

Ponownie klnąc pod nosem, wsiałem do samochodu i spróbowałem się skupić.

Pół godziny później, gdy schodziłem do szpitalnej szatni, w głowie huczało mi jak w ulu. Usiłowałem rozważyć wszystkie dostępne możliwości, co do pewnych kwestii miałem jednak jasność. Po pierwsze, White kłamał. Nie był w stanie pilnować mnie przez cały czas, tym bardziej zaś w tak ogromnym budynku, jakim był szpital. Po drugie, musiałem się z kimś skontaktować. Po trzecie, jeśli bym się pomylił lub jeśli osoba, z którą bym się skontaktował, popełniła jakiś błąd, Julię czekała śmierć.

Ponieważ widziałem twarz White'a, prawdopodobnie mnie także by zabili. Jeśli jednak miałbym stracić Julię, mało mnie obchodziło, co zrobiliby później ze mną.

Udałem się do mojej szafki, zamiast jednak wyjąć biały fartuch i niebieski strój, podszedłem do szafy z zaopatrzeniem i złapałem zużyte, woniejące tanim wybielaczem ubrania, których używają rezydenci.

Wszyscy chirurdzy to osobowości typu alfa. W tej profesji zarówno mężczyźni, jak i kobiety walczą o to, żeby być dominującym osobnikiem – być najlepszym. Cały czas się porównujemy, dotyczy to również strojów używanych na bloku operacyjnym. Wierzcie lub nie, ale producenci odzieży chirurgicznej wytwarzają niezwykle kosztowne stroje i czapki w ekstrawaganckich kolorach.

W ten oto sposób odróżniamy się od rezydentów, pielęgniarzy, lekarzy na oddziale i wszystkich innych okazów wegetujących poniżej naszego poziomu w piramidzie żywieniowej. My znajdujemy się na samym jej szczycie i niemało wysiłku wkładamy w to, żeby to jasno zaakcentować.

Tego dnia nie czekała mnie żadna zaplanowana operacja, musiałem być jednak pewien, że nie mam na sobie niczego, w czym White byłby w stanie ukryć mikrofon lub inne elektroniczne urządzenie. Rozebrałem się do naga i włożyłem zużyte ubrania, a także biały fartuch – najwyuczajniejszy w świecie i niepodpisany moim nazwiskiem. Nie wzięłem swojego stetoskopu ani żadnego innego należącego do mnie przedmiotu. Wyglądałem jak zwykły rezydent.

Musiałem jeszcze zdecydować, czy brać ze sobą komórkę i pager.

Całe szczęście, że przyjechałem do szpitala spóźniony i w szatni nie było właściwie nikogo, przez dłuższą chwilę stałem bowiem jak wryty, przyglądając się obłąkanym spojrzeniem obu urządzeniom. Nigdy się z nimi nie rozstawałem, kiedy zaś w którymś szwankowała bateria lub wskaźnik energii świecił na czerwono, robiłem się bardzo nerwowo. W tej jednak chwili oba sprzęty wiązały się z niebezpieczeństwem.

Zostawienie telefonu w szafce oznaczało utratę kontaktu z White'em. Wiedziałem, że w pewien sposób zdołał spreparować aparat, musiałem się go więc pozbyć, ale zerwanie łączności mogłoby zdenerwować White'a, w odwecie mógłby zaś wyrządzić Julii jakąś krzywdę.

To nie wszystko. W tym momencie ten niewielki, ważący zaledwie 112 gramów telefon był jedyną formą łączności z moją córką. Nie mogłem ryzykować. Włożyłem go do kieszeni fartucha i zamknąłem drzwiczki szafki.

Echo metalicznego odgłosu odbijało się po opustoszałej szatni, gdy kierowałem swoje kroki ku wyjściu.

Niestety, w najmniejszym stopniu nie posunąłem się do przodu, a obowiązki w pracy się nawarstwiały. Nie zjadłem śniadania, stres i nerwy takbowiem ścisnęły mi żołądek, że nie byłem w stanie przełknąć choćby kęsa.

Jednocześnie jednak nie mogłem pokazać po sobie żadnych oznak trapiących mnie uczuć. White wyraził się bardzo jasno: miałem się uśmiechać. W najbliższych dniach miałem być przecież obserwowany nie tylko przez niego.

Wszedłem do windy i natknąłem się na zwalistego, wesołego pracownika administracji, którego darzyłem sporą dozą sympatii. Z miejsca rozpoznałem w jego oczach pierwszą oznakę tej odrazy, która ogarniała wszystkich na mój widok od czasu samobójstwa Rachel.

– Jaktam, Mike?

– Sam pan wie, doktorze, walczę z anoreksją – powiedział, klepiąc się po ogromnym brzuszku.

– Widzę, że masz ją pod kontrolą – odpowiedziałem ze śmiechem.

Mike zaśmiał się ze mną, bardzo zdziwiony, że znowu mam ochotę na żarty.

– Na razie! – rzuciłem, wychodząc.

– Z pewnością to pan zobaczy mnie pierwszy – zażartował, nie przestając się śmiać nawet po tym, jak drzwi windy się zasunęły.

Po wyjściu z kabiny zrobiłem kilka kroków, po czym musiałem na chwilę się zatrzymać. Światła, ruch, rozdzwonione telefony, pielęgniarki plotkujące po kątach, szefowa rezydentów oprowadzająca swoje stadko po kolejnych salach, zapach środków dezynfekujących. Cały ten zgiełk wokół mnie, wszystkie te elementy współtworzące chaos, w którym zwykłem czuć się u siebie, teraz wydawały mi się obce.

Byłem jakby w oddaleniu, tysiące lat świetlnych od wszystkich tych palantów, którzy nie rozumieli mojego położenia. Gdyby się dowiedzieli, że Julia została uprowadzona, wybąkaliby pod nosem coś w stylu: „O mój Boże, to rzeczywiście straszne!” i pokręciliby głową, aby zaraz potem wrócić do domu, wycałować rodzinę i pomyśleć, że nic takiego akurat im nie mogłoby się przytrafić. Postąpiliby więc tak, jak zachowali się w wypadku Rachel. Najwyżej dyskretnie unikaliby mnie przez kilka miesięcy, co byłoby reakcją ze wszech miar naturalną, w obawie, żeby nie zarazić się moim pechem. Pracownicy szpitali są bardzo przesądni, szczególnie zaś chirurdzy.

Minęła mnie pielęgniarka, pozdrawiając serdecznym uśmiechem, który spróbowałem odwzajemnić, przymuszając do grymasu mięśnie twarzy.

Spróbowałem zebrać się w sobie i podszedłem do dyżurki pielęgniarek. Mijając ją, pozdrowiłem personel skinięciem głowy.

– Jakież wieści?

– Dzwonili ze Sztokholmu. Mówili coś o jakimś Noblu dla pana – odparła Sandra, szefująca dzisiejszej zmianie.

– Powiedz, że się wstrzymam. Ostatnio dają tę nagrodę komu popadnie.

Sandra się zaśmiała, również zdumiona, że odpowiedziałem żartem. Miałem lekkie poczucie winy. Między lekarzami a pielęgniarkami od zawsze trwa zakamufLOWANA walka klas. One są przekonane, że odwalają całą robotę, podczas gdy my przypisujemy sobie wszelkie zasługi i tylko się rządzymy. Z kolei my... Dobrze, bywa, że zachowujemy się dość paskudnie. Sam zawsze starałem się unikać takiej postawy, choć zdałem sobie sprawę, że przy moim nastroju, dość podłym od pewnego czasu, założenie to diabli wzięli, podobnie jak samopoczucie wszy stłach tych, którym przypadło przebywać w moim otoczeniu.

Ponownie jednak oWładnął mną niepokój.

– Idę do gabinetu, żeby przygotować się do obchodu. Mam dziś spore opóźnienie.

– Doktorze, proszę poczeKać, chciałabym omówić z panem pewną kwestię. – Sandra przejrzała dokumenty pod blatem dyżurki i położyła między nami teczkę, w której figurował plan zabiegów na najbliższe dni.

Nachyliłem się nad planem i aż podskoczyłem, gdy ujrzałem podkreślone nazwisko. Nazwisko, w związku z którym wolałem, żeby nie zadawano zbyt wielu pytań.

– Chodzi o R. Wade'a. Mamy jego historię choroby, ustalony sposób zapłaty i wszystkie dokumenty, brakuje nam tylko jego numeru ubezpieczenia społecznego. Kiedy próbowałem znaleźć go w systemie, otrzymałem komunikat o błędzie. A pod numerem telefonu, który nam podano, stale zgłasza się poczta głosowa.

Oczywiście, że nikt nie odbierał. R. Wade, ciemnoskóry mężczyzna urodzony w Des Moines czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, nie istniał. Numer telefonu i adres do wpisania w dokumentacji podsunęli oficerowie Secret Service. Blok operacyjny był zarezerwowany na cały piątkowy ranek z kolei na drugim bloku, mieszczącym się na tym samym piętrze, przewidziano przegląd przyrządowania elektronicznego, który nie miał dojść do skutku. W całym gmachu tylko trzy osoby znały prawdziwą tożsamość pacjenta: dyrektor szpitala, moja przełożona i ja. W miejscu, gdzie pojęcie prywatności jest zupełnie obce, kosztowało to mnóstwo wysiłku, co i tak było niczym w porównaniu z korowodami, jakie nas czekały w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Musieliśmy za wszelką cenę nie dopuścić do tego, żeby się wydało, kto będzie tam operowany. Jeśli bowiem dowiedziałyby się o tym choćby jedna osoba, przekazałyby tę sensacyjną informację znajomemu, ten opowiedziałby to swojej żonie, która poinformowałaby od razu najlepszą przyjaciółkę, ta z kolei wrzuciłaby to natychmiast na Twittera... Zabieg mógłby być wówczas odwołany lub przełożony na inny termin, to zaś byłoby jednoznaczne ze śmiercią Julii.

– Zapewne po prostu przy podawaniu numeru pomylili jakąś cyfrę – zawyrokowałem, starając się, żeby zabrzmiało to możliwie beztrudnie. – Wypełnij formularz przyjęcia zgodnie z danymi, które podano, później jakoś to już wyjaśnimy.

– Ale doktorze, to coś bardzo dziwnego! I jeśli ubezpieczyciel...

– Wierz mi, Sandro, ten pacjent akurat nie ma problemów z wypłacalnością. O to możemy być spokojni.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem, ale nic nie powiedziała. Nagle zdaliśmy sobie sprawę, jak mały dzieli nas dystans. Od razu się odsunąłem. Pielęgniarka niepewnym gestem odgarnęła nieco włosy i również się wycofała.

– Obawiam się, doktorze, że trzeba to będzie wyjaśnić. Pan od początku prowadzi tego pacjenta, prawda? Nie mógłby pan...

Zabrakło mi zarówno spokoju, jaki energii, aby właściwie rozegrać tę sytuację.

– Skoro tak ci się spieszy, to zadzwoń do Meyera – dyrektora szpitala – i załatw to z nim osobiście. To on, do cholery, go tutaj skierował!

Odwróciła się z zażenowaniem. Oto powrócił groźny Dave.

Odszedłem w pośpiechu i zamknąłem się w gabinecie. Byłem zły na siebie, że tak ją potraktowałem, potrzebowałem jednak chwili w samotności, aby odzyskać spokój.

Z impetem opadłem na fotel. Moja przesadna reakcja bynajmniej nie pomagała w utrzymaniu w tajemnicy tożsamości pacjenta. Dzień zaczął się koszmarnie, a i tak najgorsze dopiero mnie czekało.

Nie mogłem zbyt długo pozostawać w kryjówce. Musiałem wyjść do moich pacjentów. Tego dnia nie miałem w planach oprowadzania rezydentów – dziękować Bogu za takie drobne przysługi – ale obchód był nieunikniony. Podjąłem już decyzję: poszukam jakiejś komórki i postaram się z niej zadzwonić do jedynej osoby na świecie, która byłaby w stanie mi pomóc.

Sęk w tym, że nie wiedziałem, czy będzie skłonna to uczynić.

Około wpół do jedenastej – godzinę później niż zwykle – zdołałem zebrać się na odwagę i wyjść z gabinetu. W południe czekało mnie spotkanie nie do uniknięcia, nie mogłem więc już zwlekać ani minuty dłużej.

Zacząłem od pana Melansona, emerytowanego adwokata, który dopiero co ożenił się po raz piąty. Z pewnością to ona – blondynka, której figurę należałoby oceniać w skali Richtera – przyprawiła go o tętniaka. Jeśli atrakcyjność byłaby karalna, nie zabrakłoby takich, którzy w dowolnej chwili trzymaliby tę kobietę na muszce. Teraz stała przy automacie z kawą otoczona wianuszkami utworzonym przez kilku rezydentów, portiera i męża jednej z pacjentek

– Dzień dobry, Roger.

– Co robi moja żona? – zaatakował mnie pytaniem. Pooperacyjny opatrunek, który zakrywał jego łysą czaszkę, nadawał mu zaskakująco młodszy wygląd.

– Akurat uwodzi kilku występnych facetów przy automacie z kawą.

– Jasny gwint, a ja tutaj zalegam! Kiedy mnie pan wreszcie wypuści, doktorze?

Niepamiętam pięć dni wcześniej pan Melanson leżał na stole operacyjnym z tętniakiem w tętnicy środkowej mózgu, który dosłownie eksplodował mi w dłoni, gdy go zaciskałem. Krew starego drania obryzgała mi maseczkę, okulary i fartuch, podczas gdy ja, klnąc w żywy kamień, upieprzałem się po łokcie, starając się założyć mu *by-pass* na aorcie i tym samym uratować życie. Gdyby nie przeprowadzona na czas i poprawnie interwencja, ten chudy i żywiołowo usposobiony człowiek o perwersyjnym spojrzeniu byłby teraz warzywem, przyjmowałby płyny przez słomkę i wydalał je w pieluchę.

– Ten tętniak o mały włos pana nie zabił! Apeluję o trochę spokoju. Tak się panu spieszy?

Podczas gdy sprawdzałem wyniki pana Melansona, skorzystałem z okazji i ukradkiem rzuciłem okiem na szafkę przy jego łóżku. Musiałem niepostrzeżenie zdobyć telefon komórkowy, czyli na chwilę od kogoś go pożyczyć. Tymczasem jednak telefonu pana Melansona nigdzie nie było widać.

– Doktorze, mam ochotę poszukać sobie nowej pani Melanson. Na tamtą, która gdzieś tam stoi, już postawiłem krzyżyk

– Tylko to już będzie szósta! Mało panu było do tej pory?

– Tak naprawdę to siódma. Pewnego razu w Las Vegas przydarzyła mi się taka historia, która nigdy później nie trafiła do oficjalnych dokumentów. Dopóki jednak będą podpisywać moje żelazne intercyzy, dopóty trafi się jeszcze kilka nowych.

Roześmiałem się mimo woli.

– Dobrze, Roger! Widzę, że humor dopisuje. Jeśli więc jutro czy pojutrze nie zdarzy się nic złego, będziemy pana wypisywać. Ale tylko pod warunkiem, że na miesiąc lub dwa miesiące zawiesi pan swoje łowy.

– Obiecuję – oznajmił, czy nią na piersi znak krzyża. – Żeby jednak było jasne: jeśli to ona na mnie wpadnie, nie rękę za siebie.

W drzwiach minąłem się z przyszlą byłą panią Melanson, która przeglądała swój profil na Facebooku w telefonie i ograniczyła się do rzucenia mi mimowolnego powitania. Najwyraźniej poządlwie spojrziałem na jej smartfona, ponieważ – mylnie odgadując obiekt mojego zainteresowania – podciągnęła pełnym hipokryzji gestem linię dekoltu ku górze.

Nie przestając kręcić głową, wyszedłem na korytarz.

Trzech kolejnych pacjentów na liście stanowiło dość proste przypadki i jeszcze w tym tygodniu zamierzałem ich wypisać. Wszystkim jednak towarzyszyli krewni i znajomi, nie miałem więc możliwości niepostrzeżenie pożyczyc od nich telefonu. Przeklinając w duchu bezrobocie, przez które ludzie mieli tyle wolnego czasu, skrzyłem za róg i znalazłem się w skrzydle imienia Josephine Warton.

Ta szczególna część oddziału neurochirurgii została wyremontowana w 2010 roku dzięki środkom przekazanych przez Josephine Warton, multimilionerkę z agorafobią, przy tym mizantropkę, której jedyną motywacją była chęć odgrożenia się od pozostałych milionerów na czas leczenia trapiących ją ataków epilepsji. W praktyce skrzydło to składało się z jednej tylko sali z przedśionkiem urządzonym w koszmarnym stylu i z dyżurką pielęgniarek, która niemal zawsze była pusta. Ot, nadzwyczaj ekskluzywna strefa w luksusowej klinice.

W piątek miała jednak gościć dość znanego pacjenta. Traf chciał, że pacjent, który obecnie w niej przebywał, należał do zgoła innej warstwy społecznej – był to bowiem nieszczęsny Jamaal Carter.

Wong, szefowa placówki, poleciła umieścić tam Jamaala Cartera, aby odizolować go od pacjentów komercyjnych. Jego i jego towarzyszy, czyli eklektyczną grupę nastoletnich przedstawicieli mniejszości etnicznej o niezdefiniowanych predylekcjach akademickich. Innymi słowy – młodocianych bandziorów.

Było ich czterech. Rozsiedli się na kanapach w części salonowej i położyli nogi na szkaradnym stoliku o blacie z różowego marmuru i podstawie z brązu. Za ich plecami uwieczniona na portrecie Josephine Warton – która jasno zastrzegła w testamencie, że jej wizerunek powinien po wsze czasy doglądać tego miejsca – marszczyła brwi w jednoznaczny grymas dezaprobaty. Pocziwa nieboszcza, wierna uczennica Ayn Rand, doznałaby szoku na wieść, że Jamaal Carter jest leczony w jej sali *pro bono*. Mnie to szczególnie nie przeszkadzało. W ubiegłym roku klinika zarobiła sto dwadzieścia osiem milionów dolarów, mogliśmy więc sobie na to pozwolić.

Przestrzeganie postanowień testamentu starej jędzy nie spędzało mi zaś snu z powiek. Wszystkich członków personelu traktowała gorzej niż niewolników, tak więc za każdym razem, gdy spoglądałem na ten portret, miałem ochotę pojechać na cmentarz, otworzyć grobowiec Wartonów i trzasnąć ją w czaszkę jej piszczelą.

Kiedy wszedłem, trzech spośród czterech młodzieńców się podniosło i zaczęli mówić jeden przez drugiego.

– Najwyższa pora, żeby Jamaala zobaczył jakiś lekarz. Co to za trupiarnię tutaj macie, koleś?

– Ej, doktorku! Gdyby był jakiś problem z kęsą czy coś, to mi pan powiesz, okej?

– Proszę przekazać Jamaalowi, że tutaj jesteśmy. Ten gliniarz nie daje nam wejść.

Wskazywał przy tym doświadczonego funkcjonariusza, który – wygodnie rozsiadłszy się na krześle z egzemplarzem „Washington Post” – pilnował wejścia do sali z pacjentem. Na widok przedstawiciela służb mundurowych odczułem ssanie w żołądku. Całym sobą chciałem podbiec do niego, chwycić go za mundur i zmusić, żeby mi pomógł. Walczyłem z tym pragnieniem, gdy przyszedł esemes.

ZASTANÓW SIĘ, CO ROBISZ

Zacisnąłem z całej siły pięści w kieszeniach fartucha, starając się zarazem przez gangsterską

paplaninę dosłyszeć własne myśli. Skąd White mógł wiedzieć, co się dzieje? Niemożliwe, żeby w tym miejscu również umieścił kamery czy mikrofony. Secret Service dyskretnie sprawdziło pomieszczenie w ubiegłym tygodniu, nazajutrz miało zaś ponownie to uczynić.

Potwierdziło to podejrzenie, które zrodziło się we mnie ubiegłej nocy: skurwysyn najwyraźniej szpiegował mnie przy użyciu mikrofonu w moim telefonie. Dopóki nosiłem go przy sobie, mógł słyszeć wszystko, co się działo wokół. Zapewne kontrolował również kamerę w aparacie. To znacznie komplikowało sytuację.

Nagle zwróciłem uwagę na jednego z młodocianych bandziorów – jednego, który w chwili, kiedy wszedłem, pozostał na swoim miejscu.

– Co się stało kolesze? – zapytałem.

Wymizerowany, wpatrywał się w marmurowy stół, poza tym dygotała mu dolna warga.

– T-Bone'owi nic nie jest, doktorze – czym prędzej zapewnił jeden z nich, który sprawiał wrażenie przywódcy grupy. – Pan lepiej wejdzie i zajmie się Jamaalem.

Domyśliłem się, że chłopak jest zaćpany do nieprzytomności crackiem – poważny błąd – i wszedłem do pokoju boleśnie świadom, że czas ucieka, tymczasem wciąż nie zdołałem osiągnąć zakładanego celu. Przywitałem się z policjantem, który na mój widok coś wymamrotał, nie podnosząc wzroku znad stron działu sportowego w gazecie.

Planowałem spędzić tam cztery minuty, ale zrobiło się z tego dwadzieścia minut – wszystko zaś z winy Mamy Carter, najbardziej nieustępliwej w swojej wdzięczności istoty ludzkiej, jaką kiedykolwiek dane mi było poznać.

– Dzień dobry – powiedziałem, wchodząc. – Jestem doktor Evans.

– To pan?! – wykrzyknęła kobieta siedząca na krześle dla odwiedzających u wezglowia łóżka. – To pan wyleczył mojego maluszka? Alleluja! To Pan prowadził pańskie ręce, aby ocalić poczciwego Jamaala. Chwała niech będzie słodkiemu Chrystusowi!

Podbiegła do mnie i zaczęła całować mnie po rękach, sprawiając, że poczułem się dość niezręcznie. Mierzyła jakieś sto pięćdziesiąt centymetrów, ważyła osiemdziesiąt kilogramów i miała oblicze słodkie niczym miód. Gdyby nie nadmierna skłonność do callusów, byłaby z niej babcia idealna.

– Niech się pan ze mną pomodli! Proszę podziękować Panu za ten dar leczenia – nalegała.

Często spotykałem się z takim podejściem. Wielu pacjentów dziękuje Jezusowi za uratowanie ich na stole operacyjnym, gdy jednak coś pójdzie nie tak, to na ciebie nasyłają adwokatów. Jako lekarze moglibyśmy się obyć bez podziękowań, ale pod warunkiem, że pozwy sądowe również byłyby kierowane do Jezusa.

– To właśnie robię, pani...

– Mama Carter. Jestem babcią Jamaala. Moja córka nie żyje. Zasiada teraz po prawicy Jezusa i co wieczór spożywa z nim kukurydziany chleb i kotlety. To najbardziej lubiła jeść, biedaczka. Prawdziwa z niej była święta. Teraz czuwa nad nami wszystkimi i posłała pana, żeby uleczył tego malca.

Udało mi się ją wyminąć, aby dojść do łóżka Jamaala. Ubrany tylko w szpitalną piżamę wydawał się znacznie mniejszy i bardziej kruchy. Jego dziecięca twarz była odwrócona ku oknu jak u gołębia, który spogląda w stronę nieosiągalnej wolności. Kiedy podszedłem, obrócił się szybko. Jedną nogę miał przykutą do łóżka kajdankami, które lekko zadźwięczały. Babcia czym prędzej przykryła je prześcieradłem. Daremność tego drobnego gestu rozorała mi serce.

– Jak tam, młody?

Spojrzał na mnie ogromnymi brązowymi oczyma i wzruszył ramionami. Twarz wykrzywił mu grymas bólu.

– Nie powinieneś poruszać barkami. Wiesz, że miałeś kule w plecach?

– Tak, mówiły mi o tym pielęgniarki, później też wspominali o tym policjanci, którzy przyszli dziś rano. Z wczoraj niewiele pamiętam. Pamiętam jednak pana głos, pan do mnie mówił. To pan wyciągnął mi kule?

– Spójrz uważnie na mój palec i wódz za nim wzrokiem. A teraz poruszaj palcami dłoni. Dobry chłopak A teraz palcami stóp... W porządku. Tak to ja cię operowałem. Jamaal, byłeś o krok od pozostania na całe życie na wózku inwalidzkim. Powinieneś o tym pomyśleć, zanim znowu zaczniesz się prowadzić z tymi tykami.

– To moi bracia krwi – oznajmił, uszywniając się. Brzmiałoby to bardzo męsko, gdyby na koniec nie załamał mu się głos.

– Dobra, jasne, choć nie widziałem, żeby to oni zbyt krwawili.

– Jamaal chce panu podziękować. Prawda, Jamaal? – wtrąciła się Mama Carter.

Chłopak skinął głową i odwrócił wzrok

– Jutro przenoszą go do MedStaru – powiedziałem babci.

– Nie mógłby tutaj zostać?

– Obawiam się, proszę pani, że to niemożliwe. Ta sala będzie nam potrzebna.

Bez wątpienia pani Carter doznałaby szoku, gdyby się dowiedziała, kto będzie następnym gościem w tym łóżku.

– Podoba mi się tutaj – stwierdziła, zamaszystym gestem wskazując ściany wyłożone palisandrem i lampy od Tiffany'ego. – Zaoszczędziłam co nieco z emerytury, może więc dałoby się...

Dobiegające z korytarza krzyki oszczędziły mi niemiłej konieczności wytłumaczenia pani Carter, że każda noc w tej sali kosztuje blisko dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Drzwi otworzyły się na oścież i pokazała się w nich głowa bardzo przejętego policjanta.

– Doktorze, niech pan lepiej przyjdzie! Dzieje się tutaj coś bardzo niedobrego.

Wybiegłem z sali. Trzej młodociani bandyci stali wokół czwartego – tego, który nie podniósł się z siedziska, gdy wchodziłem. Teraz leżał na ziemi i rozpaczliwie starał się złapać oddech.

– Odsunąć się! Odsunąć się, cholera!

Tętno miał tak słabe, że z trudem byłem w stanie je wyczuć. Chłopak ledwie trzymał się przy życiu. „Szlag by to trafił! – pomyślałem. – Akurat tego mi teraz brakowało”.

– Pan! – wskazałem policjanta. – Niech pan biegnie do tych drzwi i krzyknij jak najgłośniejsz „kód niebieski”.

– Ja muszę tutaj pilnować...

– Niech pan idzie, do cholery! Ten chłopak nigdzie nie ucieknie.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciłem się, żeby zająć się T-Bone'em.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że ma krew na rękach. Rozpiąłem mu kurtkę, odsłaniając zupełnie zakrwawioną koszulkę baseballową.

– Co mu się stało?! – krzyknąłem, rozchylając ubrania.

– Tego, no... Nic mu nie było. T-Bone...

– Młody! Twój kumpel może zaraz odwalić kłtę. Wykrztuś to wreszcie.

Pod koszulką ujrzałem naprędce zaimprovizowany opatrunek z podartych ubrań i taśmy klejącej, który wyglądał koszmarnie. Taka fuszerka nie wystarczyłaby nawet w wypadku zadrapania kolcami jeżyn. Przycisnąłem z całej siły, żeby powstrzymać krwotok, usiłując wywalczyć dla chłopaka kilka cennych sekund.

– Postrzał?

– Dos... dostał nożem – wybąkał głos za moimi plecami. – Nic nie mówiliśmy... Nie chcieliśmy, żeby miał kłopoty. Sądziliśmy, że nic mu nie będzie!

W tym momencie przybył wezwany zespół ratunkowy, z piekielnym hałasem wciągając

wózek reanimacyjny i siłą rozpychając młodocianych bandziorów. Przybiegli we trójkę – dwóch mężczyzn i kobieta, najwięksi twardziele w całym szpitalu. Nasz najlepszy zespół reanimacyjny, który przywykł śmiać się śmierci w twarz. Mieli mięśnie ze stali i żelazną siłę woli. Kiedy uklęki obok mnie, poczułem ogromną ulgę.

– Rana kłuta kłatką piersiowej, widać tylko ranę wejściową. Tętno poniżej wartości minimalnych. Od wielu godzin się wykrawia.

– Pierdolony debil. Monica, epinefryna!

Już miałem się wycofać, pozostawiając T-Bone'a pod opieką lepszych ode mnie specjalistów w zakresie ran kłutych, kiedy na wykładzinie między płataniną kolan dostrzegłem telefon komórkowy. Pospieszenie chwyciłem urządzenie i schowałem do kieszeni fartucha.

Obróciłem się, żeby zobaczyć, czy ktokolwiek mógł dostrzec to, co zrobiłem, ale wszyscy zdawali się zbyt zajęci. Policjant w oszołomieniu przyglądał się scenie, jednocześnie wzywając przez radiostację posiłki – zapewne po to, żeby zgarnąć pozostałych młodzieńców, w których nagle dostrzegł świadków usiłowania zabójstwa i Bóg wie czego jeszcze. Ci ostatni zaś, wahając się między lojalnością wobec kumpli a rozsądkiem, postawili na rozsądek. Ewakuowali się na korytarz szpitala, w ślad za nimi podążył zaś doświadczony funkcjonariusz, na którym ledwie dopinał się pas. Nie miałem zbyt dużych wątpliwości co do tego, kto z nich pierwszy dotrze do windy.

Spojrzałem na zegarek w swoim telefonie komórkowym. Była godzina jedenasta pięćdziesiąt trzy.

Nie miałem już prawie w ogóle czasu. Zbiegłem do szatni, po drodze pospiesznie wycierając ślady krwi, które pozostały między palcami, w kawałek gazy zabrany z wózka reanimacyjnego, po czym się rozebrałem. Odłożyłem swój telefon i pager do szafki, pod prysznic udałem się zaś z telefonem T-Bone'a. Był to model na kartę, z wyglądu już kilkunaltni. Pomodliłem się w duchu, żeby na koncie wystarczyło środków do zrealizowania połączenia.

Wstrzymując oddech, wybrałem numer osoby, w której rękach spoczywała jedyna nadzieja na uratowanie mojej córki.

KATE

Kiedy Kate Robson ujrzała na wyświetlaczu smartfona BlackBerry nieznany ciąg cyfr, uniosła brew. Niewiele osób znało jej numer telefonu, wszystkie były jednak wpisane do pamięci urządzenia.

Odrzuciła połączenie za pomocą odpowiedniego przycisku i ponownie rozparła się w bujającym fotelu na werandzie, zanurzając się w lekturze powieści. W posiadłości jej rodziców panowała wspaniała pogoda, Kate nie zamierzała więc tracić czasu na rozmowę z kimś, kto najwyraźniej pomylił numery.

Podobnie jak wszyscy funkcjonariusze Secret Service, także agentka Robson nigdy nie wyłączała telefonu. W jej profesji nagłe wezwania w teoretycznie wolny dzień były czymś tak typowym, że po dziewięciu latach służby przyjmowała to właściwie z obojętnością. Dopóki agenci pozostawali w czynnej służbie, musieli znosić bezlitosne godziny pracy. W rezultacie ich albumy fotograficzne były pełne zdjęć z pustymi krzesłami na rodzinnych przyjęciach, uroczystościach rozdania dyplomów i przy innych ważnych okazjach.

Kate w ogóle się nie spodziewała, jak ciężka czeka ją praca, gdy tuż przed rozpoczęciem przedostatniego roku studiów na wydziale prawa Uniwersytetu Georgetown zgłosiła się z prośbą o przyjęcie w szeregi Secret Service. Działała pod wpływem patriotycznego impulsu, który tydzień po atakach z jedenastego września kazał jej wypełnić stosowne formularze. Przez kilka następnych miesięcy nie poświęcała sprawie większej uwagi, gdy więc rok później odebrała telefon od oficera, który zapraszał ją na rozmowę, niemal zdążyła o wszystkim zapomnieć.

Bez większych nadziei przystąpiła do długiego procesu rekrutacyjnego, w miarę jednak jak pokonywała kolejne etapy, coraz bardziej zapalała się do pomysłu – właśnie ze względu na trudny, jakich wymagało zdobycie tej pracy. Jeśli istniał sposób na wzbudzenie w Kate Robson zainteresowania jakimś wyzwaniem, to właśnie przez podkreślenie stopnia trudności takiego zadania.

W końcu – po serii niekończących się analiz moczów, badań na wariografii, prób wytrzymałościowych i testów w strzelaniu do celu – na krótko przed zakończeniem nauki Kate otrzymała telefon.

– Robson, została pani przyjęta do Secret Service.

– Czy przed wstąpieniem do służby mogę dokończyć studia? Nie lubię zostawiać spraw niedokończonych.

– Zapiszę panią na szkolenie w Federal Law Enforcement Training Centers** na wrzesień. Obym się na pani nie zawiódł – oznajmił lakonicznie agent, po czym się rozłączył.

W takich właśnie okolicznościach młoda Kate, z wciąż jeszcze świeżym tuszem na dyplomie ukończenia studiów prawniczych, pod koniec sierpnia 2003 roku wsiadła do samochodu i udała się na szkolenie CITP, które jest obowiązkowe dla każdego agenta federalnego w Stanach Zjednoczonych. Podczas jedenastogodzinnej podróży do Glynco w stanie Georgia cały czas w lusterku wstecznym widziała oskarżycielskie spojrzenie ojca, którego marzeniem było, żeby jego córka została adwokatem, i który w tym celu naciskał na nią, aby ukończyła studia, jakich nie udało jej się polubić.

– Spójrz tylko na siostrę, ile zarabia jako anestezjolog w wielkim mieście. Naprawdę chcesz zmarnować życie na pracę w budżetówce?

Kate nie wdawała się w dyskusję, byłaby to bowiem strata czasu. Już dawno pogodziła się z porażką w dyalektycznej batalii na temat pięknej, cudownej i idealnej Rachel. Nocą zmyje wspomnienie po zniewadze, sięgając po whisky.

Ograniczyła się więc do ucałowania rodziców i skupiła się na podróży.

Czternaście tygodni w Georgii, później kolejnych osiemnaście na szkoleniu specjalistycznym dla agentów Secret Service w SATC. Następnie osiem miesięcy ogromnego wysiłku fizycznego i umysłowego, na koniec zaś masowa ceremonia i śmiesznie niska pensja. Dla Kate nie miało to jednak znaczenia. Przepelniała ją prawdziwa duma z przywileju noszenia odznaki, która w całych Stanach Zjednoczonych przysługiwała jedynie trzystu kobietom. Czuliła się jak jedna na milion. I słusznie.

Smartfon BlackBerry rozdzwoił się ponownie i Kate spojrzała nań zaintrygowana. Ten sam numer. Ponownie odrzuciła połączenie. Dzień był zbyt idealny, ona zaś musiała się odprężyć.

Wyciągnęła się w fotelu. Jej długie i kształtne nogi połyskiwały w promieniach słońca. Była osobą o smukłej, umięśnionej budowie ciała, być może trochę zbyt mało masywną jak na kogoś tak wysokiego i pracującego w tak wymagającym zawodzie. Matka za każdym razem, gdy ją widziała, kręciła głową i podejmowała próby podtuczenia jej niesamowitymi ilościami pasztetu i faszeryowanych pomidorów. Kate, ogarnięta poczuciem winy, starała się od razu spalić dodatkowe kalorie, truchając po kamienistych i porośniętych bujną roślinnością ścieżkach wokół domu rodziców. Powietrze było tam tak świeże i czyste, że pozwalało zapomnieć o wszelkich troskach. Zawsze z radością wciągała w płuca zapach Wirginii.

Przez ostatnie dziewięć lat służby nie miała po temu nazbyt wielu okazji. Po ukończeniu szkolenia została przypisana do biura w Cleveland, gdzie jej obowiązki polegały przede wszystkim na tropieniu oszustów i fałszerzy. Choć w powszechnym odbiorze Secret Service pełni funkcję swoistej straży przybocznej prezydenta, w rzeczywistości znaczna część zadań tej formacji wiąże się ze zwalczaniem fałszerstw finansowych. Przystępczość elektroniczna, drukowanie fałszywych banknotów, kopiowanie kart kredytowych. Na tym polegała codzienna praca agentki Robson, która po zatrzymaniu dwudziestego kelnera oskarżonego o składowanie paska magnetycznego z karty kredytowej klienta w barze zaczęła się zastanawiać, czy słusznie postąpiła, nadając taki kierunek swojemu życiu i swojej karierze.

Później nastąpiło przeniesienie do biura w Bostonie, gdzie Kate została z czasem skierowana do ochrony członków administracji rządowej, poczynając od sekretarza skarbu. Początkowo sporadycznie otrzymywała tego typu zadania, ale dzięki profesjonalizmowi i niezłomnemu hartowi ducha sukcesywnie zdobywała sobie szacunek przełożonych. Osoby ochraniane lubiły widzieć agentkę Robson, wysoką niczym modelka, której potężna sylwetka wzbudzała respekt. Z włosami niezmiennie zebranymi w kok, upięty tak ściśle jak jej zaciśnięte usta, roztaczała wokół siebie aureę tajemniczości.

Był to pozór, który lubiła podtrzymywać. Jej koledzy z pracy mogli sobie pozwolić na więcej, agentkom było to jednak zakazane. Więcej ciała w pasie, więcej kieliszków po dwudziestogodzinnym dniu pracy, jakieś towarzystwo – bywało, że płatne – przemyskujące chyłkiem do hotelowego pokoju. Tego rodzaju luksusy były poza zasięgiem agentek, które oceniano dwa razy surowiej.

– Robson, słyszałem, że laski co trzy kwadransy muszą iść siku. Co jednak się stanie, jeśli Osama przybędzie akurat wtedy, kiedy będziesz w kiblu?

– Nie przyjdzie, dupku! Właśnie zalicza twoją starą.

Tak wyglądała typowa wymiana uprzejmości podczas kursu przygotowawczego i w pierwszych miesiącach służby. Kate ani razu nie dała po sobie poznać, żeby podobne zaczepki robiły na niej wrażenie, choć wiele było nocy, gdy z wściekłości i frustracji zalewała poduszkę łzami. Później jednak rozniosła się wieść, że na teście strzeleckim Robson uzyskała wynik sto na sto.

W wypadku pocisków płeć nie ma znaczenia.

W końcu, po siedmiu długich latach służby, przydzielono ją do biura w Waszyngtonie, gdzie trafiła do zespołu odpowiedzialnego za ochronę Pierwszej Damy. Duma i nieustanny przypływ adrenaliny kompensowały jej ogromny wzrost poziomu stresu i wyczerpania. Za każdym razem, gdy ochraniana zbliżała się do barierki, żeby ucisnąć dłonie zgromadzonych, Kate całą swoją energię skupiała na przyglądaniu się twarzom w tłumie. Jej oczy, osłonięte lustrzanymi okularami, analizowały każdą sylwetkę, każdy najmniejszy gest, w poszukiwaniu kogoś, kto się wyróżniał, lub czegoś, co nie pasowało – jak luźna gruba bluza w upalny dzień, nazbyt radosne lub zbyt smutne oblicze, ręce w kieszeniach... Zawsze balansując na granicy między odpowiedzialnością za wizerunek Renaissance (tak brzmiał kodowy kryptonim ochranianej), który mógłby ucierpieć wskutek nadgorliwości funkcjonariuszy, a obowiązkiem chronienia jej za wszelką cenę.

Podniosła się i zaczęła rozciągać mięśnie nóg, zginając i prostując kolana. Miała na sobie różową koszulkę z jednoróżcem i tęczę, znaleźisko archeologiczne z czasów ogólniaka, które niechybnie naraziłoby ją na kpiny ze strony kolegów z Secret Service.

Komórka ponownie zadzwoniła.

Kate zakłęła i przerwała rozgrzewkę. Trzy razy w niespełna cztery minuty. Jasna cholera, będzie trzeba wyjaśnić palantowi, że pomylił numery, inaczej się bowiem nie odczepi.

Irytacja ustąpiła miejsca zaskoczeniu, kiedy usłyszała głos rozmówcy. Była to ostatnia osoba, od której spodziewałyby się telefonu.

– Kate, to ja.

– David? Dlaczego dzwonisz pod ten numer? – odpowiedziała chłodnym tonem.

„Dlaczego w ogóle do mnie dzwonisz? Oto jest pytanie” – doprecyzowała w myślach.

– Nie ma czasu na wyjaśnienia. Potrzebuję twojej pomocy, Kate. Julia cię potrzebuje.

Czekali na mnie z wyrazem niezadowolenia na twarzy dwie przecznice od szpitala, oparci o czarnego sedana. Było ich dwóch – jeden był ubrany na niebiesko, drugi na szaro. Najwyraźniej dano im moje zdjęcie, żeby mnie rozpoznali, ponieważ Szary na mój widok postukał dłonią w nadgarstek, dając mi do zrozumienia, żebym się pośpieszył.

– Ładny zegarek Nowy?

– Spóźnia się pan – mruknął.

– Przepraszam, pacjent o mało mi nie umarł.

Po telefonie do Kate wzięłem prysznic i przebrałem się w nowe ubrania i inny fartuch. Kiedy poszedłem zabrać z szafki swój telefon, wyświetlacz zamigał kilka razy, po czym się wyłączył. Spróbowałem włączyć go ponownie, ale przycisk nie reagował.

– Nie mógł pan włożyć czegoś bardziej dyskretnego? – zapytał jeden z nich, wskazując moje ubranie.

Wzruszyłem ramionami.

– Takie są minusy ratowania komuś życia, niestety. Czasami się zdarzy, że pacjent krwawi.

Wyraźnie zmieszani, wymienili spojrzenia. Otrzymali polecenie, żeby dyskretnie przejąć obiekt z mało uczęszczanej uliczki, tymczasem rzeczony obiekt stał się w takiej formie. Byłoby mi ich szkoda, gdybym akurat nie umierał ze zdenerwowania i nie obrywał się ze strachu.

– W porządku, proszę wsiadać – powiedział jeden z nich, otwierając tylne drzwi samochodu. – Zjada się, że mam coś w bagażniku. I, na Boga, niech pan zdejmie ten fartuch!

Szary zajął miejsce za kierownicą, Niebieski rzucił mi dres Marines i usiadł obok mnie. Drobnego szczegółu, że nie miałem na sobie bielizny, niespecjalnie go przejmował, zwłaszcza że sam w trakcie przebierania się nie robiłem z tego sprawy. Wciąż rozmyślałem nad tym, że mój iPhone sam z siebie się wyłączył. To nie mogła być kwestia baterii, była niemal w pełni naładowana. Byłem pewien, że to sprawka pana White'a. Tylko dlaczego? Czyżby odkrył, że dzwoniłem do Kate? A jeśli tak, to czy tym samym skazałem moją córkę na śmierć?

Pytania te gryzły mnie niczym wściekła bestia pożerająca mi płuca. Najwyraźniej stan ducha odmalował mi się na twarzy, ponieważ Niebieski spojrzął na mnie surowo i ściągnął okulary przeciwsłoneczne.

– Wszystko w porządku, doktorze?

Jego czarne oczy zdawały się wbijać w ciebie niczym szpilety, do gołego mięsa, obracając twoją duszę w gruz, żeby następnie w jej resztkach doszukać się skrywanych jeszcze sekretów. Albo takie przynajmniej wrażenie odniósł mój niespokojny i pełen poczucia winy umysł. Musiałem się uspokoić i zrobić dobrą minę do złej gry. Ostatnie, czego teraz było mi trzeba, to żeby goryle z Secret Service doniosły swoim przełożonym, że człowiek, który ma operować ich naczelnego wodza, zachowuje się dziwnie.

– Jasne, oczywiście! Po prostu wciąż jeszcze usiłuję strawić wczorajszą kolację. Przesadziłem z papryczkami jalapeño. Właściwie byłoby lepiej, panowie, gdybyście otworzyli okno – stwierdziłem, szukając schronienia w werbalnej spracze, która dopada mnie zawsze wtedy, gdy jestem zdenerwowany.

Powinnościście wiedzieć, że w początkach dzieciństwa wyrastałem otoczony przez różne formy opresji. Zawsze sądziłem, że obfity słowotok pozwoli mi odwrócić uwagę agresorów – trochę jak kałamarnica, która wypuszcza atrament. Na dowód, że się myliłem, pozostały mi brzydka blizna

w kształcie litery „F” na ramieniu i para wstawionych zębów. Poczciviwy doktor Evans musiał zrezygnować z wielu piw, żeby po adoptowaniu mnie sfinansować wstawienie tych dwóch implantów.

Niebieski wolno pokiwał głową. Nie sprawiał wrażenia specjalnie przekonanego.

– Doktorze, teraz muszę pana poprosić o coś, co będzie dla pana nieprzyjemne.

Spojrzałem na niego zaintrygowany.

– Nietypowe słowa jak na agenta Secret Service. Już bardziej pasują do mojego proktologa.

– Ze względów bezpieczeństwa musi się pan położyć na podłodze samochodu. Droga do punktu spotkania jest tajemnicą, pan zaś nie jest uprawniony, żeby poznać jego położenie.

– Wie pan, orientuję się, gdzie jest Biały Dom. To ten duży budynek przy Pennsylvania Avenue.

– Panie doktorze, nie jedziemy do Białego Domu.

– Obojętnie, dokąd jedziemy. Nie ułożycie mnie na podłodze, jakbym był jakimś pierdolonym dywanikiem.

Szary zatrzymał samochód przy krawężniku, Niebieski przesiadł się zaś z tylnej kanapy na przednie siedzenie. Nie powtórzył polecenia, po prostu siedzieli, wyglądając przez okna, jakbym nie istniał.

Choć duma sprawiała, że krew gotowała mi się w żyłach, nie miałem zbyt dużego pola do dyskusji. Umówiłem się z Kate na szesnastą w Saint Claire i nie mogłem pozwolić sobie na spóźnienie. Tak więc, wbrew sobie, położyłem się na podłodze samochodu i ponownie ruszyliśmy.

Zastanawiałem się, czy miejsce, do którego jechaliśmy, nie było zbyt daleko położone. A jeśli tak, to co się stanie, gdy nie zdążę na spotkanie z Kate? Czy odważę się ponownie do niej zadzwonić, tym samym narażając na niebezpieczeństwo Julię?

Wobec narastającego zdenerwowania zdecydowałem, że muszę zdusić w sobie odczucia dotyczące wydarzeń, na które w danym momencie nie miałem najmniejszego wpływu. Spróbowałem się uspokoić, wspominając, jak przed trzema tygodniami po raz pierwszy udałem się na spotkanie z pacjentem, nie domyślając się ogromu tarapatów, jakie mnie czekały.

Gdybym tylko z większą pokorą odpowiedział tamtemu człowieczkowi z muszką... To był kolejny kluczowy moment w moim życiu, w tamtej chwili jednak zbyt mocno rozsadzała mnie adrenalina, żebym mógł zdać sobie z tego sprawę. Dopiero co skończyłem skomplikowaną operację usunięcia oponiaka wielkości piłeczki golfowej i napawałem się jedną z tych pysznych chwil boskości, których my, neurochirurdzy, niekiedy dostępujemy, ale o których nikomu nie mówimy. Nie krocysz wówczas, tylko szybujesz korytarzami, aby przekazać dobrą nowinę bliskim pacjenta, niczym jakaś wszechmogąca istota władna przywracać do życia. Po śmierci Rachel jedynie dwie rzeczy utrzymywały mnie przy życiu – miłość Julii i to krótkie, brutalne poczucie mocy. Teraz, kiedy wszystko skończone, muszę ze wstydem wyznać, że to ostatnie pielęgnowałem w sobie znacznie bardziej niż tę pierwszą. Ot, następna pozycja na liście wyrzutów sumienia.

Skończyłem rozmawiać z rodziną pacjenta i właśnie miałem zamiar wrócić do domu, kiedy do drzwi mojego gabinetu zapukał człowieczek z muszką. Miał papierową cerę, szylkretowe okulary, które spoczywały okrakiem na haczykowatym nosie, i roztaczał wokół siebie charakterystyczną aurę profesora.

– Doktorze Evans, mógłbym panu zająć chwilę? Nie byłem umówiony.

Wręczył mi wizytówkę z nazwiskiem i tytułem uniwersyteckim, których przez wzgląd na jego prośbę nie mogę ujawnić. Zaprosiłem go, żeby spoczął, i wdaliśmy się w uprzejmą pogawędkę, ale wreszcie zdobył się na to, żeby przejść do sedna sprawy.

– Chciałbym, jeśli to nie kłopot, żeby rzucił pan okiem na ten rezonans magnetyczny – oznajmił, otwierając kosztowną skórzaną walizeczkę i podając mi dość już wymiętą kopertę.

Wyciągnąłem z niej cztery ogromne przezroczyste arkusze i umieściłem je na podświetlanym panelu. Wykrzywiłem twarz w grymasie, gdy ujrzałem nieregularną szarą masę i rozpoznałem w niej mojego najbardziej znienawidzonego i najstarszego wroga.

– Glejak wielopostaciowy w płacie czołowym i ciemieniowym. Wygląda na to, że wyjątkowo wredny. W jakim tempie się rozrasta?

– Rozstrzygnijmy to. Cztery zdjęcia wykonano w dwutygodniowych odstępach między jednym a drugim.

Uważnie uporządkowałem klisze według dat widniejących obok nazwiska.

– Kim jest pacjent?

– To mąż mojej dawnej studentki. Genialnej i wyjątkowej kobiety.

– A lekarz, który postawił wstępną diagnozę?

– Wolałbym tego nie ujawniać. Widzi pan, chciała poznać zdanie innego specjalisty, sama zaś nie mogła do pana przyjść.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się wynikom rezonansu magnetycznego. Trudno się dziwić, że chciała zasięgnąć opinii innego specjalisty. Pragnęła, żeby ktoś jej powiedział, że to wszystko pomyłka, że nowotwór, który ma zabić jej męża, to tylko błąd maszyny diagnostycznej albo że wchłania się sam z siebie, albo że w Szwajcarii opracowano eksperymentalną metodę terapii, za sprawą której nowotwór jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknie.

Tutaj było jednak żadnego błędu, samorzutnego wchłaniania się nowotworu ani alternatywnej metody terapii. Przed oczami miałem wyrok śmierci.

– Cóż, kimkolwiek jest pan R. Wade, ma szczęście, jeśli oczywiście można to tak ująć. Rozrost

nowotworu nie wydaje się zbyt szybki. Niestety, to koniec dobrych wiadomości. Prawdopodobnie zanim minie kilka miesięcy, straci zdolność mówienia. I umrze przed upływem roku.

Człowieczek czyścił okulary jedwabną chustką pasującą wzorem do muszki. Wydawał się nieobecny, jak gdyby te same słowa słyszał już wiele razy. Uważnie złożył chustkę i schował ją do kieszeni marynarki. Następnie zamrugał kilkakrotnie jak krótkowidz, włożył z powrotem okulary i spojrzał mi w oczy.

– Podjąłby się pan operacji?

I właśnie w tym momencie dałem dupy.

– Oczywiście. Choć ryzyko będzie duże, rezultat zaś nie będzie spektakularny. Pacjent nie zyska bardzo dużo czasu.

– A jeśli chodzi o jego zdolności komunikacyjne?

– Sądzę, jest to jednak przypuszczenie obwarowane pewnymi warunkami, że można usunąć guz, nie naruszając przy tym pęczka łukowatego i ośrodką Wernickiego.

– Obwarowane pewnymi warunkami?

– Trzeba obejrzeć pacjenta, przeanalizować objawy i trzymać się procedur. Rozumiem, że chce pan wyświadczyć przy usługę znajomej, ale takie sprawy załatwia się jednak inaczej.

Spokojnie skinął głową. To właśnie spodziewał się usłyszeć.

– Bardzo dziękuję, doktorze Evans. Bardzo pan uprzejmy.

Następnego dnia rano szefowa wezwała mnie do biura. Mój gabinet to miejsce nad wyraz uporządkowane, co wynika z nawyku, jaki przybrany ojciec wpoił mi własnym przykładem, przy okazji mnóstwo razy za karę posyłając mnie spać bez kolacji. Biurko Stephanie to chaos pełen papierów, czasopism medycznych i raportów laboratoryjnych. Siedziała za tą papierową barykadą i stukła długopisem w zęby.

– Idziemy do Meyera – oznajmiła, podnosząc się, gdy tylko mnie ujrzała.

– Do Księcia Ciemności? Co się, u diabła, dzieje, Stephanie?

– Ty mi to powiedz.

W drodze do windy musiałem niemal za nią bieć. Choć moja szefowa ma krótkie nogi, gdy się wkurzy, przebiera nimi w oszałamiającym tempie, teraz zaś była zła jak osa. Nie miała zielonego pojęcia, co się dzieje, a jeśli jest coś, czego Stephanie nie znosi, to właśnie nieorientowania się w sytuacji.

Wjechaliśmy na piętro z wykładzinami, fikusami, odświeżaczem powietrza o zapachu paczuli i sączącymi się z radiowęzła dźwiękami saksofonu Kenny'ego G. Bardzo rzadko tam zaglądałem, za każdym razem jednak zadawałem sobie to samo pytanie: Jak ktoś był w stanie znieść więcej niż kilka godzin pracy w otoczeniu kombinacji wyżej wymienionych elementów i przy tym nie zwariować? Odpowiedź była oczywista: To niemożliwe. Wszyscy zarządzający szpitalem to schizofrenicy, którzy każdą minutę dnia poświęcają zwiększaniu wydajności naszej pracy przy jednoczesnym podnoszeniu konkurencyjności oferowanych cen. Kiedy mówię o wydajności, mam na myśli taniość, kiedy zaś mówię o konkurencyjności, mam na myśli nieprzyzwoicie wygórowane ceny.

Sekretarka Meyera wpuściła nas do gabinetu, w którym dyrektor szpitala oczekiwał za mahoniowym stołem tak dużym, że można by na nim grać w tenisa. Robert Meyer stanowił klasyczny produkt studiów MBA na elitarnej uczelni, pełen arogancji i pomysłów, które świetnie przedstawiały się w dorocznych sprawozdaniach, fatalnie zaś sprawdzały się na bloku operacyjnym. Chcecie wiedzieć, kiedy służba zdrowia w tym kraju poszła się jebać? Kiedy zarządzanie placówkami odebrano lekarzom, na czele interesu postawiono zaś liczykrupy pokroju

Meyera. Jeśli mi nie wierzycie, zastanówcie się choćby nad tym, dlaczego we Francji rezonans magnetyczny kosztuje jedną czwartą mniej niż we wspaniałych Stanach Zjednoczonych.

– Doktor Wong, doktorze Evans, wejdźcie, proszę. David, zdaje się, że zna już pan...

Obok niego stał człowieczek z muszką, który nieśmiałym gestem uściśnął mi dłoń. Gdy się sobie przedstawiliśmy, gość wyjawiał tożsamość pacjenta, którego reprezentował.

– Davidzie, on chce, żeby to pan go operował.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

Stephanie ze zdumieniem i zazdrością graniczącą z nienawiścią. Meyer z niepohamowaną chciwością, przeliczając w myślach, jak wielką korzyść przyniesie mu ten ogromny łut szczęścia. Człowieczek zaś z cierpliwym oczekiwaniem.

Czułem, że kręci mi się w głowie. Na szczęście siedziałem, inaczej bowiem mógłbym mało profesjonalnie się zatoczyć.

– Dlaczego ja?

– Wszystkiego dowie się pan w swoim czasie. Jak łatwo się domyślić, przedsięwzięcie będzie się wiązało z pewnymi niedogodnościami i podyktowanymi kwestiami bezpieczeństwa i poufności.

– Bez problemu się do nich dostosujemy – czym prędzej zapewnił Meyer. – Prawda, Davidzie?

Potrafię rozpoznać polecenie, gdy ktoś mi je wyda, poza tym byłem zbyt oszołomiony, żeby zaoponować.

– Oczywiście.

– Otóż to! Doktor Evans to nasza wielka gwiazda.

Wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i kilkakrotnie poklepał mnie po plecach. Doskonale maskował to, że relacje między nami układały się fatalnie. On uważał mnie za niesubordynowanego mięczaka, ja swoje zdanie na jego temat wyraziłem już chyba wystarczająco jasno.

– A zatem mógłby się pan z nim dziś zobaczyć? – zapytał człowieczek z muszką.

– On... on tutaj jest? – zapytałem głupio.

Nasz gość uśmiechnął się w obliczu mojej naiwności.

– Jak już mówiłem, doktorze Evans, trzeba będzie przedsięwziąć pewne nadzwyczajne środki.

Kilka godzin później po raz pierwszy przekraczałem próg służbowego wejścia do Białego Domu.

Czyśmś dziwnym i surrealistycznym jest sytuacja, w której najpotężniejszy człowiek na świecie prosi cię o pomoc, odczuwasz ją jednak tym bardziej, gdy wchodzisz do jego domu po kryjomu, niczym kochanka unikająca spojrzeń sąsiadów.

– Wszyscy dziennikarze są na konferencji, doktorze. Na wszelki wypadek wprowadzimy pana możliwie najmniej uczęszczanym szlakiem – oznajmił agent, który mi towarzyszył.

Przeszliśmy przez wewnętrzne podwórko i oświetlony korytarz służbowy, miniliśmy kolejne podwórko wypełnione aromatami smakowitych potraw i odgłosami prac kuchennych, następnie zaś pomieszczenie z palmami posadzonymi w wielkich alabastrowych donicach. Po drodze spotkaliśmy tylko kilku członków personelu technicznego i umundurowanych strażników – i tyle.

– Proszę chwilkę poczekać – powiedział agent.

Wysunął głowę przez boczne drzwi, później przez kolejne. W końcu ruszyliśmy ogromnym korytarzem wyłożonym czerwonym dywanem ze złotymi lampasami. Przeszliśmy obok drzwi z brązową tabliczką, na której widniał czarny napis GABINET LEKARSKI, nie zatrzymaliśmy się tam jednak, stanęliśmy bowiem dopiero przy następnych drzwiach.

– To Sala Map – objaśnił lakonicznie agent. – Tutaj zaczekamy.

Choć pomieszczenie było wypelnione krzesłami i innymi siedziskami, pozostałem w pozycji stojącej na środku sali. Agent zajął miejsce przy drzwiach, stojąc z szeroko rozstawionymi nogami i podniesioną do sufitu szyją, grubą jak u byka. Taką pozę twardego i cichego gościa widziałem już w tysiącach filmów, zastanawiałem się więc, czy ten osobnik tylko naśladuje zachowanie, jakiego oczekuje się po agencie, czy też było to dla niego czymś naturalnym.

Już chciałem go o to zapytać, ale się powstrzymałem. Przed śmiercią Rachel lubiłem wywołać uśmiech u osób, z którymi miałem do czynienia. Rzucić żarcik, opowiedzieć anegdotę, zabawnie coś skomentować. Rachel patrzyła, jak sililem się na to wobec kelnerów, recepcjonistów czy taksówkarzy, po czym przyznawała mi punkty w zależności od stopnia trudności i osiągniętego rezultatu. Wierzcie mi, tego typu gierki w Waszyngtonie należy zaliczyć do sportów ekstremalnych. Nie znam innego miejsca na świecie, którego mieszkańcy potrafiliby wynieść antypatię do rangi sztuki.

W wypadku tego agenta Rachel przyznałaby mi maksymalną liczbę punktów. Mojej żony już jednak nie było, ja zaś straciłem ochotę na grę, tak więc ograniczyłem się do rozglądania wokół. To, co widziałem, wywołało we mnie oniśmienie. Obrazy, dywany, antyki, drewno, srebro, jedwab. Wszystko w tym miejscu miało jeden cel – zrobić wrażenie na przybyszach.

Gospodarze pozwolili mi chłonąć wrażenia jeszcze przez dłuższą chwilę, aż w końcu do pokoju wszedł łysy mężczyzna około sześćdziesiątki, o szerokich barkach i pewnych, szorstkich dłoniach.

– Kapitan Hastings, szef personelu medycznego Białego Domu. Proszę, doktorze Evans.

Poszedłem za nim do sąsiedniego pomieszczenia, mijając niewielką recepcję i dwoje drzwi. Za pierwszymi znajdowały się dwa gabinety medyczne, które doktor z dumą mi zaprezentował. W drugim z nich, przylegającym do pokoju lekarza, moją uwagę przykuła zawieszona na noszach stara tablica przedstawiająca schematy budowy serca i płuc. Podeszedłem, żeby się jej przyjrzeć.

– Podoba się panu? – zapytał uprzejmym głosem Hastings.

– Mój ojciec miał w gabinecie taką samą. Wiem, ponieważ zawierała identyczną literówkę w nazwie żyły podobojczykowej.

Hastings uśmiechnął się i stuknął kilkakrotnie w miejsce pomyłki długim i kościstym palcem.

– To wspomnienie lepszych czasów. Bardziej nieoszlifowanych i bardziej ludzkich.

Przytaknąłem. Podobał mi się ten człowiek. Bardzo przypominał starego doktora Evansa. Znihaćka bardzo za nim zatęskniłem.

– Jaka jest pana specjalizacja, kapitanie?

– Jestem internistą. Od lat to podstawowe wymaganie na tym stanowisku.

– Należy pan do armii?

– Do marynarki. Każdy z pięciu rodzajów sił zbrojnych zapewnia osiemnastu akrom po jednym lekarzu. – Gdy spostrzegł moje lekko zdezorientowane spojrzenie, czym prędzej wyjaśnił: – Tak już pieścizotliwie określamy ten zespół zabudowy. – Ruchem ręki zatoczył dookoła. – Proszę, usiądźmy sobie wygodnie.

– Sam pan to wszystko ogarnia? – zapytałem zdumiony panującą pustką.

– Oczywiście, że nie. Reszcie personelu zleciłem dziś rano wziąć udział w ćwiczeniach z ewakuacji. Chciałem, żebyśmy mogli porozmawiać na osobności.

– Ktoś mógłby powiedzieć, doktorze Hastings, że się mnie tutaj wstydzicie.

Usiedliśmy w przestronnym, choć zagraconym gabinecie. Środek pomieszczenia skąpanego w świetle wpadającym z Ogrodu Różanego zajmowało mahoniowe biurko wciśnięte między półki z książkami. Kluczowym elementem wystroju był jednak uśmiechnięty szkielet, który wisiał ze starego wieszaka na ubrania przerobionego na stelaż.

– To Fritz. Pamiątka z czasów, kiedy tutaj zaczynałem. Wygrałem go w pokera od oficera

medycznego z Pearl Harbor, który z kolei wygrał go od swojego dowódcy z Korei. Ten ostatni kłął się na wszystkie świętości, że to szczerki jakiegos Niemca poległego pod koniec wojny w Berlinie.

– A pan w to wierzy?

– Trochę za niski.

– Wśród Niemców również byli niscy. A przynajmniej jeden – dopowiedziałem, podnosząc prawą rękę z wyprostowanym łokciem w powszechnie rozpoznawalnym geście.

Hastings wykrzywił twarz w złośliwym grymasie.

– To by dopiero była poetycka sprawiedliwość. Kości Adolfa dyndające na wieszaku w Białym Domu!

Obaj uśmieśliśmy się serdecznie.

– Cieszę się, doktorze Evans, że ma pan poczucie humoru. Wbrew stereotypowi, jest to cecha, którą w wojsku bardzo cenimy. Bez poczucia humoru nie można byłoby wytrzymać w tej robocie.

– Domyślam się, że nadgodzin jest sporo?

– Mało powiedziane. Kiedy ktoś mnie pyta o miejsce pracy, w pierwszej chwili słyszę zazdrosne westchnienia. Ludzie wyobrażają sobie tylko bankiety, podróże i władzę. Rzeczywistość jest jednak raczej gorzka. Żyjemy dla tej władzy i dzięki tej władzy, doktorze Evans. Podróżujemy z pacjentem do każdego Zadupistanu, dbając o to, żeby się wyspał, pił butelkowaną wodę i przy czwartym przemówieniu tego samego dnia nie padł od upału. A wszystko to w systemie osiemnastogodzinnych zmian, cały czas zajmując się a to migreną, a to skręceniem kostki, jeśli przydarzy się komuś z orszaku gamoni, na który składa się gabinet polityczny i dziennikarze. I przez cały ten czas boimy się nieuniknionego – chwili, w której ktoś w tłumie wstanie z bronią w rękę i urzeczywistni najgorszy z naszych koszmarów senny ch.

– Powiedział pan „nieuniknionego”?

– Wśród agentów Secret Service krąży stare powiedzenie na temat zabójstwa prezydenta: „nie « czy », tylko « kiedy »”.

– Mogliby spokojnie zdobyć złoty medal w zawodach na opty mizm.

– Oni się tak przygotowują. Na razie mieliśmy szczęście. Pamięta pan granat, którym rzucono w poprzedniego?

Przytaknąłem. Teksańczyk wygłaszał akurat przemowę na mityngu, kiedy ładunek upadł w pobliżu trybuny, ale nie wybuchł.

– To przykład zaledwie jednej z dziesiątek podobnych sytuacji, do których dochodzi dzień w dzień, a o których nie mówimy, jeśli tylko uda się je utrzymać w tajemnicy – z poważną miną ciągnął Hastings. – Wcześniej czy później zapas szczęścia się wyczerpie. Żyjemy w pożytecznym czasie i tylko walczymy, żeby nie zdarzyło się to na naszej zmianie.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Obaj musieliśmy poruszyć pewną kwestię, Hastings się na to jednak nie zdobywał, sam więc uczyniłem pierwszy krok

– Dlaczego tutaj jestem?

– Jest pan tu wbrew mojej woli, doktorze Evans – oznajmił lekarz, spoglądając mi w oczy z wyrazem, w którym odraza mieszała się z ubolewaniem. – Zawsze to Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych dbała o zdrowie prezydenta. Jeśli zależałoby to ode mnie, moim pacjentem zajmowałby się główny chirurg Szpitala Marynarki w Bethesda.

– Słyszałem o nim, to wybitny lekarz. Operował wielu sławnych ludzi. Dlaczego zatem to nie on siedzi teraz na moim miejscu?

Hastings pochylił się nad biurkiem i ściszył głos, który stał się teraz chrapliwym szeptem.

– Ponieważ Pierwsza Dama zastosowała wobec wielu innych tę samą zagrywkę, co wobec

pana. Wysłała zaufanego człowieka z wynikami rezonansu, aby stanowisko zajmowane przez pacjenta nie odcisnęło się na diagnozie.

Nie byłem szczególnie zaskoczony, w końcu człowieczek w muszce już mi to wyjawiał.

– Nawet wobec lekarzy z Marynarki Wojennej?

– Do nich zwróciła się w pierwszej kolejności. Wszyscy co do jednego uznali bezimiennego pacjenta za przypadek beznadziejny. Uznali, że ryzyko jest zbyt wielkie, aby podjąć się operacji.

– Byłem... – Zawahałem się przez chwilę. – Byłem jedynym, który stwierdził, że jest to wykonalne?

Hastings pokręcił głową i przejrzał dokumenty na biurku, zanim odpowiedział.

– Nie. Byli także inni.

– A więc... Dlaczego wybrano akurat mnie?

Lekarz nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ w tym momencie drzwi się otworzyły, on zaś z miejsca poderwał się do pionu. Nie jak nakręcany diabełek z pudełka, ale raczej jak jeden z namiotów błyskawicznych, które w jednej chwili same się rozkładają.

Odwrociłem się ku drzwiom i także się podniosłem. Choć nigdy nie gustowałem w kokieterii, spostrzegłem, że instynktownie zapinam marynarkę i ściągam jej poły.

– Miło mi pana poznać, doktorze Evans.

Oto i on, eleganckim gestem wyciągający do mnie dłoń. Wysoki – kilka centymetrów wyższy ode mnie, choć jestem przecież słusznego wzrostu – charyzmatyczny, rozciągający moc autorytetu. Byłem tak przyzwyczajony do oglądania go w telewizji, że odniosłem automatyczne wrażenie, jakbyśmy się znali od zawsze. Być może była to ewolucyjna przewaga niektórych osób, które potrafią wywołać tak natychmiastowe poczucie poufałości i bliskości, rozbrajając twoje reakcje obronne, podobnie jak korzenie eukaliptusa wydzielają trującą substancję, która uniemożliwia innym roślinom rośnięcie w pobliżu.

– Mnie również, proszę pana.

Podszedłem, żeby się przywitać, nieco oghupiony prezydencką aurą, i otrzymałem silny i ciepły, energiczny i krzepki uścisk dłoni. Prezydent miał na sobie koszulę z rękawami podwiniętymi do połowy przedramienia i lekko przekrzywiony czerwony krawat, towarzyszył zaś temu zmęczony wyraz twarzy.

– Doktorze, poda mi pan tylenol?

Hastings niezwłocznie zniknął w sąsiednim gabinecie, stojący zaś dotychczas przy drzwiach agent Secret Service zrobił kilka kroków naprzód, nie spuszczać mnie z oka. Prezydent zwrócił się w jego stronę:

– W porządku, Ralph. Idź do pokoju wypoczynkowego.

– Sir, gość nie został poddany kontroli bezpieczeństwa. Mam rozkazy, żeby...

– Ralph.

Pierwsze polecenie zostało wydane z przyjacielskim uśmiechem. W tonie drugiego pobrzmiwała stal. Sytuacja była jasna. Oto prawdziwa władza i potęga, i to bijąca nie od samego stanowiska, ale od osoby, która je zajmowała. Nieco napawała strachem, zarazem zaś innym odczuciem, którego nie nazwę zazdrością, choć jednak było jej bliskie.

Agent opuścił głowę i wyszedł z gabinetu.

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, prezydent opadł na krzesło, które zajmowałem jeszcze przed kilkoma minutami, i rozmasował sobie skronie. Zmarszczki wokół zaciśniętych oczu rysowały na jego czarnym i zazwyczaj spokojnym obliczu dwa ogromne, uschnięte drzewa.

– Proszę, sir – powiedział Hastings, wracając z lekami i kubeczkim w formie stożka z kartonu. Prezydent połknął tabletki i zmiażdżył kubeczek w kulkę. Ponownie zamknął oczy i na ponad minutę odchylił głowę w tył, po czym ponownie na nas spojrział.

– Przepraszam – powiedział. Sprawiał wrażenie, jak gdyby okazana słabość wprawiała go w zażenowanie.

– Ile razy dziennie zażywa pan ten lek? – zapytałem.

– Sześć do siedmiu razy.

– Ból głowy jest stały czy przemijający?

– Przemijający. Kiedy nawraca, jest bardzo silny, ale nie trwa długo. Wczoraj w ogóle mnie nie bolało, za to przedwczoraj było istne piekło.

– Czy wcześniej przejawiał pan skłonność do bólów głowy?

– Nieszczęśliwie. Jeśli nocą spałem mniej niż pięć godzin, czasami się pojawiał, ale nie tak silny.

– I to był pierwszy objaw?

– Potworny ból głowy. W tamtym czasie wydawał mi się najgorszym bólem w całym życiu. Ale się myliłem.

Skinałem ze zrozumieniem. Zdanie: „Nigdy w życiu nie bolała mnie tak głowa” każdy mąż, każda żona, każde dziecko i brat czy siostra powinni automatycznie uzupełnić o drugie: „Zapiszmy się na wizytę u neurologa”. Nie zliczę już sytuacji, w których pacjent trafiał do mnie zbyt późno, ponieważ alarmujący o chorobie ból głowy zwalczał miesiącami proszkami przeciwbólowymi. To, że przez tydzień pochłania się opakowanie osiemdziesięciu tabletek paracetamolu, powinno u każdego uruchomić dzwonek alarmowy, tymczasem zdumiewa, że idioci wolą problem ignorować. Nie zdumiewa jednak, że umierają.

– Kiedy to było?

– Cztery tygodnie temu – odpowiedział Hastings. – Jeszcze tego samego wieczoru zrobiliśmy pierwszą tomografię.

– Gdzie? Nie powiecie mi przecież, że macie tutaj rezonans magnetyczny ...

Prezydent i Hastings popatrzyli po sobie z wahaniem. Ten pierwszy niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Nie możemy panu powiedzieć gdzie, doktorze. Nie było to w Bethesda z przyczyn oczywistych. O wiele trudniej byłoby wówczas uniknąć przecieku.

Zamilkli. Hastings wyciągnął kopertę z wynikami rezonansu i przekazał mi ją. Wyszukałem ostatnią kłiszę i ją uniosłem. Złociste i łagodne światło, które przez zasłony wpadało z ogrodu, nadawało bukoliczny i surrealistyczny rys temu czarno-białemu wyrokowi śmierci.

– Kto więc robił badania?

– Ja sam – odparł Hastings.

– Tylko garstka osób orientuje się w sytuacji, wszystkie z najwyższymi certyfikatami dostępu do informacji tajnych, z wyjątkiem pańskich szefów, doktorze Evans. I tak również powinno zostać.

– Rozumiem, kapitanie. Czy poza bólami głowy pojawiały się także inne symptomy? Wymioty, zaburzenia pola widzenia?

– Wzrok mam w porządku, nie miałem również nudności.

Nic w tym dziwnego. Każdy pacjent to osobny świat, z kolei guz, który u niektórych wywołuje odruch wymiotny, ślepotę lub potworne migreny, u innych nie powoduje pojawienia się najmniejszego choćby objawu. Podczas pracy neurochirurga poznajesz pewną fundamentalną prawdę: nie powinieneś niczego brać za pewnik. Poznajesz ją zaś, spotykając na swojej drodze dziw za dziwem. Pewnego razu w południe zająłem się kobietą, która podczas napadu została postrzelona w czaszkę, a która już dwa dni później jadła obiad w domu z rodziną. Kula weszła między brwiami i wyszła tyłem czaszki, nie powodując żadnych obrażeń. Była to oczywiście zupełnie inna historia, a mnie już nic nie zdziwi. Teraz jednak niepokoiła mnie ewentualność, że

prezydent Stanów Zjednoczonych może być niedostatecznie poinformowany.

– Jak dokładnie przedstawiono panu sytuację? – zapytałem, spoglądając na Hastingsa.

– Przedstawiłem prezydentowi ogólne podsumowanie – oznajmił lekarz, wpatrując się w czubki swoich butów. – Jest absolutnie zdeterminowany, żeby całą sprawę zachować w tajemnicy. Istnieją pewne komplikacje o charakterze politycznym, które...

– Hastings! – upomniał go prezydent.

Biedny kapitan zamilkł tak prędko, że już się bałem, że przygryzie sobie język.

– Panie prezydencie – czym prędzej włączyłem się do rozmowy. – Glejak wielopostaciowy to nieregularny rodzaj guza. Nie jest okrągły i o konkretnym kształcie, jak piłka, raczej przypomina ośmiornicę. To niczym obcy w pana głowie, który sam się namnaża, czerpiać krew z wszystkich naczyń krwionośnych, jakie napotka na drodze, i bezlitośnie postępując naprzód. Nie sposób znacznie powstrzymać jego postępów leczeniem, nie wpływając zarazem poważnie na pana organizm i zdolność sprawowania urzędu.

– Można to również operować, doktorze Evans.

Pokręciłem głową.

– Pan umrze. Pan umrze bardzo szybko i ani ja, ani nikt inny nic na to nie poradzi. Jedyne, co mogę zrobić, to postarać się, żeby zamiast „bardzo szybko” nastąpiło to „szybko”.

Przytaknął.

– Jestem tego w pełni świadom.

– Mogę zoperować guz. Mogę usunąć sporą jego część, wystarczającą, żeby spowolnić jego postępy i zyskać dla pana kilka miesięcy.

– Proszę więc to zrobić.

– Mogę również pana zabić. Guz doszedł do pęczka łukowatego, na granicy między ośrodkiem Wernickiego a ośrodkiem Broki. Będzie to długa i skomplikowana operacja, potrwa co najmniej trzy do sześciu godzin. Na tym etapie jednak gra toczy się o wszystko. Drobną pomyłką i stanie się pan warzywem o sparaliżowanych nogach.

– Wszystko to mi już wytłumaczono, doktorze. Powiedziano mi także, że i tak mnie to czeka.

– Jeśli nie podda się pan operacji, to w ciągu dwóch, trzech miesięcy straci pan zdolność rozumienia i wyrażania myśli. Albo zdolność mówienia. Albo i jedno, i drugie.

– A jeśli poddam się operacji, mogę utracić je od razu, i to wcześniej?

– Otóż to.

Zapadła cisza, ciężka i nieprzyjemna niczym przemoczony koc. Prezydent nachylił się do przodu z dłonią na podbródku, wpatrując się w podłogę przygarbiony i z przekrzywionymi ramionami. Jeszcze kilka tygodni temu był niezniszczalny, niczym król pośród ludzi. Teraz musiał stawić czoła swojej śmiertelności jak zwykły człowiek, z dodatkowym obciążeniem, jakie wynikało z wymagań związanych z zajmowanym przezeń tronem.

– Zróbmy to!

Chwilowo zamroczony, przymlknąłem oczy i głęboko odetchnąłem, zanim odpowiedziałem.

– W porządku. Kiedy?

– Ile czasu potrzebuję, żeby wrócić do siebie po zabiegu?

– O ile wszystko pójdzie dobrze, dziewięć do dziesięciu dni w szpitalu.

– Tak długi okres jest nie do przyjęcia.

– Rozumiem, proszę to powiedzieć Bogu – odparłem bardzo powoli.

Ponownie zamilkł na dłuższą chwilę. Niemal słyszałem, jak liczy, jak przypomina sobie umówione spotkania, jak przewiduje posunięcia rywali. Co zrobić i co powiedzieć? Jak to przedstawić opinii publicznej? A wszystko to bez asystentów, z pamięci. Siedział nachylny naprzeciwko mnie, z łokciami opartymi na kolanach i z podbródkiem na grzbietach dłoni, z głową

niecałe pół metra ode mnie. Widziana z góry, miała osobliwy kształt – była lekko podłużna, z bardzo krótkimi i przedwcześnie posiwiałymi włosami. Łatwo mi przyszło przebić się w myślach przez włosy, skórę głowy i kość, stanowiące jedynie przeszkody na drodze do sedna sprawy. Przez chwilę wyobraziłem sobie, jak rozsuwam zewnętrzne części struktury, przecinam oponę twardą i odsłaniam półtora kilograma tkanki mózgowej odpowiedzialne za najważniejsze decyzje w kraju i wiele najważniejszych dla świata. W samym środku tej półtorakilogramowej galaretowatej masy kilka niesubordynowanych gramów prowadziło wojnę bez przeciwnika i tylko z jednym możliwym zwycięzcą.

– Szybciej niż za trzy tygodnie nie mogę – stwierdził prezydent. – Do tego czasu mam niemożliwe do przełożenia obowiązki. Możemy tak zrobić?

– Tak, panie prezydencie. Ostrzegam jednak, że prawdopodobnie w tym czasie objawy się nasilą. Istnieje lek, który może przy tym pomóc – dodałem, zapisując jego nazwę na kartce i podając ją Hastingsowi.

– Bardzo dobrze – stwierdził kapitan, odczytując nazwę leku. – Podejmę odpowiednie starania, żeby zarezerwować blokoperacyjny w Bethesda na dane anonimowego pacjenta.

Gdy to usłyszałem, aż podskoczyłem z niedowierzania.

– Proszę wybaczyć, ale nie będę operował w Bethesda – oznajmiłem, kręcąc głową.

– Doktorze Evans, to szpital rekomendowany. Poza tym ma najlepszy zespół i można tam zagwarantować dyskrecję...

– Proszę, niech pan nie ciągnie! – przerwałem. – Wiem, jakie są obiektywne argumenty, ale najpierw proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie: Dlaczego właśnie ja, a nie ktoś inny z tych, którzy się zgodzili?

– W ostatnich czterech latach zoperował pan dwieście trzydzieści cztery glejaki – odpowiedział prezydent. – Spośród nich sześćdziesiąt jeden wpływało na ośrodek mowy, a u trzydziestu dziewięciu pacjentów nastąpił bezproblemowy powrót do zdrowia.

– Te dane są poufne – zauważyłem podrażniony. – Nie mieliście prawa, żeby...

– Doktorze, ma pan drugą najlepszą średnią w kraju. Pańscy wykładowcy z uczelni mówią, że ma pan wrodzony talent, na rezydenturze zaś... – zaczął Hastings.

Ostatecznie rozeźlony podniosłem dwa palce.

– W tym samym okresie u dwóch pacjentów z powodu komplikacji w pniu mózgu spowodowałem połowiczny paraliż. U dwóch. Kolejnych jedenaście przypadków z glejakami przeszło w stan wegetatywny. Tych panowie nie liczą? – parsknąłem.

– Nie wiem, do czego pan zmierza, doktorze – stwierdził lodowato prezydent.

– To ogromnie trudna operacja. Nie chodzi tylko o moje zdolności, nie wystarczy także przedstawić guzowi moich statystyk, jakbym był pałkarzem z New York Yankees. Będę potrzebował szczęścia, szczęścia i skupienia. Jeśli będę operował nie na moim bloku i z nie moim zespołem, będę nerwowy. A to odbije się na rezultacie.

– Doktorze, z pewnością jest jakiś sposób, żeby przyzwyczął się pan do... – powiedział Hastings.

– Nie, kapitanie! Nie ma. Na Boga, tu chodzi o prezydenta Stanów Zjednoczonych. Zrzucają mi panowie na barki największą odpowiedzialność, jaka może trafić się lekarzowi. Nie przyjmę jej na siebie od niechcienia. – Odwróciłem się ku prezydentowi. – Niech pan nie sądzi, że pragnę operować pana we własnym szpitalu po to, żeby poczuć się lepszym, żeby zaspokoić kompleks niższości czy dla rozrywki. Upieram się przy tym, inaczej bowiem posram się ze strachu. Rozumie pan?

Przez dłuższą chwilę się namyślał, ja zaś ze wszystkich sił pragnąłem, żeby odpowiedział przecząco. Sytuacja była zbyt skomplikowana, musiałem przecież jeszcze pamiętać o Julii.

Ryzyko, że wszystko pójdzie nie tak, było ogromne, prawdopodobieństwo spartolenia sprawy tak kolosalne, że ewentualność zakończenia operacji sukcesem zdawała mi się nierealistyczną chimera.

– Rozumiem. Nie mogę jednak pozwolić, żeby operowano mnie w szpitalu dla elit. Właśnie mnie, który tak walczył na rzecz wysokiej jakości publicznej służby zdrowia. Opinia publiczna miałaby z tego pożywkę na długie miesiące – odpowiedział, ja zaś odetchnąłem z ulgą.

Podał mi wy mówkę, której tak potrzebowałem.

– A zatem najlepiej będzie, jeśli na tym skończymy rozmowę.

Wszyscy trzy wstaliśmy z miejsc. Podałem prezydentowi rękę na pożegnanie i Hastings wy prowadził mnie z gabinetu.

– Przykro mi z powodu tej sytuacji – powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się w szerokim westybulu z czerwonymi dywanami.

– Niech się pan nie przejmuj. Rozumiem pana argumenty i na pana miejscu uczy niłbym to samo.

Rzecz jasna, Hastings się mylił. Był człowiekiem uprzejmym i spokojnym, wytrzymałym i lojalnym niczym perszeron. Jeśli prezydent powiedziałby mu, żeby podskoczył, kapitan byłby w powietrzu, zanim dosły szałby drugą sylabę. Ktoś o takim charakterze nigdy nie mógłby zostać neurochirurgiem, tak więc jego zrozumienie było gestem równie uprzejmym, co nic nieznaczącym.

– Odprowadzi mnie pan do wyjścia czy mam na kogoś zaczekać?

– Tak naprawdę, doktorze Evans, zanim pan pójdzie, chciałbym panu przedstawić kogoś bardzo szczerzego.

Wróciliśmy do Sali Map. Tam czekała ona.

Z nogami skrzyżowanymi w kostkach siedziała na brzegu aksamitnego fotela i przeglądała zawartość swojego iPada, tak tym pochłonięta, że nie usłyszała delikatnego pukania Hastingsa. Kiedy weszliśmy, podniosła wzrok i wstała, aby się przywitać. W bezpośrednim kontakcie sprawiała jeszcze bardziej imponujące wrażenie – arystokratyczne rysy jej hebanowego oblicza kontrastowały z ciepłym tonem głosu.

– Dzień dobry, doktorze Evans.

Wybąkałem uprzejmą odpowiedź, choć Pierwsza Dama chyba jej nie usłyszała, zwróciła się bowiem z pytaniem do Hastingsa.

– Jak poszło?

Lekarz delikatnie odchrząknął, nie wiedząc, jak przekazać wieści.

– Prezydent nie chce ustąpić w kwestii szpitala, doktor Evans nalega zaś, żeby operować w Saint Claire.

– Mogę pana zapytać, dlaczego tak na tym panu zależy? – zapytała, spoglądając na mnie.

– Z ważkich powodów natury medycznej. Przede wszystkim muszę czuć się u siebie. Wobec tej kwestii wszystkie argumenty polityczne tracą moc – odpowiedziałem.

– Doktorze Evans, czy jeśli udałoby mi się przekonać męża, żeby zmienił zdanie, podjąłby się pan operacji?

– Prawdę mówiąc, proszę pani, w tym momencie mam wrażenie, że cała ta sprawa mnie przerasta.

Uśmiechnęła się uśmiechem smutnym i spontanicznym. Uśmiechem autentycznym.

– Doktorze, wszystkich nas to wszystko przerasta. Pierwszą noc, którą spędziliśmy w tym domu, przepląkałam – z radości i ze strachu. Wiem, co to znaczy brać na siebie ciężar większy niż

jesteśmy w stanie unieść.

– Niekórzy, proszę pani, są do tego celu po prostu stworzeni, ulepieni z właściwej gliny.

– Miło, że wyraził pan to tak subtelnie.

Na chwilę zamilkła, spoglądając gdzieś ponad moim barkiem, przywołując wspomnienie lub uważnie dobierając słowa, zanim odezwała się ponownie.

– Wie pan, doktorze Evans, dlaczego akurat w taki sposób wybraliśmy neurochirurga? Kiedy dziesięć lat temu Billowi Clintonowi operowali kolanu, pod drzwiami bloku operacyjnego ustawiła się dosłownie kolejka chirurgów. Wszyscy chcieli móc powiedzieć, że operowali prezydenta i każdy z nich podczas zabiegu wykonał jakąś małą czynność. Widzieli w nim tylko jego stanowisko. My – przy wymawianiu tego zaimka lekko zadrżały jej usta i przez chwilę miałem wrażenie, jakby miała się rozpląkać – nie jesteśmy tacy.

– Proszę pani, użyli państwo swojej władzy i swoich wpływów, aby wybrać jak najlepiej. Nie dostrzegam jakiejś wielkiej różnicy między tym a przykładem, który mi pani podała.

– Nie, doktorze. Gdybyśmy się trzymali samych cyfr, moglibyśmy wybrać Alvina Hockstettera. Zdaje mi się, że zna go pan dobrze?

Na dźwięk nazwiska mojego dawnego szefa rezydentów z Uniwersytetu Johns Hopkinsa przeszedł mnie dreszcz. Choć nie widziałem go już od ponad pięciu lat, człowiek ten w dalszym ciągu budził we mnie przestrasz. Była to oczywista próba manipulacji i wszyscy troje byliśmy tego świadomi, ale nie byłem w stanie się jej oprzeć.

– Jemu także przedstawili państwo wyniki?

Pierwsza Dama przytaknęła.

– I wyraził gotowość operowania – dodała.

Jasne, że wyraził. Alvin Hockstetter był najbardziej aroganckim i pretensjonalnym wieprzem, jakiego kiedykolwiek poznałem. Był przy tym geniuszem autopromocji i niesamowicie uważnie dobierał sobie pacjentów, w których dostrzegał jedynie zbiór komórek. Hockstetter nie wierzył w istnienie duszy i uważał choroby po prostu za sposoby regulowania kręgu życia. W pewnym sensie miał nawet rację. W ujęciu biologicznym nowotwór nie jest błędem, ale jednym z wielu sposobów, w jakie natura eliminuje nas z powierzchni Ziemi, abyśmy zrobili miejsce tym, którzy przyjdą po nas.

W ludzkiej skali przekłety skurwysyn był tym samym wrogiem, który zabił mi żonę.

– Proszę pani, niech mi więc pani powie, dlaczego to ja tutaj jestem.

– Jedna z agentek Secret Service przez przypadek dosłyszała rozmowę z człowiekiem, który odwiedził pana w gabinecie. W rozmowie padło pańskie nazwisko i powiedziała mi, że pana zna.

Na te słowa oniemiałem. Mogło chodzić tylko o jedną osobę, tymczasem od wielu miesięcy z nią nie rozmawiałem. Zarówno ona, jak i mój teść nadal winili mnie za to, co się wydarzyło.

– Kate Robson? Ale...

– Agentka Robson to godna podziwu kobieta. Kiedy wspomniała, że jesteście spowinowaceni, zapytałam, jakim jest pan lekarzem. Powiedziała, że tego nie wie, ale że jest pan dobrym człowiekiem. I więcej mi wiedzieć nie potrzeba.

Ten pokaz pełnej spokoju pokory był dla mnie nie lada lekcją. Wymówki, którymi maskowałem własny strach, przestały mieć znaczenie. Pozostawało jeszcze powiedzieć jedno.

– Ani mnie, proszę pani. Zoperuję pani męża.

Nie potrafiłbym określić, ile czasu spędziłem na podłodze tego samochodu, z nogami obolałymi od wciskania ich w przedni fotel i z poobijaną kością guziczną.

Szary i Niebieski byli najnudniejszymi kierowcami na świecie. Nie włączyli nawet muzyki, podejrzewam, że uznali tak dlatego, żebym nie mógł oszacować upływu czasu. Poprosili mnie o oddanie telefonu komórkowego, upewnili się, że jest wyłączony, po czym włożyli go do schowka na rękawiczki.

– Oddamy go panu, jak pana odstawimy z powrotem do szpitala.

Po czasie, który wydał mi się bardzo długi – mogły to być trzy kwadransy albo mogła to być godzina, ale to tylko moje przypuszczenie – w nogach zaczęły łąpać mnie skurcze, nachodziło mnie lepkie poczucie niepokoju i znudzenia, kiedy samochód zjechał z autostrady, aby przez kilka minut kręcić się jeszcze po bocznych drogach. Później zjechaliśmy na drogę gruntową, której trzymaliśmy się pewien czas, co potęgowało mój ból w poślaskach. Nie wiem, czy w drodze była jakaś wyrwa, którą udało nam się ominąć, ale jeśli tak, to tylko dlatego, że Szary jej nie dostrzegł. Przyśiągłbym, że drań umyślnie starał się przejechać przez każdą.

Koła szurały po żwirze, nieprzyjemna wibracja przenosiła się zaś z karoserii na moje stawy i zęby. Wtem samochód lekko zmniejszył prędkość i wróciliśmy na asfalt. Kilka sekund później światło dnia zniknęło i wóz się zatrzymał.

– Doktorze, może pan już się podnieść. Przykro mi z powodu tych niedogodności – skłamał Szary.

Chwyając się w miarę możliwości przedniego fotela, zdołałem podźwignąć się do pionu. Miałem zeszywniałe kończyny i otumanione zmysły. Znajdowaliśmy się w całkowitej ciemności, bez jakiegokolwiek oświetlenia poza lampkami tablicy rozdzielczej, w jakimś dziwnym miejscu. Przypominało ono garaż, ale ściany były zbyt blisko siebie.

Znienacka zapaliło się kilkanaście świateł, oblewając nas niebieskawym blaskiem, i zasłoniłem oczy dłońmi. Rozległ się przeciągły metaliczny szczęk, którego echo pozostało na kilka sekund w głębi moich uszu, i cały samochód zaczął się przemieszczać.

Byliśmy w windzie. Żadnych przycisków, żadnych napisów, tylko wielkie powierzchnie nagiej stali. Jazda trwała kilka minut, które poświęciłem na rozcieranie sobie łydek w celu odzyskania krążenia. Kiedy się zatrzymaliśmy, ściana przed samochodem uniosła się powoli, odsłaniając niewielkich rozmiarów garaż. Mogło się w nim zmieścić około dwudziestu pojazdów, choć wszystkie miejsca postojowe, wyznaczone pasami czerwonej farby na błyszczącym szarym podłożu, były wolne.

Szary zaparkował możliwie blisko jedynych widocznych w garażu drzwi. Obaj wysiedli, ja zaś poszedłem w ich ślady.

– Tędy, doktorze.

Kiedy podeszliśmy, drzwi się otworzyły i znaleźliśmy się w krótkim korytarzu, który kończył się kolejną windą, również pozbawioną panelu sterowania. Po krótkiej jeździe w dół znaleźliśmy się w środku ogromnego prostokątnego pomieszczenia, w którym panował spory bałagan. Wszędzie leżały kartony, dokumenty i coś, co wyglądało na resztki umeblowania jakiegoś biura. Miejsze to oświetlały żarówki na ścianach, tworząc tępe trójkątne światła, między którymi pozostawało mnóstwo ciemnej przestrzeni. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach kurzu i stęchlizny.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy?

Szary wzruszył ramionami.

– Niech pan uważa, gdzie pan stawia stopy, doktorze. Ta część jest trochę zapuszczona.

Przeszliśmy wytyczoną wśród kartonów ścieżką, która przecinała to swoiste wysypisko na pół niczym rana. Po drugiej stronie pomieszczenia było kilkoro drzwi, a w narożniku przeciwległym do tego, z którego przybyliśmy, znajdowała się kolejna winda. Kiedy przeszliśmy przez następne drzwi, stanąłem jak wryty i odebrało mi głos. Wewnątrz znajdowała się zakurzona kopia Gabinetu Owального, odtworzonego do ostatniego szczegółu – był taki, jaki widziałem tysiące razy w telewizji. Nawet okno za biurkiem imitowało dzienne światło tak przekonująco, że zwątpiłem, czy na pewno znajdują się wiele metrów pod ziemią.

Chrząknięcia moich wesołych kompanów przywróciły mnie do rzeczywistości i zjechaliśmy ostatnią już windą. Wyszliśmy z niej na korytarz oddzielony szklanymi ścianami, przy którym mieściło się kilkadziesiąt pokoiów przypominających sale szpitalne. W głębi, oddzielone stalowymi panelami do wysokości pasa, znajdowały się różne gabinety. W jednym z nich, przy otwartych drzwiach i roznawiając przez telefon, przebywał prezydent. Zastanowiło mnie, jak to możliwe, że jego komórka ma tutaj zasięg, już jednak sam fakt istnienia tego miejsca nasuwał wyczerpująco wiele pytań.

Już miałem wejść do gabinetu, gdy drzwi się zamknęły, czy też raczej takie początkowo odniosłem wrażenie. W rzeczywistości to ktoś stanął mi na drodze. Był to naprawdę wielki gość, wyglądał ponadto tak, jak gdyby kupował ubrania o dwa numery za małe. Gdzie tam! Cały świat był dla niego dwa numery za mały.

– Doktorze Evans, jestem agent McKenna, dowódca eskorty prezydenta.

Nie podał mi ręki.

Ja również nie podałem mu ręki.

Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie, napawając się tą momentalną wzajemną niechęcią, jaką niekiedy – na szczęście rzadko – pojawia się między dwiema zupełnie nieznanymi osobami. Miał ogoloną głowę i wąski rudy zarost, który obrysowywał niemal nieistniejące usta. Czaszka błyszczała mu w świetle halogenów, a całe ciało aż krzyczało „były komandos Navy SEAL”.

Powoli skinąłem głową.

– Miło mi.

– Został pan zaproszony do tego obiektu na wyraźne życzenie prezydenta. Wszystko, co dotyczy tego miejsca, jest ściśle tajne i prosi się pana o zachowanie dyskrecji. Rozumiem, że możemy polegać na pańskim milczeniu.

„Żebyś tylko wiedział”.

– Agencie McKenna, poufność relacji lekarza i...

– Wiem, wiem, znam już tę gadkę – przerwał mi.

– Nie rozumiem zatem, dlaczego pan o to pyta.

Oczy agenta rozświetliła błyskawica złości, a idealne kółko zarostu wykrzywiło się w lekkim grymasie dezaprobaty.

– Ma pan rację, doktorze. Być może powinienem bardziej ufać własnej intuicji.

Zbyt wiele w życiu widziałem dokumentów National Geographic, żeby tak po prostu przełknąć tę demonstrację siły samca alfa. Tym bardziej ze strony faceta, którego marynarka wciąż cuchnęła zupą jarzynową.

– Skończył mi już pan obsikiwać nogę i mogę pójść zobaczyć się z pacjentem?

Ciche warknięcie dało mi do zrozumienia, że właśnie popełniłem błąd. Zazwyczaj to, że nie dałeś się zastraszyć, zbija osiłków z pantaląku, przede wszystkim dlatego, że przeważnie są to

krzyni. Kiedy pierwsza i jedyna ich zagrywka zawodzi, popadają w stupor. McKenna bynajmniej nie był jednak krzynem, nie kładąc uszu po sobie, zdołał go więc tylko bardziej rozgniewać. Lekko poruszył ramionami, a jego garnitur poskarżył się na przepełnienie upakowany mi wewnątrz muskułami.

Przełknąłem ślinę, ale się nie cofnąłem.

Gdybyśmy byli w barze, zwierzak posłużyłby się mną niczym mopem. Głos jego pana przerwał jednak naszą scenkę miłosną, nie dopuszczając takiej ewentualności.

– Doktorze, niech pan wejdzie!

Agent odstąpił na bok, na powrót przy bierając kamienny wyraz twarzy.

– Do zobaczenia jutro, doktorze – szepnął McKenna, kiedy go mijałem. – Będzie wesoło.

Nie miałem czasu, żeby się zastanowić, o co mu, do diabła, chodzi, prezydent szedł już bowiem do drzwi, aby się ze mną przywitać.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że tutaj się spotykamy? Sądzę, że znajdzie pan tu wszystko, czego panu trzeba.

Zmilczałem to, że po podróży wciąż bolały mnie kolana.

– Panie prezydencie, gdzie my, u licha, jesteśmy?

– Wszystko to zbudował mój poprzednik. Poziom zagrożenia terrorystycznego w tamtych czasach był ogromny i istniały przesłanki, które kazały nam wierzyć w możliwość detonacji brudnej bomby w Waszyngtonie. To miejsce przewidziano w celu zakwaterowania prezydenta i jego gabinetu w sytuacji, gdyby do tego doszło. W pełni wyposażony szpital, zaopatrzenie w wodę i żywność...

– Trochę to zapuszczone, prawda? – zauważyłem, przesuwając palcem po zakurzonym blacie.

Prezydent wzruszył ramionami.

– Pieniądze się kiedyś kończą, doktorze. Kiedy objąłem urząd, przyszło mi wybierać, a to miejsce nie było takie ważne. Są jeszcze inne takie. Istotne, że mamy tutaj to – powiedział, wskazując za siebie.

Trudno było nie zwrócić uwagi na ogromny metalowy cylinder, który zajmował połowę pomieszczenia. Była to maszyna do rezonansu magnetycznego. Niemiecka, z tych dobrych, po sześć milionów dolarów. Nie najnowsza, mogła mieć osiem czy dziewięć lat. Prawdopodobnie nie miała ostatnich aktualizacji oprogramowania, ale nie powinien to być większy problem. Mózg człowieka niewiele się zmienił w ciągu dwustu tysięcy lat, tak więc obraz z badania powinien być wystarczająco dokładny.

Poprosiłem prezydenta, aby się rozebrał.

– Wiem już, jak to idzie. Żadnych metalowych przedmiotów i tak dalej. Nie mam w głowie żadnych blaszek. Dziękuję, koc mi niepotrzebny – powiedział nieco nerwowo, usiłując zażartować.

Kiedy zniknął za niewielkim parawanem, opadło mnie absurdalne, dziwaczne poczucie nierzeczywistości. Kiedy włączałem maszynę, z drugiej strony parawanu dobiegały mnie odgłosy pieczolowicie składanej odzieży.

Z każdym kolejnym etapem tej historii coraz bardziej oddalałem się od codzienności pracy lekarza, od otoczenia, w którym nauczyłem się poruszać i w którym nad wszystkim panowałem. Miałem niemal fizyczne poczucie, jakbym znalazł się w filmie.

Tylko że według tego scenariusza, przynajmniej z punktu widzenia człowieka, którego miałem przed sobą, a także czekających na zewnątrz goryli, to ja byłem tym złym. Gdyby choć w najmniejszym stopniu podejrzewali, co się dzieje, powodujące mną motywy absolutnie by ich nie obchodziły. Rzuciliby mnie na ziemię i skuli kajdankami. Julię zaś czekałaby śmierć.

Nie mogłem dopuścić, żeby tak się stało.

Kiedy pacjent wyłonił się zza parawanu przebrany w szpitalną piżamę, zdumiony zmierzylem go wzrokiem. Wygląd jego ciała wyraźnie się poprawił, bez wątplenia w związku z nieuniknionym ograniczeniem działalności w ostatnich dwóch tygodniach. Wiedziałem, że prawie nie wychodził z Gabinetu Owalnego i że nawet pewien felietonista ze zdziwieniem skomentował ten spadek aktywności prezydenta. Zazwyczaj podczas drugiej kadencji wszyscy lokatorzy Białego Domu zienacka odkrywali, że mają do dyspozycji ogromny samolot, i starali się możliwie jak najwięcej z niego korzystać. Niemniej jednak – właśnie o tej porze roku, w której powinna panować największa krzątanina – prezydent ograniczył swoje wystąpienia publiczne do niezbędnego minimum.

Wyglądał lepiej, przybrał nawet nieco na wadze. Dostrzegł moje spojrzenie i poklepał się po brzuchu.

– Wiem, wczoraj żona zwróciła mi uwagę. Dawno nie widziała, żeby mi to rosło.

Grzecznie przytaknąłem.

– Proszę się położyć.

Ułożył się na długiej tacy aparatu, wzdrygając się, gdy gołe nogi dotknęły zimnej powierzchni.

– Na pewno nie chce pan koca?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, ale poprosiłbym o zatycki do uszu. Nigdy nie znosiłem zbyt ostrych dźwięków.

Na pobliskim stole stało pudełko z woskowymi zatykami, które podałem pacjentowi.

– Proszę leżeć tak spokojnie, jak to tylko możliwe – powiedziałem i wszedłem do niewielkiej szklanej kabiny, w której znajdował się panel kontrolny urządzenia.

Przez trzydzieści osiem długich minut, które zajęło maszynie wykonanie badania, umysł zapełniły mi myśli najczarniejsze z czarnych. Tkwiłem pochwycony niczym szczur w ciemnej dziurze, a moja niechęć do osoby, która postawiła mnie w niemożliwej sytuacji, zmuszając do zabicia pacjenta, powoli zaczęła przenosić się na chorego. Podczas gdy ogromne cylindry wewnątrz maszyny pobudzały miliony atomów wodoru wewnątrz mózgu prezydenta, aby móc idealnie zobrazować każdą jego tkankę, we mnie narastała wrogość. Zamknięty w tej kabinie, wiele metrów pod powierzchnią ziemi i bez marginesu swobody działania, czułem się jak w potrzasku.

Dopała mnie klaustrofobia.

Zawsze odczuwałem lęk przed sytuacjami, z których nie wiedziałem, w jaki sposób mogę się wyrwać, co, jak podejrzewam, wynikało z bycia dzieckiem systemu. Za każdym razem, kiedy pani z opieki społecznej zabierała mnie do nowego domu zastępczego, pewnym chwytym dłoni trzymając mnie za kark, dygotałem. Oto tkwiłem w zamknięciu z obcymi mi ludźmi, którym nie zależało na mnie, tylko na przekazie pieniężnym od rządu, który otrzymywali co miesiąc dopóty, dopóki się mną zajmowali. Gdziekolwiek to było, wszyscy byli tacy sami. To samo ciemne i puste spojrzenie, te same tłuste plamy po pizzy na koszuli u niego, te same żółte od nikotyny palce u niej, te same zagubione sieroty wypełniające korytarze. Kiedy tylko tam traślałem, pozostawałem w pomieszczeniach znajdujących się jak najbliżej drzwi, jeśli było zbyt zimno, żebym mógł przebywać na zewnątrz. Nienawidzę deszczu. Nienawidzę ścian. Nienawidzę, kiedy ktoś dokonuje wyboru za mnie.

Kiedy rodzice adopcyjni przywieźli mnie do swojego domu, zachowywałem się jak zbiegły z piekła demon. Tak na wszelki wypadek Wykazali się nieskończoną cierpliwością, aby mnie zrozumieć, i zmusili mnie do podjęcia drugiej najodważniejszej decyzji w moim życiu. Zmusili mnie, żebym ich pokochał.

Najodważniejszą – i najlepszą – była decyzja, żeby wziąć Rachel za żonę. W dzisiejszych czasach rozwodów błyskawicznych może się to zdawać blahostką, ja jednak nie jestem z tych, którzy wycofują raz dane słowo. Jak na kogoś, kogo przerażała wizja kompromisu, był to gigantyczny krok.

Nie mogłem również zapomnieć, że przed kilku laty wygłosiłem przysięgę, w myśl której nigdy nie miałem zaszkodzić drugiemu człowiekowi.

Znienacka formujący się jeszcze na monitorze obraz sprawił, że zmarszczyłem brwi. Nie wyglądało to dobrze.

Kiedy taca z brzękiem wysunęła się z maszyny, pacjent podniósł się i zaczął rozcierać ramiona i nogi, aby rozgrzać i rozruszać mięśnie.

– Jasny gwint, ależ to męczące!

Powoli skinałem głową. Miałem ochotę stamtąd wyjść, najpierw jednak musiałem przekazać mu że wieści, co niekoniecznie mi się uśmiechało. Jeśli jednak był ktoś, kto przywykł do wycofywania tego typu wiadomości z twarzy rozmówcy, to był to właśnie on.

– Urósł, prawda?

– Tempo rozwoju nowotworu uległo przyspieszeniu. To niedobrze.

Przez chwilę milczał.

– Ale nie jest znowu tak strasznie, prawda? Koniec końców, operacja to już kwestia godzin.

– Im więcej jest w pana mózgu tkanki nowotworowej, tym trudniej będzie mi ją w całości usunąć, panie prezydencie. Zwiększa to prawdopodobieństwo wcześniejszego rozrostu. Czy tego, że podczas zabiegu uczynię z pana cynamonowej karnacji sałatę.

Parsknął tym swoim charakterystycznym, nosowym śmiechem, który miałem okazję zaobserwować przy tysiącach jego wystąpień. Ponury półśmiech, który mi posłał, był jednak czymś nowym – było to oblicze prezidenta, które znali nieliczni.

Podniósł się i poszedł za parawan. Po kilku sekundach powrócił z paczką marlboro i zapalniczką.

– Pali pan?

– Nie. Według słów szefa pańskiego gabinetu, sam pan rzucił palenie sześć miesięcy temu.

– Obawiam się, że w tej kwestii nie byliśmy wobec wyborców zbyt szczerzy – przyznał, zapalając papierosa i siadając na leżance.

Chciałem już powiedzieć, że to nieodpowiednie miejsce, aby palić, ale koniec końców był to jego pieprzony bunker. Poza tym dopiero co przekazałem mu wiadomość, po której każdy miałby prawo sobie zapalić.

– Nieszczery polityk? Pozwoli pan, że spróbuję opanować swoje zdumienie.

– Dlaczego nienawidzi pan polityków?

– Nie tyle nienawidzę, ile nie jestem szczególnie zachwycony tym, że istnieją.

Poruszył lekko wargami, rozbawiony sytuacją, na chwilę zapominając o tym, co się dzieje. Nieczęsto ktoś tak się do niego zwracał.

– Nie lubi mnie pan, doktorze?

– Prawdę mówiąc, głosowałem na drugiego kandydata.

Gówno prawda, ale niech sobie nie myśli.

– Doktorze, wiem, że cała ta sytuacja pana irytuje. Irytuje pana, że ściągnąłem pana aż tutaj i że wszystko to jest robione na wariata. Mógłbym opowiedzieć panu dziesiątki sytuacji z ostatnich lat, w których musiałem łamać procedury. Z pewnością o niektórych z nich już pan słyszał albo je sobie wyobraża. Ostatnio wszystko trafia na Twittera. Nawet kiedy ruszyliśmy po Osamę, jeden z moich ludzi pozwolił sobie o tym ćwierknąć.

– Nie śledzę zbyt uważnie Twittera, panie prezydencie. Wiem jednak, że Justin Bieber ma na nim więcej obserwujących niż pan.

Wypuścił dym z ust, śmiejąc się w głos, co sprawiło, że się zakrztusił. Kilka razy zakaszał, szybko i nerwowo.

– Wcześniej sądziłem, że to ten szajs mnie zabije. Wygląda jednak na to, że nie.

– Najprawdopodobniej nie.

Zgasił papierosa na starej gazecie, która leżała na stole w gabinecie.

– Przepraszam, doktorze. Wiem, że pana zdaniem powinienem się zoperować kilka tygodni temu i że wszystko to można było załatwić w inny sposób. Proszę mi wierzyć, że taknie jest.

„Owszem, tak właśnie jest, durniu patentowany! Gdybyś to wtedy zrobił, White nie porwałby mi córki” – pomyślałem. Zamiast to jednak powiedzieć na głos, uśmiechnąłem się głupkowato.

– Nie zajmuję się polityką dla własnej chwały, tylko po to, żeby robić to, co słuszne – kontynuował. – Do tej pory udało nam się załatwić wiele spraw, ale znacznie więcej pozostaje wciąż do załatwienia. Na przykład projekt prawa podatkowego Kyle’a-Brogana. Jeśli uda nam się je przyjąć, ograniczymy w tym kraju władzę jednego procentu najbogatszych.

Pokryłem głową. W ostatnich miesiącach wszyscy słyszeli o prawie Kyle’a-Brogana. Wszyscy również, jak się zdawało, mieli wypracowaną na jego temat opinię, mimo że według „Washington Post” robocza wersja ustawy liczyła osiemset stron i szczerze wątpiłem, żeby kogośkolwiek przeczytał ją w całości. Jeśli udałoby się ją przyjąć, byłoby to wielkie osiągnięcie, które zapewniłoby obecnej administracji poczesne miejsce w historii. Ja jednak jako lekarz, musiałem zastanowić się nad czymś zgoła odmiennym.

– Panie prezydencie, ale czy warto za to oddać życie?

– To dobre pytanie. Sam zapytałem o to żonę w dniu, w którym poznał się z panem w Białym Domu. Żona...

Głos mu zadrżał i musiał przerwać, aby powstrzymać emocje.

Przywykłem do tego, że pacjenci w moim gabinecie otwierają się i zwierają z intymnych spraw. Wszyscy wcześniej czy później tak czynią, nawet ci najsilniejsi i najbardziej wstrzemięźliwi. Potrzebują bowiem wierzyć we mnie, w samych siebie, w swoje możliwości. Wszyscy muszą coś o sobie wytłumaczyć, coś powiedzieć, a bliski kontakt ze śmiercią tę potrzebę wyostrza.

Jak gdyby moja ręka miała operować precyzyjniej tylko dlatego, że uznam, że zasługują, aby żyć. Jak gdyby do mnie należało to oceniać albo jakbym miał zdolność wpływania na rzeczywiście.

– Żona – powiedział po chwili prezydent – przez dłuższą chwilę wyglądała przez okno, nie odpowiadając. W końcu się obróciła i spojrzała wprost na mnie, o tu. – Dwoma palcami wskazała oczy. – Odezwała się chłodnym i spokojnym głosem. Stwierdziła, że jeśli rzeczywiście mogę uczynić różnicę, jeśli mogę zostawić świat lepszy dla moich córek córek, będzie to znaczyło, że warto by było zaryzykować. Dlatego podejmuję właśnie takie...

Podniosłem rękę, na co przerwał zaskoczony.

– Chwileczkę, panie prezydencie! Ma pan świadomość, że zdublował pan słowo?

– Nie zdublowałem – odparł, mrużąc oczy.

– Owszem, zdublował pan. Proszę powtórzyć takie zdanie: „Moje córki mają małego pieska”.

Zanim odpowiedział, minęła chwila.

– Moje córki córki mają małego pieska.

– A teraz ma pan świadomość, że zdublował pan słowo?

– Nie – odpowiedział. W jego oczach dostrzegłem ślad przerażenia.

– Proszę powiedzieć „córki”.

– Córk! córk!

– A teraz proszę podzielić to słowo na sylaby.

– Cór-ki – powiedział, czyniąc między dwiema sylabami ogromną przerwę.

– W porządku. A teraz całe słowo.

– Córki córk! Dostć tego, doktorze, proszę! To upokarzające.

Fala współczucia zmyła dotychczasową niechęć i przez chwilę poczułem wstyd. Nadmiernie przycisnąłem pacjenta.

– Czy już się to panu wcześniej zdarzyło?

Prezydent zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy. Następnie jednak przytaknął.

– Co to oznacza? – zapytał.

– Panie prezydencie, nowotwór atakuje obszar odpowiedzialny za mowę. Za kilka dni straci pan zdolność wypowiadania się.

Poczułem uścisk w przedramieniu. Kiedy spojrzałem w dół, zauważyłem ogromną, silną rękę najpotężniejszego człowieka świata, który desperacko mnie chwycił. W jego obliczu zaś, pod maską godności, którą mimo wszystko potrafił wciąż utrzymać, strach płonął niczym ognisko.

– Proszę, doktorze. Niech mnie pan ratuje. Mam jeszcze tyle do zrobienia.

Kiedy agenci Secret Service wysadzili mnie przy jakże arystokratycznym bruku Kaloramy, w odległości kilku przecznic od szpitala, zamrugałem zdziwiony nagłym uderzeniem normalności. Jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby wszystko to było zaledwie złym snem.

Tak jednak nie było. Tyłek wciąż mnie bolał po dwóch kursach spędzonych na podłodze samochodu, a rękaw mojego białego fartucha nadal był wymięty w miejscu, w którym ręka prezydenta chywy ciła mnie z siłą hydraulicznego podnośnika.

Julia zaś w dalszym ciągu znajdowała się w łapskach bezlitosnego psychopaty.

Na myśl o panu Whicie wyciągnąłem z kieszeni telefon, aby go włączyć, nie musiałem jednak tego robić. Ekran był podświetlony, kiedy zaś spojrzałem na niego, serce mi podskoczyło. Nie widniał na nim bowiem nudny niebieski obrazek tła ze standardowych ustawień urządzenia, ale było tam coś innego. Tło, które usunąłem przed kilkoma miesiącami, ponieważ oglądanie go sprawiało mi zbyt wielki ból. Tło z fotografią Julii i Rachel pałaszujących lody truskawkowe. Na bluzce Julii znajdowało się więcej lodów niż w jej rożku.

Na chwilę mną to wstrząsnęło. Ten wredny skurwiel był w stanie manipulować moimi wspomnieniami i uczuciami, jakby to były pionki na szachownicy. Nawet nie przysyłając mi wiadomości, i tak zdołał tym zdjęciem ponownie schwytać mnie za gardło. Przypominał mi, jaka była stawka. Tak jakbym mógł o tym przestać myśleć.

Zmusiłem się do oderwania wzroku od twarzy Julii – zadowolonego diabełka – i udającej rozgniewaną minę Rachel, aby skupić się na widocznym w telefonie zegarku.

Szesnasta. Spóźniałem się na wyznaczone spotkanie.

Zadrzały mi nogi i nagle zdałem sobie sprawę z własnego wyczerpania. W ciągu ostatniej doby właściwie nic nie jadłem ani niczego nie piłem, kilka godzin niespokojnego snu specjalnie nie ratowało zaś sytuacji. Zachowując się tak dalej, ryzykowałem popełnienie jakiegoś fatalnego błędu, teraz jednak nie mogłem sobie na to pozwolić. Zawahałem się, czy pędzić na spotkanie, czy najpierw coś zjeść, ostatecznie poświęciłem kilka minut, żeby zajrzeć do swojego gabinetu po pieniądze.

Bez względu na to, jak bardzo burczało mi w brzuchu, istniał jeszcze istotniejszy powód, żebym się spóźnił – potrzebowalem alibi. Mój telefon, to przekłete piekielne urządzenie, nie mógł mi towarzyszyć, White bowiem natychmiast by mnie namierzył. Wyciągając z portfela kilka dwudziestek, odłożyłem telefon na biurko. Usiłując zamarkować bezrozumno, wychyliłem się przez drzwi i zawołałem do koleżanki z sąsiedniego gabinetu, że idę po coś do jedzenia i czy nie chce niczego z bufetu. Chcąc zadbać, żeby roztargnienie wypadło autentycznie, zamknąłem drzwi i ruszyłem do windy tak szybko, jak tylko mogłem.

– Doktorze Evans! – zawołała Carla, przełożona pielęgniarek na popołudniowej zmianie. – Dzwoniła doktor Wong i uparczywie o pana wypytywała. Dzwonił również dyrektor Meyer.

– Umieram z głodu. Nie mam teraz czasu na te bzdury – odparłem, nie odwracając głowy.

Nie musiałem na nią spoglądać, żeby wiedzieć, że z wrażeń opadła jej szczęła. Carla była jak królowa pszczoł. Jedną z tych, które w porze, kiedy pielęgniarki schodzą do pokoju socjalnego, aby zjeść drugie śniadanie, wbija spojrzenie w tę, która przyniosła potrawę o przykrym dla niej zapachu, i delikatnym, cichutkim głosem ją karci, doprowadzając ją do łez. Nikt nigdy nie śmie

się jej sprzeciwić.

Nie lubiłem Carli, dlatego zawsze starałem się ją traktować z wyjątkową uprzejmością, którą rezerwuję dla osób niesympatycznych. Moja obcesowa reakcja okazała się dla niej zupełnym zaskoczeniem i przez krótką chwilę jej zmieszanie zdołało nieco poprawić mi nastrój. Było to krótkotrwałe i małosłowne poczucie ulgi, które obróciło się przeciwko mnie, gdy zjeżdżałem windą do smutnej i opustoszałej stołówki. Niezbyt ściśle przestrzegałem poleceń White'a, żeby zachowywać się uprzejmie i nie zwracać na siebie uwagi. Co więcej, czekała mnie reprimenda ze strony szefowej za zniknięcie na tyle godzin, zignorowanie obchodu ze studentami i Bóg wie co jeszcze.

Widok potraw wyłożonych w zimnej fluorescencyjnej poświacie nie poprawił sytuacji. Jeśli tylko mogłem tego uniknąć, nigdy nie jadałem w stołówce, podobnie jak większość pracowników Saint Claire. Pływające w tłuszczu organiczne resztki można było uznać za wszystko, ale nie za coś jadalnego. Jediną dobrą stroną istnienia stołówki w elitarnej lecznicy było to, że jeśli po spożyciu czegoś takiego dostałbyś zawału, to oddział kardiologii znajdował się naprawdę blisko.

Z głodu byłem osłabiony i kręciło mi się w głowie, ale nie mogłem sobie pozwolić na większe opóźnienie. Chwyciłem w pośpiechu garść batoników energetycznych i colę – nigdy, pod żadnym pozorem, nie wziąłbym tam nic gotowanego – i zapłaciłem zdumionej kasjerce. Posłałem jej uśmiech, po części próbując zadośćuczynić za moje wcześniejsze opryskiwe podejście do szefowej pielęgniarek, ale nie spotkałem się z odzewem. Przestrzeni skrytej za jej obliczem bez wyrazu nie zdawała się kłopotać absolutnie żadna myśl.

Nie skorzystałem z windy. Żeby zjechać nią z parteru w tej części budynku, trzeba było użyć klucza, którego nie miałem. Zszedłem więc po schodach usytuowanych obok kiosku z prasą i upominkami, pospiesznie pochłaniając jeden z czekoladowych batoników z ziarnami zbóż i owocami. Cukier wdarł się do krwiobiegu, przydając mi energii, która, wiedziałem, że mi się przyda. Byłem już bardzo spóźniony, dlatego pokonałem biegiem cztery ciągi schodów, co nie było najmądrzejszym pomysłem, zważywszy, że na nogach miałem durne szpitalne trepy. Nie było miesiąca, żeby na traumatologii nie musieli zajmować się kolegą po fachu, który zleciał ze schodów, ponieważ akurat przeglądał kartę pacjenta lub skupiał uwagę na telefonie komórkowym. Po ponad stu pięćdziesięciu latach korzystania granitowe stopnie schodów miały powycierane i nieregularne brzegi. Taśmy antypoślizgowe, które kierownictwo szpitala uporczywie naklejało, nigdy dobrze nie przylegały, odczepiały się i zawijały, przekształcając się w lepkie pułapki, i raczej wywoływały więcej wypadków niż im zapobiegały.

Saint Claire jest naszym stara wiktoriańska dama. Z zewnątrz – z wielkimi oknami i wspaniałą zielenią wspinającą się po murach z czerwonej cegły – sprawia wrażenie pięknej. Od środka jednak to stara, zdradziecka suka z mnóstwem natręctw, problemów i sekretów. Najstraszliwsze z nich gnieźdzą się w podziemiach, oddzielonych od schodów drzwiami, które powinny pozostawać zamknięte na klucz, ale zawsze są otwarte. Z tego, co wiem, poprzednik Meyera był ostatnim dyrektorem, który starał się zadbać o przestrzeganie tej zasady. Wstawił zamek i poinformował wszystkich zatrudnionych, że wstęp mają tam jedynie pracownicy techniczni i personel koczowniczy. Następnego dnia rano okazało się jednak, że zamek rozwiercono wiertarką, co jest pewną ironią, jeśli wziąć pod uwagę zastosowanie, jakie napaleni pracownicy znajdują dla ciemnych korytarzy i dyskretnych wnęk podziemi.

Dyrektor metodysta polecił wezwać ślusarza i wysłał do wszystkich memorandum, skarżąc się na wandalę, który zniszczył własność szpitala. W piśmie podkreślał, że personel powinien

zachowywać wstrzemięźliwość i „powstrzymać się przed wykorzystaniem mniej uczęszczanych części szpitala w nieprzyzwoitych celach, nieliczących z *decorum* właściwym naszemu zawodowi i tej wielkiej instytucji”. Zamek zniszczono również następnego dnia, i następnego, i następnego. I tak przez dwadzieścia dni, podczas gdy ślusarz robił interes życia. Dwudziestej pierwszej nocy wandal wykazał się kreatywnością i przyniósł piłę tarczową, za pomocą której wyciął spory fragment drzwi wokół zamka. Determinacja dyrektora, żeby uniemożliwić pracownikom korzystanie nocną porą z tak im potrzebnego wentyla, osłabła, co z ulgą powitali wszyscy z wyjątkiem ślusarza.

Nikt nie zwracał sobie głowy łataniem wyciętej w drzwiach dziury. Ziejąca w drewnie ogromna rana z czasem pociemniała, w dalszym ciągu zachowała jednak ostre krawędzie, o czym przekonałem się w najgorszy możliwy sposób, popychając je w pełnym biegu. Dotykając się w miejscu na przedramieniu, gdzie zadrapałem skórę, rozejrzałem się wokół, usiłując przytomnie sobie drogę. Kostnica znajdowała się po prawej, w najlepiej znanej części tego labiryntu białych światła. Na wprost były pralnia i zakład utylizacji odpadów medycznych, złowieszcze miejsce z mnóstwem ostrzeżeń o zagrożeniu biologicznym – aby tam wejść, trzeba było być ostatnim szaleńcem. Po lewej zaś, nieco dalej, były generatory i kotłownia. Najstarsi doświadczeni lekarze mawiają, że pod kotłownią znajduje się zejście do niższego podziemia, o wiele większego, które od dziesięcioleci pozostaje zamknięte. Jeśli to prawda, wolę nie wyobrażać sobie okropieństw, jakie tam czyhają. Już na tym poziomie, mimo ton trutki rozrzucanej przez woźnych na każdym rogu, gryznie panoszą się w najlepsze. Jeśli na kilka minut przystaniesz w czysy pośrodku korytarza, usłyszysz, jak piszczą i biegają w przestrzeni między ścianami oraz w dziesiątkach rur. W tym momencie byłem jednak w stanie słyszeć jedynie własny urywany oddech, gdy z porzuciłem pozory i po prostu biegłem korytarzami przed siebie. Dwukrotnie się pomyliłem na rozstaju dróg, ostatecznie jednak zdołałem się na powrót odnaleźć.

Z wywieszonym językiem i kłującym bólem w boku dotarłem do drzwi kotłowni. Gdy oparłszy dłonie na kolanach, usiłowalem odzyskać oddech, dosłyszałem za plecami hałas.

– Spóźniłeś się, Davidzie.

Za mną, ubrana w skózaną kurtkę i jeansy, stała Kate. Z rękami założonymi na piersi opierała się plecami o ścianę. Jej ciemne, głębokie i ostre oczy wpatrywały się we mnie przenikliwie. Oczy klaczy na kocim obliczu, oczy, które widzą zbyt dużo. Silny i prosty podbródek był skierowany w moją stronę i lekko uniesiony. Była wyczerpana i wściekła, żeby wspomnieć tylko o tym, co można było wyczytać z twarzy. Fala uczuć buzujących pod skórą od czasu śmierci Rachel, a nawet jeszcze wcześniej, była zbyt złożona. Wiedziałem o tym, ona zaś wiedziała, że to wiem, co czyniło sprawę paszudniejszą i bardziej wyczerpującą. Od tamtej pory oddaliśmy się od siebie, ona zaś nie widywała Julii poza tymi nielicznymi okazjami, kiedy jednocześnie przebywaliśmy w domu moich teściów. To również było bolesne, ponieważ przepadały za sobą. Były równie impulsywne, czułe i bezmyślne.

– Przepraszam, Kate. Naprawdę mi przykro – powiedziałem z gulą w gardle. Po części przez zmęczenie biegiem, po części przez to, co miało nastąpić.

Powoli skłębła głową, przekonana, że mam na myśli swoje spóźnienie. Nic bardziej mylnego.

– Davidzie? Co, u diabła, jest tak ważne, żeby mnie tutaj ściągać aż z Wirginii?

Wzięłem głęboki oddech, przygotowując się na jej reakcję.

Wiedziałem bowiem, że kiedy otworzę usta, zdruzgocę jej życie.

– Julia została porwana.

Zdumienie na twarzy Kate było ogromne. Odsunęła się od ściany i podeszła do mnie.

– Co ty mówisz? Jesteś pewien?

– Absolutnie – odparłem, uważnie się w nią wpatrując. Chciałem ostrożnie dobrać słowa.

– Kiedy się to stało?

– Wczoraj wieczorem, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą trzecią.

– Jasna cholera! I jeszcze nie powiadomiłeś policji? Davidzie, jak najszybciej do akcji musi wkroczyć FBI! – Wyciągnęła z kieszeni kurtki telefon i zaczęła wybierać numer. – Mam tam kolegę, który...

Chwy ciłem ją za przedramię.

– Nie, Kate! Powiedzieli mi, że bym tego nie robił.

– Cholera! Zawsze to mówią. Jeśli to od nich by zależało... Kurwa, musimy jak najszybciej zadzwonić!

– Nie mogę, Kate.

Wyszarpnęła się z mojego uścisku i ponownie zaczęła stukać w klawiaturę telefonu. W jej głosie pobrzniwał ton zaalarmowania, którego nigdy dotąd nie słyszałem, jak gdyby słowa rozpaczliwie uciekały jej z ust. Jak na kogoś, kto zazwyczaj był twardy jak skała, było to coś niespotykanego i przejmującego.

– Pierwsze godziny są najważniejsze! A ty musisz przygotować tyle gotówki, ile tylko zdołasz.

Już ci powiedzieli, ile chcą?

– Kate, oni nie chcą pieniędzy. I nikomu nic nie powiesz.

– Nie ma zasięgu. – Podniosła telefon i potrząsnęła nim w daremnym geście, który czynimy, chcąc spowodować, żeby widoczne na ekranie magiczne kresczki urosły, łącząc nas ze światem.

– Musimy jak najszybciej wyjść na górę i zadzwonić.

– Kate, ja wiem, że w tym miejscu nie ma zasięgu. Właśnie dlatego ściągnąłem cię tutaj, gdzie nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy.

Przestała potrząsać telefonem i bardzo powoli odwróciła głowę w moją stronę. Miała półprzymknięte oczy i w tym właśnie momencie zdałem sobie sprawę, jak niesamowicie paranoicznie zabrzmiały moje ostatnie słowa i jak bardzo podejrzone wydawały się moje poczynania w ostatnich godzinach.

– Davidzie, to prawda? Czy Julii się coś stało, czy chcesz mi o czymś powiedzieć?

Nie byłbym pierwszym wstrząśniętym wdowcem, który stracił głowę i zrobił coś strasznego, coś drastycznego i niewybaczalnego, aby ułatwić sobie zejście z tego świata. Dlatego właśnie ty lu świrów z psychozą depresyjno-maniakalną bierze za cel członków własnej rodziny.

– Nie, Kate, tyle że...

– Davidzie, gdzie jest Julia?

Chwilę trwało, zanim odpowiedziałem. A kiedy już odpowiedziałem, zrobiłem to w najgorszy możliwy sposób.

– Ja... Kate, to wszystko moja wina. Mam nadzieję, że zdołasz mi wybaczyć – powiedziałem, wyciągając ku niej rękę.

Kate również wyciągnęła rękę, zamiast jednak mi ją podać, złapała mnie za nadgarstek i wykorzystując siłę inercji, obróciła mnie i przycisnęła twarzą do ściany. Była ode mnie prawie

dwadzieścia centymetrów niższa i ważyła dwadzieścia kilogramów mniej, ale obezwładniła mnie w mniej niż sekundę. Nie usiłowałam się odwrócić, chciałam ją bowiem przekonać, że nie oszalełam, choć nawet gdybym chciał, niewiele by to dało. Przy takiej dźwigni, jaką mi założyła, wystarczyłby lekki nacisk, aby zwichnęła mi łokieć.

– Mów, gdzie jest mała, Davidzie, albo knę się na Boga, że złamię ci rękę!

Leżko przy cisnęła mi ramię i stęknąłem z bólu.

– Zabrali ją, Kate! Puść mnie, do kurwy nędzy! W ten sposób jej nie pomożemy!

Zamilkliśmy na chwilę ciągnącą się w nieskończoność. Słyszałem buszujące kilka centymetrów od moich uszu szczyry i bulgot ścieków spływających rurami kanalizacji. Ściana wydiała woń wapna i wilgoci.

Kate w końcu mnie puściła i trochę się cofnęła.

– Odwróć się!

Wykonałem polecenie, rozcierając ramię i twarz w miejscach, w których dotykały ściany. Kate stała bardzo blisko i mierzyła mnie wzrokiem, wypatrując oznak kłamstwa. Była zbyt blisko i choć zabrzmiało to dziwnie, sprawiło mi to jeszcze większy dyskomfort niż chwyt obezwładniający, którym potraktowała mnie wcześniej. Czuję, że mam ziemisty, kwaśny oddech, tak więc starałem się oddychać przez nos do czasu, aż w końcu trochę się cofnęła.

– Przepraszam, Davidzie. Zdenerwowałam się.

– Teraz mi wierzysz?

Kate oparła dłonie na biodrach, wciąż nie spuszczać mnie z oczu.

– Wierzę, że Julia zniknęła i że to nie twoja sprawa. Wiem jednak również, Davidzie, że nie mówisz mi całej prawdy.

– Powiem, ale pod jednym warunkiem. Musisz mnie wysłuchać do końca. Jeśli po wszystkim nadal będziesz chciała wzywać FBI, nie będę cię powstrzymywał.

Namyśliła się przez chwilę, po czym skinęła głową.

– Mów!

Tak również uczyniłem.

Zacząłem od operacji Jamaala Cartera, opowiedziałem, jak wróciłem do domu i nikogo nie zastałem. I że w pokoju Swietłany unosiła się drażliwa woń wybielacza.

– Zrobili to, żeby zatrzeć po niej ślady. Wszystkie ślady DNA lub krwi, jeśli doszło do bójki.

– Nie, nie doszło. Zaraz do tego dojdziemy, ale nie żyła.

– Była u was od niedawna, prawda? Najwyraźniej pracowała dla porywaczy.

Przytaknąłem i wyjaśniłem, jak czym prędzej pojechałem do domu rodziców Kate w Fredericksburgu, jak pokłóciłem się z Jimem i jak gonił w deszczu za moim samochodem.

– Tego ranka miał katar i był w bardzo podłym nastroju. Powinam była się domyślić, że to przez ciebie. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która potrafi tak wyprowadzić go z równowagi.

– To samo zawsze mówiła Rachel.

Zapadła niezręczna cisza i Kate odwróciła spojrzenie.

– Powiedz mi, jaką otrzymałeś wiadomość.

– Było w niej żądanie, że mam się z kimś spotkać w kawiarni, w której bywam codziennie. Tam czekał on.

Zrobiłem pauzę i przełknąłem ślinę. Po raz pierwszy miałem komuś podać jego nazwisko. Wszystko, co opowiedziałem Kate, wyraźnie łamało reguły, które mi narzucił. W pewien sposób wymówienie na głos jego nazwiska stanowiło jednak grzech definitywny, nawet jeśli następowało to w głębinach podziemi Saint Claire.

– Pan White.

Opisałem go ze wszystkimi szczegółami, podobnie jak jego towarzyszy. Przynajmniej zaś tyle, ile byłem w stanie zauważyć, ale nie było tego zbyt dużo. Wyglądało jednak na to, że moja wiedza o ich przełożonym również na niewiele się zdawała.

– Davidzie, ten opis brzmi zbyt pospolicie. I jeśli gość nie jest notowany, to bez zdjęcia czy choćby prawdziwego nazwiska nic nam to nie daje. Po cholereę chciał się z tobą widzieć twarzą w twarz? To nie jest typowe zachowanie.

Opowiedziałem jej o rozmowie z White'em. O jego wykształconym i groźnym głosie. O jego oczach rekiną i kontrolowanych gestach. O iPadzie, za pomocą którego kontrolował norę, w której przetrzymywali Julię.

– A kiedy mi już to pokazał... powiedział, czego ode mnie chcą.

Kate, która słuchała mnie uważnie z przechyloną na bok głową i delikatnie stukając podszwą w podłogę, nagle przestała to robić i bardzo powoli zwróciła się w moją stronę.

Miała oczy szeroko otwarte, w nich zaś było widać przerażenie.

– Davidzie... Davidzie, czego oni od ciebie chcą?

Powiedziałem jej.

– Nie.

Cofnęła się ku korytarzowi.

– Kate!

– Nie! – powtórzyła, kręcąc głową. – Muszę poinformować dowódcę mojego oddziału. Musimy natychmiast zabrać prezydenta w bezpieczne miejsce.

– Kate, nie możesz tego zrobić. Inaczej zabiją Julię.

– Davidzie, jestem agentką Secret Service! Kurwa, to spisek na życie prezydenta! A zamachowiec stoi przede mną!

– Kate, tu chodzi o twoją siostrzenicę. Ona ma zaledwie siedem lat.

Na dłuższą chwilę zamilkła. Wbiła spojrzenie w dal, odwróciła się do mnie plecami, po czym zgięła się wzdłuż i z napięcia zwymiotowała na posadzkę. Opierała się ręką o ścianę, a jej ciałem kilkakrotnie szarpnęły wstrząsy, treść żołądkowa obryzgała zaś podbicie jej skórzanych botków na obcasie.

Przyglądałem jej się z dystansu, podczas gdy próbowała zebrać się w sobie, czując ogarniającą ją wstyd i wściekłość. Nie mogłem jej pocieszyć, choć całe moje ciało pragnęło, żeby podejść do niej i ją przytulić, przyniosłoby to bowiem skutek przeciwny do zamierzonego. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłem jako lekarz, było to, że istnieje znacznie więcej sposobów, żeby komuś zaszkodzić niż by komuś pomóc. Jakkolwiek smutno i cynicznie to zabrzmiało, nie robiąc nic, mniej ryzykujemy, że się pomylimy.

Mimo to – a także dlatego, że jestem kretynek – położyłem jej rękę na ramieniu. Kate wzdygnęła się nagle, ja zaś się cofnąłem. Sam się o to prosiłem.

Owładnęło mną głębokie współczucie dla niej. Doskonale wiem, jak to jest otrzymać wiadomość, która wywraca twój świat do góry nogami. Na ułamek sekundy serce przestaje bić, jak gdyby ktoś ukradł ci jego uderzenie, twoje ciało reaguje bowiem szybciej niż umysł i w miarę możliwości chciałoby w tej właśnie chwili zatrzymać upływ czasu. Jeśli jednak nawet twoje serce się zatrzyma, to świat tego nie uczyni, dlatego bije dalej, z kolei wiadomość dociera do twojego mózgu. Jeśli jesteś inteligentny – Kate zaś była, i to bardzo – w tym momencie usłyszana informacja przemienia się w iskrę elektryczną, za sprawą której mruga pewna żarówka. Jej światło ukazuje ciemny i pełen koszmarów pokój, który zawsze tam był, ale do którego nie odważyłeś się dotąd wejść. Twoje życie nie będzie się już toczyło w salonie, gdzie rozsiadałeś się z wyciągniętymi nogami, podczas gdy wesoly ogień tańczył w kominku. Nie,

twoje życie będzie się teraz toczyć w tej wilgotnej i ponurej celi. Za ścianami czai się zaś więcej cieni, których nie odważasz się nazwać po imieniu.

Już nic nie będzie takie samo. I jest to sytuacja nie do przyjęcia.

Tak więc nie przyjmujesz tego do wiadomości. Atakujesz otrzymaną informację ze wszystkich możliwych stron. Jeśli nie sposób jej podważyć, twój umysł jak najszybciej szuka możliwości, które pozwolą pozostać w salonie z kominkiem, z daleka od ciemnej celi. Jak myślicie, dlaczego informacje o wypadkach śmiertelnych zawsze przekazuje się osobiście? Zdziwilibyście się, jak często policjant musi interweniować, żeby ktoś nie palnął sobie w łeb w dziesięć sekund po tym, jak usłyszał, że żona czy mąż nie wróci do domu tego wieczoru ani już żadnego innego.

Kiedy wiesz, że nie ma innej możliwości – gdy już rozumiesz, że rzeczywistość jest nie do ruszenia – twoje ciało reaguje ponownie. W wypadku Kate oznaczało to zgięcie się w pół i wymioty. Kiedy się wyprostowała, uderzyła kilka razy dłonią w rury, wydobywając z nich dźwięki tak puste i metaliczne, jak jej własna frustracja, kłnąc przy tym, aż wyładowała całą swoją złość.

Następnie oparła się o ścianę i, płacząc, spojrzała na mnie.

– Niech cię szlag trafi, Dave! Niech cię szlag, że każesz mi wybierać!

Gdzieś w Columbia Heights

Pan White spojrzął na zegar w prawym górnym narożniku głównego monitora i skrzywił się z niesmakiem. Doktor Evans przebywał już na zewnątrz ponad czterdzieści minut, co zupełnie nie pasowało do jego nawyków. Rzecz jasna, cała sytuacja, w której się znalazł, była zupełnie wyjątkowa, ale model osobowości Davida kazał zakładać, że w sytuacji kryzysowej powinien tym ściślej uchwycić się rutyny.

Modele osobowości, z których White korzystał do manipulowania obiektami, składały się z wielu tablic i schematów blokowych. Po wstępnej analizie obiektu schematy konfigurowało się według kompletnej gamy typologii.

Instrumenty te były niezawodne. Nie znalazł ich w książce z psychologii ani w żadnym podręczniku. Sam je opracował po latach badań i bezpośrednich obserwacji, przede wszystkim jednak w wyniku bezlitosnego, chirurgicznego zrozumienia natury ludzkiej. Jeśli White przedłożyłby uzyskane rezultaty społeczności naukowej, zostałyby obwołany geniuszem. Przynajmniej dopóty, dopóki ktoś nie zapytałby o metody, jakimi się posłużył w celu osiągnięcia tych konkluzji, lub o zastosowanie, jakie dla nich znajdował.

Jego absolutny brak skrupułów pozwolił mu eksperymentować na obiektach rzeczywistych. Do skonfigurowania tych diagramów trzeba jednak było zrujnować wiele żywotów. Dla White'a stanowiły one prawdziwy sens jego istnienia. Żył, aby je modyfikować, dostosowywać i rozbudowywać.

Swoje modele osobowościowe zaczął opracowywać na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Stanforda. Zajęcia wydawały mu się nudne, jak gdyby profesorowie prowadzili je w zwolnionym tempie. Większość lektur dla całego toku studiów przeczytał przed ukończeniem pierwszego roku. Z początkiem drugiego roku przedstawił swojemu opiekunowi zarys pierwszego modelu. Zidentyfikował cechy osobowościowe konkretnej osoby, a także czynniki lub detonatory, które skłoniłyby tę osobę do postąpienia w określony sposób.

– Emocje to zmiany, które przygotowują jednostkę do działania – oznajmił profesorowi. – Jeśli wywołamy u osobnika odpowiednie emocje, możemy kierować jego działaniami z zewnątrz. Jak gdyby za pomocą pilota na odległość.

Profesor popatrzył na niego z przerażeniem. Podarł na strzępy pokazywane mu przez White'a kartki i urządził mu gigantyczną awanturę.

– Psychologia to nie jakaś aberracja! To badanie doświadczeń człowieczych w celu ich udoskonalenia, nie zaś w celu narzucenia innym swojej woli! To absurdalne, zbędne i niebezpieczne.

White ledwie dosłyszał koniec wypowiedzi, wyszedł bowiem z pokoju, zostawiając profesora samemu sobie. Odpowiednio wcześniej przewidział tę reakcję. Przewidział nawet znacznie więcej.

Jedenaście dni później profesor – człowiek rodzinny, szczęśliwy i jowialny, miłośnik wina i poezji – zabił się w salonie własnego domu na oczach żony i trójki dzieci. Śledczy, którzy zajmowali się sprawą, nie posiadali się ze zdumienia. Śmierć profesora nie miała żadnego sensu. Człowiek ten nie miał długów, problemów z narkotykami czy z hazardem. Doszukiwali się romansów czy jakichś trupów w szafie, ale niczego nie znaleźli. Ostatecznie, budząc tym frustrację u członków rodziny i przyjaciół zmarłego, odłożyli sprawę ad acta.

White się uśmiechał. To również przewidział. Model osobowości, który zaniósł do gabinetu profesora, opisywał właśnie jego. Kolejne dni poświęcił wykorzystywaniu słabości człowieka, aż w końcu doprowadził go do śmierci. Nie był jednak do końca usatysfakcjonowany. Odpowiednio wcześniej wyliczył, że zdoła zmusić go do popełnienia samobójstwa w mniej niż osiem dni. Opóźnienie bez wątplenia wynikało z niedoskonałości w modelu osobowościowym obiektu –

defektów, które z czasem można było wyeliminować. Do tego konieczne były jednak kolejne osobniki.

Uniwersytet nie był mu już jednak w stanie nic zaferować. Pan White porzucił studia i podróżował po Europie i Azji, rozbudowując bibliotekę typologii ludzkich i rozwijając swój system ich kontrolowania w celu doprowadzania do ostateczności osób, po których nikt by się tego nie spodziewał. Włoskiego biskupa, wolontariusza organizacji pozarządowej w Bombaju, duńskiej zakonnicy klauzurowej, wietnamskiej nauczycielki ze szkoły podstawowej, baskijskiego terrorysty, korsykańskiego przemytnika narkotyków, szwedzkiego organizatora nielegalnych zakładów, madame z najbardziej ekskluzywnego burdelu Moskwy. Wszyscy oni byli obiektami jego eksperymentów, nic o tym nie wiedząc. Wszyscy skończyli martwi, zabijając się sami lub ginąc z czyjejs ręki, dopuściwszy się uprzednio jakichś straszliwych czynów.

White'owi to jednak nie wystarczało. Chciał nakreślić kompletną mapę ludzkiej woli. Nie tylko w celu opracowania definitywnego instrumentu kontroli na odległość, jak usprawiedliwiał się przed samym sobą. W głębi tego procesu istniało skryte pragnienie zrozumienia własnej natury. Był potworem i zdawał sobie z tego sprawę. I jak wszystkie potwory, był ofiarą własnej samotności, samotności szczególnej. Jeśli zdołałby zawładnąć emocjami i empatią innych, być może potrafiłby pojąć te, których mu brakowało – tę wielką pustkę wewnątrz własnego serca, którą zapelniał wyłącznie próżnością, osiągając jeden cel za drugim.

W tym celu potrzebował jednak pieniędzy. Rodzice White'a początkowo finansowali mu jego europejską eskapadę, ale z czasem stracili cierpliwość i wstrzymali dopływ gotówki. Tak więc White nie miał wyboru i był zmuszony oddać swoje szczególne zdolności do dyspozycji osób jeszcze bardziej niż on sam pozbawionych skrupułów.

Jego pierwszym klientem był capo neapolitańskiej camorry, który desperacko poszukiwał pewnego pisarza, który wydał demaskatorską książkę opisującą działania jego klanu. White polecił zleceniodawcy wyłożyć na stół milion euro, w zamian oferując głowę pisarza. Mafioso wybuchnął śmiechem, gdyż wielu ludzi przed White'em usiłowało już go namierzyć i żadnemu się to nie udało. Ponieważ nie miał nic do stracenia, zaakceptował propozycję.

Sześć tygodni później umundurowany funkcjonariusz policji wszedł do ciemnej restauracji w niebezpiecznej neapolitańskiej dzielnicy Scampia. Miał ze sobą niebieską walizkę marki Samsonite z rączką i na kółkach. Przeszedł w głąb lokalu, gdzie dwóch potężnych goryli zastawiło mu drogę. Skierował się ku grubemu i łysemu mężczyźnie za nimi, który przy blasku świec jadł ravioli ze smażonymi liśćmi szałwii.

– Pański amerykański przyjaciel polecił mi to panu przekazać. Szyfr do otwarcia to jeden, sześć, jeden – oznajmił policjant, nie będąc w stanie ukryć strachu.

Mafioso odprawił go gestem i funkcjonariusz sobie poszedł. Jeden z goryli otworzył walizkę i podniósł jej zawartość do drgającego światła świecy. Capo zmarszczył nos w reakcji na dobiegający się smród, ale zaraz potem dokończył posiłek w wyśmienitym nastroju. Kilka godzin później na zaszyfrowane konto na Kajmanach, należące do firmy-krzak, której jedynym udziałowcem był pan White, wpłynął przelew opiewający na milion euro wolnych od podatku.

White pogratulował sobie operacji. Wolalby co prawda dotrzeć do pisarza i przekonać go, żeby ten sam się oddał w ręce mafiosa. To dopiero byłby autentyczny triumf. Jego sztuka wciąż jednak przechodziła okres kształtowania, tak więc musiał się zadowolić posłuszeniem się dwoma ochroniarzami i jedną panią sekretarz sądu, którzy nieuchronnie także stracili życie.

Mimo to White był szczęśliwy. Wynalazł sposób, żeby pożenić swoją pasję z zaspokajaniem potrzeb materialnych. Przez pierwsze lata musiał szukać zleceniodawców, ale wraz z upływem czasu i kolejnymi rezultatami to klienci zaczęli ustawiać się w kolejce, chcąc skorzystać z jego dyskretnych, bardzo kosztownych i bardzo skutecznych usług. Najmować go pragnęli zarówno

przestępcy, jak i funkcjonariusze najmroczniejszych odgałęzień służb wywiadowczych z całego świata. W takich wypadkach White zachowywał ekstremalną ostrożność, utrzymując zawsze potrójny bufor bezpieczeństwa między klientem a sobą. Wiele z wysyłanych przez niego marionetek było torturowanych i mordowanych w ramach nieudanych prób ustalenia tożsamości wykonawcy usługi.

White się tym nie przejmował. Jedyne, co go interesowało, to możliwość decydowania, które zlecenia przyjmować, które zaś odrzucać, w zależności od tego, co umożliwiłoby mu poszerzenie i udoskonalenie instrumentarium i diagramów.

Zdołał uczynić te instrumenty niezawodnymi... aż do tej pory.

White uruchomił w iPadzie aplikację służącą do odtwarzania muzyki i włączył swoją ulubioną piosenkę, której kompulsywnie słuchał raz za razem podczas prac nad modelami obiektów – First we take Manhattan Leonarda Cohena.

Cicho nucąc pod nosem, White uruchomił teraz z kolei przeglądarkę zdjęć i odszukał folder z fotografiami Davida Evansa. Było ich ponad tysiąc, wszystkie zaś wykonano w okresie od dnia, w którym neurochirurg zgodził się operować prezydenta, po dzisiejszy poranek. White zdobył się na ironiczny uśmiech, gdy dostrzegł, że na niektórych z nich było widać nawet wywiadowców Secret Service, którzy podążali za Davidem, aby się upewnić, że jest godzien zaufania.

Zatrzymał się przy ostatniej wykonanej fotografii, będącej zrzutem ekranu z kamery zainstalowanej w gniazdku elektrycznym w kuchni. Na zdjęciu David z zamyśleniem wpatrywał się w pustkę nad stojącym przed nim wysokim stołku, na którym każdego ranka siadała jego córka. Aż do tej chwili wszystko przebiegało zgodnie z planem. Trzeba było zerwać kontakt na czas, który David spędzał z celem, to jednak, choć przykre, było nie do uniknięcia. Wszystkie systemy kontrolne działały już od nowa.

Tyle tylko, że nie miały czego kontrolować. Neurochirurg zostawił komórkę na stole w gabinecie i nie było go już od czterdziestu siedmiu minut.

Schemat wskazywał, że Evans nie zwykł znikać na tak długo. Schemat wskazywał, że nigdy nie rozstawał się z telefonem.

Rzecz jasna, byłyby to działania absolutnie normalne w wypadku innej osoby w innej sytuacji. Ale nie w tej, nie w wypadku Davida. Schemat temu przeczył, a schemat zawsze ma rację.

„Czyżbym się w twoim wypadku pomylił, Davidzie? Czyżbyśmy musieli zagrać ostrzej?”

Pan White rzucił okiem na ekran, który przekazywał obraz z ziemiarki, gdzie była przetrzymywana Julia Evans. Dziewczynka siedziała, kołysząc się w przód i w tył, z oczami wpatrzonymi w punkt na ścianie przed sobą.

– Potrzeba ci kontroli, Davidzie. Kontroli i motywacji.

White poszukał telefonu i zadzwonił do jednego ze swoich pomocników.

– To ja. Mam przecucie, że coś jest nie tak. Musisz pójść do stołówki i zerknąć na naszego pocziwego doktora.

Pozwoliłem, żeby kilka minut upłynęło w milczeniu, podczas gdy Kate odzyskiwała spokój. Nie powiedziałem nic na swoje usprawiedliwienie, nie prosiłem o wybaczenie za zamieszanie jej w sprawę uprowadzenia Julii, nie uskarżałem się również na niesprawiedliwość, która nas dotknęła. Nawet jeśli – nie zważając na cenę – zdołalibyśmy uratować Julię, to wszystko było już stracone. Właśnie tam, w podziemiach szpitala, nasze kariery zawodowe uległy ostatecznemu unicestwieniu. Mnie czekało wyrzucenie z izby lekarskiej, Kate – zwolnienie z Secret Service. Oczywiście zakładając, że nie trafilibyśmy do więzienia. Dopuściliśmy się spisku w celu popełnienia przestępstwa zatajenia, co w wypadku Kate oznaczało dodatkowo zdradę stanu.

Tymczasem jednak załamywanie rąk nic by nam nie dało. Pan White przytrafił nam się niczym rak albo sztorm na pełnym morzu. Myśleć o tym, dlaczego dzieje się to akurat mnie – co stanowić numer jeden na liście przebojów użalania się nad sobą – byłoby absurdem. Bez względu na to, jak bardzo Kate zarzucałyby mi, że zmuszam ją do dokonania wyboru, ja nie miałem żadnego wyboru. Podobnie zresztą jak ona.

Przed wszystkim musieliśmy uchronić Julię.

Kiedy Kate zebrała się w sobie na tyle, żeby ponownie spojrzeć mi w oczy, coś się w niej zmieniło. Była to subtelna zmiana – gdybym jej nie oczekiwał, zapewne w ogóle bym jej nie spostrzegł. Coś jednak było na rzeczy, coś czało się za jej spojrzeniem, choć w tym momencie nie byłem w stanie tego zidentyfikować.

Nie miałem również na to czasu. Kate zaczęła mówić chłodnym i profesjonalnym tonem. Pojawszy, co się stanie, do głosu doszła odpowiednia część jej mózgu. Wypytała mnie o daty, miejsca i szczegóły. Niczego nie notowała, po moich słowach nie mógł bowiem pozostać żaden namacalny ślad. Ograniczyła się do ich zapamiętania.

– Davidzie, chcę, żebyś zrozumiał jedno – oznajmiła. – Poza kierunkowym szkoleniem w Secret Service przeszedłem podstawowy trening dla agentów federalnych, ale moje doświadczenie z porwaniami i jest zerowe.

– Kate, nie idź z tym do nikogo. Musisz mi to obiecać.

– I w tym właśnie sęć Davidzie. Jestem sama. Kiepsko to widzę.

– Masz jakiś lepszy pomysł? Ufasz komuś wystarczająco, żeby opowiedzieć mu, co się stało Julii, ale żeby godzinę później nie wiedział o tym cały Waszyngton?

Spojrzała na czubki butów, szukając odpowiedzi, którą oboje doskonale znaliśmy.

– Nie. To zbyt poważna sprawa. Ten, kto ją wykryje, zdobędzie sławę. Julia zaś stanie się zaledwie przypisem na którejś stronie jego raportu. Nie mogę liczyć na nikogo.

– Ja mogę ci pomóc – przerwałem.

– Nie, nie możesz. Jesteś jej ojcem, nie zostałeś przeszkolony, poza tym jeśli zobaczą mnie przy tobie, z miejsca nabiorą podejrzeń. Nie możemy odrzucić możliwości, że ktoś cały czas cię obserwuje.

– Jest jeszcze coś. Oni... oni zrobili coś z moim telefonem. Kontrolują połączenia, które wykonuję, odnoszę również wrażenie, że mnie podsłuchują. Ponadto są w stanie wysyłać mi wiadomości, które pojawiają się jako powiadomienia na ekranie.

– Jak gdyby aparat stał się zdalnie sterowany m niewolnikiem – przy znała zamysłona. – W ten sposób porywane nie muszą podkładać ci namiernika, urządzeń podsłuchujących czy kamer szpiegujących. Wszystko to robi za nich twój iPhone. Muszą na stałe uruchamiać mikrofon

systemu głośnomówiącego, aparat i moduł GPS. Cholera, nie muszą się nawet troszczyć o ładowanie baterii. Uprzejmie robi to już za nich sam szpiegowany osobnik, co wieczór podłączając telefon do ładowarki.

– Teraz, gdy o tym mówisz, uświadamiam sobie, że rzeczywiście ostatnio bateria rozładowuje się znacznie szybciej.

– To przez te wszystkie aplikacje, które włączyli ci bez twojej wiedzy. A to świnie...

– Coś ci to o nich mówi?

Kate z zaniepokojeniem przygryzła wargi.

– Przede wszystkim, że są naprawdę dobrzy. I że świetnie wiedzą, co robią. Mówisz, że komórka ci się wyłączyła, zanim wsiadłeś do samochodu z agentami, którzy po ciebie przyjechali?

– Nie wyłączyła się normalnie. Ekran jakoś dziwnie zamigał.

– Nie wiem, jak to zrobili, ale wiem, w jakim celu. W otoczeniu prezydenta wprowadzono wiele elektronicznych środków zapobiegawczych. Niektóre są znane opinii publicznej, jak choćby urządzenia zakłócające sygnał, których zadaniem jest nie dopuścić do tego, żeby ktoś zdalnie zdetonował ładunek wybuchowy na trasie prezydenckiej kolumny. Inne są zaś trzymane w tajemnicy, na przykład aparat, który skanuje pomieszczenie, w jakim prezydent się znajduje, pod kątem obecności urządzeń szpiegowskich. Dlatego wyłączyli ci telefon, inaczej bowiem byśmy go wykryli.

– A więc jest w nim coś niestandardowego.

– Gdybym mogła wziąć ten telefon do kolegów z wydziału przestępczości informatycznej, w kilka godzin wiedzielibyśmy o tych gościach zdecydowanie więcej. Włamanie się w ten sposób do telefonu jest czymś bardzo, bardzo trudnym. Niewiele osób na świecie jest do tego zdolnych, nie można również tego zrobić, nie pozostawiając śladów. Ale zabranie twojego telefonu odpada. Jeśli chociaż...

– Co?

– Warto byłoby się dowiedzieć, czy zdarzyło ci się stracić aparat z oczu na dłuższy okres. Wysyłałeś go do serwisu czy coś w tym stylu?

– Zamyśliłem się na chwilę, usiłując sobie przypomnieć.

– Kilka tygodni temu obudziłem się rano, telefon jednak nie chciał się włączyć. Zadzwoiłem do Apple'a i jeszcze tego samego dnia przysłali mi nowe urządzenie. Przywróciłem dane z kopii zapasowej na komputerze i zapomniałem o sprawie.

– Wtedy nic ci z telefonem nie zrobili. Pamiętasz może kuriera?

– Nie, ponieważ... – Z czystej frustracji uderzyłem się po udzie, pojawiwszy, co się stało. – To Świetlana odebrała przesyłkę.

– Spokojnie, Davidzie.

– Jak chcesz, żeby mi się uspokoił? Przyjąłem tę kobietę pod swój dach! Na Boga, powierzyłem jej opiekę nad córką!

– Jakbyś kiedykolwiek przykładał większą wagę do tego, co się dzieło w twoim domu, prawda?

– Nie mogąc się powstrzymać, wy paliła z błyskiem w oczach.

Zaatakowany, zamrugalem nerwowo. W końcu rozmowa, której nigdy nie odbyliśmy, ale która zawsze nad nami wisiała. Wszystko to, co Kate chciała mi powiedzieć, ja zaś unikałem na to odpowiedzi, unosiło się teraz w dzielącej nas półtorametrowej przestrzeni ciemnego korytarza niczym czarnoskrzydłe ptaszysko. Czając się w końcówkach zdań, przyczepione do znaczenia słów, tuczone moim poczuciem winy i jej żalem. Wcześniej czy później musieliśmy temu stawić czoła. Nie był to jednak odpowiedni moment, spróbowałem więc je tylko odpuścić.

– Jasne, dawaj! O to także mnie obwin, jeśli dzięki temu lepiej się poczujesz. Sarkazm nie

wróci jednak życa twojej siostrze. Ani Świetłanie. Zamordowali swojego człowieka, zupełnie bez potrzeby, bez litości. Co zrobią mojej córce, która na dodatek im zawadza?

Kate wypuściła powietrze i odwróciła wzrok. W końcu postanowiła zmienić temat.

– W porządku, zacznijmy od podstaw. Na którą godzinę jest zaplanowana operacja prezydenta?

– Na dziewiątą rano w piątek.

Wyciągnęła telefon i zaprogramowała czasomierz. Pokazała mi wyświetlacz.

40:19:11

– Mam nieco ponad czterdzieści godzin, aby ją odnaleźć.

Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie trzeba było opisywać słowami tego, jak ogromne było to zadanie.

– Dave, to przeraźliwie mało czasu. To koszmarnie mało czasu nawet dla pełnego zespołu agentów FBI dysponującego wszelkimi możliwymi środkami.

– Jeśli oni wkroczyliby do działania, znaleźlibyśmy jedynie zwłoki.

Przytaknęła. Nie było innego wyjścia, jak kontynuować.

– Tego ranka, kiedy się obudziłeś... zszedłeś do piwnicy?

Pokręciłem głową.

– Żeby sprawdzić, czy ciało wciąż tam jest? Nie, nie miałem odwagi – przyznałem zasztywniony.

– Szczerze wątpię, czy zostawili trupa na dole. Jeśli zadali sobie tyle trudu, żeby uprzątnąć jej pokój, to zrobili to z bardzo konkretnego powodu.

– Opiekunka to jedyne, co prowadzi nas do White'a.

– Otóż to! Ani myśleli zostawiać nam więc w prezencie zwłoki. Wysiłkiem, jaki włożyli w zacieranie śladów, wskazali nam drogę.

– Przez Świetlanę?

– Muszę pójść jej tropem. Wcześniej czy później doprowadzi nas do White'a lub do jego otoczenia.

– Jak zamierzasz to zrobić?

– Muszę wpaść do ciebie do domu.

Na te słowa serce podskoczyło mi do gardła. Niemal całkiem nieprzespana noc, kiedy zastanawiałem się nad moim kolejnym ruchem – nad tym, jak sprawić, żeby Julia wróciła do domu, jednocześnie zaś nie dopuścić się morderstwa – miała swoją cenę. Po tym, jak otrzymałem od White'a wiadomość, w której dawał do zrozumienia, że usłyszał mój szepot, w każdym cieniu mojego domu zdawał się czaić nieprzyjaciel. Byłem pewien, że zainstalowali w nim aparaturę szpiegowską i Bóg wie, co jeszcze, i że dzięki temu mogli śledzić każdy mój ruch.

– Kate, oni tam założyli kamery! White dał mi to do zrozumienia rano, kiedy zadzwonił. Mógł mnie podglądać, jeśli więc tam wejdziesz, będzie wiedział, że ze sobą rozmawialiśmy. A wtedy Julia zginie.

– Pomyśl, Davidzie! Mamy tylko dwa tropy, które mogą doprowadzić nas do White'a. Możliwość zbadania telefonu jest zbyt ryzykowna. Zostaje nam więc jedynie poszukanie w twoim domu jakiegoś śladu po Świetłanie.

– To bardzo niebezpieczne – powiedziałem z oporem, choć wiedziałem, że ma rację.

– To jedyne sposob. Będę musiała wymyślić, jak się tam dostać. Co do jednego pełna zgoda – do czasu, aż będzie po wszystkim, nie możemy się widywać.

– To jak się będziemy kontaktować?

– Na pewno nie przez tę komórkę na kartę, którą podprowadziłeś młodemu gangsterowi.

Będziesz musiał wziąć mój telefon – powiedziała, wprowadzając jakieś ustawienia w swoim trochę już leciwym smartfonie BlackBerry. – Wyłączyłam dźwięki i wibracje, ale ekran wciąż się podświetla, kiedy ktoś dzwoni. Będziesz musiał bardzo z tym uważać, żeby White się nie połapał. Dobrze go schowaj i od czasu do czasu sprawdzaj, czy działa.

– Skąd będziesz do mnie dzwoniła?

– Jeszcze dziś kupię sobie inny telefon – odparła, podając mi smartfona. Kiedy wyciągnąłem dłoń, chwyciła mnie za nadgarstki i spojrzała głęboko w oczy.

– I jeszcze jedno, Davidzie. Przez wzgląd na pamięć o mojej siostrze i przez to, że całym sercem kocham Julię, pomogę ci sprowadzić ją z powrotem do domu. Chcę jednak żeby moje stanowisko było jasne. Nie wiem, co się stanie od dziś do piątku, ale wiem, co się na pewno nie stanie. Bez względu na to, co się wydarzy, nie pozwolę, żebyś ustąpił przed szantażem White'a. Jeśli nie zdołamy odzyskać Julii, zanim ten zegar dojdzie do zera, wykonam telefon i zabiorę cię z bloku operacyjnego. Zrozumiałeś?

Jej zimny, przezroczysty i ostry głos wbił się niczym lodowy sztylet między żebra. Chciałem dyskutować, chciałem odwoływać się do więzów krwi i do odpowiedzialności, jaką oboje ponosiliśmy za dziewczynkę, wiedziałem jednak że już i tak proszę ją o zbyt wiele. W tym momencie musiałem zaś przede wszystkim zyskać na czasie. Tak więc jedyne, co powiedziałem, to:

– Zrozumiałem.

Wówczas mnie puściła. Poczulem koszmarny niepokój, w końcu bowiem zdołałem rozpoznać zmianę, którą dostrzegłem w oczach Kate.

Nie byłem już dla niej członkiem rodziny, który zawiódł.

Byłem teraz podejrzanym.

Kate zniknęła w korytarzu przede mną. Dałem jej trzy minuty przewagi, aby nikt jej nie zobaczył i nie skojarzył ze mną. Kiedy pokonałem schody prowadzące do drzwi do podziemi, coś zwróciło moją uwagę w przeciwległym końcu holu, przy wejściu do szpitala. Przy drzwiach stał niski i krępkły mężczyzna o dużych rękach, wygolonej błyszczącej czaszce i w luźnej czarnej kurtce. Z tych, które zostawiają dostatecznie dużo miejsca, żeby nikt nie zauważył, że pod spodem masz pistolet.

Czym prędzej schowałem się za rogiem kiosku. To było absurdatne – instynktowna reakcja. Nie mogłem mieć pewności. Widziałem go tylko nocą, i to kątem oka. Niemniej jednak wiedziałem. W jakiś sposób to wiedziałem.

Był to ten sam oprych o cudzoziemskim akcencie, który poprzedniej nocy przycisnął mnie do ściany przed wejściem do Marblestone Diner. A teraz był tutaj, jednym okiem patrząc na opuszczoną stołówkę, drugim zaś pilnując wejścia, tym samym zagradzając mi drogę do wind. Dla niepoznaki trzymał kwiaty, tak jakby przyszedł do szpitala do kogoś w odwiedziny. Jego spojrzenie mówiło jednak co innego.

„Zbyt długo to trwało, kretynie! – pomyślałem. – White przysłał go, żeby sprawdzić, co robisz. Czyżbyś podejrzewał, że gdy gra idzie o tak wielką stawkę, zadowolony się pilnowaniem cię wyłącznie przez aplikację w telefonie?”

Przywarłem do przeszkłonego regału z boku kiosku, usiłując zlać się z okładkami „Globe”, „People” i „National Enquirer”, nie wiedząc przy tym, że tydzień później moje oblicze i tak się w nich wszytkł znajdzie. Szkoła oferowała wątpliwą ochronę. Wystarczyło, żeby oprych zrobił kilka kroków naprzód – wtedy by mnie zobaczył, pozycja zaś, w jakiej by mnie zastał, tylko potwierdziłaby jego podejrzenia. Nie mogłem nawet posłużyć się telefonem i udać, że ukryłem się w kącie, żeby móc z kimś porozmawiać, gdyż komórka, o której wiedzieli, że jest moja, zostawiłem przecież na stole w gabinecie.

„Czyżby widział Kate? Czy wie, kto to jest dla mnie? Z pewnością to wiedzą, jeśli szpiegują mnie już od jakiegoś czasu. Muszą to wiedzieć. Z pewnością widzieli ją na zdjęciach. Jeśli wiedzą, że ona tutaj jest, to będzie po Julii. Jeśli się domyślają, że nie poszedłem jeść...”

Odwrociłem głowę w moją stronę, ja zaś odsunąłem się od narożnika, zza którego wyglądałem – umierając ze strachu, czując się mały i śmieszny, ponieważ ukrywam się we własnym szpitalu. Nagle nie miałem już trzydziestu ośmiu lat, nie byłem uznanym neurochirurgiem, nie mierzyłem stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Znowu miałem osiem lat i chowałem się za szafką w kuchni, czekając, aż starsi chłopcy, z którymi dzieliłem przestrożę w kolejnym domu zastępczym, znajdą sobie lepszą rozrywkę niż próba spuszczenia łomotu nowemu przybłędzie. Trzydzieści lat minęło, wciąż jednak pamiętam pomarszczoną, wysłużoną powierzchnię ścianki mebla kupionego gdzieś na straganie, zapach niedosuszonego lakieru nałożonego przez właścicieli domu, chropowaty odgłos mojej koszulki trącej o drewno, kiedy zniżające się nade mną dzieci wyciągały mnie za nogę z kryjówek.

Podstawy tego dawnego strachu i strachu, który odczuwałem schowany za kioskiem, były takie same. Mimo to jego przyczyna była zgoła odmienna, nie bałem się bowiem teraz o siebie, ale o Julię. Bycie rodzicem przekształca strach o samego siebie w obawę, że ktoś, kogo kochasz, może zniknąć. Dlatego właśnie nie mogłem zawieść.

„Myśl, myśl, myśl!”

W tym momencie w pobliżu przechodziła jedna ze sprzątaczek, co podsunęło mi pewien pomysł.

Znajdowała się pięć do sześciu metrów ode mnie. Tak daleko, że równie dobrze mogłaby być w Teksasie. Nie sposób się do niej zbliżyć, zarazem się nie odsłaniając. Spróbowałem przywołać ją gestem, ale mnie nie zauważyła, ślupiona na zamiataniu kurzu.

– Ej, tutaj! – szepnąłem na próżno.

„Znam ją z widzenia. Od lat pracuje w szpitalu”.

Tysiące razy ją mijalem. Jak się nazywała? Jak, u diabła, się nazywała? Z miejsca, w którym stałem, nie byłem w stanie odczytać jej plakietki z nazwiskiem. Słyszałem jednak, jak w windzie rozmawiała z koleżankami. Marcela albo Laura, jakieś latynoskie imię...

– Amalia – rzuciłem, nagle sobie przypominając. – Amalia!

Odwróciła się i podeszła w moją stronę, popychając przed sobą wózek do sprzątnięcia. Jeden z tych dużych, w których środkowej części umieszczono kubek na odpadki.

– Amelia, doktorze. Czym mogę służyć? – powiedziała, uśmiechając się przyjaźnie.

– Mam pewien kłopot, którego nie mogę wyjaśnić – oznajmiłem, sięgając ręką do kieszeni i wyciągając pieniądze, które zostały mi po lunchu. Jeden banknot dwudziestodolarowy i kilka pojedynczych dolarówek. Wyjąłem je zmięte, nie odrywając pleców od szklanego regału, i wsunąłem jej do ręki. Spojrzała na mnie ze zdumieniem. – Proszę posłuchać, Amelio, zrobię teraz coś, co wyda się pani bardzo dziwne. Proszę tylko, żeby zapomniała pani o tym, co zobaczy, dobrze?

Amelia wzięła się pod boki, jednocześnie chowając otrzymane pieniądze do kieszeni.

– Zdziwiłby się pan, doktorze, jakie rzeczy już tutaj widziałam.

Wysunąłem się na tyle, żeby się upewnić, że oprych nie spogląda w naszą stronę, i dopiero wówczas odważyłem się uczynić krok w stronę Amelii. Ku jej zdumieniu przyklucnąłem i zacząłem grzebać w pojemniku z odpadkami.

– Cofam moje słowa. Czegoś takiego rzeczywiście nigdy nie widziałam.

Nie zwróciłem na nią uwagi, za bardzo byłem bowiem zajęty nurkowaniem w śmieciach zebranych z koszy na parterze szpitala. Odgarnąłem egzemplarze „Washington Post”, ciekące puszkę i upaprane opakowania, aż wreszcie znalazłem to, czego szukałem.

Torbę na wynos ze Starbucksa.

Była mocno wymięta, z jednej strony miała zaś plamę po czymś, co, mam nadzieję, było kawą, jeśli jednak trzymałbym torbę blisko ciała, nikt by jej nie zauważył. Ponownie skryłem się za regałem i otworzyłem torbę. W środku znalazłem pusty kubek i nadgryzione pół pączka. Wyciągnąłem pączka i wsadziłem go sobie w usta, przytrzymując między zębami, ale nie nadgryzając.

– Chryste Panie, kochany... Tak słabo wam teraz, doktorze, płacą? To ja może lepiej oddam panu te dwie dychy...

Odmówiłem ruchem głowy i posłałem jej oko. Staralem się sprawić sympatyczne wrażenie, ale z wyjętym ze śmietnika pączkiem w ustach wyszedł mi raczej grymas osoby niezrównoważonej. Amelia wbiła spojrzenie w dal i odeszła, popychając przed sobą wózek.

Przeszedłem na środek holu, starając się pozostawać na obrzeżu pola widzenia oprycha. Z miejsca, w którym stał, doskonale widział wejście do szpitala, tak więc nie uwierzyłby, że wszedłem z ulicy. Szpital był jednak duży. Mógłby uznać, że posłużyłem się wejściem oddziału ratunkowego, choć nikt, kto tam pracuje, nie okrążyłaby całego budynku, aby wyjść. Tego oprych nie mógł wiedzieć, chyba że ustawiliby tam na czatach kogoś jeszcze. Taką przynajmniej rozpaczliwie żywiłem nadzieję.

Wtedy właśnie mnie zauważył.

Udałem obojętność. Przeszedłem niespiesznie do wind, czując nad prawym uchem jego spojrzenie, trzymając torbę w ten sposób, że zielone logo kawiarni z syreną pozostawało zwrócone w jego stronę niczym jakaś ochronna tarcza. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak idiotycznie wyglądam z pączkiem między zębami, tak więc zmusiłem się, żeby go nadgryźć. W miejscu, w którym się weń wgryzłem, wciąż pozostawało trochę śliny jego poprzedniego właściciela. Od spodu pączek miał coś lepkiego i śliskiego, być może kawałek serwetki albo paragon.

Powtórzyłem sobie w myślach to, czego na Wydziale Medycznym uczyli o kwasach żółdkowych i ich skuteczności w niszczeniu zarazków, zarazem pomijając to, co wiedziałem na temat opryszczki, mononukleozy i zapalenia opon mózgowych. Zmusiłem się do przełknięcia kęsa wraz z dodatkami, odwrócony tyłem do oprycha, czekając zarazem w kolejce do windy.

– Cześć, Davidzie – pozdrowiła mnie Sharon Kendall, anesteziolożka, z którą zwykłem pracować na bloku. Szła w tym samym kierunku i wczytywała się w historię choroby jakiegoś pacjenta. – Operujesz dzisiaj? Nie widziałam cię na liście.

– Nie, nie mam nic aż do piątku. Szefowa dała mi trochę wytchnienia.

– Szczęściarze. Mam trzy zabiegi, na szczęście proste. A jutro wolne. Pójdę z dziećmi do kina.

– W czwartek?

– Nic się nie stanie, jeśli raz pością trochę krócej. A jak nie przestaną mi wiercić dziury w brzuchu, żebyśmy poszli na nową produkcję Pixara, to chyba się zabiję. – W tym momencie zdała sobie sprawę z tego, co właśnie powiedziała, i podniosła dłoń do ust. – Oj, przepraszam, Davidzie. Nie chciałam...

– Nie ma sprawy.

– Tak tylko mi się powiedziało.

– Nie przejmuj się.

Drzwi windy się otworzyły, uwalniając kilkunastu pasażerów, oboje więc wsiedliśmy. Odwróciłem się powoli, bardziej niż komentarzami doktor Kendall przejęty tym, co zrobi łyśy mężczyzna w skórzanej kurtce. Zdałem sobie sprawę, że z lakoniczności moich odpowiedzi wywnioskowała, że się obraziłem, niewiele jednak mogłem na to poradzić. Byłem za bardzo skupiony na próbach dojrzenia ogolonej czaszki spomiędzy pleców wszystkich tych, którzy wysiedli z windy. Wypatrywałem oprycha, podczas gdy drzwi windy się zamykały, ale na próżno.

Już go tam nie było.

Kiedy wróciłem, rozpełtała się apokalipsa.

Najpierw szefowa pielęgniarek niezwykle dumnym krokiem wkroczyła do mojego gabinetu, ściskając swoją drogocenną podkładkę na dokumenty. Wypięła z niej jedną kartkę, mściwym gestem położyła mi ją na biurko, następnie zaś z jeszcze większą dumą wyszła. Kartka zawierała skserowaną stronę regulaminu szpitala z zasadami używania pagerów, w których kilka linijek zostało podkreślonych – konkretnie te, które stwierdzały, że lekarz na etacie, czyli ja, „jest zobowiązany w godzinach pracy mieć urządzenie cały czas przy sobie”, a co za tym idzie, „odpowiadać na każde wezwanie”.

Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że zostawiłem pager w szafce, co przez wszystkie lata pracy w szpitalu nigdy dotąd mi się nie zdarzyło. W całym tym zamieszaniu z rozmową z Kate i wycieczką na spotkanie z pacjentem popełniłem głupi błąd.

Sięgnąłem po komórkę – nie było żadnych nieodebranych połączeń. Kiedy jednak tylko wzięłem ją do ręki, zaczęła dzwonić. Nie wyświetlił się przy tym żaden numer, tak więc z góry wiedziałem, z kim będę miał wątpliwą przyjemność porozmawiać. Ogarnął mnie ten sam niepokój, który zawsze odczuwałem przy rozmowie z nim, tym razem jednak spotęgowany niepewnością co do mojego spotkania z Kate.

Odebrałem.

– Cześć, Dave! Smakowały ci pączki?

– Czego pan ode mnie chce, White?

– Chcę wiedzieć, czy ci smakowały pączki, Dave. Odpowiedz.

Chwila milczenia.

– Tak, były smaczne.

– Najwyraźniej, Dave, muszą to być rzeczywiście przepyszne pączki. I kawa z pewnością była wyborna. Jaką najbardziej lubisz w Starbucksie, co, Dave?

Serdecznie nienawidzę kawy ze Starbucksa, ale Rachel ją uwielbiała, dlatego wymieniłem jej ulubioną.

– Mocha Frappuccino z dodatkową bitą śmietaną i podwójnym cukrem.

– Niezły wybór, naprawdę niezły wybór, Dave. A wiesz, co było złym wyborem?

Jego głos przemienił się w zimny, stalowy szept, który sprawił, że włosy stanęły mi dęba.

– Słucham – zdołałem wykrzusić.

– Złym wyborem było to, że wyszedłeś ze szpitala, zostawiając telefon na biurku. Mogliby ci go ukraść, to zaś byłoby bardzo niefortunne.

– Proszę pana, musiałem się przewietrzyć, ja...

– Dave, inteligentny z siebie gość, prawda?

– Nie wiem, jaki to ma związekz...

– Potrafisz dodać dwa do dwóch.

Znowu nastała cisza. Postanowiłem dłużej się już nie tłumaczyć. Im bardziej bym się tłumaczył, tym fałszywiej by to brzmiało.

– Taksądzę.

– A zatem wiesz, że z twoim telefonem jest coś nie tak. To zrozumiałe, Dave. To nie twoja wina, że jesteś inteligentny. Gdybyś jednak próbował się wycwanić, wtedy owszem, byłyby to już twoja wina. Tyle tylko, że to nie ty byś za nią zapłacił. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem.

– W porządku. A teraz chcę, żebyś mi odpowiedział na jedno pytanie. I odpowiedział szczerze. Jeśli mnie okłamiesz, od razu to wy czuję, zrozumiano?

Gdzieś, w jakimś zakamarku mojej duszy, coś pękło. Niemal bezgłośnie, jak szklanka, którą zawija się w chustkę, a następnie rozdeptuje. Tego właśnie zdania, słowo w słowo, używałem, kiedy Julia coś przeszkobała. Rozlała soczek w pokoju z zabawkami, przemyciła w plecaku maskotkę Angry Birds do szkoły, podczas gdy regulamin zabrania przynoszenia zabawek, upchnęła pod łóżko brudne skarpetki. Nic nieznaczące wybryki, które ostatecznie wychodziły na dobre, w chwili przyznania się umacniały bowiem zaufanie i więzi.

„Pierdolony skurwiel-manipulant” – pomyślałem. Powiedziałem jednak

– To pan tu dowodzi, White.

– Rozmawiałeś może z kimś, Dave? O twojej... wyjątkowej sytuacji?

Moja córka jest bardzo słabą kłamczuchą. Ma to po mnie. Zawsze, kiedy skonfrontować ją z prawdą, usta nieuchronnie rozciągają jej się w uśmiechu, który przeradza się w niemy protest, gdy czuje, że została nakryta. Sam tak samo miałem w Rachel. Kiedy pytała mnie, czy wyniosłem śmieci, zapłaciłem rachunek za gaz albo znowu kupilem kolejną durną zdrapkę z tych, które niekiedy brałem z Seven Eleven. Spoglądała mi w oczy z półuśmieszkim, który nieuchronnie sprawiał, że ja również się uśmiechałem. Była w tym tak dobra, że niekiedy śmiałem się nawet wówczas, gdy byłem niewinny, co do głębi mnie wkurzało.

– Nie, nic takiego nie zrobiłem – odparłem bardzo serio.

– Dave, to by były takie rozumiałe. Naprawdę. Wychodzisz ze szpitala, idziesz piechotą do kawiarni, żeby się przewietrzyć. Po drodze spotykasz znajomego, który ochoczo pożyczyci telefon, żebyś mógł gdzieś szybko zadzwonić. Albo może w kolejce po kawę prosisz sympatyczną mamę, która wpatrywała się w twój fartuch lekarza. Może, naprawdę może, podkuśło cię, żeby zadzwonić na policję. To jednak byłaby głupota – nie znasz tam nikogo, a gdybyś ich w to wciągnął, sam wiesz, że pojawiliby się ze swoimi nader subtelnymi krawatami, niczym mistrzowie kamuflażu. Tak więc nie, tego byś nie zrobił.

– Rozmawiałem ze słabo opłacanym i dość kiepsko wychowanym ekspedientem, u którego zamówiłem kawę i pączki, i poświęciłem chwilę na rozmyślenia, White. Nic poza tym.

Mój głos zabrzmiał pewnie, choć kiedy to mówiłem, zauważyłem drżenie lewej ręki. Nie widział mnie, wiedziałem, że nie może mnie widzieć, ale i tak wsunąłem dłoń do kieszeni fartucha i przycisnąłem ją do uda, aż przestała dygotać.

– Nie, nie zadzwoniłbyś na policję. Być może jednak podkuśło cię, żeby odezwać się do szwagierki. Żeby dać jej znać. To również byłaby głupota. Ponieważ gdyby coś takiego się stało, jakakolwiek komplikacja w ostatniej chwili... Wiesz, byłoby niedobrze. A tego nie chcemy.

– Oczywiście.

– Jasne, jasne, mógłbym ci to wybaczyć, gdybyś powiedział mi prawdę. Mielibyśmy czas, żeby się tym zająć, to ci gwarantuję. Tak więc, Dave, zapytam ostatni raz. Rozmawiałeś może z agentką Robson?

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Jeśli bym skłamał, White zaś by mnie na tym nakrył, jeśli wiedział coś, czego ja nie wiedziałem, jeżeli coś przeoczyłem... byłoby po wszystkich. Gdy bym jednak powiedział prawdę, byłoby po Kate. Znaleźliby ją i zabili.

Julii nic by się jednak stało.

Przez chwilę odczuwałem pokusę, żeby wykrzusić prawdę – wydać Kate i zarobić dla mojej córki kilka dodatkowych, cennych godzin życia. Niewidzialne i wszechmocne oko White'a czaiło się w każdym kącie. Ryzyko, że już wiedział o mojej prośbie o pomoc, było nazbyt wielkie. Obiecał zresztą, że mi to wybaczy. Wystarczyło tylko, żeby mi powiedział prawdę.

Taki drań był dobrodliwy.

– Nie, nie rozmawiałem z Kate. Z tego, co wiem, jest w domu rodziców.

Znowu zapadła cisza, tym razem o wiele dłuższa. Przy gryzłem wewnętrzną stronę policzka, aż poczułem w ustach smak wypływającej krwi. W końcu White się odezwał.

– Gramy dalej, doktorze.

I się rozłączył.

Opadłem na krzesło, rozdygotany pod wpływem stresu i upokorzenia, które właśnie musiałem znieść. Czulem, jakbym miał w plecach kłębowisko węzłów. Nie zniósłbym już żadnego kolejnego wstrząsu. Powoli odłożyłem telefon na biurko, spoglądając na niego tak, jak przerażony jelonek spogląda w reflektory samochodu, który zaraz go potrąci. White mnie nie zdemaskował, choć wynikająca z tego pociecha – jeśli taka w ogóle była – zdawała się mizerna.

Podczas gdy usiłowałem się uspokoić, pomyślałem, czy powinienem poinformować Kate o tym, co właśnie zaszło, ostrzec ją, że White podejrzewa, że może być w to uwikłana, lecz natychmiast zdałem sobie sprawę, że będę mógł się z nią skontaktować dopiero wówczas, gdy prześle mi swój nowy numer. Mogłbym zadzwonić na jej numer służbowy, przestrzegając mnie jednak przed tym. Teraz musieliśmy uważać nie tylko na porywaczy, ale także na Secret Service. W tych początkowych godzinach oboje trzymaliśmy się naiwnej fantazji, że wszystko może pójść dobrze i że zdołamy uwolnić się od tego koszmaru.

Ledwie zdołałem sprowadzić własne tętno do normalnego poziomu, kiedy zadzwonił telefon stacjonarny gabinetu. Machinalnie odebrałem, z ulgą witając możliwość wyrwania się myślom na kilka chwil i skupienia się na pracy.

– Evans, neurochirurgia.

– Tu Wong. Gdzieś, do cholery, zniknął na całe popołudnie?

– Byłem u naszego pacjenta, szefowo.

– Z wyłączoną komórką i bez pagera? Niech cię szlag, Evans!

– Tego wymagali moi towarzysze – skłamałem, przynajmniej częściowo. – I wierz mi, tam, dokąd mnie zabrali, nawet pager na nic by się nie zdał.

– Dobra, ale teraz to i tak bez znaczenia. Jestem w gabinecie Meyera. Musisz tutaj przyjść jak najszybciej.

W głosie doktor Wong pobrzmiwało coś bardzo niepokojącego.

– Co się dzieje, Stephanie? Co się stało?

– Ty, Evans. Po prostu tutaj przyjdź.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wsiąść do windy i pojechać na ostatnie piętro. O tej porze prawie wszystkie światła na tym poziomie były wygaszone, a gabinety pozamykane. Pion menedżerski nie przejawia zamiłowania do zostawiania po godzinach – wprost przeciwnie. Muzykę z głośników wyłączono, moje tłumione na grubym dywanie kroki sprawiały zaś, że czułem się tak, jakbym płynął opuszczonym korytarzem.

Dotarłszy do drzwi w głąb, wszedłem bez pukania, co bardzo Meyera wkurzało. Była to szczeniacka oznaka niesubordynacji, która ledwie co wywarła jakikolwiek skutek, sekretarki dyrektora nie było bowiem na stanowisku.

Po drugiej stronie drzwi oczekiwały mnie gęste i oskarżycielskie spojrzenia Meyera i Wong. Moja szefowa siedziała, bardzo poważna, z założonymi rękoma i skrzyżowanymi nogami. Meyer nie miał na sobie marynarki, rękawy koszuli podwinął zaś powyżej łokci. Siedział wyciągnięty w fotelu, ręce założywszy za głowę. Na kosztownej koszuli ciemniały plamy potu.

- Coś ty znalazł, Evans? – zapytała szefowa.
- Nie wiem, o czym mówisz.
- Nie wie. Mówi, że nie wie – stwierdził Meyer, odrywając ode mnie spojrzenie i spoglądając w sufit.
- Dzwonili z Białego Domu – wyjaśniła Wong. Następnie zamilkła, jak gdyby mówienie dalej oznaczało wielki wysiłek
- I co powiedzieli?
- Szefowa kontynuowała, prawie przy tym nie poruszając ustami.
- Davidzie, spierdoliłeś sprawę. Nie będziesz operował.
- Znienacka poczułem, jak gdyby podłoga pod moimi stopami się rozstąpiła, ja zaś runąłem w bezdenną czeluść. Wciąż stałem na dywanie, ale wewnątrz spadałem, rozpaczliwie starając się złapać jakiegokolwiek uchwyty.
- I wówczas przyszła wiadomość.

ZŁA ZAGRYWKA, DAVE

KATE

Z miejsca, w którym była, ledwie dostrzegała dach.

Popołudnie dobiegało końca, łowiane i niepokojące niebo wyglądało zaś tak, jak gdyby miało za moment zwalić się na dom Evansów. Chmury wisiały ciężkie i gęste, powstrzymując oddech.

Agentka Kate Robson szła ich śladem, oddychając bardzo powoli i próbując się skoncentrować. Trzy lata minęły, odkąd po raz ostatni obserwowwała jakiś dom, ale kiedy to jeszcze robiła, zawsze towarzyszył jej kolega, w pogotowiu były zaś przy najmniej dwa zespoły wsparcia złożone z miejscowych funkcjonariuszy. Pozostawali w stałym kontakcie radiowym z centralą, przede wszystkim jednak, kiedy zbliżali się do obiektu, dbali o to, aby podejrzani doskonale wiedzieli, kto dobija się do ich drzwi.

Odkąd zaczęła ochraniać Pierwszą Damę, wyczerpujące przygotowania do każdego zadania, w którym miała brać udział w ramach służby, obejmowały pracę z mapami, fotografiami i rozpoznanie w terenie. W bardziej złożonych sytuacjach przeprowadzano wirtualne symulacje przy użyciu potężnego oprogramowania, które odtwarzało w najdrobniejszych szczegółach okolicę, w jaką się wybierano, dobierając co najmniej trzy możliwe ścieżki podejścia. Program doskonale przedstawiał nawet wnętrza budynków – dzięki zdobytym planom architektonicznym obiektów i dokumentacji fotograficznej zgromadzonej przez agentów wysuniętego pododdziału zwiadowczego kilka tygodni przed samym zdarzeniem.

Kate nigdy jeszcze nie pracowała w takich warunkach, w takiej niepewności i z tak kiepskimi kartami w ręku. Co najgorsze, w tym rozdaniu stawką było życie jej siostrzenicy.

Zaczęła w myślach zestawiać listę działań, których nie mogła podjąć, szybko jednak ich mnogość ją przytłoczyła. Wszystko, co przychodziło jej na myśl, było niewykonalne. Nie dysponowała zespołem ani czasem niezbędnymi do przedsięwzięcia akcji z ukrycia, nie mogła również podejść wprost do budynku, nie wiedziała bowiem, czy kamery nie są także wymierzone na zewnątrz. Ponadto nie była w stanie stwierdzić, czy ktoś jeszcze nie obserwuje domu z dystansu... Szybciej zdołałaby sporządzić listę tego, co mogła uczynić.

Jej pierwszym atutem była znajomość domu. Choć od wielu miesięcy go nie odwiedzała, rozkład pomieszczeń знаła na pamięć. Dostanie się do środka było dosyć proste. Dokonanie tego niepostrzeżenie to jednak zupełnie inna para kaloszy.

Obok samochodu Kate przejechał jakiś inny wóz z agentka instynktownie schyliła się na siedzeniu, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że wyglądała przez to bardziej podejrzanie niż gdyby po prostu siedziała za kierownicą. Korzystała z czarnego forda taurusa należącego do floty pojazdów Secret Service, którym powinna nazajutrz dojechać do pracy. Agenci po skończonej zmianie niemal całkowicie swobodnie mogli korzystać ze służbowych samochodów, co stanowiło jeden z niewielu plusów tej pracy. To „niemal” wiązało się z pewnym drobnym szczegółem – nikt, kto nie należał do agencji, nie miał prawa wsiąść do pojazdu. Takie były surowe zasady Secret Service, co w praktyce oznaczało, że jeśli miałeś rodzinę, byleś zmuszony kupić sobie drugi samochód.

Nie było tak jednak w wypadku Kate, dla której określenie „założyć rodzinę” stanowiło mgliste wyobrażenie w ramach jej planów na życie. Była to nieosiągalna aspiracja, coś, czego bardzo pragnęła, ale co wydawało jej się niemożliwe do zrealizowania. Coś jak wejście na Mount Everest czy wygrana w loterii państwowej.

Dobitnym tego dowodem był nieskazatelnie czysty taurus. Kiedy wsiadała do ojcowskiego dodge'a rama, leżące na dywaniku śrubki odciskały jej się na podeszwie butów. Kiedy wsiadała

do priusa Rachel, bez spoglądania wiedziała, że będzie potem musiała otrześć się z okruchów, które wbiły jej się w spodnie, Julia bowiem nie wyróżniała się szczególną dbałością o porządek. Życie brudzi. Rodzina to ciężar.

Wyciągnęła tanią nokię kupioną przed chwilą w punkcie T-Mobile kilka przecnic od miejsca, w którym teraz była, i podłączyła ją do gniazdka zapalniczki przy użyciu kabla, który kosztował ją więcej niż sam telefon. Minęło kilka minut, zanim bateria naładowała się wystarczająco, żeby można było uruchomić urządzenie. Kiedy włączyła telefon, wysłała wiadomość na komórkę poży czoną Davidowi.

JUŻ JESTEM NA MIEJSCU. BĘDĘ INFORMOWAĆ NA BIEŻĄCO

Ponownie uważnie przyjrzała się domowi. Była to śliczna budowla w stylu kolonialnym, z czterema sypialniami, od zewnątrz pomalowana na niebieskawy odcień szarości. Porośnięta trawnikiem pochyłość częściowo zasłaniała tyły posesji, jeśli podchodziło się od spokojnej bocznej uliczki, tam zaś właśnie stał teraz samochód Kate. Od białego murku, który oddzielał posesję od ulicy, do tylnych drzwi było dwadzieścia metrów. Szybko oszacowała czas, jakiego potrzebowałyby do przebiegnięcia tej odległości w dół skarpy. Mniej więcej cztery sekundy. Cztery sekundy, przez które byłaby widoczna dla każdego, kto również obserwował domostwo. Ale nie dla kamer. Jeśli jej plan by się powiódł, mogła podejść niezauważona, choć nie miałyby wiele czasu.

Na zebraniach przygotowawczych w Secret Service najbardziej ryzykownym punktem operacji przypisywano prawdopodobieństwo niepowodzenia, określane kolokwialnie jako „RW”, czyli Ryzyko Wtopy. Zawsze, gdy ryzyko to przekraczało piętnaście procent, rozwiązanie było z miejsca odrzucane. Zważywszy na skąpość posiadanej wiedzy na temat porywaczy Julii, Kate Ryzyko Wtopy swojego zamysłu oceniała na sześćdziesiąt procent – i była to ocena optymistyczna.

Z wściekłością uderzyła dłonią w kierownicę. Każda mijająca godzina redukowałą szanse na odnalezienie Julii przed wyznaczonym terminem. Musiała dostać się do tego domu. Nie pozostawało jej nic innego, jak postępować według obmyślonego planu.

Dookoła przydomowe czujniki zmierzchowe zaczęły włączać zewnętrzne oświetlenie budynków, tworząc wyspy światła pośród delikatnego granatu zmierzchu. Kate spojrzała na zegarek. Za kilka minut zapadną ciemności, dogodniej było więc zacząć.

Nie mogąc się powstrzymać, sięgnęła do portfela i wyciągnęła niewielką fotografię, którą poprzedniego dnia wykrała z albumu matki. Zdjęcie wykonano po meczu lacrosse, kiedy obie siostry chodziły do gimnazjum. Mundurek Rachel jak zawsze lśnił czystością, podczas gdy strój Kate był w opłakanym stanie, cały ubrudzony trawą i plamami potu. Uśmiech Rachel zdawał się namalowany pędzlem któregoś z wielkich włoskich mistrzów, grymas Kate upodabniał ją zaś do dzikiego zwierza. Prawą ręką opierała się na kijku, lewym ramieniem obejmując Rachel i podtrzymując jej kijek w opiekuńczy sposób.

Zawsze tak było. Rachel urodziła się czwartego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku jako córeczka, o której Aura Robson od zawsze marzyła. Jim jednak pragnął mieć syna, krzepkiego potomka, w którym mógłby się przeglądać. Tak więc w grudniu tego samego roku przyszła na świat kolejna latorośl, która urodziła się bez tak upragnionego organu między nogami.

Dziewczynka przyszła na świat z wykopem, co dotkliwie odczuły wnętrzności rodzicielki. Komplikacje okołoporodowe zmusiły lekarzy do przeprowadzenia u Aury histerektomii. Kiedy

twardy Wirginijczyk poznał płeć dziecka i dowiedział się, że o planowanym Jimmym Robsonie juniorze może zapomnieć, nie poczekał nawet, aż noworodek opuści porodówkę. Wsiadł w samochód i całą noc spędził na picciu w przydrożnym barze. Kiedy dwa dni później koledzy odwieźli go do domu, wreszcie miał okazję poznać swoją córeczkę.

Kate przełknęła łyk wody z butelki, którą od kilku dni wozila w schowku w drzwiach samochodu. Miała posmak niepranych ciuchów. Przechodzony posmak, który mocno przypomniał jej znikomą czułość, z jaką odnosił się do niej ojciec.

Jim na swój sposób z czasem pokochał dziewczynkę, którą przedstawiono mu, kiedy wytrzeźwiał. Zawsze jednak było coś, co uniemożliwiała mu pokochanie jej bez reszty. Zawsze już miała być tą, która skradła energię i życiowe siły, jakie jej matka powinna była przekazać tak upragnionemu synowi.

Wbrew powszechnej opinii dorosłych, dzieci to nie idioci. Od wczesnego etapu rozwoju są w stanie odbierać złożone uczucia. Nie inaczej było w wypadku tak ogromnej przepaści rozczarowania, którą musiała pokonać miłość Kate do ojca.

Jak możesz rywalizować z istotą ludzką, która nigdy nie zaistniała – z ideą, z marzeniem? Odpowiedź jest oczywista: nie możesz. Mimo wszystko Kate dorosła, gotowa przyjąć na siebie rolę syna Robsonów. Jej nieokiełznany charakter przyprawiał o nieustający ból głowy wszystkich, najdotkliwiej dawał jednak o sobie znać w relacjach z Rachel. Dorastały razem, bliskie sobie tak bardzo, jak tylko jest to możliwe między siostrami. Mimo to jedna była całkowitym przeciwieństwem drugiej. Rachel była piękną cichą i spokojną niczym górskie jezioro, tymczasem Kate przypominała rozedrgany piorun. Odłąd zaczęły naukę w szkole, chodziły do tej samej klasy, młodsza siostra przeistoczyła się zaś w obrończynię starszej.

Te Kate zjadła stonogę, kiedy Rachel, która przegrała głupią dziecięcą zabawę, nie odważyła się tego zrobić. To Kate wpadła do gabinetu pana Eckmanna, żeby podmienić klasówkę z matematyki, która nie poszła Rachel. To Kate wzięła odpowiedzialność za siostrę, kiedy w szóstej klasie przyłapano je na wagarach.

Nocami po zajmowanej przez nie sypialni krążyły szeptem zwierzenia, aż obie zasypiały. Rozmawiała z nią o dołeczkach w buzi, imprezach, chłopakach i piosenkach. O tym, jak to obie, kiedy dorosną, będą mieszkać razem w jednym domu i będą miały parę wspaniałych mężów. W pokoju pachniała gumą do żucia, gumkami do ścierania i używanym przez mamę tanim płynem do płukania. Kiedy pewnego razu Rachel po długim ataku płaczu opowiedziała siostrze, jak to Randall Jackson przekroczył granicę podczas sesji całowania się pod trybunami, Kate nie wahała się ani chwili. Wyskoczyła z łóżka, włożyła wysokie buty, wsiadła w piżamie na rower i pojechała pod dom Jacksonów. Kamyczkami obrzuciła okno Randalla, gdy zaś amator macania pokazał się na werandzie, ciosem z pięści wybiła mu dwa zęby.

Ojciec Randy'ego odwiózł Kate do domu i rozmówił się z jej rodzicami. Padły poważne słowa, ale Kate, siedząc z założonymi rękoma na kanapie, nie zdradziła powodów, które skłoniły ją do obicia twarzy kapitanowi drużyny futbolowej. Sytuacja uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy przejęta strachem Rachel zeszła w koszuli nocnej na parter i wszystko wyznała.

– Przykro mi z powodu zachowania mojego syna. Proszę o wybaczenie, Jim. Gwarantuję, że zostanie ukarany, jak należy – zapewnił pan Jackson, z zawstyżeniem ugniatając w dłoniach czapkę.

Jim od drzwi obserwował w milczeniu, jak odchodzi. Kiedy odgłos silnika zniknął w mrokach nocy, odwrócił się ku Kate, pokazując jej łańcuch do zapinania roweru, którym obwinęła sobie dłoń, zanim uderzyła Randy'ego.

– Czy to na pewno było konieczne?

– On waży trzynaście kilogramów więcej ode mnie – odparła Kate, wzruszając ramionami.

Jim zdołał powstrzymać uśmiech, ale Kate wiedziała, że postąpiła słusznie. Teraz, po tylu latach, gdy miała popełnić największe w życiu szaleństwo, jej ocena tamtej sytuacji nie zmieniła się ani trochę.

Oczywiście, że było to konieczne.

Aby chronić własną rodzinę, robi się tyle, ile trzeba.

Kate odetchnęła głęboko i otworzyła drzwi samochodu.

– Kiedy to się stało?

– Kilka godzin temu.

Doktor Wong unikała spoglądania mi w oczy, z miejsca więc wyczułem, że jest coś jeszcze.

– O co chodzi, szefowo?

– O co chodzi? – przerwał Meyer, wydając z siebie rechot, który zabrzmiał niczym stara piła wgrzyzająca się w wyschnięte drewno. – Naprawdę pan jeszcze pyta? Przyjeśliśmy tutaj pana, doktorze Evans. Daliśmy panu miejsce w Saint Claire i możliwość wykazania, że może pan być pełnowartościowym lekarzem. I to mimo pana... zaszłości.

– O czym pan, u diabła, mówi?

Meyer otworzył kopertę i rzucił na stół czerwoną teczkę, jakie w dziale kadr były używane do prowadzenia dokumentacji szpitala. Bez patrzenia na przyklejone do okładki nazwisko wiedziałem, że to moja. Wyciągnięcie w takiej sytuacji spraw z przeszłości było czymś bardzo typowym dla takiego szcúra jak Meyer.

– O zaszłościach! W języku menedżerów określenie to oznacza „zdarzenia z przeszłości, które pasują mi do takiej czy innej tezy”.

– Podejrzewam, że nie ma pan zamiaru odnieść się do odsetka moich udanych operacji.

Meyer, zdumiony, kilkakrotnie zamrugał oczami.

– Wiem o problemach, jakie miał pan z szefem neurochirurgii na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, ale...

– Nie, nie wie pan.

Mruganie Meyera przeszło w niezdrowy uśmiech, jak gdyby para małą o cienkich palcach rozciągała mu kąciki ust. Był absolutnie nieprzyzwyczajony do tego, żeby mu przerywano, tym bardziej zaś do tego, żeby mu zaprzeczano.

– Słucham?

– Nie wiem, co jest w tych dokumentach, ale proszę mi wierzyć, nie ociera się to nawet o prawdę. Nie miałem żadnych problemów z doktorem Hockstetterem, to on ma jakiś problem z całą ludzkością. Tak czy inaczej, nie wiem, jaki to ma związek z obecną sytuacją.

Dyrektor zrobił pauzę, po czym zaczął od nowa. To jedna z osób, które – jeśli im przerwiesz – powtarzają wszystko od początku, na wypadek gdybyś zdążył zapomnieć, co ci powiedziały przed sześcioma sekundami.

– Wiem o problemach, które miał pan z szefem neurochirurgii na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, niemniej jednak mój poprzednik postanowił przymknąć na nie oko. W normalnym wypadku po tego rodzaju potknięciu pańska kariera cofnęłaby się o kilka lat. Przyszłoby panu leczyć głowy wieśniaków w Północnej Dakocie czy coś w tym stylu. Daliśmy panu szansę zacząć od zera. Nie ulega wątpliwości, że mój poprzednik potrafił dostrzec w człowieku potencjał. Sam potencjał nic jednak nie znaczy bez odpowiedniego nadzoru i umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach.

– Meyer, czy pan teraz insynuuje, że to z mojej winy straciliśmy okazję, żeby operować pacjenta?

– A nie? Odkąd się do nas zgłosili, nie było żadnych problemów. Dziś pan wychodzi, znika na kilka godzin, żeby się z nim zobaczyć, aż tu nagle dzwonią z Białego Domu, żeby powiedzieć, że decydują się na inny szpital. Tylko pan miał z nim kontakt, a zatem tylko pan miał możliwość tę

sprawę spartolić.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Czyżby był zazdrosny?

– Czyli to panu przeszkadza? Że nie mógł się pan zobaczyć z prezydentem? Niewiele pan stracił.

– Potencjał nic nie znaczy bez umiejętności gry w drużynę. A pan, Evans, nie jest graczem drużynowym. Roztrwania pan zasoby szpitala, zawsze znajduje pan jakąś lukę prawną, żeby stanąć po stronie pacjenta. Szczególnie zaś w sytuacji, kiedy pacjent nie ma grosza przy duszy. Nie dalej jak wczoraj w wypadku tego gangstera, którego ratownicy podrzucili nam na ostry dyżur.

W tym momencie Stephanie popatrzyła na mnie i uniosła swoje prawie niewidzialne brwi. Gestem tym dawała do zrozumienia: „Ostrzegałam cię”. Szpital stracił swojego najznamienitszego pacjenta dekady – jedyną w swoim rodzaju szansę, żeby zapisać się w podręcznikach do historii. Teraz, gdy szansa ta zniknęła, musieli znaleźć kozła ofiarnego. Mniejsza z tym, że prezydent w ogóle zgłosił się do nas właśnie ze względu na mnie, ważne, przez kogo z nas zrezygnował.

Meyer nie znoślił mnie na swój mdły i chłodny sposób, dla niego jednak uczucie to miało znaczenie drugorzędne dopóty, dopóki byłem mu przydatny. Teraz przyjdzie mu się tłumaczyć przed radą nadzorczą szpitala, dlatego miał już pod ręką winowajcę i wytłumaczenie: rozrutnego pana doktora. Dobierze się do mnie, jak tylko będzie mógł, najłatwiej będzie mu zaś to uczynić dzięki przypadkowi Jamaala Cartera.

– Zająłem się istotą ludzką, Meyer.

– Znacznym kosztem. Ja tutaj nie prowadzę domu dobroczynnego, a i pańskiej pensji nie opłacają tego rodzaju fanaberie.

– Nie, moją pensję opłacają sześcio- i siedmiocyfrowe rachunki, które wystawia pan klientom. Po tym, jak ja uratuję im już życie.

Meyer nachylił się w przód z twarzą poczerwieniałą ze wstydu i z wściekłości.

– Uważa się pan za jedyne u talentowanego lekarza w tym kraju? Na pana miejsce czekają zastępy młokosów, którzy równie dobrze potrafią zoperować tętniaka, przy tym mają jasno określoną hierarchię priorytetów! Kosztuje pan ten szpital mnóstwo pieniędzy, Evans, i dobrze pan o tym wie! Przez ostatnie miesiące tolerowaliśmy pana wygłupy, ponieważ, koniec końców, stracił pan żonę i...

Na te słowa nie zdołałem się już powstrzymać. Wewnątrz poczułem, jak rozpala mnie gniew, pochłaniając moją przyrodzoną nieśmiałość i ugodowość niczym miotacz płomieni niszczący ścianę z papieru. Oparłem obie ręce na jego biurku i zbliżyłem twarz kilka centymetrów do jego oblicza.

– Słuchaj pan, Meyer! Jeśli jeszcze raz wspomni pan przy tej sprawie o mojej żonie, to knę się na Boga, że będzie pan lykał własne zęby.

– Davidzie, wystarczy! – krzyknęła Stephanie, zrywając się na nogi.

– On mi grozi. Sama słyszałaś, prawda? Będziesz świadkiem!

– Jeśli trzeba, powtórzę. Niech pan tylko jeszcze raz napomknie o mojej żonie... Mam gdzieś, jeśli czeka mnie wypisywanie recept w przychodni na Alasce. Obiję panu mordę.

Meyer początkowo nie ustępował. Jego umysł pracował na pełnych obrotach, niemal słyszałem, jak kalkuluje w myślach. Po kilku chwilach przełknął ślinę, odchylił się w tył i unosił dłonie w pojednawczy gest.

– W porządku, w porządku. Nie ma po co odchodzić od zmysłów. Możemy przecież porozmawiać jak osoby cywilizowane.

Podniosłem głowę i zabrałem dłonie z jego biurka, ani na moment nie kupując jego

zachowania. Obaj posunęliśmy się za daleko, choć rozmowa ta bynajmniej na tym się nie kończyła. Zaraz po wyjściu z gabinetu, gdy tylko Meyer przestanie się obawiać o własną nietykalność cielesną, dotkną mnie bardzo surowe konsekwencje. W tym momencie jednak moja przyszłość w Saint Claire nie miała dla mnie znaczenia, przynajmniej jeśli mógłbym tam pozostać do piątku do dziewiątej rano.

Musiałem zaproponować mu jakąś marchewkę. Coś, co rzuciłbym mu na żer i co pozwoliłoby mi zyskać na czasie. Bez względu na to, jak wielki wzbudzał we mnie wstręt, musiałem uniknąć bezpośredniej konfrontacji, przede wszystkim zaś zadbać, żeby odłożył swoją zemstę o kilka dni.

– Doskonale wiem, Meyer, czego pan chce.

– Chcę jak najlepiej dla tego szpitala.

– Nie. Chce się pan pokazać w telewizji. W piątek po południu chce mieć pan swoją konferencję prasową, chce pan być tym, kto opowie o sprawie całej Ameryce. Chce pan swoich piętnastu sekund *prime time*'u.

Spojrzał na mnie w milczeniu. Trafiłem w sedno i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę, choć Meyer sam nigdy by tego otwarcie nie przyznał. Dla takiego szarego, pozbawionego prawdziwego talentu biurokraty, który zawdzięczał wszystko tacie, sam zaś nic nie osiągnął, było to jak spełnienie marzeń. Występ w telewizji – złote runo maluczkich.

– Mogę to załatwić – ciągnąłem. – Nie wiem, co się dziś stało, ale mogę sprawić, żeby prezydent na powrót nam zaufał.

– Telefonował szef służb medycznych Białego Domu. Niejaki Hastings. To ja z nim rozmawiałam – powiedziała doktor Wong.

– Hastings chciał, żebyśmy operował w Bethesda. Nie zgodziłem się jednak – oznajmiłem, spoglądając wyzywająco na Meyera, żeby zobaczyć, co teraz sobie pomyśli o mojej nieumiejętności gry w drużynie. Na próżno, już zdążył wykształcić sobie o mnie zdanie, które, jeśli mam być szczery, nie było wcale tak dalekie od prawdy. Mogłem jednak sprawić, żeby uwierzył, że wciąż jeszcze mi zależy. – Pierwsza Dama pomówiła z mężem i wszystko udało się załatwić. To ona jest tutaj kluczowa.

– Zdoła pan wyminąć Hastingsa i dotrzeć do samego prezydenta?

– Tak sądzę.

Meyer uczyił z dłoni piramidkę, złożył je tak pod podbródkiem i się uśmiechnął. Z pewnością się zastanawiał, w którym garniturze pokaże się na konferencji prasowej.

– Proszę to załatwić. Proszę sprawić, żeby operacja odbyła się w naszym szpitalu, Evans, a będzie między nami pokój. Jeśli jednak to się panu nie uda, obawiam się, że rada nadzorcza zażąda wyciągnięcia konsekwencji.

W tym momencie jedyne, na co miałem ochotę, to przedłożyć moją rezygnację, żeby za nic w świecie operacja ta nie była przeprowadzona w Saint Claire. Czy może raczej chciałem przeskoczyć przez biurko i pięściami zmasać mu tę minę z twarzy, ponieważ jednak w całej tej grze chodziło o życie Julii, nie mogłem sobie na to pozwolić.

Uzyskałem już od niego to, o co mi chodziło, tak więc skinąłem głową i wyszedłem.

– Evans, poczekaj!

Doktor Wong wybiegła za mną na korytarz. Nie zatrzymałem się, choć zostawić z tyłu moją szefową nie jest łatwo nawet wtedy, gdy się jest tak bardzo wkurzonym, jak ja byłem w tej chwili.

– Tam, w gabinecie, skurwił się właśnie po mnie przejechał i nie mogę powiedzieć, żebyś wykazała się jakimś wielkim wsparciem.

– Evans, on ma rację. Już cię ostrzegałam, że rada nadzorcza skarży się na twoje podejście do operacji przeprowadzanych *pro bono*. Mógłbyś trochę podnieść nogę z gazu. Nie możesz cały

czas wojować.

Oczywiście, że Meyer miał rację. Wielokrotnie mnie przed tym ostrzegano, on jednak był bezdusznym i chciwym dupkiem. Jasne, że sam się do tej sytuacji dołożyłem. Już wcześniej dość liberalnie podchodziłem do dysponowania środkami, ale od śmierci Rachel straciłem orientację. Ogarniające mnie poczucie winy działało niczym potężny magnes na igłę mojego moralnego kompasu.

– Raz już osłabiłem czujność i zobacz, co mi to przyniosło.

– Evans, uratowanie kilku biedaków nie rozwiąże sprawy twojej żony. Ponieważ nie ma tutaj czemu zaradzić. Wszyscy widywaliśmy ją na korytarzach szpitala, zachowującą się jak gdyby nigdy nic, bez choćby najmniejszej oznaki tego, że mogła być chora. Sama przeprowadziłam z nią kilka operacji tuż przed tym, jak ją zdiagnozowano. Długie godziny spędzała na stojąco, ale cały czas była takskoncentrowana i bystra jak zawsze. Nikt nie byłby w stanie tego przewidzieć.

Możliwe, że naprawdę tak myślała, ale jej słowa zabrzmiały nieszczerze, niczym próba obłaskawienia mnie po tym, jak zdradziła mnie wobec dyrektora. Co więcej, jeśli udałoby się odzyskać dla Saint Claire prawo przeprowadzenia operacji, ona także by przy tym była. Najpierw, rzecz jasna, ze mną na bloku operacyjnym. A po południu na konferencji prasowej.

Nagle wszyscy chcieli mieć kawałek pacjenta dla siebie. Zwęszyli w wodzie krew i krążyli, ostrząc zęby. Sądzę, że aż do tej chwili nie do końca rozumiałem troskę Pierwszej Damy o dobór odpowiedniego lekarza na potrzeby operacji. Pragnęła uniknąć właśnie tego rodzaju zachowań, co tym bardziej niezrozumiałą czyniło decyzję, żeby na tym etapie przygotowań wyłączyć mnie z przedsięwzięcia.

– Wielkie dzięki, doktor Wong – powiedziałem, nie odwracając się ku niej. – Możesz już wrócić do Meyera, żeby razem ćwiczyć uśmiechy przed lustrem. Mówią, że do telewizji najlepiej ubrać się na niebiesko.

Doszliśmy do windy i zanim wreszcie drzwi kabiny się otworzyły, wcisnąłem guzik trzy czy cztery razy, chcąc jak najszybciej opuścić piętro dyrekcji szpitala.

– Evans, znam cię bardzo dobrze – powiedziała za moimi plecami, podczas gdy drzwi windy zamykały się między nami. – Jesteś zajebistym neurochirurgiem, jednym z najlepszych na świecie, ale zarazem naiwniakiem i uparciuchem. Nie zrnajuj wszystkiego teraz, kiedy jesteś już tak blisko. Kiedy będziesz dzwonił, pomyśl o swojej córeczce.

„Gdybyś ty lko wiedziała...”

KATE

Nad Silver Spring zdążyła zapaść noc. Drobny deszcz padał mgiełką na plecy Kate, gdy szperała w bagażniku samochodu, aż znalazła to, czego szukała – czarną płócienną torbę rozmiaru damskiej torebki.

Schowała ją pod kurtkę, gdzie s krywała również kaburę pistoletu SIG Sauer P229. Przeszła przez ulicę i spokojnie ruszyła chodnikiem, jakby była po prostu kolejnym mieszkańcem osiedla, który po długim dniu pracy wraca do domu. Wymięła budynek należący do Evansa, dyskretnie się upewniając, że w pobliżu nikogo nie ma, i przeskoczyła przez biały murek.

Wykorzystując jako osłonę niewielką ogrodową szopę, zbiegła w dół zbocza, aż dotarła do jej tylnej ściany. Trawa pod wpływem deszczu była wilgotna, przez co na ostatnich metrach niemal się wywróciła. Ostatecznie wyhamowała prawym ramieniem na plastikowej konstrukcji szopy. Przywarwszy do ściany, podeszła do wejścia. LAMPY w ogrodzie się nie włączyły, ponieważ Evansowie, przykładający wielką wagę do kwestii ochrony środowiska, nie korzystali z włączników czasowych ani czujników zmiernych, tylko zapalali je ręcznie, jeśli akurat byli w domu. Mimo to słabe światło, które docierało z podwórka sąsiadów, rysowało niewyraźny cień Kate na trawniku. Najbliższy dom był dosyć daleko i było mało prawdopodobne, żeby widziano, jak przedostaje się na posesję szwagra. Ktoś jednak mógł ją dostrzec i wezwać policję, wtedy z pewnością przyślabiby patrol, porywacze uznaliby wówczas, że to David ich zawiadomił. Nie można było do tego dopuścić.

„Muszę jak najszybciej to otworzyć”.

Szopa była zamknięta na kłódkę, ale nie na przyzwoitą markę Master, tylko importowane byle co kupione w Home Depot. Stary Robson na sam jej widok gorzej by się poczuł. Kate pokonała ją w niecałe pięć sekund przy użyciu zaczepu długopisu. Ot, korzyści płynące z bycia dzieckiem właściciela sklepu z artykułami żelaznymi.

Kate weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi, ale nie zapalała światła, tylko wyciągnęła latarkę, żeby zorientować się w rozkładzie niewielkiego pomieszczenia. Odsunęła worek z nawozem i znalazła wąż automatycznego systemu podlewania. Evansowie mieli elektryczny spryskiwacz, który podłączało się do gniazdka wewnątrz szopy. Odlączyła spryskiwacz i wyjęła spod kurtki płócienną torbę. Otworzyła zamek błyskawiczny i wyciągnęła ciemnoszare urządzenie wyposażone w trzy anteny oraz adapter z możliwością ustawienia napięcia. Był to standardowy zakłócaacz częstotliwości, jaki instalowało się w miejscach tymczasowego pobytu lub w pojazdach osób chronionych, kiedy istniało niebezpieczeństwo zamachu przy użyciu samochodu pułapki. Blokował wszystkie sygnały elektromagnetyczne w promieniu pięćdziesięciu metrów. Radio, komórki, odbiorniki GPS – wszystko. W wypadku prezydenta korzystano z samochodu terenowego naszpikowanego specjalistycznym sprzętem, który tworzył bańkę ochronną o promieniu dwustu metrów wokół prezydenckiej kolumny. Przez powstałą barierę mogły się przedostać jedynie sygnały telefonów upoważnionych osób i urządzenia komunikacyjne agentów Secret Service.

Kate ustawiła anteny zakłócaacza w pozycji pionowej, przestawiła przełącznik napięcia z dwunastu na sto dziesięć woltów, podłączyła urządzenie do sieci elektrycznej i poczęła niespokojna, aż sześć kontrolerek przestanie migać na pomarańczowo i zaświeci jasnozielonym światłem ciągłym. Wyciągnęła służbowego smartfona BlackBerry i dopiero co kupioną nokię. Na obu wyświetlał się komunikat USŁUGA NIEDOSTĘPNA. Zainstalowany przez nią zakłócaacz był znacznie mniej wyrafinowany niż urządzenia z samochodu terenowego do ochrony prezydenckiej kolumny.

Wyłączyła latarkę i uchyliła drzwi szopy, spoglądając w stronę domu. Jeśli intuicja jej nie myliła, kamery zainstalowane przez White'a musiały być połączone za pomocą karty SIM i wysyłały nagrywany obraz własnym łączem. Zawodowiec nie podłączyłby ich do sieci internetowej ofiary, zbyt łatwo bowiem byłoby je wówczas wykryć, transmisja danych zależałaby zaś od operatora sieci. Kate bardzo łatwo byłaby w stanie to sprawdzić, gdyby miała przy sobie używany w agencji wykrywacz aparatury szpiegowskiej, ale jej urządzenie uległo w ubiegłym tygodniu awarii, a dział techniczny nie wydał jej jeszcze zamiennika.

Nie było innego wyjścia, jak zaryzykować. W tym momencie porywacze wiedzieli już, że coś jest nie tak. Zapewne mieli przed oczami monitory pełne białego szumu i próbowali się dowiedzieć, co się stało. I choć wiedzieli, że David znajduje się w szpitalu, było kwestią czasu, zanim kogoś by tutaj przysłali.

W najlepszym wypadku miała do dyspozycji zaledwie kilka minut.

– To jazda! – szepnęła, jak zawsze to czyniła przed rozpoczęciem misji. Mantra służyła zarówno dodaniu sobie otuchy, jaki zaklęciu rzeczy wistości i odpędzeniu pecha.

Otworzyła drzwi i podbiegła w stronę domu. Kilkomina susami dotarła do tylnego wejścia. Przykucnęła przy ścianie porośniętej bluszczem i w ziemi wokół bugenwilli postarała się wymacać atrapę kamienia, pod którą, według słów Davida, powinny się znajdować klucze do tylnego wejścia. W ciemności nie była w stanie jej odnaleźć, zamiast jednak szukać dalej, spróbowała przekręcić klamkę, która natychmiast ustąpiła.

„Typowe dla Davida – pomyślała Kate. – Naszpikowanie ci domu mikrofonami nie sprawiło im większego problemu”.

Tylnie drzwi prowadziły na zabudowany taras z podłogą z drewna, z dwiema ustawionymi naprzeciwko siebie kanapami i metalowym stolikiem, gdzie Evansowie zwykli spędzać popołudnia na grze w tryktraka, podczas gdy Julia bawiła się w ogrodzie.

Właśnie tam się to wydarzyło. Tamtego wieczoru, gdy Rachel pracowała do późna, ona zaś wypila o kieliszek za dużo.

Kate odwróciła wzrok. Już od samego przywołania tego wspomnienia naszło ją poczucie winy. On był dżentelmenem w każdym tego słowa znaczeniu i nigdy więcej o sprawie nie wspomniano, ale relacje między nimi nigdy nie były już takie same.

Otworzyła przesuwane szklane drzwi i weszła do salonu. Nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem na parapet kominika. Identyczne zdjęcie ślubne Rachel i Davida stało w salonie jej rodziców. Kate była w życiu na kilku ślubach i widziała wiele panien młodych. Zawsze stawały się mistrzyniami ceremonii i księżniczkami swojego balu. Ale nie jej siostra, dla której wszyscy przybyli goście nie istnieli. Dla niej istniał tylko świeżo poślubiony mąż.

David miał zielone oczy i włosy tak czarne, że aż przechodzące w granat. Włosy godne piosenki, jak powiedziała kiedyś Rachel. Przez ostatnie miesiące jego skronie pokryły się srebrem, a na mocnym, wyraźnie zarysowanym obliczu pojawiły się niewielkie zmarszczki. Po śmierci żony David w jednej chwili postarzał się o pięć lat, jakby była ona jego jedynym źródłem życiowej radości.

„Kochałeś ją – pomyślała Kate, czując, że za chwilę się rozplacze. – Naprawdę ją kochałeś, Davidzie, przez co tym trudniej mi tobie przebaczyć. Oby kiedyś ktoś tak na mnie patrzył, jak wy patrzyliście na siebie. Gdybym miała kogoś, kogo bym tak kochała, nie pozwoliłabym, żeby mu się cokolwiek stało”.

Obok fotografii ślubnej stało oprawione w ramkę zdjęcie Davida z córeczką. Byli w parku. Niósł ją na barana, miał szeroko rozdziałwione usta i robił śmieszny minę, udając, że zaraz ugryzie ją w kolano. Julia zwijała się ze śmiechu.

„Ale jest wspomniałbym ojcem – w jeden dzień daje Julii więcej buziaków i uścisków niż my

dostawałyśmy od taty przez cały rok. Jasne, jest roztrzepany i trochę niezdarly. Jasne, mógłby spędzać z małą więcej czasu. Który rodzic w dzisiejszych czasach nie popełnia takich przewin? Ale kiedy już są razem, cały świat przestaje dla nich istnieć. Julia patrzy na niego z bezgranicznym podziwem, wraz z nim słońce dla niej wstaje i się chowa. A David się stara. Uczy się na pamięć imion wszystkich postaci z kreskówek, opowiada jej bajki. Niezdarly, jak to on, ale naprawdę stara się do niej zbliżyć”.

Odsunęła się od parapetu łóżka, kręcąc głową. W jej sercu zdawały się walczyć ze sobą sprzeczne uczucia, jednocześnie ciągnąc ją w przeciwnych kierunkach.

„Muszę przestać o tym myśleć. Dalej, Kate, skoncentruj się! Musimy znaleźć jej ślady. Jakies punkty oparcia, jakies troty”.

– Davidzie, muszę wiedzieć, jaka była. Muszę mieć jej zdjęcie.

– Nie mam żadnej fotografii – odpowiedział. – W zeszłym tygodniu zrobiłem zdjęcie, na którym było widać, jak bawi się z Julią, ale nie zdążyłem zgrać ich na komputer.

– Musimy wymyślić sposób, żebyś wysłał mi je z komórki.

– Nawet gdybym chciał, to nie mogę. Całe archiwum fotografii z iPhone’a zostało skasowane. To pierwsze, co wczorajszej nocy sprawdziłem, kiedy jeszcze byłem przekonany, że to ona uprowadziła Julię.

Kate przeszła przez salon i kuchnię, aby dotrzeć do pokoju Świetłany. Wciąż na wszystkich powierzchniach utrzymywał się zapach wybielacza. David nie kłamał, kiedy powiedział, że najwyraźniej dokładnie przetrarli każdy zakątek pomieszczenia. Sprawdziła łóżko i komodę – powyciągała szuflady i pozaglądała od spodu. Przyjrzała się podłodze niewielkiej szafy wbudowanej w ścianę, stołowi i koszu na śmieci.

Był pusty.

„Jak cała reszta”.

Spróbowała wyobrazić sobie w tym pokoju Świetlanę. Jak spała, jak się uczyła czy udawała, że to robi. Jak leżała w łóżku, wpatrując się w sufit i planując swoje następne posunięcie. Jak zdobyć zaufanie rodziny zdruzgotanej cierpieniem po śmierci Rachel. Czy porywacze ją czymś zaszantażowali, czy też zrobiła to dla pieniędzy?

„W twojej winie, Świetlana, kryła się i kara. Oto wszystko, co po tobie zostało: zapach wybielacza”.

Przeszła do holu wejściowego, gdzie pod schodami prowadzącymi na piętro kryły się drzwi do piwnicy. Zeszła po skrzypiących, drewnianych stopniach, świecąc pod nogi latarką, aby nie spaść, jednocześnie jednak nie dopuszczając, żeby krąg światła zbliżył się do okien. Nie chciała zapalać żarówki, która mogłaby zaalarmować porywaczy i zdradzić im, że w domu jest ktoś jeszcze.

Rzuciła okiem w głąb piwnicy. Rowery nie leżały w przejściu, ale były zawieszane na ścianie, zwłoki Świetłany zaś zniknęły. W miejscu, w którym David mówił, że widział je ubiegłej nocy, nie było nic, unosił się jedynie zapach wybielacza. Dotknęła palcami ściany. W miejscu, w którym miały być oparte zwłoki, stara farba ze ścian piwnicy zdawała się wilgotna i lekko złuszczała.

W tym momencie przez wąskie okna piwnicy wdarł się prostokąt światła. Kate przechyliła głowę, nasłuchując, i natychmiast wzmogła czujność. Samochód nie przejechał obok, jak uczyniło to już kilka innych od chwili, gdy dostała się do domu, ale zatrzymał się w odległości kilku metrów. Silnik ucichł i można było usłyszeć kroki na chodniku.

Juž tu byli.

Komórka zaczęła dzwonić, zanim zdążyłem wejść do gabinetu. Odebrałem, jednocześnie otwierając drzwi, żeby zaraz potem oprzeć się o nie od środka.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Dave, w obecnych okolicznościach niełatwo mi przychodzi ci uwierzyć – powiedział White tonem tak wyzywającym emocji, że przypominał automatyczną sekretarkę. Przebiegły mnie dreszcze. – Całe popołudnie spędziłeś na spotkaniu sam na sam z pacjentem, a teraz wychodzi nam coś takiego.

– Proszę pana, sam pan słyszał, co powiedzieli moi przełożeni. Nie wiem, co się dzieje, niczego nie wyjaśnili. Jestem równie zaskoczony jak pan.

– To nieważne. Teraz, Dave, stałeś się zbędnym narzędziem. A ja jestem osobą niesamowicie pragmatyczną. Tak więc...

Rozłączył się.

Tak po prostu: szybko, łatwo, sterylnie. Na tak cienkim włosku trzymało się życie mojej córeczki – zależało od jednego kliknięcia w telefonie.

Stałem jak wryty, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. W kilka chwil przeszedłem od strachu do zdumienia, od zdumienia do złości i od złości z powrotem do strachu. Taka karuzela emocji miała druzgocące działanie na mój układ nerwowy. Zastanowiłem się, czy wszystko to nie stanowiło części planu White'a, aby mnie zmanipulować i jeszcze bardziej podporządkować jego woli. Byłem niczym jedna z kulek w pinballu, która po spadku ze stromej krawędzi nieustannie opada w dół. Mogłem po drodze zdobyć jakieś punkty, ale brakowało mi swobody ruchu. Kliknięcie w słuchawce przyniosło pewność, że niezależnie od tego, co uczynię, niezależnie od tego, jak daleko dotrę w grze, wcześniej czy później kulka spadnie na dno.

White nigdy nie pozwoli nam umknąć z życia.

Kulka do gry w pinball ma oczywiście jedną przyrodzoną cechę – jest ze stali. I bez względu na to, ile razy w nią uderzysz, łopatki i membrany maszyny do gry nie są w stanie jej zniszczyć. Aby uratować moją córkę, musiałem zgodzić się poddać za uderzeniami. Dopóki kulka pozostaje w grze, Kate będzie miała czas, żeby spróbować odszukać Julię.

Połączenie zostało przerwane, ale ja wiedziałem, że White wciąż tutaj jest, wciąż mnie słucha.

– Proszę poczekać. Niech pan poczeka, proszę – usłyszałem swój błagalny głos. – Wiem, że mogę tę sytuację uratować. Jeśli mi pan pomoże, mogę to załatwić.

Zamilkłem i poczekałem. White wahał się ponad minutę, zanim oddzwonił, w końcu jednak dźwięk mojego telefonu rozbrzmiał w ciszy gabinetu.

– Czego chcesz, Dave?

– Jeśli zadzwonię na numer centrali w Białym Domu, upłyną godziny, zanim mnie przełączą do szefa personelu medycznego. Poza tym możliwe, że nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Muszę znać jego bezpośredni numer.

– Co takiego zyskam, jeśli ci go podam?

– Za daleko się z tym posunęliśmy, White. Jestem pewien, że nie ma pan ani czasu, ani środków, żeby pozyskać inny... zasób, czy jak tam pan to określa.

Usłyszałem odgłos stukania w klawisze. Kilka sekund później White podał mi dwa numery – jeden telefonu stacjonarnego i jeden komórkowy.

– Nie dzwoń ze swojego iPhone'a. Skorzystaj z telefonu na biurku. Zrozumiałeś?

W sygnale telefonicznym widocznie coś było – coś, co mogliby wykryć, gdybym zadzwonił pod urzędowy numer, na przykład do Białego Domu. Zastanowiłem się, czy elektroniczne środki zapobiegawcze byłyby w stanie dokonać czegoś więcej poza stwierdzeniem, że White podłączył się pod mój numer. Na przykład odkryć, dokąd taki sygnał prowadzi.

– Zgadza się – odparłem.

– Jeszcze coś, Davidzie. U ciebie w domu nikogo chyba teraz nie ma, prawda?

„Cholera. White wie, że coś się święci. Kate, coś ty zrobiła?”

– Co? Nie, oczywiście, że nie.

– Wspaniale, nie ma się więc czym przejmować, prawda? – zapytał fałszywie jowialnym tonem. – Masz dziesięć minut, żeby przekonać Hastingsa i odzyskać pacjenta. W przeciwnym razie kończymy naszą znajomość.

Ponownie się rozłączył.

Wahałem się, jaki powinien być mój kolejny ruch. Czy spróbować przestrzec Kate, czy też trzymać się dyspozycji White'a?

„Próba natychmiastowego skontaktowania się z nią byłaby głupotą. Z pewnością teraz White przygląda mi się, przysłuchuje i pilnuje mnie baczniej niż kiedykolwiek. Muszę zachowywać się tak, jakbym nic nie wiedział o jakimkolwiek wtargnięciu do mojego domu” – pomyślałem.

Wybrałem numer komórki Hastingsa, ale zgłosiła się poczta głosowa. Rozłączyłem się bez zostawiania wiadomości i zadzwoniłem na numer stacjonarny, czekając na połączenie albo przełączenie mnie do centrali.

„Jest już bardzo późno. A jeśli poszedł do domu i wróci dopiero jutro, tymczasem zaś wyłączył komórkę? Nie, to niemożliwe, żaden lekarz by tak nie uczynił. Musi być jakiś inny powód”.

Zadzwoniłem raz jeszcze. W końcu ktoś podniósł słuchawkę.

– Personel medyczny. Hastings przy telefonie.

– Kapitanie Hastings, mówi David Evans.

– Doktor Evans? – W jego głosie było słycać zdumienie, a także poczucie winy. – Jak pan zdobył ten numer?

„Doskonale pytanie. Dał mi go morderca-psychopata, który chce, żebym zabił twojego szefa”.

– Znalazłem w wyszukiwarce Google. Niech pan powie, co się dzieje.

– Nie... nie przekazali panu tego pana przełożeni?

– Owszem, poinformowali mnie, że mnie spławiacie. Uprzejmiej by było, gdyby to pan, kapitanie, osobiście w tej sprawie do mnie zadzwonił.

– Przykro mi, doktorze Evans. Nie pomyślałem.

„A przy okazji oszczędziłeś sobie kłopotów z przekazaniem mi wiadomości”.

– Szczerze powiedziawszy, jestem zaskoczony. Może mi pan wyjaśnić powody takiej decyzji?

– Doktorze, nie wolno mi omawiać z panem decyzji podjętych przez moich pacjentów.

– Zadał pan sobie wiele trudu, żeby ściągnąć mnie do Białego Domu i przekonać, żebym się zaangażował w operację, z którą nie chciałem mieć nic wspólnego. A teraz spławia mnie pan jednym telefonem.

– Doktorze, proszę zrozumieć moje położenie. Nie powinienem nawet teraz z panem rozmawiać.

– A ja tamtego popołudnia nie powinienem nawet zjeżdżać kilometr pod ziemię.

Kapitan nagle wznógł czujność. Niemal słycałem, jak sztywnieją mu barki.

– Jeśli zamierza pan ujawnić wiadomości pozyskane w trakcie wykonywania obowiązków

zawodowych, złamię pan zasady etyki. Jednocześnie wątpliwie przysłuży się pan ojczyźnie, doktorze Evans.

– Nie zamierzam niczego ujawniać, kapitanie, nie jestem kretynem. Tylko przypominałem panu, że z własnej strony uczyniłem więcej niż wymagałyby tego moje zobowiązania zawodowe. I proszę o taką samą zawodową przysługę.

Hastings wypuścił długi oddech.

– W porządku. Powiem panu, co się stało, jeśli obieca mi pan pomoc. Potrzebuję wyników rezonansu magnetycznego, który wykonał pan dziś pacjentowi. Podejrzewam, że to pan je ma.

– Chwileczkę.

Pendrive z rezonansem pacjenta miałem w kieszeni spodni. Prośba Hastingsa pozwoliła mi sięgnąć ręką do kieszeni i włożyć komórkę od Kate do pierwszej szuflady biurka, podczas gdy udawałem, że szukam pendrive'a. Nie wiedziałem, czy White umieścił w moim gabinecie jakąś kamerę, musiałem więc to zrobić możliwie jak najdykretniej. Kątem oka spoglądając na ekran, spróbowałem jak najszybciej wstukać wiadomość na smartfonie. Miałem zaledwie kilka sekund.

– Doktorze Evans? Jest pan?

– Tak, tak sekundkę.

– Evans, muszę kończyć.

UWAŻAJ, KATE. CHYBA WIEDZĄ, ŻE KTOŚ JEST W DOMU. DAVID

– Szukam tego, proszę poczekać.

Wcisnąłem klawisz WYŚLIJ i wyciągnąłem rękę z kieszeni, powstrzymując chęć, żeby odetchnąć z ulgą. Miałem nadzieję, że wiadomość zaalarmuje Kate, choć ona i tak wiedziała, że jej obecność w domu może wzbudzić podejrzenia. Sytuacja, w której znalazła się moja szwagierka, sprawiała, że odchodziłem od znysłów, w tym momencie musiałem się jednak skupić na Hastingsie.

– Znalazłem, kapitanie – kontynuowałem, udając, że w końcu odszukałem pendrive'a. – Z wielką chęcią go panu przekażę, podobnie jak całą resztę dokumentacji.

– To nie będzie konieczne, godzinę temu wysłałem chirurga, żeby ją odebrał, za chwilę powinien się zjawić. Proszę, doktorze Evans, żeby pan z nim współpracował.

– W porządku. Niech mi pan tylko powie, co się stało.

– Pierwsza Dama zmieniła zdanie. Porozmawiała z innym lekarzem, którzy przekonał ją, że to on będzie najlepszym wyborem.

– Co pan mówi? Przecież to ona...

– Ma pan córkę, prawda? Co by pan zrobił, gdyby mała zachorowała?

– Zrobiłbym, co dla niej najlepsze. Nie zważając na koszt – oznajmiłem po chwili pauzy.

– Właśnie coś takiego się stało.

– Chcę porozmawiać z Pierwszą Damą – powiedziałem, zanadto podnosząc głos. Hastingsowi się to nie spodobało.

– Pierwsza Dama jest na oficjalnym bankiecie z premierem Francji. Nie może teraz z panem rozmawiać.

– Jeśli tylko...

– Proszę mnie posłuchać, doktorze Evans – szorstko przerwał mi Hastings. – Rodzina podjęła decyzję i nic już nie zdoła pan na to poradzić. Proszę przyjąć ją z godnością.

I po prostu się rozłączył.

Nie mogłem w to uwierzyć. Odwrócili się ode mnie, nie dając mi nawet możliwości, żebym się bronił. Byłem rozedrgany, ale moje zdumienie było niczym w porównaniu z zaskoczeniem, jakie odczułem, gdy przeczytałem kolejną wiadomość od White'a.

DOBRA ROBOTA DAVE. WSZYSTKO IDZIE ZGODNIE Z PLANEM

KATE

Kiedy spostrzegła zarys pistoletu maszynowego, pojęła, że to się dzieje naprawdę. Zdała sobie sprawę, że aż do tej chwili nie do końca wierzyła w opowieść Davida. Nie chodziło jednak o to, że cała historia wydawała jej się niewiarygodna, w końcu jej codzienna praca polegała na zmaganiu się z potencjalnymi zagrożeniami i próbami zamordowania prezydenta – tylko w ubiegłym roku ponad dziesięcioma, o których opinia publiczna nigdy się nie dowiedziała. Nie chodziło również o to, że sprawa wydawała się skomplikowana. Wprost przeciwnie – doświadczenie uczyło ją, że często proste historie, w których wszystko się zgadza, okazują się kłamstwami.

Nie, nie do końca w nią uwierzyła, ponieważ nie chciała uwierzyć, żeby to była prawda.

Tymczasem jednak widziała sylwetkę kogoś nieznanego, odcinającą się na tle jednej z przeświecających szyb wypełniających drzwi. W rękach tego nieznanego znajdowała się zaś broń palna. Był z nim ktoś jeszcze – przynajmniej tego się domyślała – kto próbował otworzyć kluczem zamek w drzwiach.

Kate przyglądała się całej sytuacji zza drzwi do piwnicy i przez chwilę się zawahała, czy zejść ponownie i spróbować wyostać się przez jedno z okienek, uznała jednak, że jest to rozwiązanie zbyt ryzykowne. Dotarcie do okienek wymagało czasu, później musiałaby zbić szybę, ponieważ były zamknięte na stałe. Ryzyko, że zostałyby zauważona, było zbyt wielkie. Nie mogła również zostać w piwnicy. Jeszcze kilka sekund i będzie w potrzasku, bez szans na znalezienie kryjówki.

„Nie mogę ryzykować wyjścia przez okno, nie po ciemku. Nie wiem nawet, ilu ich jest na zewnątrz”.

Dłużej się nie namyślając, przeszła skulona w stronę salonu, ostrożnie stąpając, aby nie narobić hałasu. Delikatnie wyciągnęła broń i chwyciła ją w pozycji bojowej, pod kątem czterdziestu pięciu stopni i wycelowaną w podłogę. Była gotowa użyć jej w ostateczności, musiała jednak za wszelką cenę uniknąć konfrontacji z intruzami.

„Nie mogą mnie tutaj zobaczyć. Jeśli stąd nie wrócą, Julia umrze. Jeśli mnie znajdą, Julia umrze”.

Za plecami dosłyszała odgłos otwierających się drzwi od strony ulicy. Zauważyła, jak jej oddech staje się coraz powolniejszy i spokojniejszy. Ulotniły się niepokój i wątpliwości, które ostatnio ją trawiły. Ramiona jej stężyły, słuch się wyostrzył, puls począł dudnić jej w szyi powoli, choć mocno, niczym jednoręki perkusista wygrywający marsz pogrzebowy.

„Jedynym wyjściem to cofnąć się tą samą drogą i zniknąć. Nie znalazłszy, cholera, żadnego tropu”.

Pokonała trzy metry dzielące ją od zadaszonego tarasu. Może to nawet lepiej, że porywacze się zjawili. Jeśli zdoła wymknąć się stamtąd niezauważona, będzie mogła ich śledzić, w najgorszym wypadku zanotuje przynajmniej numery rejestracyjne.

„Jeszcze tej nocy Julia z powrotem zaśnie w swoim łóżku, nie zaś w jakiejś norze. Muszę tylko dotrzeć do samochodu”.

Powoli, żeby nie hałasować, otworzyła przesuwne drzwi. Szyba stawiała znaczny opór i Kate nie pozostało nic innego, jak odłożyć broń na ziemię i oprzeć obie ręce na szybie, aby ją przesunąć. Za sobą słyszała ciężkie kroki jednego z intruzów, który wciąż był w korytarzu. Otworzyła drzwi na tyle, żeby się przez nie prześlizgnąć na zewnątrz, podniosła broń i zamknęła drzwi za sobą. Zdążyła odsunąć się od szyby, kiedy tamten wszedł do salonu.

„Dobra, Kate. Teraz tylko drzwi na taras i po sprawie. Będziesz bezpieczna”.

Odsunęła się od drzwi prowadzących do salonu i przykucnięta przy ścianie domu ruszyła do wyjścia. Drzwi znajdowały się w odległości zaledwie czterech metrów, po przeciwnej stronie tarasu. Na jego zabudowę składało się drewniane przepierzenie do połowy wysokości i sześć przestronnych okien z szybami.

Właśnie w tym momencie intruz, który był w środku, włączył światło w salonie. Jasny prostokąt zalał przestrzeń, którą Kate zdoła opuścić zaledwie kilka sekund wcześniej. Tymczasem po drugiej stronie pojawiła się twarz mężczyzny, który krzyknął coś przez okno w obcym języku. „Cholera!”.

Kate przywzględła do ściany, za jedyną osłonę mając cień metalowego stołu. Zrozumiała, że nie została zauważona tylko dzięki blaskowi światła z salonu, które oślepiło tego z zewnątrz, chroniąc ją w strefie mroku. Doczołgała się do kanap, rozsuwając przy tym nieco krzesła i modląc się, żeby tego nie zauważyli.

Mężczyzna w środku również coś krzyczał, choć nie tak głośno i znacznie poważniejszym tonem. Najwyraźniej polecił coś temu z zewnątrz, który porzucił zajmowane miejsce i ruszył ku drzwiom.

Kate skuliła się, jak tylko mogła, i pewnie ścisnęła broń. Poczula, że po plecach powoli spływa jej kropla potu, i ograniczyła oddychanie do minimum. Czula strach, ale nie zdenerwowanie. Była skryta między kanapą a ścianą, na łasce co najmniej dwóch przeciwników, sama i ze wszystkimi okolicznościami działającymi na jej niekorzyść. Mimo to strumień adrenaliny tępiący w jej żyłach dawał jej poczucie życia i siły, którego od dawna nie zaznała.

Podeszwy obuwia intruza z zewnątrz głośno stąpały po podłożu tarasu. Najwyraźniej miał skórzane buty z drewnianymi spodami. Stukanie obcasów ucichło tuż obok Kate, którą przeszedł dreszcz. Mężczyzna był tak blisko niej, że aby go dotknąć, wystarczyłoby jedynie wyciągnąć rękę. Stał częściowo obrócony do niej tyłem i grzebał w paczce papierosów. Wyraźnie słyszała szelest rozrywanego celofanu, uderzenie opuszkami palców w dno paczki w celu wysunięcia papierosa, draśnięcie zapalną o pudełko. Poczula woń siarki, zapach tytoniu i odór smaru broni. Ujrzała szorstkie rysy twarzy, ogromne, sękatę dłoń w lateksowych rękawiczkach, a także charakterystyczny, gruby i zaokrąglony kształt pod lufą pistoletu maszynowego.

„PP-19 Bizon. Broń rosyjskiej produkcji, droga i bardzo rzadko spotykana poza rosyjskimi siłami specjalnymi i najgroźniejszymi ugrupowaniami wschodnioeuropejskich organizacji mafijnych. Używa dziewięciomilimetrowej amunicji parabellum. Siłą uderzeniową ustępuje MP5, potrafi jednak postawić prawdziwą ścianę ognia. Sześćdziesiąt cztery naboje w magazynku, czyli trzykrotnie więcej niż zazwyczaj. Jeśli cię przyłapie, ta bestia rozwali cię na pół”.

Gdyby w identycznej sytuacji znalazła się podczas jakiegokolwiek regularnej misji, podniosłaby się do pionu, zniacna przyłożyła pistolet do skroni podejrzanego i z miejsca by go zatrzyła. To jednak nie była regularna misja, ona zaś nie mogła postępować konwencjonalnie. Mogła się tylko modlić, żeby intruz przeszedł dalej do salonu, nie odwracając się ku jej szczątkowej kryjówce. Wystarczyło zapalić światła, żeby ją dostrzec.

„Proszę. Idź. Idź”.

Mężczyzna wykonał nagły ruch i serce podskoczyło Kate do gardła. Nie odwrócił się jednak ku niej, tylko wszedł do domu.

„Teraz. Teraz albo nigdy”.

Kate wyszła za przeciwnego końca kanapy i przeczłogała się do drzwi. Intruz zostawił je w półprzyknięte, tak więc mogła wyostać się na zewnątrz, nie czyniąc hałasu. Kiedy jej ciało zetknęło się z wilgotnym trawnikiem, poczuła dreszcz, nie odważyła się jednak podnieść. Nie mogła pobiec do drogi, nie wiedziała bowiem, czy na zewnątrz nie ma kogoś jeszcze. Poza tym było jeszcze coś znacznie pilniejszego – nie mogła stąd odejść, nie wyłączwszy zakłóca

sygnału, inaczej bowiem odkryliby jej obecność.

Zamiast więc zniknąć, przeczłogała się do szopy. Zamknęła drzwi za sobą i pociągnęła za kabel zakłócacza, wyłączając urządzenie. Po chwili otrzymała wiadomość od Davida, wysłaną dwadzieścia minut wcześniej:

UWAŻAJ, KATE. CHYBA WIEDZA, ŻE KTOŚ JEST W DOMU. DAVID

„Naprawdę? Wielkie dzięki za informację, geniuszu”.

Opadła na ziemię między kontenerem na odpady organiczne a kosiarką do trawy, w ociekającym ubraniu, dygocąc z zimna i z napięcia.

Wciąż starałem się przetrwać wiadomość otrzymaną od White'a, kiedy drzwi do mojego gabinetu otworzyła osoba, której nienawidziłem najbardziej na całym świecie.

Gwoli sprawiedliwości, tytuł ten należał się teraz porywaczowi mojej córeczki i wszystkim tym, którzy mu pomagali. Doktor Alvin Hockstetter dumnie jednak obnosił się z tymi laurami przez tyle lat, że zdegradowanie go na drugą pozycję kosztowało mnie niemało wysiłku.

Z doskonałą jasnością pamiętam pierwszy raz, kiedy go ujrzałem w sali wykładowej Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa – najlepszego szpitala w Baltimore, w kraju i prawdopodobnie na świecie. Był to mój pierwszy dzień rezydentury, ja zaś byłem jednym z ponad dwudziestu młodych ludzi, którzy chcieli zobaczyć jego eminencję, „pioniera mózgu”, jak był go łaskaw określić tygodnik „Time”. Był średniego wzrostu, ale dominującej postury, i kiedy przeszedł obok mnie, aby wstąpić na katedrę, poczułem się niczym niezgrabna kukła o wystających łokciach i kolanach w porównaniu z nim, którego w tym czasie uznałem za model elegancji.

Alvin Hockstetter w miejscu brwi miał dwie włochate gąsienice. Długie i krępkie ramiona przechodziły u niego w smukłe palce, brzuch wybujałości dorównywał zaś jego *ego*. Ze zwinnością przeczącą jego korpulentności wskoczył na pomost i przez chwilę przypatrywał się nam zza oleistego uśmiechu, aż zyskał pewność, że skupił naszą całkowitą uwagę.

Zaczął mówić, przybierając wyćwiczony baryton, który wydobywał z głębi piersi, i wygłosił jedno z najbardziej inteligentnych zdań, jakie kiedykolwiek słyshałem.

– Wiecie, jaka jest różnica między Bogiem a neurochirurgiem? Bóg wie, że nie jest neurochirurgiem.

Wszyscy poruszyliśmy się na siedzeniach i zareagowaliśmy nerwowym śmiechem. Niektórzy z nas dorastali w bogobojnych miasteczkach Środkowego Zachodu i choć mogliśmy być bardziej lub mniej religijni, słowa te zabrzmiały niczym bluźnierstwo. Jednocześnie była to najdokładniejsza charakterystyka neurochirurga, jaką można sformułować.

– To zabawne, ale to nie dowcip. Znajdują się państwo w świątyni medycyny, w Watykanie szpitali. Neurochirurgia to tutaj Kaplica Sykstyńska. My zaś, moi drodzy adepci, jesteśmy tutaj po to, żeby naprawiać boskie błędy.

Nacisnął przycisk na pilocie, który trzymał w dłoni, i ekran za nim się zmienił, ukazując wyniki rezonansu pacjenta zdrowego i pacjenta z guzem mózgu.

– Czy ktoś z państwa mógłby nam przypomnieć, co to jest angiogeneza?

Nikt nie podniósł ręki – wciąż byliśmy zbyt onieśmieleni postacią Hockstettera, żeby wysunąć się przed szereg. Czekaliśmy niczym pingwiny na brzegu kry, mając nadzieję, że to inny osobnik wskoczy pierwszy do wody i sprawdzi, czy nie ma w niej orek.

– Dalej, odwagi! Dopiero co opuścili państwo wydział, wiedza powinna być jeszcze świeża. Pani. I na miłość boską, proszę opuścić rękę. Nie jesteśmy w przedszkolu, choć wciąż jeszcze czuć od was pieluchami.

– Angiogeneza to proces tworzenia się nowych naczyń krwionośnych na podstawie naczyń istniejących – oznajmiła jedna z moich koleżanek, speszona opuszczając dłoń.

– Otóż to! To niezbędny proces życiowy. Zarazem jednak podstawowa broń nowotworu.

Zmienił slajd prezentacji, aby ponownie skupić się na rezonansie zdrowego pacjenta, tyle

tylko, że teraz prezentował nagranie wideo z tego samego badania. Perspektywa ulegała przybliżeniu, przechodząc w trójwymiarowe odwzorowanie neuronów. Jeden z nich był zaznaczony kolorem ciemniejszym od pozostałych.

– Spójrzcie na to, drodzy adepci. Największy błąd Stwórcy. Pojedyncza komórka – mikroskopijna, nieistotna. Uszkodzona. Inna w jej sytuacji uruchomiłaby proces apoptozy, śmierci komórkowej, dezintegrując się i rozpuszczając w organizmie. Mechanizm ten jednakże zawiódł i komórka postanowiła nie popełniać samobójstwa. Mało tego, zaczęła się namnażać.

Ciemna zmutowana komórka przekształciła się w dwie komórki, następnie w cztery, później w osiem komórek. Obiekt w kamery odjechał w tył, pozwalając dostrzec wykładnicze tempo wzrostu nowotworu.

– Bez angiogenezy, drodzy adepci, proces ten uległby natychmiastowemu zatrzymaniu. Ten gwiazdzik urósłby zaledwie kilka milimetrów, po czym zabrakłoby mu tlenu, żeby dalej się odżywiać i oddychać. Ten rzekomo inteligentny projekt zawiera jednak liczne błędy. Wiele razy coś, co nie powinno pójść nie tak, idzie nie tak.

Na obrazku komórki przywłaszczyły naczynia krwionośne, kradnąc energię życiową z organizmu i rozrastając się niekontrolowanie. Atak nie kończył się wraz z pożarciem organu, w którym rosły, ale się rozszerzał, kolonizując inne obszary przez układ krwionośny w ramach metastazy, czyli budzących przestrach przerzutów. Przedstawiona animacja była przerażająca nawet dla takich zahartowanych umysłów jak nasze, które zdążyły ten proces odpowiednio wcześniej zinternalizować na poziomie intelektualnym. Podskórnie odczuwa się instynktowny lęk, że to, co oglądasz na ekranie, pewnego dnia może przytrafić się i tobie.

– Tak oto głupie komórki, które zechciały być nieśmiertelne, doprowadziły do śmierci organizmu, który je utrzymywał. Koniec.

Hockstetter nacisnął przycisk na pilocie i prezentacja się zatrzymała, ponownie ukazując logo szpitala.

– Moi drodzy adepci, studiowali państwo przez lata, aby zdecydować się na miejsce na tej sali. Do dziś gromadziliście w głowie dane, ale to właśnie w tym momencie wasza edukacja dopiero się zaczyna. A zaczną panowie od odpowiedzi na pytanie: „Czym jest człowiek?”.

Padło kilka spojrzeń spode łba, których Hockstetter nie omieszczał zauważyć.

– Ponieważ to wasz pierwszy dzień, zastosuję się do tak hołubionej poprawności politycznej. A zatem, panie i panowie zaczną od odpowiedzi na pytanie: „Czym jest człowiek?”.

– Naczelnym z rodziny człowiekowatych – oznajmił chłopak w pierwszym rzędzie.

– Nieżle, drogi adepcie, z pewnością na zajęciach z zoologii otrzy małby pan wyśmienitą notę. Nie, chodzi mi o to, czym tak naprawdę jesteśmy.

Wszyscy zamilkliśmy, onieśmieleni sarkastycznym tonem Hockstettera.

– Jesteśmy maszyną pełną rur, silników i zaworów. A maszyny muszą do czegoś służyć.

– Przetwarzaniu – zauważył ktoś.

– Zgadza się – przyznał Hockstetter, zdobywając się na ton takiego zaskoczenia, jak gdyby krowa zanuciła mu właśnie *V Symfonię* Beethovena. – Jesteśmy maszynami przetwarzania. Zwłaszcza w waszym wypadku, drodzy adepci. Dobrze, a teraz rozejrzyjcie się wokół. Co widzicie?

– Konkurentów – powiedział jeden z nas.

– Dla maszyn przetwarzania inna niezwiązana z nią maszyna przetwarzania stanowi element otoczenia, tak jak chmura albo kamień. Jedyń różnica polega na tym, że inna maszyna reaguje, jest bowiem przepojona tą samą transcendentálną misją: zachowania swoich nieśmiertelnych genów. Za wszelką cenę. Co pozwala nam wysyłać niebotyczne rachunki firmom ubezpieczeniowym... i podgrzewać w narodzie amerykańskim dyskusję o tym, kto powinien je

placić, żeby nie zastanawiali się nad ich wysokością.

Po całej sali rozległy się śmiechy, można było odczuć wspólną energię tych, którzy znaleźli się w uprzywilejowanej pozycji i są gotowi bez skrępowań z tego korzystać.

– Nasz mózg ma tylko jeden cel: za wszelką cenę przetrwać. A żeby tego dokonać, brakujące mu informacje zastępuje fantazjami i konfabulacjami. Takimi jak rojenia o życiu po śmierci. Dla naszego mózgu spójność opowiedanej historii jest ważniejsza od jej prawdziwości. Zdarzyło wam się może kiedyś kłócić z narzeczoną? – Ponownie śmiechy. – To już wiecie, o co mi chodzi. Pytania? – rzucił, zataczając ręką pompatyczny gest.

– Mówi pan, że niebo to mechanizm obronny mózgu? – zapytał jeden ze słuchaczy. Sprawiał wrażenie cokolwiek obrażonego.

– Oczywiście tego pytania zasłużył pan sobie na kilka dodatkowych godzin dyżuru. Następnym.

Rezydenci zamilkli i spuścili głowy. Sam zafascynowany wysłuchałem całego kazania, które wydało mi się równie prowokujące, co obraźliwe. Nie mogąc się powstrzymać, podniosłem dłonie.

– Jeśli jesteśmy zaledwie maszynami, które pozwalają genom tworzyć własne kopie, jeśli nasze radości są tylko reakcjami chemicznymi, jeśli życie nie powstało w jakimś celu, to po co w ogóle żyć?

– Proszę, czyli mamy wśród nas nowicjusza z więcej niż połową mózgu. Jak się pan nazywa?

– Evans – odpowiedziałem z dumą. Nie domyśliłem się jednak, że gdy zapytał mnie o nazwisko, to nie po to, żeby mnie wyróżnić, ale po to, żeby mnie naznaczyć. Nie lubił tych, którzy myśleli, pragnął mieć jedynie posłuszne i usłużne wojsko.

– Wielu osobom stwierdzenia te mogą się wydać nieprzyjemne. Nie lubią, gdy się je wyrywa z bańki ignorancji. Mnie taka postawa wydaje się poważnym błędem. Tylko wtedy, kiedy uwolnisz się od wszelkich więzów, możesz żyć pełnią życia.

– Ale przecież wtedy egzystencja to wyrok

– Proszę pomyśleć o Syzyfie, śmiertelniku skazanym przez greckich bogów na wpychanie w górę zbrocza ogromnej skały. Gdy tylko docierał na szczyt, skała staczała się na drugą stronę. I tak przez całą wieczność. A mimo to wyobrażam sobie, że Syzyf był szczęśliwy. W granicach jego wyroku nie było bowiem bogów.

Za moimi plecami można było usłyszeć pomruki aprobaty. Jakże w tych pierwszych dniach dawaliśmy się nabierać taniemu nihilizmowi Hockstettera! Byliśmy młodzi i nie czytaliśmy jeszcze ani nie poważnie nie myśleliśmy o życiu. Dla niego wszystko sprowadzało się do wymiaru fizycznego, moim zdaniem jednak znacznie więcej o człowieczej doli można się nauczyć w ciągu dwudziestu minut na izbie przyjęć niż przez dwadzieścia miesięcy rezydentury na neurochirurgii u doktora Hockstettera.

– Niestety, w granicach waszego wyroku – kontynuował, wskazując na nas – istnieje jednak pewien bóg, mianowicie ja.

– Mój drogi Davidzie – zanucił Hockstetter od drzwi mojego gabinetu. – Jak się miewasz?

– Dobry wieczór, doktorze – odpowiedziałem, nie odwzajemniając przejścia na „ty” ani nie zadając sobie trudu, żeby odpowiedzieć na pytanie. W pierwszym wypadku dlatego, że bardzo starannie doбираю osoby, które traktuję z poufałością, w drugim wypadku dlatego, że nijak go to nie obchodziło. Już samo wymówienie jego nazwiska sprawiało mi nieprzyjemność. Hockstetter. Brzmi, jakby ktoś starał się odchrząknąć.

Jego widok bynajmniej mnie nie zdziwił. Od momentu, kiedy powiedziano mi, że ktoś mnie zastąpił, wyobrażałem sobie, że musi chodzić o niego.

Zbliżył się do mojego biurka. Nie podaliśmy sobie ręki, nie podniosłem się również na jego powitanie.

– To przyjemność spotkać cię po tylu latach. Cieszę się ogromnie, że zdołałeś zaadaptować się do nowego... położenia – powiedział, rozglądając się wokoło. – Bardzo tutaj przestronnie. Widać, że podchodzicie do wszystkiego na spokojnie. Szczęśliwi, którzy mogą sobie na to pozwolić.

Czytaj: „Twój gabinet jest większy od mojego, ponieważ pracujesz w gorszym szpitalu o niskich wymaganiach”. Ani myślałem dać się oneśmielić takim tanim zagrywkom.

– Cóż, to panu zawdzięczam to, że się tutaj znalazłem. Niech pan nie myśli, że o tym zapomniałem.

– Mój drogi były adeptcie, mądrzy ludzie mawiają, że żal to nienawiść, która wiecznie się odnawia. To bardzo niezdrowy sposób na życie. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że to twoje błędy przy leczeniu pani Desmond spowodowały twoje zwolnienie ze szpitala w trybie dyscyplinarnym.

Uśmiechnąłem się smutno i niespiesznie. Po wielokroć w wyobraźni przeżywałem moment, w którym mógłbym wygarnąć mu to wszystko, co mi zrobił. Tylko my dwaj, bez żadnych konsekwencji. Teraz zaś, gdy miałem po temu możliwość, brakowało mi ochoty i energii.

– Doskonałe pan wie, co się stało pani Desmond, doktorze Hockstetter. To pan to spierdolił, i to na oczach sześciu innych osób, które zbyt się pana bały, żeby móc się panu przeciwstawić.

To była bardzo długa operacja u kobiety w średnim wieku ze szpiczakiem mnogim umiejscowionym w kręgosłupie. Pracowałem w szpitalu Uniwersytetu Johnsa Hopkina już od ośmiu miesięcy i na tym etapie różnice między mną a Hockstetterem stały się niemożliwe do pogodzenia. Nie chodziło już o to, że postrzegaliśmy chirurgię, medycynę czy nawet samo życie diametralnie inaczej, ale o to, że wprost nie znosiliśmy jeden drugiego. Wszyscy rezydenci jakiegokolwiek specjalizacji medycznej muszą hartować ducha w zmaganiach z wyzwaniami swojej profesji, do których należą również upokorzenia doznawane ze strony przełożonych. Wszystko ma jednak swoje granice.

Hockstetter trzykrotnie usiłował wyrzucić mnie z programu rezydentury, ale złota okazała nadarzyła mu się dopiero przy okazji operacji pani Desmond. To ja przygotowywałem pole operacyjne, odsłaniając kręgosłup pacjentki w celu umożliwienia usunięcia guza. To on popełnił błąd, wykonując nieprecyzyjne cięcie – co, trzeba przyznać, w jego wypadku prawie się nie zdarzało – przez co pacjentka doznała niedowładu połowiczego. Zgadnijcie, na kogo, wobec milczenia moich kolegów, zrzucił winę Hockstetter?

Chciałem, żeby cała sprawa skończyła się w sądzie, żeby wszyscy obecni przy zabiegu musieli znać prawdę pod przysięgą, lecz ten skończony drań Hockstetter zdołał przekonać panią Desmond, aby nie wносиła pozwu, ponieważ inaczej zdruzgoce karierę biednemu i niedoświadczonemu młodzieńcowi. Nieszczęśniczka była tak wdzięczna za uratowanie życia, że nie obchodziło jej, że do końca swoich dni pozostanie przykuta do wózka inwalidzkiego. Szpitalna komisja dyscyplinarna nie wykazała się podobną wspaniałomyślnością. Nie chcieli, żeby na reputacji ich chirurgicznej sławy powstała choćby niewielka skaza, tak więc wyrzucili mnie na bruk.

Na szczęście dawny dyrektor Saint Claire znał metody pracy Hockstettera i pozwolił mi dokończyć rezydenturę u siebie. Coś, co początkowo miało być kilkumiesięcznym okresem próbnym, przekształciło się w kontrakt długoterminowy. Zważywszy na okoliczności, cała sprawa mogła się dla mnie skończyć znacznie gorzej. Hockstetter był wybitnym neurochirurgiem w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, kiedy jednak nawalał, czynił to koncertowo

i opłacało mu się mieć pod ręką rezydentów jednorazowego użytku. Wielu innych, którym przyszło z tym typkiem pracować, posłużyło do maskowania jego wpadek i wcale nie spadli potem na cztery łapy. Koleżanka z mojego rocznika porzuciła medycynę po tym, jak Hockstetter zrzucił na nią własny błąd w sztuce. Obecnie jest kierowniczką sklepu z odkurzaczymi w centrum handlowym na obrzeżach Augusty.

– Biedny Davidzie, wciąż trzymasz się swojej śmiesznej, niewinniającej teoryjki?

– Pewnego dnia jeden z rezydentów, których traktuje pan jak mięso armatnie, zawiedzie pana. Nie można bez końca oszukiwać całego świata.

Hockstetter się uśmiechnął, ale nie był to jeden z tych grymasów w rodzaju „O, ja cię, popatrz tylko, co mój pies wyrabia na twoim trawniku”, którymi zwykł częstować przed laty. Tymczasem udoskonalił mimikę, przekształcając grymas w uśmiech idealny rodem z reklamy.

– Obawiam się, mój drogi były adeptcie, że nie znajdziemy tematów do lekkiej pogawędki. Przeszedłem tutaj w ramach uprzejmości zawodowej, aby nadzorować przekazanie wyników pewnego pacjenta.

– Przeszedł pan tutaj, doktorze, aby się napawać. Raz w życiu niech pan będzie szczerzy. Nie umrze pan od tego. Najprawdopodobniej.

Na ustach delikatnie zafalował mu uśmiech. Następnie odchylił głowę w tył, jak gdyby w właśnie śmiertelnie go obraził.

– Davidzie, przyszedłem do ciebie w dobrej wierze, zamiast polecić, żebyś przesłał mi dokumentację kurierem. Chciałbym załagodzić stosunki między nami. Rzeczywiście, nie byłem najlepszym szefem na świecie, ale upłynęło już dość czasu, aby urazy się zabiłiły, nieprawdaż?

Z dzięk rozkłoszą odparowałam jakąś genialną ripostą, czymś w stylu „pod warunkiem, że to nie pan operował” albo „proszę to powiedzieć pani Desmond”, tyle że w tamtej chwili nie siedziałem zamknięty w ciasnej celi bez okien, z czasem do namysłu nad podobnymi replikami, tak jak siedzę w tym momencie, pisząc te słowa. Ograniczyłem się więc do położenia między nami teckki pacjenta wraz z pendrive’em na wierzchu i skrzyżowałem ramiona na piersi. Rozpalało mnie pragnienie dopytania, jak zdołał przekonać Pierwszą Damę do zmiany chirurga, nie odważyłem się jednak okazać nadmiernego zainteresowania. Mimo to musiałem się dowiedzieć. Jaki tak naprawdę był plan White’a? I gdzie w tym wszystkim mieściłem się ja? Jeśli rzeczywiście chciał, żeby to Hockstetter zoperował prezydenta, po co uprowadzał Julię? Czyżby jego White również szantażował? Jeśli nawet tak było, facet nie dawał tego po sobie poznać.

– Oto dokumentacja. Proszę mi tylko powiedzieć jedno: będzie pan operował w szpitalu wojskowym w Bethesda? – odważyłem się w końcu zapytać.

Hockstetter wruszył ramionami, kartkując przy tym kartotekę pacjenta.

– Musiałbym być niezwykle kapryśny albo czuć się bardzo niepewnie jako lekarz, żeby nie zaakceptować szczególnych warunków wiążących się z takim przypadkiem jak ten. Swoją drogą, jak zamierzałeś dostać się do ośrodka Broki?

Wobec takiej bezczelności na chwilę zaniemówiłem.

– Hockstetter, pan nie pyta mnie serio o zdanie?

– Nie, tak naprawdę to nie.

Ruszył w kierunku drzwi, ale kiedy położył już dłoń na klamce, odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Wiesz co, Davidzie? Co do jednej rzeczy masz rację. Tak naprawdę przyszedłem tutaj, żeby się napawać. Gdy tylko się dowiedzieli, że jestem gotów przeprowadzić tę operację, dali ci kopa w tyłek. Któżby chciał jakiegoś drugorzędnego chirurga, mając do wyboru szefa neurologii z Uniwersytetu Johns Hopkinsa? – Podniósł teckę i pomachał nią w drwiącym geście. – Raz

jeszcze udowodniłem, że mogę sobie wziąć cokolwiek, co należy do ciebie.

Wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Ja utkwilem spojrzenie w telefonie komórkowym, który osadził mnie z powierzchni biurka.

– Doskonale, White. A teraz co?

Odpowiedź nie kazała na siebie długo czekać.

MUSIMY POROZMAWIAĆ W MARBLESTONE O 23.00

KATE

Długie czekanie było jaktortura.

Kate czuwała, z plecami opartymi o ścianę szopy i pistoletem skierowanym w stronę drzwi, raz za razem odtwarzając w myślach przebieg wydarzeń i zastanawiając się nad tym, czy popełniła błąd, ukrywając się tutaj. Czekanie w środku tylko zwiększało jej nerwowość. Wspinaczka w górę zbrocza bez pewności, że nikt więcej jej nie obserwuje, byłaby szaleństwem. Musiała odpowiedzieć na wiadomość od Davida, spróbować napisać mu coś nowego, nie chciała jednak ani na chwilę tracić koncentracji.

Znienacka rozległ się szarpiący odgłos kaszlu palacza. Po chwili z drugiej strony drzwi można było usłyszeć głos, tym razem mówiący po angielsku. Kate przycisnęła ucho do ściany szopy i zdołała rozpoznać słowa intruza.

– Nie, nie mogłem zadzwonić wcześniej. Nie, linia komórki nie działała. Tak, rozumiem. Jakis błąd operatora. Już mówiłem, że ten Verizon to straszne gówno.

Cisza.

– Mówiłem, że sprawdziliśmy całość. Dejan i mój brat krążą po okolicy. Żadnych podejrzanych samochodów, żadnych furgonetek, nic.

Cisza.

– Tak, tak, rozumiem. Sprawdzimy raz jeszcze cały dom. Tutaj nikogo nie ma. Wiem, ponieważ zostawiłem pułapkę – śliną przykleiłem do drzwi wejściowych włos. Jak otwierasz drzwi, włos upada, a włos był na miejscu, pan rozumie?

Znowu cisza.

– Tak, pamiętam Stambuł. Wtedy nie moja wina.

Kolejna cisza, tym razem dłuższa.

– To pan płaci – oznajmił intruz z wielkim napięciem w głosie.

„Raz jeszcze wszystko sprawdzą. Jeśli zobaczą otwartą kłódkę, wejdą. Mogę zastrzelić pierwszego, ale kolejni nie będą tacy głupi. Zaczną strzelać przez ścianki szopy i będzie po mnie. Ten rachityczny plastik nie zatrzymałby nawet komara”.

Kate nie pozostawiało jednak nic innego, jak czelekać z palcem na spuście.

Na zewnątrz mżawka przeszła w pełnowymiarowy deszcz. Krople potężnie łomotały w dach szopy niczym kule wpadające do plażowego wiaderka. Dwukrotnie Kate się zdawało, że słyszy uruchamiany silnik samochodu, nie miała jednak pewności.

Nikt nie wszedł do szopy, nie było już także słyhać żadnych odgłosów z ogrodu. Czas się rozciągał i zanikał w tej duszącej ciemności, co sprawiło, że Kate pomyślała o Julii i o męczarniach, jakie mała musiała przechodzić. Odczekała dwie godziny, które zdały się wiecznością, czując się niepotrzebna i bezsilna. Zdała sobie sprawę, że całe przygotowanie, cała energia, którą emanowała, cała potęga jej pozycji zależała od fundamentalnym stopniu od innych. Była agentką Robson z Secret Service. Gdy przedstawiała się podejrzanemu, wzbudzała w nim natychmiastowy lęk, ponieważ nie była po prostu silną kobietą z pistoletem, ale stanowiła oblicze Lewiatana. Tknać ją oznaczało szarpać za pelerynę Supermana czy splunąć pod wiatr. Nikt sobie nie pogrywa z Secret Service.

Niemniej jednak, gdy działała w strachu i po kryjomu, nie była nikim innym, tylko wylęknionym członkiem rodziny ofiary. Zaczynała wątpić, czy posłuchanie Davida nie było

kolosalnym błędem.

W końcu doszła do wniosku, że nie jest możliwe, żeby intruzi nadal przebywali w domu. Podniosła się, odczuwając ból w mięśniach, które tyle czasu spędziły w tej samej pozycji. Przed wyjściem kilkakrotnie naprężyła ramiona i nogi. Musiała wyrwać je z odrętwienia, żeby móc jak najszybciej dotrzeć do ulicy.

Była oszołomiona skalą swojego niepowodzenia. Jej plan okazał się katastrofą. Wycofywała się, nie sprawdzwszy dokładnie domu Davida, teraz jednak ponowne włączenie zakłócaacza sygnału i wejście do budynku nie wchodziło w rachubę. Ten numer ponownie by się nie udał, wzbudziłby zbyt duże podejrzenia.

Podniosła urządzenie i już miała przekroczyć próg, gdy pod wpływem naglej myśli zawróciła. W szopie Evansowie przechowywali kontener na odpadki – w trzech osobnych pojemnikach zbierali aluminium, plastik i papier. W Silver Spring śmieciarka zbierająca segregowane śmieci kursowała raz na tydzień.

„Może to przeczyli? Dalej, proszę! Potrzebny nam tylko drobny łut szczęścia...”.

Podniosła kłapę i wyciągnęła niebieski worek z pojemnika na papier. Ważył niewiele.

„Nic wielkiego, ale zawsze coś”.

Otworzyła drzwi, zapięła z powrotem kłódkę i pobiegła w deszczu do samochodu, zastanawiając się, czy wśród papierowych odpadków znajdzie coś, co naprowadzi ją na trop uprowadzonej siostrzenicy.

Marblestone Diner, Silver Spring

Pan White patrzył, jak David Evans wchodzi do lokalu. Widok ten wywołał w nim przyjemne uczucie triumfu. Człowiek, którego widział teraz z odległości kilku metrów, prezentował się zgoła odmiennie niż ten, z którym spotkał się dzień wcześniej. Jego zachowanie uległo zmianie, w jego spojrzeniu próżno było szukać wczorajszej furii i ówczesnego niepokoju.

David potrafił zachować spokój wobec chaosu, ale uciekał przed konfrontacją. Jeśli tylko miał taką możliwość, zawsze unikał starcia, osłaniając się poczuciem humoru i wyższością intelektualną. Były to przeszkody, które w ostatnich godzinach White zdołał pokonać swoimi działaniami przy użyciu brutalnej siły.

Istota ludzka jest naturalnie przysposobiona do pomocy młodym swojego gatunku, ponieważ w chwili urodzenia są one bardzo słabe, tak więc czuje się odpowiedzialna za zarządzenie tej słabości. Dlatego płacz dzieci jest taki nieznośny, szczególnie w zamkniętych pomieszczeniach, takich jak samolot.

Więź łącząca Davida z jego córką zapewniała gotowość neurochirurga do współpracy, w celu przełamania jego zastrzeżeń natury zawodowej konieczne było utrzymanie intensywnej presji.

Mimo to White miał wątpliwości. Reakcje Davida nadal były nieprzewidywalne. Człowiek ten bez wątpienia zmusi go do dopisania nowej pozycji na liście typologii charakterów. Zastanowił się, czy się nie myli i czy nie ma na świecie więcej osób pokroju doktora Evansa. Ludzi podważających przyporządkowane im obecnie schematy osobowości. Być może udałoby się z nich utworzyć wspólną kategorię. Już sama myśl o tym wywoływała w nim dreszczyk oczekiwania, zarazem jednak budziła irytację. Nie lubił się mylić.

Zmusił się do koncentracji. Najważniejsze w tym momencie było odzyskanie kontroli nad swoim narzędziem. White nie spodziewał się komplikacji z Hockstetterem i kiedy usłyszał, jak doktor Wong oznajmia, że to nie David przeprowadzi operację, chwilowo poczuł się bezsilny i pozbawiony możliwości działania. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że taka komplikacja może okazać się dobrym sposobem na zwiększenie panowania nad Davidem. Musiał go tylko przekonać, że wszystko, co się stało, stanowi element jego planu. Przy odpowiednio dobranych kłamstwach odczuwane przez osobnika wrażeń wszechmocy White'a nie powinno być zaburzone. Należało w jego mózgu nacisnąć odpowiednie klawisze.

Przywrócić go do stanu równowagi.

Odkąd White rozpoczął swoją lukratywną działalność biznesową, minęła już niemal dekada. W tych pierwszych miesiącach odkrył coś fascynującego – że wydarzenia z domeny publicznej, wiadomości i tytuły z gazet nie dzielą się na prawdy i kłamstwa. Wszystkie stanowiły kłamstwa łatwe do przełknięcia.

Koniec końców, było to logiczne. Nikt nie chce znać prawdy, ponieważ bywa ona zawiła i nieprzyjemna. Ludzie byli gotowi uznać za prawdę najpospolitsze kłamstwa, jeśli tylko ładnie je opakowano. Słoneczniki nie obracają się w stronę słońca, Wielki Mur nie jest widoczny z kosmosu, nieprawdą jest również to, że wykorzystujemy zaledwie dziesięć procent możliwości naszego mózgu.

To samo można by powiedzieć o Julianie Assange'u, o kryzysie gospodarczym, o ruchu Occupy Wall Street, o rezygnacji Benedykta XVI, o śmierci Osamy bin Ladena czy o zamachu podczas maratonu w Bostonie. Prawda kryjąca się za oficjalną fasadą była do głębi niewygodna. Sam White miał swój udział w jednym z wymienionych wydarzeń, w cieniu przesuwał pionki, które zmieniły obraz świata. Często opłacany przez tego samego człowieka, który teraz nadał mu to zlecenie, człowieka, którego nigdy nie widział osobiście, który jednak uczynił wiele dla jego oświecenia. Ten ktoś opierał swoją ogromną władzę na zaufaniu innych i to jemu White zawdzięczał niektóre ze swoich najcenniejszych osiągnięć. Zarazem jednak nigdy dotychczas nie polował na tak znaczną

i drogocenną ofiarę, jak ta, która miała być trafiona w piątek o dziewiątej rano.

White się zastanawiał, czy tę tak charakterystyczną dla istot ludzkich potrzebę stanowienia elementu większej całości można w tym momencie rozegrać na jego korzyść. Narzędzie wykaże większą gotowość, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu, na jakie będzie wystawione, jeśli będzie przekonane, że od początku stanowi to element planu.

W najbliższych godzinach, aż do unormowania sytuacji, przyjdzie mu grać ze słuchu. Widząc, jak stawka rośnie, doznał emocji, której dotąd nie odczuwał. Planowanie absolutne dawało znaczne poczucie bezpieczeństwa, pozbawiało jednak jego projekty czynnika rozrywki. Zabicie prezydenta przy użyciu Davida Evansa stanowiło ryzykowny wybór, ale bez wątplenia bardziej stymulujący niż cztery inne możliwości, które wcześniej rozważał.

Należało z powrotem umieścić chirurga na samym środku wagi. W miejscu, które nigdy się nie porusza, bez względu na to, jak wiele znajdzie się na szali.

– Hawaiian Punch poproszę. Lemon Berry Squeeze.

– A dla pana, doktorze?

– Czarną kawę, Juanita. Podwójną proszę.

Kelnerka uśmiechnęła się i poszła po napoje.

– Wybrałem do naszych spotkań tę restaurację, ponieważ mają w ofercie Hawaiian Punch – powiedział White. – Niełatwo go znaleźć poza półkami supermarketów. Dziś wszędzie tylko albo coca-cola, albo pepsi. Gdyby tylko ludzie wiedzieli, co finansują za każdym razem, gdy sięgają po któryś z tych diabelskich napitków...

– Nie wyjedzie mi pan teraz z jakąś spiskową teorią dziejów, prawda?

White spojrział na mnie wyraźnie rozbawiony.

– Oczywiście, że nie. Spiski nie istnieją.

Przybycie Juanity z tacą z napojami złagodziło nieco poczucie śmieszności, które zaczynało mnie ogarniać.

– Istoty ludzkie są bardzo proste – kontynuował White, zbliżając do siebie kciuk i palec wskazujący, aż utworzył z nich kołko. – Spójrz choćby na tę kelnerkę, Dave. Marzy o tym, żeby zostać kimś takim jak Mariah Carey, marzy o poznaniu Simona Cowella. Kiedy wraca do domu, przeklina swoje opuchnięte kostki.

Juanita wycofała się za bar i z oddaniem granicznym z dewocją śledziła odcinek *American Idol*, poruszając ustami do piosenek z programu. Było już zbyt późno, żeby mogła to być transmisja na żywo, najwyraźniej zatem nagrała sobie program, licząc na spokojną noc w pracy. Podobnie jak ubiegłego dnia, byliśmy w lokalu sami.

– Całkiem możliwe, że ma niesamowity głos – odparłem.

– To możliwe, Dave. Nie o to jednak chodzi. Na świecie istnieją miliony utalentowanych osób, które żyją w cichej rozpacz, tkwiąc na gównianych posiadach. Dlaczego jedni dojeżdżają metrem, inni zaś latają prywatnym odrzutowcem? To kwestia charakteru. Kwestia tego, żeby naprawdę chcieć spełniać swoje zamierzenia.

– Coś mi mówi, że pańska pogadanka do czegoś zmierza. Nie wiem jednak do czego.

– Dave, ja nadal mam pewien problem. Wciąż potrzebuję, żeby ktoś wyeliminował mój cel.

– Ale... A Hockstetter?

– Hockstetter nie bierze aktywnego udziału w tej operacji.

Moje kolejne słowa były tak egoistyczne, że ze wstydem je teraz przytaczam, ale poprzysiągłem sobie samemu, że opowiem wszystko tak, jak było.

– Proszę posłuchać, Hockstetter to pański człowiek. Jeśli zniknie, świat się nie zawali. To jego niech pan przy ciśnie, a mnie odda Julię.

– Nie. Nie ma drogi dojścia ani wystarczająco dużo czasu. Będziesz to musiał zrobić ty, Davidzie. Po staremu. Taki był mój plan od początku.

– Plan... jaki plan? Nie, chwileczkę...

– To proste, Dave. To ja poinformowałem Hockstettera o tym, kim jest pacjent. I to on zadzwonił z Baltimore do człowieka w muszce i oznajmił, że jest gotów operować.

Otworzyłem szeroko oczy i przez dłuższą chwilę starałem się przetrwać to, co właśnie mi powiedział.

– Co? Ale... dlaczego? Po co tak to komplikować?

White wziął jedną z różowych szaszetek słodziku z pojemnika na brzegu stołu i przez chwilę obracał ją w palcach, nie odpowiadając.

– Dlaczego zostałeś neurochirurgiem, Dave?

Poprawna politycznie odpowiedź na to pytanie brzmiała: „Ponieważ interesuje mnie mózg, ostateczna granica nauki”. Tymczasem zaś odpowiedź szczerą, której nigdy nie wypowiedziałem na głos w obecności kogokolwiek poza Rachel, była inna, a White już ją znał. Tak czy inaczej powiedziałem więc:

– Ponieważ to dyscyplina dla najlepszych.

– A ty masz co sobie kompensować, masz co sobie udowadniać – przyznał z zadowoleniem. – A teraz, gdy cię postawiono wobec ostatecznego wyzwania, wobec ostatecznego pacjenta, ja cię zmuszam, żebyś przegrał... Nie wiem, Davidzie, ale coś mi mówi, że nawet motywacja związana z ratowaniem życia córki może cię w ostatniej chwili zawieść...

– To jakiś absurd, White! Nie zawiodę Julii – odparłem czym prędzej. Lecz głos mojego sumienia nie był tak oczywisty. Czy przy padnięciu przez pracę nie zawiodłem własnej żony? Jaka więc byłaby różnica?

White wycelował we mnie palec, choć nie agresywnie, ale z wyrozumiałością.

– Spróbuj mi wmówić, że ani razu nie pomyślałeś sobie, w jaki sposób się ode mnie uwolnić i odzyskać córkę.

Przyglądałem mu się w milczeniu. Ta miękkość gestów, ta gładkość w głosie... już je wcześniej widziałem. Zwiastowały, że za błękitny mi oczyma White'a kipi jakiś jadowny pomysł. Woląłem nie ryzykować prowokowania go, postanowiłem więc wyznać prawdę.

– Owszem – odparłem, wzruszając ramionami.

– Aha! – Wykonał tryumfalny gest. – Im bardziej pora zabiegowi będzie się zbliżał, tym większe ogarną cię wątpliwości. Będziesz kluczył, będziesz kombinował, będziesz próbował jakichś numerów. Opuść sobie, Dave. Już to wszystko przewidziałem.

– To już wiem. Niech mi pan wierzy, White, gdybym wpadł na bezpieczny plan, który pozwoliłby mi odzyskać Julię i wsadzić pana za kratki, w tym momencie ściszałbym swoją córkę, pan zaś schylałby się po mydło pod więziennym prysznicem. Ale nie mogę sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie pozwolę sobie.

– Być może. I tak jednak nie jestem przekonany o twoim zaangażowaniu. Tak więc chcę, żebyś to ty wywalczył sobie prawo do tej operacji.

Jego słowa brzmiały pewnie, ale wewnętrzna intuicja, pulsująca niczym omdlały, przykurczony mięsień, podpowiadała mi, że kłamie. Nie był tak wszechmocny i wszechwiedzący, jak pragnął mi to zasugerować, nie wszystko również przewidział. Istniały zmienne, nad którymi nie panował, lecz jego gigantyczne ego nie pozwalało mu tego przyznać, tak więc White odgrywał rolę istoty wyższej z wszelkimi tego konsekwencjami. Teraz mogłem wyraźnie dostrzec, że kłatka, w której nas zamknął, miała pęknięcia. Nie miał pojęcia o tym, co robi Kate, nie mógł także przewidzieć sytuacji z Hockstetterem. Takie luki, jakkolwiek drobne, stanowiły dla Julii i dla mnie okazję, którą mogłem wykorzystać przeciwko White'owi. Pytanie brzmiało ty lko:

– Jak?

Zdałem sobie sprawę, że ostatnie słowo wypowiedziałem na głos, na szczęście jednak White uznał, że dotyczyło ono sposobu na pozbycie się Hockstettera.

– Skorzystaj ze swojej wyobraźni, Dave. Ale się spieszy.

– A co z pańskimi oprychami? Za dużo w tym miesiącu wyrobili nadgodzin?

– To by było zbyt proste. To ty, Davidzie, musisz się w to zaangażować, inaczej próba nie miałaby sensu.

– Nie wiem, czy będę w stanie. Tutaj nie chodzi o spartaczenie operacji. Nie mam zielonego

pojęcia, co mógłbym zrobić.

– Coś ci jeszcze przyjdzie do głowy.

To była ślepa uliczka. Być może White kłamał, twierdząc, że włączenie do sprawy mojego byłego szefa było jego sprawką, ale bardzo się zapalił do pomysłu, żeby zmusić mnie do walki o prawo do przeprowadzenia operacji, a tym samym o możliwość uratowania życia Julii. Nie widziałem jej już od niemal dwudziestu czterech godzin i przez cały ten czas ból i niepokój związane z jej nieobecnością podkopywały we mnie nadzieję. Musiałem się przekonać, że nic jej nie jest.

– Chcę ją zobaczyć.

White pokręcił głową.

– Nie. Być może w ramach nagrody, jeśli zdołasz usunąć z równania doktora Hockstettera.

– Powiedziałem, że chcę ją zobaczyć.

Psychopata nie odpowiedział, tylko wpatrzył się we mnie oczami rekina. Przez moment wytrzymałem jego spojrzenie, po czym przeniosłem wzrok na iPada, który spoczywał na stole obok niego.

– Myślisz, żeby mi go wyrwać, prawda, Dave? To by było tak proste, tak bezbolesne. Musisz tylko wyciągnąć rękę i będzie twój. Jesteś ode mnie wyższy, masz szersze ramiona. Nie wymagałoby to od ciebie wielkiego wysiłku.

Poczułem mrowienie w dłoniach, podczas gdy urządzenie kontrolujące norę, w której przebywała Julia, zdawało się powiększać, rosnąć, aż wykształciło własną siłę grawitacyjną. Wykonałem niezauważalny ruch w kierunku iPada.

– Przekłuję baniek twoich fantazji, Dave. To cudem jest zablokowane trzema kodami dostępu. Jeśli pomyliś się przy wprowadzaniu choćby jednego z nich, dane zostaną z miejsca wykasowane. Najpierw jednak urządzenie wyśle sygnał do miejsca, które już znasz. Chcesz wiedzieć, jaki mechanizm taki sygnał uruchomi?

– Nie. Właściwie nie – odpowiedziałem głosem suchym i szorstkim niczym beczka gwoździ.

– I tak ci poleżę. Będzie to miało wymiar edukacyjny i motywujący. Poza tym mówiłeś, że chciałbyś zobaczyć córkę, prawda? Być może byłem zbyt surowy, odmawiając ci tej drobnej łaski.

Uniósł etui iPada, osłaniając ekran przed moim wzrokiem, i kilkakrotnie wystukał coś na wyświetlaczu. Kiedy je odwrócił, ponownie ujrzałem interfejs, który widziałem już poprzedniego dnia.

– Przyjrzyj się uważnie, Davidzie.

Kliknął przy cisku W miejscu całkowitej czerni pojawiła się na ekranie bezpośrednia transmisja wideo z wnętrza nory. Julia tkwiła w łacie i palcami grzebała w ścianie pomieszczenia. Odwracała się co moment i odkładała coś na podłogę. Dopiero po dłuższej chwili się zorientowałem, że z myślą o jakiejś zabawie oddzielała większe kamyczki od ziemi. Zdumiało mnie, że moja córka w takich okolicznościach jest w stanie się bawić. Julia była bardzo słodką dziewczynką, która zwykła wyolbrzymiać wszelkie napotymane trudności.

– Ludzki umysł jest elastyczny, Dave – zauważył White, odgadując moje myśli. – Kiedy z bezpiecznego otoczenia wrzucić go w sytuację zagrożenia, początkowo doznaje szoku. Wraz z upływem czasu stara się jednak dostosować do nowej sytuacji, redefiniuje nowe uwarunkowania jako bezpieczne dla zminimalizowania traumy. Rzecz jasna, zawsze jednak mogą pojawić się kolejne wyzwania, które uczynią ten proces trudniejszym.

Kliknął inny przycisk

Z głośników iPada dobiegło ciche brzęczenie, następnie rozległ się trzask Julia najwyraźniej również to usłyszała, odwróciła się bowiem w stronę, z której dochodził dźwięk, to jest na lewo od

miejsca, gdzie kłęzczała, poza obszarem widocznym na monitorze. Początkowo zamrugała zaskoczona i zmrużyła oczy, starając się coś dojrzeć w blasku reflektorów.

Znienacka rozległ się przenikliwy, rozdzierający, nieludzki krzyk

Między dźwiękiem i obrazem była chwila przesunięcia i dopiero po kilku sekundach pojąłem, że to moja córka wydawała z siebie ten pełen przerażenia pisk. Wycofała się, nie przestając pisać na widok nieznanego zagrożenia.

– Co jej robisz, skurwysynu?! – spytałem, podnosząc się. Dłonie zamknęły mi się w dwie zacisnięte pięści. Nie zdołałem jednak powstać do pionu. Czyjaś ogromna łapa popchnęła mój bark z powrotem w dół. Obok mnie stanął ten sam oprych, którego tego popołudnia widziałem przy wejściu do szpitala. Nie spostrzegłem, kiedy wszedł do restauracji. Zasłaniając się ciałem przed wzrokiem Juanity, wyciągnął pistolet i przyłożył mi go do szyi.

– Bez numerów, co, doktorze? – rzucił. Nie był to ten sam facet co poprzedniej nocy. Miał zdecydowanie silniejszy akcent, a w jego głosie było słyhać nerwy i irytację.

Spróbowałem się odwrócić, ale lufa pistoletu wbiła mi się jeszcze mocniej w szyję, muszla zaś w podbródek. Łapa oprycha w dalszym ciągu wciskała mnie w siedzenie z taką siłą, jak gdyby była z cementu.

– Spokój. Oglądaj!

Bezsilny, mogłem tylko zastosować się do polecenia.

Na wyświetlaczu iPada Julia przytuliła się do ściany. Na ziemi, w pobliżu środka pomieszczenia, było widać ciemny, podłużny kształt.

– *Rattus norvegicus*. Interesujące zwierzę. Dwadzieścia pięć centymetrów długości, sześćset gramów wagi, długie i ostre zęby – oznajmił White.

Szczur zachowywał się dziwnie. Nie poruszał się, ale jego głowa wskazywała wprost bosą stopę Julii. Moja córka przestała pisać i stała z wyciągniętymi ramionami, spoglądając na odrażające stworzenie szeroko otwartymi oczyma.

– Zazwyczaj nie atakują ludzi. Chyba że od kilku dni nie jadły i siedziały zamknięte w klatce z metakrylanu z mikroskopijnymi otworami. Przez cały ten czas zapach twojej córki musiał doprowadzać je do obłądu.

Szczur ruszył w kierunku Julii, biegnąc po skosie, ale dziewczynka się odsunęła, stając plecami do kamery. Siła inercji sprawiła, że straciła równowagę i szczur pognął w jej stronę, pragnąc zatopić odrażające żółte zębiska w skórze mojej córeczki. Ponownie spróbowałem się odwrócić, lecz sprawiłem tylko, że lufa pistoletu zagłębiła się jeszcze bardziej w mojej szyi, naciskając na ktań.

– Zostaw ją, skurwielu! Ty skurwysynu, ona ma zaledwie siedem lat – zdołałem wykrztusić.

Oprych zmusił mnie, żebym pochylił się do przodu, niemal dotykając twarzą stołu, przez co ekran wypełnił moje pole widzenia. Kropla potu spłynęła mi po nosie i spadła na wyświetlacz iPada, tworząc miniaturową tęczę z pikseli.

– Tss, Dave, jeszcze przegapisz – powiedział White. – To lepsze niż programy National Geographic.

Julia rzuciła się na bok, akurat w porę, ale szczur zdołał chwycić za nogawkę jej spodni. Ponownie piszcząc, Julia zerwała się do pionu i potrząsnęła nogą, szczur jednak mocno trzymał i nie puszczał zdobyczy. Z warknięciem, które zabrzmiało jeszcze bardziej zwierzęco niż sam szczur, który ją atakował, Julia wykonała kopniaka w powietrze. Bawełniany materiał piżamy się rozdarł, zwierzę uderzyło zaś o ścianę. Upadło na grzbiet, mlóćąc w powietrzu pazurami. Nie dając szczurowi czasu na podniesienie się, Julia zrobiła krok w jego stronę i opuściła prawą stopę na ciemne i odrażające cielsko.

Jeden raz. Drugi raz. Trzeci raz.

Nastąpiła ciężka i niezręczna cisza, po czym moja córka odwróciła się i jej oblicze weszło w kadr. Jej oczy błyszczały w reflektorach żarem, a jej buzia układała się w dziką i prymitywną spiralę. Nie sprawiała wrażenia mojej Julii, ale dziecka jakiejś dawnej rasy, zrodzonego w ciemnych wielkach.

Wtem czar przestał działać i biedaczyna wybuchła płaczem. Cicho łkając, pokuściła na przeciwny koniec nory, możliwie jak najdalej od krwawej masy, w jaką przemienił się szczur.

– Bravo! Doprawdy imponująca obrona i wielce interesujący eksperyment. Od lat miałem ochotę go przeprowadzić – przyznał autentycznie rozradowany White.

Zrobiło mi się niedobrze.

Oprych zabrał łapę z mojego ramienia i odsunął pistolet od mojej szyi. Wstałem z miejsca, łapczywie oddychając.

– Widziałeś, Dave? Jeszcze wczoraj była z niej przerażona dziewczynka, jeszcze kilka minut temu bezbronna ofiara. Kiedy jednak okoliczności tego wymagały, była w stanie dokonać czegoś niewyobraźnego. Umysł jest elastyczny, już ci to mówiłem. Niech to posłuży ci za przykład.

Nie odpowiedziałem. Nadal wpatrywałem się w iPada, którego wyświetlacz pozostawał teraz wygaszony. Urządzenie to decydowało o życiu i śmierci mojej małej. Ja zaś w żaden sposób nie mogłem mu go wyrwać. Wzdrygnąłem się na wspomnienie widoku Julii kuśtykającej z powrotem do swojego łącika. Z pewnością szczur przed śmiercią zdołał wbić swoje brudne zęby w jej piętę, może również skaleczyła się w stopę, miażdżąc mu klatkę piersiową. Jeśli tak w istocie było, ryzyko zakażenia hantawirusem czy wścieklizną było ogromne. Spróbowałem przypomnieć sobie okres inkubacji tych chorób, ale mózg odmawiał mi posłuszeństwa. Było w nim miejsce tylko na jedno – na nienawiść.

Czystą, absolutną i niczym nieskażoną nienawiść do człowieka, którego miałem przed sobą.

– Jeśli jeszcze raz zrobi pan coś podobnego, White, to pana zabiję – wyszeptalem. – Choćby to była ostatnia rzecz, jaką uczynię.

Psychochopata nieznacznie pokręcił głową.

– Mam więcej szczurów, ponad pięćdziesiąt sztuk. Wszystkie równie zdesperowane i umierające z głodu jak ten, Dave. Jeśli odważysz się wyciąć mi jakiś numer, jeśli wpadnę w ręce policji, jeśli raz jeszcze zostawisz telefon na biurku w gabinecie... otworzę przegródkę z metakrylanu, która oddziela je od twojej córki. A system wszystko zapisze i automatycznie wyśle plik z nagraniem na adres e-mailowy dziadków, jako temat podając: Patrzcie, co mi się stało przez tatusia.

28 GODZIN PRZED OPERACJĄ

KATE

Pierwsze, co zrobiła po przebudzeniu, to spojrzała na czasomierz odliczający w jej telefonie.

28:06:03

„Dwanaście zmarnowanych godzin, w trakcie których gówno działałam”.

Pomyślała o swojej siostrzenicy, o tym, jak każdy oddech, który brała, przybliżał ją do śmierci, w miarę jak wyczerpywał się zapas tlenu ze zbiornika podłączonego do nory, w której się znajdowała. Umysł Kate przejął kontrolę nad jej oddechem i przez kilka minut nie była w stanie myśleć o niczym innym, jak o napinaniu płuc i wypuszczaniu powietrza. Kiedy była mała, żartowała w ten sposób z Rachel. Mówiła siostrze, żeby nie myślała o oddychaniu, ponieważ inaczej nie będzie mogła przestać i umrze. Wystraszona Rachel oddychała coraz szybciej i dostawała zawrotów głowy, co irytowało ich matkę.

„Wszystko to moja wina”.

Kate zaczęła się rozciągać, usiłując zarazem przywrócić elastyczność swoim omdlałym mięśniom i uwolnić się od tego niepokojącego poczucia. Była naga, jeśli nie liczyć sportowych fig. Reszta jej ubrania, cuchnącego potem i ubrudzonego trawą, leżała zbita w gałęziach u stóp łóżka. Na kilka godzin poddała się zmęczeniu, ale o czwartej nad ranem wewnętrzny zegar obudził ją, jak to czynił codziennie. O szóstej rozpoczynała zmianę, tego dnia jednak po raz pierwszy w ciągu jedenastu lat pracy, nie zamierzała stawić się na służbę.

Nie zapalając światła, udała się do kuchni. Lubiła chodzić w ciemności, na krótkiej trasie między sypialnią a lodówką nie było zaś prawie żadnych mebli. Nigdy nie gotowała, brudzenie patelni z myślą o jednym stołowniku uznawała bowiem za absurdalną stratę czasu. Całe szczęście, ponieważ na śmiesznie małym blacie ledwie było miejsce na ekspres do kawy i zawartość torby, którą zabrała z domu Evansów. Włączyła ekspres i wznowiła przeglądanie papierowych odpadów, za jedyne towarzystwo mając siorbanie urządzenia stanowiące obietnicę kofeiny. Wiedziała, że w tych papierach coś się kryje. Musiała to tylko odnaleźć.

„To przeze mnie to wszystko się zaczęło”.

Mieszkanie znajdowało się przy North Randolph Street, ulicy prostej i nijakiej, równie pozbawionej osobowości jak reszta Arlington. Konieczność płacenia dwóch i pół tysiąca dolarów miesięcznie za łóżko, kanapę i czterdziestodwucalowy telewizor zdawała się Kate zbrodnią poważniejszą od wielu tych, którymi musiała zajmować się na służbie. Budynek miał jednak garaż, dzięki czemu nie trzeba było krążyć w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania po powrocie z roboty ani ładować się do metra o piątej nad ranem. Roczne dochody Kate podchodziły pod wynik sześciocyfrowy, mogła więc sobie na to pozwolić, choć jej nie chodziło tutaj o pieniądze, ale o zdrowy rozsądek. Kogoś, kto dorastał na farmie, tak niewielka przestrzeń zdawała się przyduszać niczym o trzy numery za ciasna koszula. Poza tym – co tu ukrywać – odziedziczyła nieco wybiórczego i maniackiego skąpstwa po starym Jimie Robsonie. Sama jednak nie przyznałaby się do tego nawet na torturach.

„Gdybym nie porozmawiała o Davidzie z Pierwszą Damą”.

Robiąc to, złamała wszystkie możliwe standardy, ale była przekonana, że postępuje słusznie. Jechali akurat prezydencką limuzyną, pieszczołliwie określaną przez Secret Service mianem

„Bestii”, na wernisaż wystawy w jednym z muzeów Smithsonian Institution w Waszyngtonie. Z tyłu Pierwsza Dama rozmawiała przez telefon. Zazwyczaj w obecności agentów Secret Service używała normalnego tonu, tak jak po kilku miesiącach zwykli czynić wszyscy. Agenci zachowywali się tak wstrzemięźliwie, że osoby chronione postrzegały ich niczym puste pojemniki, jak gdyby informacje wpadające im do uszu rozplywały się bez śladu.

– Wiem, Martinie. Ale tu nie o to chodzi – powiedziała cicho. Kate nadal przyglądała się ruchowi ulicznemu z fotela obok kierowcy. Dopiero w kolejnym zdaniu pojawiło się coś, co zwróciło jej uwagę. – Nie potrzebuję dobrego neurochirurga, potrzebuję takiego, któremu mogłabym zaufać. Będziesz musiał po kolei spróbować z Colchiem, z Hockstetterem, z Evansem...

W tym momencie Kate nieświadomie odwróciła głowę. Nieznacznie, ledwie o kilka centymetrów. Ruch ten jednak nie umknął uwadze Pierwszej Damy, która przycisnęła guzik podnoszący panel oddzielający przedział kierowcy od strefy pasażerów. Kate skłęła się w duchu za własną głupotę, nie miała jednak na to wiele czasu, gdyż zaraz potem pojazd zahamował przy wejściu do muzeum, Kate zaś musiała wysiąść z limuzyny i stawić czoła chmurze lamp błyskowych i okrzyków powitalnych ze strony sympatyków.

Tego samego popołudnia kazono ją wezwać. Pierwsza Dama była przy korbce tenisowym i ze skrzyżowanymi ramionami i z nieobecny spojrzeniem, myślami gdzieś daleko, obserwowała grę córek Kate delikatnie odchrząknęła, aby pozwolić jej zauważyć swoją obecność.

– Agentko Robson – przywitała ją nader poważnie.

– Proszę pani?

– Podczas jazdy limuzyną usłyszała pani fragment prywatnej rozmowy.

Kate nie odpowiedziała.

– Nie muszą pani przypominać, że upowszechnianie jakichkolwiek informacji zastrzeżonych oznaczałoby natychmiastowe usunięcie z agencji, możliwe również, że zarzuty natury kryminalnej – kontynuowała Pierwsza Dama.

– Proszę pani, jeśli na tym etapie wątpi pani w lojalność Secret Service, oznacza to, że przez ostatnie lata niczego się pani nie nauczyła – odparła Kate.

Powiedziała to uprzejmym tonem, ale ostrymi słowy. Przez dziesięciolecia całkowitego oddania polityce Pierwsza Dama nauczyła się dyplomatycznie przyjmować najprzebieglejsze ataki. Nie był to jednak ani normalny dzień, ani normalny temat. Ramiona jej zdrząły, jak gdyby było jej zimno, choć dzień był upalny.

Pocieszanie jej nie wchodziło w grę, tak więc Kate udala, że nie spostrzegła jej łez.

– W porządku. Nic mi nie jest – powiedziała Pierwsza Dama, kiedy zdołała dojsć do siebie. – Przepraszam, Kate, że byłam tak szorstka. Wiem, że jest pani lojalna, a moje córki panią uwielbiają, sama pani to wie najlepiej. Pani i Onslow to ich ulubieni agenci. Wieczorem, przy kolacji, zawsze zgłaszają: „Ja zamawiam Kate, mam o, ty ją miałaś w zesłym ty godniu”.

– To cudowne dziewczynki – przyznała z uśmiechem Kate.

– Cudowne, prawda?

Przez kilka minut było słycać jedynie uderzenia raket i piłki odbijające się od powierzchni kortu. Kate z nostalgią obserwowała grające dziewczynki, wspominając dni własnych rozgrywek z Rachel. Siostra wykazywała furiacki zapał, a kiedy uznawała, że nie ma już szans na wygraną, przerywała grę.

– Tak naprawdę to się cieszę, że mnie pani usłyszała. Rozpaczliwie potrzebuję o tym komuś opowiedzieć, jakiejś kobiecie. Wszyscy, którzy już wiedzą, to mężczyźni, którzy po męsku podchodzą do problemów. Albo robią unik, albo biorą je na klatę. Pani nie ma męża, prawda?

Wysoka i silnie zbudowana Kate, zatwardziła singielka, niezastuzenie zyskała sobie wśród

kolegów z pracy sławę lesbijki, czym jednak zbyt się nie przejmowała.

– Na razie jakoś się uchowałam, proszę pani.

– Z pewnością jednak rozumie pani, o czym mówię?

– Tak mi się wydaje.

Znowu zapadła cisza.

– Kate, prezydent jest chory. Tak jakbyśmy bez tego nie mieli już wystarczających problemów przyprawiających o bóle głowy. Jakby nie wystarczyło, że wciąż musimy się uśmiechać, rozbrajając każdy kryzys, każdą intrygę, stawiając czoła każdej bezsensownej walce o władzę. Kiedy wchodzimy, podrywają się na nogi, ale nim ustanie aplauz, już się zastanawiają, jakby tu nas wykorzystać. Jeśli się dowiedzą, co mu jest...

Kate, zanim odpowiedziała, przez kilka chwil przygryzała dolną wargę. Wiedziała, że popełnia błąd. Niemniej jednak to zrobiła.

– Proszę pani, żałuję, że wówczas zachowałam się mało profesjonalnie. Niechcący się odwróciłam, ponieważ wspomniała pani nazwisko mojego szwagra.

– Pani szwagier jest neurochirurgiem?

– To doktor David Evans z kliniki Saint Claire.

– To dobry lekarz?

– Nie mam zielonego pojęcia, proszę pani. Ale wiem, że to dobry człowiek.

„Gdybym wówczas trzymała język za zębami, Julia teraz spałaby w swoim łóżeczku”.

Było to kolejne z długiej listy hipotetycznych „gdybym”, jakie ciągnęły się przez jej całe życie.

Jeśliby nie padło na Julię, uprowadziliby dziecko kogoś innego. Inne niewinne dziecko, które nie miałyby cioci agentki federalnej, która mogłaby spróbować je ocalić. Stary Jim Robson zawsze mawiał, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Być może dlatego właśnie trafiło na Julię. Żeby ona mogła ją uratować.

„W porządku, Boże! Jeśli mnie słyszysz, możesz te swoje powody wsadzić sobie, gdzie ci wygodnie” – pomyślała Kate, upijając pierwszy łyk parującej kawy.

Kate i jej Stwórca wciąż nie pogodzili się po tym, co się stało z Rachel. O tak wczesnej godzinie, po prawie nieprzespanej nocy, było mało prawdopodobne, żeby sytuacja ta miała ulec zmianie.

„Potrzebny mi znak Wskazówka. Coś, czego mogłabym się chwycić. Coś tu musi być” – myślała, raz za razem przesuwając wzrokiem po papierach wyciągniętych ze śmietnika.

Upiła długi łyk z kubka. Kawa nie zdążyła dostatecznie wystygnąć i wrzący napój spłynął jej po gardle, parząc wnętrzości. Bynajmniej nie miało to załagodzić pieczenia rodzącego się w żołądku, ale przynajmniej skutecznie ją rozbudziło.

Od razu odrzuciła kartony i opakowania. Z reszty odpadków uformowała przed sobą trzy sterty. Jedna zawierała ulotki reklamowe, druga rachunki, trzecia zaś papiery na pierwszy rzut oka bez znaczenia.

Nic.

Chwycała notes i szybko wypisała wszystko, co wiedziała o Świetłanie Nikolić. Poczynając od tego, że z całą pewnością nie było to jej prawdziwe imię i nazwisko. Ze swojego telefonu Kate załogowała się do bazy danych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, ale nie znalazła żadnego wpisu dotyczącego takiej cudzoziemki. Albo więc przybyła do Stanów nielegalnie, albo posługując się innymi personaliami. Gdyby można było potraktować tę sytuację jak zwykajne dochodzenie antyterrorystyczne, przy użyciu odpowiednich zasobów, ograniczyłyby zakres

poszukiwań do pewnej liczby dni poprzedzającej moment, w którym dziewczyna stawiała się w domu Davida, a następnie przejrzałyby dane z wszystkich lotnisk na Wschodnim Wybrzeżu w poszukiwaniu kobiety odpowiadającej jej rysopisowi. Nawet wówczas oznaczałoby to jednak setki godzin pracy kilkunastu agentów, i to bez gwarancji powodzenia.

Takie podejście do śledztwa oznaczało utknięcie w ślepych zaułku.

Kolejny trop również okazał się daremny. Kate uznała, że numer telefonu promotora Swietłany, który opiekunka podała w celu sprawdzenia referencji, może stanowić punkt zaczepienia. David, rzecz jasna, numeru nie pamiętał, podał jej jednak kod dostępu do swojego internetowego konta abonenckiego telefonii komórkowej i przybliżoną datę rozmowy. Odszukanie go w billingu nie wymagało większego wysiłku, był to jeden z niewielu numerów spoza powtarzającej się listy. Numer był wyłączony. Wizyta w Internecie pozwoliła stwierdzić, że należał do centrali wirtualnej, z pewnością z rzeczywistą siedzibą w Indiach, gdzie odbierano połączenia, podając fałszywe dane zgodnie z życzeniem klienta. Tego typu usługę można było sobie zafundować za dziesięć dolarów miesięcznie z dodatkową opłatą jednego dolara od każdego połączenia. Zorganizowanie referencji dla podstawionej opiekunki kosztowało zatem jedenaście dolarów.

„Dave, jak mogłeś być tak naiwny?”

Kolejna ślepa uliczka.

To był jakiś absurd. Porywacze nie tylko zadali sobie trud zamordowania Swietłany, ale także wyeliminowali wszelkie ślady jej istnienia. Usunęli ją z powierzchni Ziemi, jak gdyby w ogóle jej nie było.

Szwagier Kate wspominał także o rozmowie między Swietłaną a Jimem Robsonem, która skłoniła go do przejażdżki w środku nocy pod dom teściów. Co prawda Kate nie wierzyła, aby po tej nitce można było dojść do jakiegokolwiek kłębka, w desperacji była jednak gotowa podążyć i tym tropem, z nadzieją, że coś jednak wyjdzie na jaw. Pytanie tylko, jak to zrobić, nie wzbudzając zarazem podejrzeń ojca.

Wciąż było zbyt wcześnie, aby dzwonić do starego, nie za wcześnie jednak na inny telefon, który musiała jak najpilniej wykonać.

Wybrała numer swojego przełożonego.

– McKenna – odezwał się po drugim dzwonku szorstki głos.

– Szeffie, jestem chora.

– Nie, nie jesteś.

Kate wzdygnęła się tak mocno, że niemal upuściła kubek z kawą na podłogę. Czyżby McKenna coś wiedział?

– Proszę pana, mam grypę żołądkową.

– Robson, kurwa mać, ty nigdy w życiu nie chorowałaś! Musiało cię trafić akurat dzisiaj? Mamy odprawę taktyczną przed jutrem.

– Naprawdę źle się czuję. Ostro mnie wzięło – stwierdziła swoim normalnym głosem. Wiedziała, że symulanta usiłującego wymigać się od pójścia do pracy najłatwiej poznać po nieudolnych próbach naśladowania zbolalego głosu.

– Czy ty wiesz, Robson, jak bardzo mi rozpieprzasz plany? Jutro czeka nas bardzo szczególnie i bardzo niebezpieczne zadanie. Muszę wyznaczyć doborowy zespół ludzi, wyjazd jest utrzymany w tajemnicy, a do tego wszyscy cywile w Białym Domu powariowali. Siedzę tutaj od drugiej w nocy.

– Przykro mi, proszę pana, ale naprawdę nie czuję się dziś na siłach.

– Robson, powiedz mi, ile osiemdziesiątek czwórek trafiło nam się od początku miesiąca.

Paragraf osiemdziesiąty czwarty tytułu osiemnastego Kodeksu Stanów Zjednoczonych zabrania obywatelom amerykańskim dokonywania zamachu na życie prezydenta. Jeśli to tylko możliwe, sprawy dotyczące prób zamachów na prezydenta rozstrzyga się poza światłem jupiterów, w szybkich posunięciach i na zamkniętych rozprawach, aby nie zachęcać ewentualnych naśladowców. W ramach takiego podejścia potencjalnych zamachowców określa się niejasnymi eufemizmami, jeden z nich to właśnie „osiemdziesiątka czwórka”.

– Trzy – przyznała coraz bardziej zdenerwowana Kate.

– Ostatni zdołał przemycić strzelbę na odległość siedemdziesięciu kroków od Renegade’a, Robson. Ich jest coraz więcej, a nas coraz mniej. Jutro przypada najbardziej wredny wyjazd w całym roku, i ty o tym dobrze wiesz. Nie możesz mnie wystawić.

– Może pan zabrać kogoś innego na odprawę.

– Nie, Robson, nie mogę! Renegade wprost zastrzegł, że o jutrzejszym wyjściu może wiedzieć zaledwie dwanaście osób, a i to mu się wydało liczbą zawyżoną. Renaissance powiedziała zaś, że w tym gronie musisz znaleźć się ty. Chcesz, żebyśmy obudzili Renegade’a i mu zakomunikował, że muszą w tę sprawę włączyć kogoś jeszcze?

– Ja... ja przepraszam, szefie. Postaram się ogarnąć tak szybko, jak to możliwe. Dziś wieczorem wpadnę indywidualnie zapoznać się z dokumentami z odprawy.

– Żadne tam „dziś wieczorem”. Masz cztery godziny, Robson. Idź do apteki, kup sobie dużą butelkę pepto bismolu i bądź tutaj przed dziesiątą. Będziesz miała czas sobie pochorować jutro po służbie. Tak się szczęśliwie składa, że będziemy w szpitalu. Z pewnością twój bystry szwagier załatwi ci jakąś zniżkę.

– Ale, szefie...

Przełożony się rozłączył, zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej.

Kate stała znieruchomiła, z telefonem wciąż przy uchu, całym ciałem odczuwając napięcie i stres związane z zaistniałym dylematem.

Bezpośredni rozkaz od przełożonego Erica McKenny był tak wyraźny, jak gdyby wypisał go w kamieniu ognisty palec Boga. Nikomu nie przysłoby do głowy dyskutować z tego rodzaju wezwaniem. Jeśli każe ci stawić się do pracy mimo choroby, z gorączką i biegunką, to się stawiasz. Nie ma innej możliwości.

Gdyby była agentką mniej oddaną służbie, problematyczną i pyską, zlekceważenie polecenia stawiania się na miejscu za trzy godziny wiązałyby się z konsekwencjami, ale nie wzbudziłyby niczych podejrzeń. Zważywszy jednak na to, że David miał operować prezydenta i towarzyszące zabiegowi okoliczności, było to nie do pomyślenia. Poza tym ona była przeciwieństwem osoby problematycznej. Tyle lat lojalnej służby i wypełniania obowiązków zwracało się teraz przeciwko niej samej.

Jeśli się nie zjawi, powezną podejrzania. Możliwe, że baczniej przyjrzą się Davidowi i wszytko odkryją.

Frustracja i niepokój, które od wielu godzin gotowały się w niej na wolnym ogniu, osiągnęły teraz moment wrzenia.

– Kurwa mać! – krzyknęła, zgarniając ramieniem nieprzydatne papiery z blatu. Razem z nimi spadł kubek z kawą, rozbijając się na kawałki o podłogę.

Sfrustrowana Kate przyklucnęła, żeby uprzątnąć cały ten bałagan, gdy wtem ujrzała coś, co zwróciło jej uwagę. Do kleju na kopercie jednej z ulotek reklamowych przykleił się niewielki prostokącik ze złożonego papieru, którego wcześniej nie zauważyła.

Kiedy go rozprostowała i przeczytała, serce zaczęło jej bić szybciej.

Nareszcie miała trop, którego potrzebowała.

Podsumowanie nocy ze środy na czwartek piłem do utraty przytomności.

Gdy wychodziłem z Marblestone, targała mną furia, ale napędzająca mnie energia bardzo szybko uległa wyczerpaniu. Obrazki, które ujrzałem na ekranie iPada, pozbawiły mnie fragmentu mojej duszy, i to całkiem sporego. Pojechałem do domu, doczołgałem się do kanapy i sięgnąłem po butelkę whisky. Przywołanie snu było nie do pomyślenia. Stawienie czoła własnym myślom – niemóżliwe. Rozpaczliwie potrzebowałem ulgi płynącej z utraty świadomości, potrzebowałem na kilka godzin pogrzyć się w ciemności. Poszedłem więc na skróty.

Słońce obudziło mnie około ósmej.

Leżałem na dywanie, twarzą do podłogi. Zamrugałem kilka razy, starając się opanować migrenę, która roztopiała mi mózg. W prawym ramieniu odczuwałem dość silny ból. Podwinąłem rękaw koszuli i ujrzałem trzy zaczerwienione, niemal proste szramy długości około dwudziestu centymetrów. Były to bardzo głębokie i niedawno powstałe zadrapania.

„Jak u licha, to sobie zrobiłem?”.

Najwyraźniej musiało się to stać ubiegłej nocy. Na koszuli było widać ślady zakrzepłej krwi. Nie pamiętałem jednak niczego od chwili, kiedy zacząłem pić.

W świetle poranka reszta wydarzeń z minionej nocy uległa pewnemu zatarciu. Alkohol i kac nadały im mglistej patyny, przez co zdawały się jakby koszmarem z drugiej ręki. Po chwili jednak wiadomość od White’a ponownie naostrzyła zębiska rzeczywiście.

DZIEŃ DOBRY, DAVE. JAK TAM Z RUCHLIWOŚCIĄ?

Telefon stał obok mojej głowy, oparty w pionie o kanapę, dzięki czemu widziałem go wyraźnie... White zaś widział mnie. Miał w pełni naładowaną baterię. Nie wiem, kto o to zadbał, ale na pewno nie byłem to ja.

„Wpadli tutaj w nocy i buszowali wokół, podczas gdy ja leżałem nieprzytomny, rozciągnięty na podłodze jak jakaś marionetka. Śmiałście się, dranie? Dobrze się bawiliście?”.

Zanim podniosłem urządzenie, wystawiłem w kierunku White’a środkowy palec. Nagle zwróciłem uwagę na coś na brzegu kanapy. Była to plama po soku winogronowym – ulubionym soku Rachel. Przypomniałem sobie dzień sprzed wielu miesięcy, kiedy żona niechący wyłała trochę, Julia zaś, pomocna jak zawsze, przybiegła wytrzeć plamę serwetką, z drobnego, wyraźnego śladu robiąc fioletowy zaciek. Wyczyszczenie go zawsze jakoś wylatywało nam z głowy.

W drodze do szpitala, kiedy usiłowałem stworzyć plan, który pozwoliłby mi pogrzyć Hockstettera i odzyskać miejsce na środku sceny, plama z soku zawładnęła moimi myślami. Nieznaczący ślad, który można było wywabić odrobiną środka czyszczącego, okazał się bardziej żywotny niż miłość mojego życia.

„Ta plama przeżyła moją żonę. Nie przeżyje mojej córki”.

Wziąłem prysznic i ogoliłem się już w Saint Claire, z dala od kamer White’a. Kiedy się ubierałem, rzuciłem okiem na ekran telewizora, który w szatni był zawsze włączony. Na CNN

prezydent ścisłał rękę dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Usta obu polityków wykrzywały lodowate uśmiechy. Wychodziło na to, że podczas ich spotkania w Białym Domu prezydent ogłosił możliwość dokonania zmian w agencji, „zmierających do zapewnienia amerykańskim obywatelom swobodniejszej przyszłości”. W pokazanych fragmentach przemówienia prezydent raz się przejęzyczył, przy innej okazji powtórzył z kolei słowo „amerykańskim”. Komentatorzy się zastanawiali, co to może oznaczać.

Tylko ja znałem prawdę: guz prezydenta coraz bardziej się rozrastał.

Czym prędzej się ubrałem. Chciałem jakoś wyglądać przy okazji obchodu po salach pacjentów, który czekał mnie o dziewiątej trzydzieści. Stan wszystkich się poprawiał, co chwilowo załagodziło mój niepokój, choć w istocie niczego nie zmieniało w moim położeniu.

Aż do chwili, gdy przeczytałem ostatnie nazwisko na wręczonej mi liście.

– Dlaczego Jamaal Carter wciąż tutaj jest? – zapytałem Sandrę w dyżurce pielęgniarek

– W MedStarze będą go mogli przyjąć dopiero jutro, tak więc poprosiłam doktor Wong, żeby się zgodziła. Powiedziała, że utnie to panu z pensji, doktorze Evans.

– Musiałaby mieć bardzo małe nożyczki.

– Z mojej pensji moglibyśmy mu kupić garść aspiryny.

I to przez dużym szczęściu. Szpital Saint Claire za każdy środek przeciwbólowy podawany pacjentowi liczy sobie półtora dolara plus podatek Szpitalna apteka kupuje je za mniej niż cent od sztuki, tak więc sami sobie wyliczcie, czy byłoby ich stać na przetrzymanie chłopaka jeszcze przez jedną noc, nie urządzając przy tym takiego zamieszania.

Co więcej, w związku z obecnością Jamaala przyszedł mi do głowy pewien szalony pomysł. Żeby miał na jednak szansę powodzenia, musiałem porozmawiać z chłopakiem w cztery oczy. W tym celu musiałem tylko pokonać pewną ogromną przeszłość.

Mamę Carter.

Miałem okazję poznać w życiu kilku fanatyków religijnych. W jednej z sąsiednich cel śmierci siedzi taki jeden, który co noc o drugiej trzydzieści cztery wyśpiewuje hymn. Każdej nocy inny. Ma piękny głos, niemal kobiecy. Widuję go tylko wtedy, kiedy przechodzi obok mojej celi, nie pozwalając nam bowiem wchodzić w interakcje. Każdego dnia mamy jednak po kolei prawo do półgodzinnej rekreacji na mierzącym dwa metry kwadratowe podwórku, otoczonym potężnymi betonowymi ścianami. Jeśli wyciągnąć trochę szyję, na górze można dojrzeć skrawek błękitnego nieba.

Kiedy wyprowadzają nas na spacer, wszyscy się sobie przyglądamy. Chcemy zobaczyć, jak wygląda ktoś, kogo czeka śmierć. Wykonawca hymnów to delikatny chłopak o białych i cienkich ramionach poprzecinanych błękitnymi żyłami. Aż trudno uwierzyć, że własnoręcznie uduśli dziewięć staruszek. Twierdził, że pragnął jak najszybciej wyekspediować je do nieba.

Mama Carter – z tego, co wiem – nikogo nie zabiła, ale perypetie jej wnuka przemieniły jej już i tak ogromną wiarę w coś namacalnego i solidnego. Kiedy wszedłem do pokoju, zastałem ją podczas modlitwy, na kolanach przy łóżku Jamaala. Odchrząknąłem, aby zdała sobie sprawę z mojej obecności.

– Czy wierzy pan w Boga, doktorze Evans? – zapytała, wstając.

– Tym razem obyło się bez pocałunków i okrzyków „alleluja!”.

– Wierzę w robienie tego, co trzeba, jak najlepiej i nie licząc na rekompensatę – odpowiedziałem.

– Wczoraj mówił mi pan, że się modli.

– Ponieważ się modłę. Zwykle wtedy, kiedy mam jakiś kłopot. Nie wiem jednak, czy moje

prośby dokądkolwiek docierają.

– Ja od dawna się modliłam, by Pan uchronił mojego małego Jamaala. I moje modlitwy zostały wysłuchane.

Jamaal obrócił na łożku swoje stuosiemdziesięciocentymetrowe ciało, podzwaniając kajdankami o pręt, do którego był przykuty.

– Hej, doktorze, dałoby radę mi to zdjąć? Noga mi drętwieje.

– Obawiam się, kolego, że najpierw będziesz musiał złożyć zeznania przed sędzią. – Wówczas przypomniałem sobie o dźgniętym gangsterze. – Jaksię miewa T-Bone?

– Przeżył je. Zabrali go do innego szpitala, ale nie wiem, do którego.

Kątem oka zerknąłem na Mamę Carter. Chciałem porozmawiać z Jamaalem na osobności, ale to wymagało pozbycia się babci.

– Pani Carter.

– Proszę, doktorze Evans, niech pan mi mówi Mama.

– Muszę panią na chwilę wyprosić.

Spojrzała na mnie, a jej usta zmieniły się w prostą i zdecydowaną kreskę.

– Przykro mi, ale nigdzie się stąd nie ruszę.

– Słucham?

– Z moim synem Leonem, ojcem tego chłopca, zrobili to samo. Odciągnęli mnie od niego, żeby mogła z nim porozmawiać policja. Detektyw również poprosił, żebym na chwilę wyszła. I teraz od szesnastu lat Leon siedzi w więzieniu. Tak więc nigdzie się stąd nie ruszę.

– Proszę pani, nie wiem, czy pani zauważyła – powiedziałem, pociągając za kłapy mojego białego fartucha – ale ja nie jestem z policji.

– Ale może pan mieć przy sobie dykafon.

– Proszę pani... Mamo Carter... Muszę porozmawiać z Jamaalem w cztery oczy. Proszę mi wierzyć, to nie o nim będziemy mówić.

– Ja panu wierzę, doktorze. Sprawia pan wrażenie dobrego człowieka. W pana oczach jest dużo smutku, ale także i słodki blask Naszego Pana.

– A zatem zostawi nas pani?

– Ani mi się śni. W pokoju mogli zainstalować mikrofony.

Ledwie zdławiłem w sobie parsknięcie rozdrażnienia.

– W porządku, Mamo Carter. Jak sobie pani życzy. Jamaal, potrzebuję pistoletu.

– Co?! – rzucił chłopak, podnosząc się nieco na łożku i otwierając szeroko oczy.

Na szczęście dzięki serialom *The Wire* i *Breaking Bad* miałem okazję poszerzyć słownictwo.

– Spluwy, dziewiątki, kłamki, gnata – oznajmiłem, starając się zabrzmieć ostro. – Zwał, jak zwał.

– A mnie co do tego, doktorze?

– Chcę, żebyś mi powiedział, skąd mogę coś takiego wytrzasnąć.

– Ja odpadam, gościu. Tobie chyba odbiło – stwierdził, kręcąc głową.

– Mam ci przypomnieć, chłopcze, że jeśli będziesz mógł chodzić, to tylko dzięki mnie?

Babcia stanęła między nami z wyciągniętymi ramionami.

– Jamaal, ani mi się waż odpowiadać.

– Mamo Carter, potrzebuję pomocy pani wnuka.

– Wiedziałałam, że spróbuje go pan zrobić. Sprawdzić, żeby powiedział coś, co go obciążą.

– Przyrzekam pani, że tak nie jest.

– Nie wierzę. Po co broń komuś takiemu jak pan?

– Tego pani nie mogę powiedzieć.

– A zatem tym gorzej. Ponieważ zamierza pan zrobić coś nielegalnego.

– Nie zamierzam w nic mieszać Jamaala.

– Tak pan mówi teraz.

– Mam Carter...

– Niech pan stąd wyjdzie, zanim wezwę policjanta, który stoi za drzwiami. Jego niech pan prosi o pistolet, a nie czarnego chłopaka z Południowego Wschodu.

Delikatnie chwyciłem panią Carter za ramiona i spojrzałem jej w oczy.

– Mam Carter, proszę mnie posłuchać. Nie zrobię nic złego pani wnuczce. Ale potrzebuję broni.

– Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, jak mówi nam Pan – odparła, uciekając spojrzeniem.

– Nikogo również nie zabiję. Potrzebuję broni, żeby wyrównać pewną niesprawiedliwość, więcej nie mogę pani powiedzieć. Mam Carter, musi mi pani uwierzyć. Wcześniej mówiła pani, że widać w moich oczach dobroć. Musi mi pani spojrzeć w oczy i mi uwierzyć.

Mama Carter w końcu uniosła wzrok i spotkała się z moim spojrzeniem. Z bliska jej sympatyczne oblicze zdradzało wszelkie oznaki wieku. Nędza i doznane nieszczęścia poorały jej twarz, ale nie duszę ani poczucie godności. Miała poślizgi i nabiegłe krwią twardówki, a także nabrzmiałe policzki. Zbliżała się do siedemdziesiątki, dobrze więc wiedziała, co znaczyło jeżdżenie w tylnej części autobusu, korzystanie z toalet tylko dla czarnych i walka o należne sobie prawa. Przeżyła życie pełne niepokoju, w którym pewność była najbardziej nieuchwytną z nagród, a teraz ja prosiłem, żeby obdarzyła mnie swoim zaufaniem. Dla niej zaufanie bogatemu białemu zakrawało na heroizm.

– Niezbadane są wyroki boskie – stwierdziła po chwili, zaciskając usta między słowami. – Będę o tym rozmyślała, usiadłszy sobie na tym krześle, i nie zwracając uwagi na wszelkie słowa, jakie padną w tym pomieszczeniu.

Skinąłem głową z podziwem i wdzięcznością, po czym zwróciłem się w stronę Jamaala.

– Gadaj, młody!

KATE

Kate sprawdziła raz jeszcze adres i wysiadła z samochodu. Wszystko się zgadzało: róg Dwudziestej Piątej i Greenmount Avenue w Baltimore.

Wiedziała, że ten skrawek papieru jest ważny, odkład wzięła go do ręki. Był to pomięty paragon ze stacji benzynowej, coś do bólu zwyčajnego. Godzina i miejsce wykonania wydruku sprawiły jednak, że z miejsca powzięła podejrzenia. Nie było możliwe, żeby w tygodniu roboczym Dave przebywał w Baltimore o pierwszej po południu, kiedy powinien być w szpitalu. Najchętniej zadzwoniłaby do niego lub napisałaby wiadomość, żeby się upewnić i wyeliminować ryzyko podążenia fałszywym tropem, ale było to zbyt niebezpieczne. I tak zresztą nie miała innych tropów do sprawdzenia.

Na paragonie widniała kwota dwudziestu czterech dolarów i siedemdziesięciu jeden centów, co oznaczało, że zatankowano około dwudziestu pięciu litrów. Ktokolwiek dokonał zakupu, zapłacił w gotówce, tak więc Kate nie mogła mieć pewności. Intuicja podpowiadała jej jednak, że świstek papieru należał wcześniej do Swietłany.

Wysiadłszy z wozu, wdrygnęła się z zimna. Skórzana kurtka słabo chroniła przed rześkim powietrzem poranka. Postawiła w niej klapy, niewiele to jednak pomogło.

Żółtawe światło poranka rzucało zdeformowany, wydłużony cień Kate na pokrojoną powierzchnię chodnika. Zaparkowała dwie przecznice od stacji benzynowej, aby rozruszać nieco nogi i wyrobić sobie ogólne wrażenie o okolicy. W porównaniu z tym, co wcześniej wiedziała o Greenmount, było niewiele lepiej. Znajdowała się w jednej z najmniejbezpiecznych dzielnic w kraju. Wszędzie wokół było mnóstwo pustostanów, w których zamieszkiwali dilerzy cracku i bezdomni. Na ulicach nie było widać żywej duszy, a między opustoszałymi budynkami unosiła się tylko gnana lodowatymi podmuchami cisza.

Miejskowe sklepiki padały z braku klientów. Jeśli przechodziłeś tamtędy nocą, to prawdopodobieństwo, że staniesz się ofiarą brutalnego napadu, wynosiło jeden do dziewięciu. Za dnia sytuacja przedstawiała się nieco spokojniej, lecz bez wątplenia nie była to dzielnica, w której ktoś zatrzymywałby się bez potrzeby.

„Co ty tu robiłaś, Swietlano?” – zapytała w myślach Kate, rozglądając się dookoła.

Nieśmiała, szczupła i drobna dziewczyna. Jak stwierdził Dave, podstępna żmijka. Podstępna żmijka, która okazała się kretem psychopaty-zabójcy najgorszego gatunku – jednego z tych, o których istnieniu nikt nie wie.

„I tak jednakto nieodpowiednie dla niej miejsce. Czyżbyś była tutaj przejazdem?”

Jeśli takby było w istocie, to Kate zostałaby z niczym. Powstrzymała chęć, żeby przebiec ostatnie metry dzielące ją od stacji i czym prędzej ostatecznie rozstrzygnąć wątpliwości. Aby wydobyć informacje od potencjalnego świadka, nigdy nie możesz sprawiać wrażenia zdesperowanego. Jeśli osoba ta będzie wrogo nastawiona, wykorzysta to przeciwko tobie. Z kolei przykładowy obywatel tak bardzo będzie chciał ci dopomóc, że prawdopodobnie połowę z tego, co ci opowie, sam wymyśli, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Kiedy ujrzała Rajesha Vajnuliego, rozumiała, że pracownik stacji zalicza się do tej drugiej kategorii. Był to człowiek tak pomocny i pracowity, że wydawał się zdolny przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Zapewne usychał w tym posępnym miejscu, łaknąc klientów, którym mógłby usługiwać. Kiedy Kate pokazała mu odznakę i stało się jasne, że nie jest jednym z nich, jego entuzjazm ani trochę nie przygasł. Próżno było się u niego dopatrywać tradycyjnej u imigrantów nieufności względem przedstawicieli rozmaitych służb.

– Naprawdę jest pani z Secret Service? – spytał Vajnuli piskliwym głosem naznaczonym akcentem, przez który przewracał się na każdym „es” niczym dziecko na świeżym śniegu. – Tak jak w tym serialu... No, wie pani, z Jackiem Bauerem?

– Nie, on był ze specjalnej jednostki antyterrorystycznej. Agencji wymyślonej na potrzeby fabuły.

Kate stale spotykała się z tego rodzaju pytaniami. Kiedy jakieś wystąpienie publiczne zapowiadano z wyprzedzeniem, agentom Secret Service przychodziło nieraz spędzić godziny twarzą w twarz z gawiedzią, która przybyła zobaczyć prezydenta. Ludzie się nudzili, a jedyną rozrywkę stanowił gość w garniturze i okularach przeciwsłonecznych, który stał w gotowości kilka metrów od nich. Odkąd Kate służyła w obstawie Pierwszej Damy, nie dostawała tego rodzaju przydziałów. Nie musiała już więc tak często odpowiadać na domysły dotyczące Strefy 51 lub zabójstwa Kennedy'ego.

– Specjalna jednostka antyterrorystyczna nie istnieje? – zapytał z zakłopotaniem Rajesh Vajnuli.

– Obawiam się, że nie.

– To jakiś żart? A jeśli ktoś zechce wysadzić w powietrze elektrownię atomową? Kto nas chroni przed zagrożeniem ze strony terrorystów?

– Federalne Biuro Śledcze, Centralna Agencja Wywiadowcza, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego i trzydzieści trzy inne służby. Panie Vajnuli...

– Proszę mi mówić Rajesh.

– Panie Vajnuli, proszę pana o chwilę uwagi. Proszę spojrzeć na ten paragon – powiedziała, podając świstek – Widnieje na nim pana imię. Czy to pan obsłużył tę klientkę?

– Tak, tutaj jest napisane, widzi pani? Nie jestem pewien, o kogo chodzi...

– O młodą dziewczynę, dwadzieścia cztery lata. Szczupła, wyraźne kości policzkowe, akcent z Europy Wschodniej.

– Ach, tak Kilka dni temu. Była tutaj, obsługiwałem ją.

– Wie pan może, jak się nazywa? Widział ją pan już wcześniej?

– Nie, proszę pani. Przykro mi.

– Chciałabym przejrzeć nagrania z monitoringu.

Vajnuli nachylił się ku niej z konfidencjonalną miną.

– Widzi pani, proszę nikomu nie mówić, ale system zapisujący nagrania jest bardzo kosztowny. Tutaj mamy tylko nagrania z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Tylko po to, żeby policja mogła sprawdzić, kto na nas napadł.

„Oczywiście, że ich nie przechowujecie. To by było zbyt proste” – pomyślała Kate, rozcierając sobie podstawę nosa.

– Jak rozumiem, tego dnia akurat was nie napadli, tak?

– Nie, ostatnio mamy dobry okres. Ponad miesiąc bez żadnego napadu. Prawie jak w moim rodzinnym Bombaju.

– I zapewne jej pan sobie nie przypominają?

– Wprost przeciwnie, agentko Robson, mam doskonałą pamięć, zwłaszcza jeśli chodzi o ładne dziewczyny – oznajmił, dwukrotnie unosząc brwi. Czy przynajmniej próbując to uczynić, ledwie bowiem wystawały ponad szklą okularów grube jakbutelki coca-coli.

Teraz z kolei to Kate uniosła brwi, choć nie w odpowiedzi na kokieterię Vajnuliego, ale zdumiona przymiotnikiem, którego użył jej rozmówca.

– Opisałby ją pan jako ładną?

– Oczywiście. Rzecz jasna, nie była tak ładna, jak pani. Była niziutka i bardzo szczupła, ale miała na sobie delikatną sukienkę z niebieskiej bawełny, którą wypełniała akurat tam, gdzie trzeba,

rozumie pani. Była poza tym mocno umalowana. Dlatego zwróciła moją uwagę. Bo tutaj to coś niecodziennego.

– Podobnie jakto, że ktoś płaci gotówką, prawda?

– W tej kwestii się pani myli. Wielu moich klientów tankuje właściwie codziennie. Zjawiają się z kilkoma dolarami, czasami z piątkiem, i za tyle kupują. Zdarza się, że w środku tygodnia człowiek musi zanieść telewizor do lombardu, żeby mieć na benzynę czy jedzenie.

– Nic więcej nie może mi pan powiedzieć?

– Co zrobiła? Napadła na bank czy coś w tym stylu?

– Nie jestem upoważniona do ujawniania takich informacji – odparła, wykonując dłonią nieokreślony gest. Była to stara sztuczka, której nauczyła się w czasach dochodzeń w sprawach oszustw. Mógł oznaczać cokolwiek, a jego jedynym celem było chwilowe zaspokojenie ciekawości świadka i skłonienie go, żeby mówić dalej.

Vajnuli kilkakrotnie przy gryzł wargę, po czym odpowiedział.

– Owszem, była bardzo dobrze wychowana. To pamiętam.

– Kiedy płaciła?

– Nie tylko, zapytała mnie także, czy może zostawić samochód na parkingu stacji. To miejsca dla klientów myjni, ale co tam... Myjnia jest od roku zepsuta i nie wygląda na to, żeby firma chciała wyłożyć pieniądze na naprawę. Wydaje mi się, że niedługo i stacja zostanie zamknięta.

Kate wyjrzała przez okno. Zza lady rozciągał się widok na przestrzeń zarezerwowaną dla samochodów, którą wyznaczało po prostu kilka linii wymalowanych na asfalcie.

– Poprosiła, żebym miał oko na samochód – kontynuował ekspedient. – Odparłem, że jasne, nie ma problemu. Choć gdyby go ukradli, to najwyżej mógłbym jej potem powiedzieć, ilu było złodziei. Jest w moim kraju takie powiedzenie: „Nigdy nie wąż między miód a niedźwiedzia”.

– Bardzo rozsądne przy słowie. Jest pan w stanie określić, po jakim czasie dziewczyna wróciła?

– Nie, nie potrafię powiedzieć. Pół godziny, godzinę później, nie zwróciłem uwagi. Mam co robić, wie pani? – powiedział, podnosząc księgę grubszą od ramienia Kate, opatrzoną tytułem *Zaawansowane spojrzenia na fizykę kwantową*. – Czekam na obronę doktoratu.

– Rozumiem. Dziękuję panu za pomoc.

– Nie zostawi mi pani wizytówki z numerem telefonu? Wie pani, na wypadek, gdybym coś sobie przypomniał i musiał się z panią pilnie skontaktować – zasugerował ekspedient, ponownie wprawiając brwi w ruch.

– To nie będzie konieczne. Miłego dnia.

Kate wyszła ze sklepu. Hałas zamykających się automatycznych drzwi oszczędził jej słów pożegnania nader rozczarowanego Vajnuliego. Na zewnątrz rześkie powietrze poranka było przesycone ciężką i lepką wonią benzyny.

„Delikatna sukienka z niebieskiej bawełny. Mocno umalowana”.

Dojazd do Baltimore zajął jej pięćdziesiąt minut. Jeśli była tutaj o pierwszej, to znaczy, że musiała wyjść z domu w południe. David zawsze odwoził Julię do szkoły w drodze do szpitala. Swietłana przygotowała im śniadanie, później zaś miała czas, żeby zrobić się na bóstwo.

Dlaczego rzekomo skromna studentka, która zawsze ubierała się swobodnie, miałaby się wystroić, po czym w środku tygodnia przejechać sześćdziesiąt kilometrów? Czyżby za plecami Davida umówiła się na rozmowę o pracę? Jaka zatem była tak naprawdę jej rola w domu? Czy to możliwe, żeby nie należała do spisku?

„Nie, nie ma mowy. Podała mu numer do swojego promotora. A numer był spreparowany. Musiała to wiedzieć”.

W rzeczywistości najbardziej zastanawiał ją usłyszany opis Swietłany. Pracownik stacji benzynowej był samotnym, napalonym młodzieńcem, gotowym startować do każdej kobiety,

kóra przejdzie przez drzwi pawilonu stacji.

Kate była kobietą na swój sposób piękną. Jej twarde, włókniste ciało emanowało szczególną energią, sama jednak nie potrafiła tego należyście ocenić. Kiedy oglądała się w lustrze w sypialni, była w stanie dostrzec jedynie spiczaste łokcie i cellulit, który zaczynał się odkładać poniżej pośladków i którego nie była w stanie wyeliminować mimo codziennych przebieżek

„Trzeba być naprawdę zdesperowanym, żeby próbować poderwać agentkę Secret Service” – pomyślała.

Zapewne pracownik stacji był po prostu zбочonym napalenicem, który podniecał się przy byle okazji. I tak jednak opis Świętany, jaki przedstawił David, był zgoła odmienny.

Czy możliwe, że po prostu nie zwrócił uwagi na opiekunkę? Żeby zdrowy heteroseksualny mężczyzna nie zauważył we własnym domu dwudziestokilkulatki z niezły mi cyckami? Nawet jeśli wziąć pod uwagę żalobę, wiedza Kate na temat męskiej natury sugerowała, że było to niemożliwe.

„Chyba że mowa o Davidzie, prawda? O faciecie, który odkąd poznał Rachel, nigdy już nie spojrzął na inną kobietę”.

Działo się to przy okazji wielkiej wiosennej imprezy w Georgetown – legendarnego święta, które co roku wyprawiano naprzeciwko bram kampusu uczelni. Dla Kate był to pierwszy raz i koniecznie chciała tam iść. Jej siostra знаła już święto sprzed roku, a jej spokojne, refleksyjne usposobienie niezbyt współgrało z masowym charakterem obchodów. Powiedziała jej, że nie idzie, ale Kate nie była z tych dziewcząt, które rozumieją znaczenie słowa „rezygnacja”. Stawiła się w akademiku siostry z ogromnym transparentem, na którym widniało hasło POTRZEBUJĘ IMPREZY.

– Nie zaciągniesz mnie tam – upierała się Rachel, przewracając oczami i wracając do biurka.

– Rae, nie możesz mi tego zrobić. Będzie fantastycznie!

– Nie, nie będzie. Będzie alkohol i stado pijanych facetów starających się nas obmacać.

– To przecież mówię, istny raj. No, o co ci chodzi? Przez całą zimę kulałam jak głupia do egzaminów semestralnych. Mój tyłek ma teraz kształt krzesła. Sama zobacz – powiedziała, potrząsając nim przed nosem siostry, która na próżno usiłowała skupić się nad podręcznikiem do anatomii. – Nie wydaje ci się strasznie płaski?

– Zabieraj mi ten zad sprzed nosa, żółtodziobie! – rzuciła, śmiejąc się, Rachel. – Powiedziałam, że nie pójdziemy, i nie pójdziemy.

Tak więc poszły. Tańczyły, piły, a kiedy przyszła pora pójść po drugą kolejkę, Kate niechcący potrąciła ramię wysokiego bruneta o zielonych oczach. Pogawędzili o tym i owym, o sprawach zupełnie nieistotnych. Kate mogłaby przywołać każdą linijkę tej rozmowy, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jedyne bowiem zdanie, jakie w tej konwersacji się liczyło (i padło tylko dlatego, że Rachel nie przestawała ciągnąć jej za rękę, nalegając, żeby już sobie poszły), brzmiało:

– Davidzie, oto moja siostra.

I było po wszystkim. David obrócił głowę w stronę Rachel tak szybko, że dziewczynka z *Egzorcysty* pobladała z zazdrości. Kiedy pół godziny później Rachel powiedziała jej, że David – „Nie uwierzysz, okazuje się, że również studiuje medycynę” – zaprosił ją, żeby poszły coś wypić z dala od imprezy, i zapytała, czy siostra ma coś przeciwko, uśmiech zastygł na wargach Kate, ale stwierdziła, że nie, proszę bardzo. Miała potem wiele lat, żeby żałować tego kłamstwa, żeby się zastanawiać, co też by się stało, gdyby wówczas powiedziała, co tak naprawdę czuje. Że to ona pierwsza go zobaczyła, że gdyby nie ona, to Rachel w ogóle nie byłoby na tej imprezie, że

to zupełnie niesprawiedliwe... Nic jednak nie przekreśliłoby tego obrotu głową *à la* Linda Blair ani błysku w oczach Davida, gdy po raz pierwszy ujrzał jej siostrę.

Nie, David nie zwróciłby uwagi na Swietlanę, przynajmniej nie w ten sposób. Mimo to zdanie pracownika stacji benzynowej coś znaczyło, i to coś ważnego.

„Wystroiła się tak dla kogoś”.

Była z kimś umówiona, z kimś, z kim nie mogła widywać się w weekendy, ponieważ powiedziała Davidowi, że nie ma chłopaka. David mówił, że dni wolne spędzała zamknięta w pokoju nad książkami.

Kogoś jednak miała. Chłopaka. Skoro był chłopak, to był i punkt zaczepienia. Nitka, za którą można pociągnąć.

„Czy raczej byłby, gdybym wiedziała, dokąd się stąd udała. To nie mogło być daleko, skoro poszła na piechotę. Jakaś kawiarnia czy może...”.

Ciąg myśli przerwał jej dźwięk komórki. Spostrzegłszy, że dzwoni szef, natychmiast odebrała.

– Robson, co się, kurwa, dzieje? – Głos McKenny brzmiał miękko, zarazem jednak zdradzał irytację.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– To ja zarywam całą pierdoloną noc, żeby przygotować plan działania ochrony w Saint Claire, a kiedy ma się zacząć zebranie, przychodzi szef personelu medycznego i oznajmia, że zaszła zmiana w planach i jedziemy do szpitala w Bethesda. Operować nie będzie twój szwagier, tylko jakiś dupek z Baltimore, który nie przeszedł ani żadnej kontroli bezpieczeństwa, ani żadnej odprawy. Nic, kurwa! Równie dobrze mógłby to być Osama ze zgołoną brodą.

Kate się nie odzywała, zbyt zaskoczona, żeby wykrzesać jakąś odpowiedź.

– Jesteś tam, Robson, czy cię ta sraczka do reszty wykończyła?

– Osama nie żyje, proszę pana – zdołała tylko wykrztusić.

– Dobra, dobra, tak twierdzi Renegade. Ja uważam, że jak nie ma zdjęcia, to nic pewnego. Pewne jest za to, co ja ci zrobię, jak nie weźmiesz dupy w troki i natychmiast tutaj nie przyjedziesz.

Rozłączył się.

Kate wpatrywała się w telefon, niczego nie pojmując. Co tam się działo? Kto podjął taką decyzję? Jeśli Biały Dom, to stawiała ona Davida w fatalnej sytuacji, czyniąc z Julii niepotrzebny balast.

Kate warknęła ze złości i bezsilności, nie mogąc skontaktować się z Davidem, żeby się dowiedzieć, co się, u diabła, wyrabia. Ustalili, że tylko on będzie inicjował kontakt. Inne możliwości byłyby zbyt ryzykowne.

„Boże, co jeszcze może się wydarzyć?”.

Ogromna ciężarówka minęła ją z hałasem, na chwilę zasłaniając słońce. Kiedy przejechała, promienie ponownie oślepiły Kate, osłoniła więc oczy daszkiem z dłoni.

Spojrzała przed siebie i zrozumiała, dokąd poszła Swietłana.

Pierwszą rzeczą, jaką powie ci jakikolwiek mieszkaniec Waszyngtonu, gdy przeprowadzisz się do stolicy, jest: „Nigdy, przenigdy nie zapuszczaj się do Anacostii”. Przy czym mocno podkreśli słowo „przenigdy”. Kiedy wstukałem adres w systemie nawigacji, urządzenie dłuższą chwilę przetwarzało koordynaty, jak gdyby chciało mi dać czas na zmianę decyzji.

Przejechałem przez rzekę i zagłębiłem się w Barry Farm. Dzielnica była zabudowana niewielkimi, przylegającymi do siebie domami, które co do jednego desperacko upominały się o odmalowanie. Przyglądając się zniszczonym fasadom, zrozumiałem, że życiem tutejszych mieszkańców władał strach. Wszystkie okna na parterze (i niektóre na piętrze) były osłonięte kratami. Wiele od środka zabito deskami i kartonami. U najodważniejszych w oknach na piętrze wisiały jedynie zasłony.

Nie spostrzegłem ani jednego uchylonego okna czy jakiejś odsłoniętej szyby.

Odgłos silnika lexusa sprawiał, że gdy przejeżdżałem, odwracały się za mną głowy. Gdy skręciłem za róg, kilkoro dzieci w wieku dziesięciu czy jedenastu lat rzuciło się pędem za samochodem. Był czwartek przed południem.

„Powinnyście być w szkole – pomyślałem. – Nie poddawajcie się. Próбуйте do skutku”.

Chciałem się zatrzymać i powiedzieć im, że wcale nie miałem łatwiej. Że przeżyłem żałosne dzieciństwo, ale mimo wszystko podązałem do przodu. Że mi się udało. Wątpię jednak czyby mi uwierzyły, poza tym nie miałem czasu do stracenia. Trzy przecznice dalej dzieci się zmęczyły i zaczęły znikać w lusterku wstecznym.

W końcu system nawigacji poinformował mnie, że dotarłem do celu podróży. Zaparkowałem lexusa na rogu ślepej uliczki. Jamaal powiedział, że mam się rozejrzeć za dużym drzewem. Istotnie, kilka metrów dalej wznosił się rozłożysty kasztanowiec. Wysiadłem z samochodu i zdławiłem odruch zamknięcia pilotem centralnego zamka. Czułem się obserwowany i wiedziałem, że takie zachowanie mogłoby mi zostać policzone za oznakę niepewności.

Ruszyłem w stronę kasztanowca. Jego gałęzie rzucały szeroki cień, pod którym ustawiono kilka krzesełek plażowych i radio na baterie, z którego wydobywały się koszmarnie wycia. Uwielbiam muzykę, rapu jednak nie znoszę z całego serca. Gdyby jeszcze dziś wszystkich raperów na świecie dopadła przewlekła afonia, nie uroniłbym ani łzy.

Postanowiłem zachować swoje opinie dla siebie, gdyż zasiadający na krzesełkach zdawali się urzeczni piosenką. Przynajmniej do momentu, gdy zauważyli, że się zbliżam. Teraz ze zdumieniem spoglądali to na mnie, to na mój samochód.

– Wygląda na to, że gwiazdka w tym roku przyszła wcześniej, gościu – zauważył jeden z nich, który sprawiał wrażenie przywódcy. Siedział pośrodku, obok radia.

– Ej, koleś, chcesz trochę ziola?

– Czego tu szukasz, białasie? To nie twoja dzielnia.

Podszedłem ku nim powoli, z rękami na widoku. Ciuchy w jaskrawych kolorach, mnóstwo fałszywego blasku, trochę złota, czapki z daszkiem, ani krzty ni nadziei. Tych sześciu młodzieńców trwało jeszcze w okresie nastoletnim, ale tylko pod względem metryki. W ich zgaszonych oczach nie ostał się nawet ślad świeżości czy niewinności.

– Dzień dobry, panowie.

– A temu o co chodzi? – przerwał mi jeden z nich.

– Dzie-e-eń do-o-obry, pa-a-anowie. Skąd ty, kurwa, jesteś, koleś?

– Tss, zamknij się, Shorty! Chcę usłyszeć, czego ten typpek szuka – polecił ten, który wyglądał na przywódcę.

– Przychodzę od Jamaala Cartera – oznajmiłem.

– A ten to kto?

– Nie znamy tutaj żadnego Jamaala, koleś.

– Właśnie, zjeżdżaj.

– Jestem lekarzem ze szpitala, do którego go przyjęto. – Gdy mówiłem, nie przestawali robić min, komentarzy i gestów, ale ja nie zamierzałem z tego powodu zamilknąć. – Poprosiłem go o przysługę i podałem mi ten adres.

– Lekarzem, co? A masz może recepty, koleś? Przychodzisz opychać vicodinę?

– Nie wygląda mi na ćpuna, DeShaun.

– Raczej na pedała.

– To nie ćpun, widziałeś jego furę?

– Panowie, proszę, gdybyście mogli mi poświęcić chwilę uwagi... – zaapelowałem, podnosząc dłonie.

– Jaka to przysługa? – zapytał szef i nagle zapadła cisza. Zastłona dymna z rozgadanych zauszników w mąg się rozwiła.

– Potrzebuję broni.

Odpuściłem sobie żarty z gangsterskim slangiem rodem z seriali. W tej dzielnicy nawet w biały dzień czułem się w innym świecie, zgoła odmiennym od mojego. Wystarczył kwadrans samochodem, żeby ze spokojnych i ekskluzywnych uliczek Kaloramy przenieść się w strefę działań wojennych zakamuflowaną w formie dzielnicy czynszówek. Tutaj nie znali się na żartach.

– A masz kasę, żeby za nią zapłacić, doktorku?

Oblicza sześciu młodzieńców, których miałem przed sobą, obserwowały mnie bez wyrazu, różne sygnały dookoła dawały mi zaś do zrozumienia, że sytuacja robi się coraz bardziej niebezpieczna. Jeden z gangsterów uniósł się lekko na krzeselku, inny odłożył na ziemię torebkę z chipsami, które jadł.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że od wielu godzin nie miałem kontaktu z Kate. W ostatniej wiadomości, jaką przesłała mi minionego wieczoru, stwierdziła, że jest w domu i zamierza coś sprawdzić. Nie mogłem ryzykować, że White odkryje, że mam drugi aparat, tak więc ani na moment nie wyciągałem go z teczki, nie wysyłałem także żadnych nowych wiadomości. Nie podzieliłem się z nią również moim planem załatwienia całej tej katastrofalnej sytuacji z Hockstetterem. W tym momencie jednak, gdy gangsterzy powoli podnosili się z krzeseł i zaczęli mnie okrążyć, pożałowałem, że jej tego nie powiedziałem. Był to z mojej strony kolosalny błąd. Jeśli mi się coś stało...

– Najpierw chcę zobaczyć broń – powiedziałem, zmuszając się do nieodrywania spojrzenia od przywódcy, tak jakby jego pomagierzy wcale nie ustawiali się tymczasem dookoła.

Pokręcił pogardliwie głową, zwieszając ją na bok jak gdyby w szyi obluźowała mu się sprężyna.

– Nie o to cię zapytałem. Przekroczyłeś rzekę, wkroczyłeś na terytorium braci, teraz więc grasz według zasad braci. Pokazuj forszę.

– Obawiam się, że w takim razie nie zdołamy ubić targu.

– Ty może nie, doktorku. Ale my – owszem.

Nie mogłem się powstrzymać i spojrzałem w tył, licząc kroki, które dzieliły mnie od samochodu. Dwaj młodzieńcy, którzy stali za mną, postąpili w moją stronę. Kiedy się odwróciłem, reszta zrobiła to samo. Ich przywódca wsadził rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął nóż sprężyny, który otworzył ze stłumionym szcękaniem.

– Podepchnijcie go w tę stronę. Niech wyjdzie poza zasięg kamery.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego siedzieli w cieniu, mimo że dzień był chłodny. Kilka metrów od miejsca, gdzie stał zaparkowany lexus, na słupie telefonicznym znajdowała się biała skrzynka z niebieskim logotypem, a pod nią charakterystyczna półkula kamery monitoringu, pozwalającej dzień i noc czuwać nad ulicą i fasadami domów. Zaciągnięte zasłony i kartony powstawiane w okna nie służyły jedynie ochronie przed sąsiadami.

Dlatego młodzi gangsterzy zbierali się pod konarami drzewa, które służyły im za zaimprovizowaną osłonę przed spojrzemiami policji. Z pewnością nie wyobrażali sobie, że ostatnie, czego bym sobie teraz życzył, to kontakt ze stróżami prawa.

– Dobra, tylko spokojnie. Możemy to załatwić. Podaj tylko cenę tego, po co tutaj przyszedłem.

– Gównu, nie cenę, białasie! Oddasz nam wszystko, co masz, łącznie z kluczami od tej ślicznej gabloty.

Czyjaś ręka popchnęła mnie do przodu, inna chwyciła mnie za kurtkę. Szarpnąłem łokciem w tył, usiłując się odwrócić, ale nic to nie dało. Zacieśnili krąg, wciągając mnie pod drzewo i zyskując pewność, że mogą ze mną zrobić, co tylko zechcą. Dookoła pojawiły się kolejne ramiona, które chwyciły mnie za tors, za nadgarstki, za ubranie.

– Trzy majcie go dobrze, palanty. Wije się jak jaszczurka.

– Trzepiemy mu kieszenie, DeShaun?

Ten od noża nazywał się DeShaun. Spojrzał na mnie z kpiną w oczach i parokrotnie przeciągnął językiem po wargach.

– Nie. Sam je sobie przetrzepie.

Podniósł zaostrzoną klingę do mojej twarzy. Ostrze przesunęło się po policzkach i czubek noża zatrzymał się tuż pod moją prawą dolną powieką. Stałem w bezruchu. Lekkie pchnięcie i wyłupiły mi oko.

– Prawda, że będziesz współpracował, białasie?

Zdesperowany i postawiony w sytuacji bez wyjścia, chciałem tylko wyrwać się stamtąd jak najszybciej, żeby móc obmyślić jakiś nowy plan. Już miałem odpowiedzieć, że tak, kiedy zza DeShauna dobiegł jakiś głos.

– Co tu się, kurwa, wyrabia?! Co wy robicie doktorowi?

Napięcie wokół mnie nieco opadło. Z domu naprzeciwko wyszedł ciemnoskóry chłopak, którego natychmiast rozpoznałem. To on poprzedniego dnia powiedział mi, że T-Bone został pchnięty nożem. Idąc, zapinał sobie guziki rozporoka jeansów.

– Człowiek nie może się już spokojnie wysrać, żebyście czegoś tymczasem nie odstawili?

Ręce, które mnie trzymały, cofnęły się, młodzieńcy zrobili zaś krok w tył. Wraz z pojawieniem się przybysza geometria i równowaga sił w grupie uległa subtelnej, choć zauważalnej zmianie. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę, niektórzy poprawili czapki lub odruchowo obciągnęli rękawy kurtek. To on był tutaj szefem, nie DeShaun. Ten ostatni jednak nie zmienił postury, najwyraźniej niezadowolony z wkroczenia samca alfa.

– Znasz tego palanta, Marcus?

Marcus nie spojrzął na DeShauna, ledwie co nawet spostrzegł ostrze noża. Z miejsca zrozumiałem, że między nim a jego zastępcą tli się cicha walka o władzę. Żadnych słów, żadnych gestów, żadnych spojrzeń. Żadnych widocznych znaków, które mogłyby zostać odczytane przez szeregowych członków gangu. Kto dzierżył władzę, nie mógł dostrzec wyzwania i nie zareagować, było zaś jasne, że Marcus tego nie chce. Podeszedł jednak do mnie i po przyjacielsku poklepał mnie po ramieniu.

– Jasne, że znam. To on wczoraj uratował T-Bone'a. Co jest grane, doktorku?

Ten gest spoufalenia widocznie wystarczył. DeShaun nie odważył się przeciągać konfrontacji

i odsunął nóż od mojej twarzy.

– Miałeś szczęście, białasie.

Nie spoglądał jednak na mnie, tylko na swojego przywódcę. W spojrzeniu tym było widać sztylety i byłem pewien, że niebawem ci dwaj się nawzajem pozabijają, ale to już nie był mój problem.

– Chciałem z tobą pogadać, Marcusie. Przysłała mi Jamaal.

– Coś z nim nie tak?

Wyjaśniłem, że Jamaal wraca do zdrowia, i podałem cel mojej wizyty. Z jakiegoś powodu myśł o tym, że potrzebowałby m broni, szalenie Marcusa rozbawiła.

– Napadnie pan na bank, doktorze? Krucho u pana z kasą?

Pozostali się roześmiali, rozluźniając atmosferę. Wszyscy poza DeShaunem, który tymczasem powoli się wycofywał i teraz stał oparty o ścianę domu, paląc papierosa.

– Gdybym chciał pieniędzy, to nie napadałbym na bank, tylko założyłbym bank.

– Prawda, tak mówią... Daj człowiekowi broń, a okradnie bank, daj mu bank, a okradnie cały świat.

Spojrzałem na niego, zdumiony przytoczonym cytatem. Chłopak był bystrzejszy niż się to wydawało.

– Czytałeś Williama Blacka?

– Gdzie tam, człowieku. Widziałem to zdanie na jakimś serwisie.

Może jednak nie był.

– Dobra, powiesz mi, po co ci ten pistolet?

– Nie, nie mogę.

Marcus przyjrzał mi się powoli. Miał na sobie czarną luźną bluzę, a jego długie i smukłe palce bawiły się grubymi ściągaczami od kaptura.

– Dobra, a jak cię z nim złapią, to powiesz, że śląd go masz?

– Znikąd, wysoki sądzie. Znalazłem na ziemi w jakimś zaułku.

– O, właśnie to, bardzo dobra odpowiedź. Poczekaj tu, doktorku!

Wszedł do domu i zamknął drzwi. Reszta gangu rozsiadła się z powrotem na krzeselkach, udając, że mnie ignoruje, w rzeczywistości jednak nie spuszczał mnie z oka. Pozostałem między nimi, przesuwał ciężar ciała z nogi na nogę. Było mi głupio i czułem, że jestem obserwowany.

Marcus wrócił dopiero po dłuższej chwili. Kiedy się wreszcie pojawił, lewą rękę miał schowaną w bluzie.

– Przyniosłeś forszę, doktorku?

– Ile?

– Tysiąc dolców.

– To chyba jakiś żart. Co to za pistolet?

– Dostępnny bez papierów i bez niewygodnych pytań, doktorku. Bierzesz albo nie.

W rzeczywistości cena nie grała roli, poskarżyłem się zaś na nią tylko po to, żeby w ostatnim momencie nie postanowił jej podwyższyć. Miałem przy sobie zaledwie tysiąc dwieście dolarów, to jest tyle, ile mogłem jednego dnia podjąć z bankomatu.

Sięgnąłem do kurtki i wyciągnąłem portfel. Poczułem, jak DeShaun spogląda na mnie wzrokiem rozczarowanego drapieżnika, który musi się pogodzić z tym, że kawał mięsa, którym zamierzał się pożywić, przypadnie przywódcy stada. Wzruszyłem ramionami i się uśmiechnąłem. Nie zmienił wyrazu twarzy.

– Proszę, Marcusie. Tysiąc dolców – powiedziałem, odliczając dziesięć banknotów. Następnie wyjąłem jeszcze jeden, złożyłem go na pół i owinałem wokół pozostałych. – A tutaj napiwek,

żebyście poszli coś wypić i zapomnieli, że mnie w ogóle widzieliście.

– Od razu inna rozmowa, kolego. My tutaj wszyscy ślepi. Prawda, panowie?

Obrócił się i upewnił, że każdy z nich przytaknie. Usatysfakcjonowany, wyciągnął lewą rękę spod bluzy. Podał mi brązową papierową torbę, pomarszczoną i wymiętą. Czym prędzej ją chwyciłem, wyczuwając pod papierem ciężki i twardy kształt. Już miałem otworzyć torbę, kiedy Marcus powstrzymał mnie gestem.

– Oszalałeś? Poczekaaj, aż będziesz w samochodzie. A najlepiej, żebyś kawałek stąd odjechał.

Wepchnąłem pakunek pod pachę.

– Ma naboje?

– Jedenaście. Magazynek pomieści jeszcze cztery, ale to już sam sobie dokupisz.

– W Walmarcie w Alexandrii sprzedają opakowania po pięćdziesiąt sztuk za dwadzieścia dziewięć dolców – zauważył jeden z gangsterów siedzących na fotelikach, starając się jednocześnie zwinąć koszmarnie wyglądającego skręta.

– Zamknij się, Shorty. Doktor doskonale wie, że kiedy kupuje się amunicję, to nie idzie się do rusznikarza ani nigdzie, gdzie mają kamery. Kup ją w jakimś supermarkecie i zapłać gotówką.

– Dzięki, Marcusie.

Odwrociłem się, żeby sobie pójść, ale głos przywódcy gangu mnie zatrzymał, to zaś, co powiedział, przydało moim troskom dodatkowego ciężaru.

– Hej, doktoru! Nie mam pojęcia, co ty chcesz z tą spluwą zmalować, i mam to gdzieś. Ale teraz na poważnie, ten pistolet nie jest czysty. Jak cię z nim złapią, to możliwe, że odpowiesz za więcej niż zrobiłeś. Lepiej, żebyś uważał na siebie.

KATE

Przez cały czas tam był, skryty przed jej oczami przez padające ukosem promienie poranka, na wprost – po drugiej stronie ulicy. Ogromny plakat z białymi literami na niebiesko-czerwonym tle.

THE BALKAN GRILL Specjały kuchni serbskiej

Szybko przeszła przez ulicę, czyniąc to tak pośpiesznie, że niemal potrącił ją samochód. Niknące w oddali echo klaksonu spotęgowało jeszcze uczucie przejęcia. Zignorowała je, natychmiast również wyrzuciła z umysłu wszystko to, co chciałaby wykrzyzczyć Davidowi za niepoinformowanie jej o nowej sytuacji. Była zupełnie odcięta od wiadomości, ale nie mogła sobie pozwolić na to, żeby przystopować, zwłaszcza teraz.

„Uspokój się, Kate. To pora, żeby na chłodno przeanalizować sytuację. Musisz tam wejść i z nimi porozmawiać. To tylko świadkowie, nikt więcej” – pomyślała.

Prawą ręką sięgnęła jednak pod kurtkę i poluzowała lekko pistolet, aby łatwiej móc wyciągnąć go z kabury.

Główne wejście było zamknięte metalową roletą, która uniemożliwiała zajrzenie do środka. Roleta była pokryta mnóstwem nalepek i bazgrołów, zamek sprawiał jednak solidne wrażenie i był porządnie naoliwiony. Wyglądało na to, że lokal działa, choć było zbyt wcześnie, żeby mógł być otwarty. Uderzyła kilkakrotnie w roletę, która zadźwięczała metalicznie, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

„Musi być jakieś inne wejście”.

Okrzyżyła budynek restauracji. Był to niewielki lokal, od północy przylegający do sąsiedniej budowli – opuszczonej koreańskiej pralni. Od południa, tam, gdzie znajdowało się główne wejście, dochodził do rogu Dwudziestej Piątej. W tym miejscu zaczynał się niewielki zaułek krótki i wąski, wysypany niedopałkami papierosów. W głębi szczur buszował pośród kubbów na odpadki. Wejście w zaułek zastawiała rozpadająca się brunatna furgonetka.

„Muszę wejść w ten zaułek i zapukać do drzwi” – pomyślała. Nie był to jednak najlepszy pomysł. Bez partnera, który by ją osłaniał, udanie się tam w pojedynkę wiązało się ze sporym ryzykiem. Gdyby mogła wezwać centralę i poinformować o swoich działaniach, zrobiłaby to bez wahania. Z powodu intrygi White’a jakakolwiek pomoc z zewnątrz nie wchodziła jednak w grę.

„Jasny gwint! Tam mogą trzymać małą. Nie ma co się namyślać, głupia kuro”.

Obrażanie samej siebie w celu dodania sobie animuszu zawsze na nią działało. Wbrew temu, czego można się było spodziewać, to Rachel odkryła tę prawidłowość, gdy pewnego lata, kiedy miały odpowiednio pięć lat i cztery lata, Kate utknęła na szczycie drzewa, kilka metrów nad ziemią, i bała się zejść. Gałąź, na której się opierała, uginała się z głuchym i przeciągłym trzaskiem. Siostra, bojąc się, że konar zaraz się złamie, krzyczała do niej przeróżne rzeczy, aż wreszcie zdołała ją nakłonić, żeby odważyła się zejść. Pozostałych wyzwick nie pamiętała, zapamiętała jednak „głupią kuro”. To wtedy zmusiła się do przezwyciężenia zawrotów głowy i namacania bosymi stopami jakiejś niższej podpory. Kiedy obie, umierając ze strachu, objęły się już na ziemi, gałąź runęła o krok od nich, pociągając za sobą kilka innych. Zapatrzyły się w nią oczami jak spodki i poprzysięgły nigdy nikomu o tym zdarzeniu nie mówić. Od tej pory „głupia kuro” stała się ich osobistym hasłem, którym nigdy z nikim się nie podzieliły.

Kate weszła w zaułek Aby przejść między furgonetką a ścianą, musiała się precyzując,

szorując plecami skórzanej kurtki po betonie, następnie zaś się schylić, żeby wyminąć rurę wentylacyjną, która niegdyś była biała, teraz jednak pożerała ją rdza. Kiedy wyłoniła się po drugiej stronie, zmarszczyła nos, wy czuwając gęsty i przenikliwy smród z kublów na śmieci.

Jakieś metalowe drzwi były otwarte na oścież. Wnętrze było pograżone w ciemnościach i Kate przystanąła na moment, zanim przez nie weszła.

– Halo? Jest tu kto?

Niemal po omacku pokonała pomieszczenie, które zdawało się niewielką kuchnią. Jej ręka poprowadziła ją po zatłuszczonych i krętych powierzchniach, które otworzyły się na korytarz, ten zaś kończył się w głównej sali restauracji. Stoliki, około dwudziestu, również pozostały w ciemnościach. Oświetlony był jedynie bar. Za ladą starzec po siedemdziesiątce popijał kawę i czytał gazetę z okularami zsuniętymi na czubek bulwiastego i pokrytego czerwonymi żyłkami nosa.

– Proszę, pani funkcjonariusz. Niech pani usiądzie.

Kate zajęła jeden ze stołków barowych. Był dla niej zbyt niski, żeby dobrze oprzeć łokcie, musiała więc nachylić się nad ladą.

– Skąd pan wie, że jestem z policji?

– Kiedy pani weszła, omiotła pani wzrokiem całe pomieszczenie. Poza tym chodzi pani tak, jakby miała pani broń.

Skinięła głową. Chwilowo odpowiadało jej to, żeby stary miał ją za policjantkę. Im bardziej nieoficjalny charakter zachowa jej wizyta, tym lepiej.

– Kurtki robią nam na miarę, ale nie sposób ukryć tego wybrzuszenia.

– To nie tylko to, pani funkcjonariusz. Czy może pani detektyw?

– Może być „pani funkcjonariusz”.

Barman również skiniął, zaciskając usta, jasno dając do zrozumienia, że także nie jest człowiekiem przywiązującym wagę do detali. Wyciągnął zza baru filiżankę i postawił ją przed Kate. Nalał jej gęstej i czarnej kawy, po czym napełnił również swoją filiżankę.

– Wybrzuszenia nie widać, zwłaszcza przy tak słabym świetle i moim krecim wzroku. Nie, chodzi o sposób poruszania się. Za młodu nieco się w tej kwestii nauczyłem.

– Skąd pan jest, panie...?

Twardy bałkański akcent stał się nieco wyraźniejszy.

– Nazywam się Ivo i urodziłem się w Loznicy, ale mieszkam w tym kraju od osiemnastu lat. Przyjechałem, kiedy wojna się skończyła. Szukałem tutaj czegoś, czego nigdy nie znalazłem.

– Pokoju?

– Nie, pieniędzy. Ma pani pomysły, pani funkcjonariusz!

Mężczyzna zaśmiał się suchym, nieprzyjemnym i ponurym śmiechem. Kate niespokojnie poruszyła się na taborecie.

– Interes idzie tak kiepsko?

– Niebawem skończę osiemdziesiątkę, a wciąż muszę pracować. Mogłoby być jednak gorzej. Odkąd tu przyjechałem, robiłem wszystko, aby móc otworzyć tę restaurację. Teraz staramy się ją utrzymać, jak tylko możemy. Ale zdarzały się lepsze chwile. Raz nawet przyszedł do nas ten pływak... No, ten medalista. Momir oszalał na jego widok

– Momir?

– Jestem jego synem – oznajmił głos, który rozległ się w ciemności na lewo od Kate. Podskoczyła na stolku, po czym zganiała się w myślach za swoją głupotę i pochliwość. Przy jednym ze stolików można było dojrzeć sylwetkę mężczyzny, którego wieku czy fizjonomii nie była w stanie ocenić. Mężczyzna zapalił papierosa i na chwilę płomyk zapalniczki oświetlił jego twarde i okrutne rysy.

– Udamy, że nie widziałam, jak zapala pan papierosa w restauracji.

– Jest zamknięte.

– To i tak wbrew przepisom.

– Z pewnością jednak nie zamierza pani nic z tym zrobić – odpowiedział cię.

Ciekawe, ile razy Momir i jego ojciec zabawiali się z gośćmi w takie onieśmiałające gierki. Obaj byli kimś więcej niż właścicielem restauracji i jego synem. Było w nich coś brudnego i niebezpiecznego. Gdyby ludzkie dusze były kamertonami, większość z nich wydawałaby harmonijny i przewidywalny dźwięk przeciętności. Niektóre konkretne dusze rozbrzmiewałyby inną wibracją, wzbudzającą w Kate niepokój i jej instynkt łowczyni. Ci dwaj czynili to z wielką intensywnością. Nie po raz ostatni pożałowała, że nie dysponuje siatką bezpieczeństwa w formie wsparcia, z którego mogłaby w razie potrzeby skorzystać.

Nie miała nic.

– To, co panowie robią albo czego nie robią, mnie nie interesuje. Przyszłam tutaj w sprawie jednej z waszych klientek Swietłany Nikolić.

Stary wymienił z synem długie spojrzenie, po czym wzruszył ramionami.

– Nigdy w życiu o niej nie słyszałem.

– Dziewięć dni temu jadła tutaj z innym klientem. Młoda dziewczyna z Belgradu, atrakcyjna, szczupła. Miała na sobie niebieską sukienkę.

– Nie, pani funkcjonariusz, nic mi to nie mówi.

Kate nie mogła już tego więcej znieść. Zrobiła krok naprzód i chwyciła starego za koszulę. Widząc to, Momir ruszył na pomoc ojcu z pochyłą głową i uniesionymi pięściami. Na to właśnie liczyła Kate. Syn był masywnej budowy ciała i o szerokich barkach – jeśli zdołałby ją uderzyć, nie miałaby szans.

Nie mogła pozwolić, żeby się do niej zbliżył.

Wykorzystując ciało starego jako przeciwwagę, Kate oparła stopę o jeden z ciężkich taboretów i pchnęła go w stronę Momira. Metalowy brzeg stołka uderzył go w nogę, wytrącając z równowagi. Mężczyzna upadł u stóp Kate, bynajmniej nie był jednak pokonany. Chwycił ją za łydkę, usiłując przewrócić, podczas gdy stary siłował się z czymś, co trzymał za ladą.

„Broń. Kurwa, on ma broń!”

Zdołała się oswobodzić z uchwytu Momira. Podniosła but i wbiła mu obcas w plecy, powodując, że ze zdławionym jękiem wypuścił powietrze z płuc. Pozostawiła nogę na miejscu, przyciskając go do podłogi i tym samym uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

– Puść go, kurwa! Pierdolona sucz.

Kate odwróciła głowę i natknęła się na lufę rewolweru przytkniętą jej do podbródka.

– Posłuchaj mnie, Ivo. W dupie mam ciebie i twojego pieprzonego synalka. Na wypadek jednak, gdybyś nie wiedział, że zabicie agenta federalnego jest dożywocie.

Ivo przykniął oczy, spoglądając na nią z niedowierzaniem. Byli tak blisko siebie, że ich oddechy mogły się wymieszać. Stary zionął kawą i gorzkimi cebulami.

– Żadna z pani agentka federalna, tylko kolejna wysłanniczka od inspektora Zallmana, który chce z nas wycisnąć więcej niż możemy dać. To proszę posłuchać, z tej krowy więcej mleka już nie będzie, zrozumiano?

– Kim, do kurwy nędzy, jest Zallman?

– Słucham? – szepnął Ivo.

– Mówię, że nie wiem, kto to jest ten Zallman.

Na podłodze Momir szarpnął się z wściekłością.

– Nie słuchaj jej, ojczu. Kłamie.

– Dobrze, to ja włożę dłoń do tylnej kieszeni spodni i wyciągnę moją legitymację –

powiedziała Kate, puszczając koszulę starego. – Niech pan nie strzela, dobrze?

Ivo nie odpowiedział, co Kate postanowiła uznać za znak, że tylko dwóch palców, wyciągnęła legitymację i przy sunęła mu ją do twarzy. Na jej widok Ivo zrobił zdumioną minę i cofnął broń, ponownie chowając ją za barem.

– Ja... ja panią przepraszam. Myśleliśmy, że...

– Ojczy...

– Zamknij się, kretynie! – krzyknął Ivo, posyłając mu wiązankę w ojczystym języku. – I się nie ruszaj! Można wiedzieć, dlaczego na początku nie przedstawiła się pani jako agentka?

– To pana nie powinno interesować. Jestem tutaj z przyczyn związanych z bezpieczeństwem państwa, które należy traktować z jak największą dyskrecją.

– Przepraszam za wyciągnięcie broni. Między nami a miejscową policją istnieją pewne nieporozumienia, które nie mają związku ze sprawą. Jak to mówią tam, skąd pochodzę: *što više znaš, više patiš*. Im więcej wiesz, tym więcej cierpisz.

Kate skinęła głową. Już wcześniej słyszała pogłoski o tym, że niesubordynowani funkcjonariusze z policji w Baltimore wzięli się za „zapewnianie ochrony”, co sprowadzało się do wymuszania haraczy na drobniejszych kryminalistach. Ivo i jego syn zapewne wykorzystywali restaurację jako przykrywkę, żeby sprzedawać narkotyki lub przedmioty pochodzące z kradzieży. Wszystko to było jej absolutnie obojętne. Zaraz po otrzymaniu informacji, na której jej zależało, zamierzała zostawić tych dwóch samych sobie.

– W jakim celu miałabym więc pytać o Swietlanę Nikolic?

– Sam nie wiem. Uznaliśmy, że to jakiś fortel. Ostatnio ciągle o tę dziewczynę pytają.

Kate z półotwartymi ustami i trzepotaniem w sercu nachyliła się do przodu.

– Kto o nią pyta?

– Ludzie.

– Jacy ludzie?

– Niewłaściwi ludzie. Ludzie, których nawet my się boimy, proszę pani. A może nam pani wierzyć, że wraz z synem mieliśmy okazję poznać pokąźny zbiór najgorszych skurwieli, jacy chodzili po tej ziemi. *Svartno*. Naprawdę.

– Kiedy przyszli i co chcieli wiedzieć?

– Wczoraj po południu. Było ich dwóch. Jeden położył ramię na barze, akurat w miejscu, gdzie pani siedzi. Podwinął rękaw i pokazał mi tatuaż z czarną ręką otoczoną drutem kolczastym. Spytał mnie, czy wiem, co on oznacza, to mu powiedziałem, że wiem.

– A co oznacza?

– To *Crna ruka*. Czarna Ręka, szwadrony śmierci, które wymordowały tysiące ludzi w Kosowie. Spragnieni krwi szaleńcy. Jestem stary twardziel, żaden ze mnie tchórz, ale proszę mi wierzyć, że kiedy zobaczyłem ten tatuaż, naprawdę obleciał mnie strach.

Ivo odwrócił się za barem, w rozdygotane palce wziął butelkę rakii i nalał sobie od serca. Kate poczęła cierpliwie, aż wypije, po czym kontynuowała.

– Czego chcieli?

– Pytali o chłopaka Swietłany.

– To z nim jadła kilka dni temu?

– Na imię ma Vlatko, jest kelnerem w jednym barze w Mount Vernon. Nie wiem, dlaczego go szukają, ale niech Bóg ma go w swojej opiece.

– Przyjaźni się pan z nim?

– Nie, ale rozmawialiśmy przy kilku okazjach. Czasami przychodził na mój *podvarak*. Mówił, że przypominał mu kuchnię jego matki.

– Przychodził sam czy z dziewczyną?

– Czasami sam, czasami z nią.

– To tutaj się poznali?

– Nie, z tego, co słyszałem, znali się już wcześniej, jeszcze ze starego kraju. Przyjaźnili się od dziecka czy jakoś tak. Ostatnim razem, kiedy przyszli, był strasznie wkurzony. Rozmawiali po cichu, nachyleni jedno przy drugim. Ona się popłakała i wybiegła w połowie drugiego dania. Później ich już nie widziałem. To wszystko.

– Rozumiem. Gdzie mogę znaleźć Vlatka?

– Nie mam pojęcia.

Kate westchnęła z rozdrażnieniem.

– Niech pan mnie posłucha, Ivo. Oboje wiemy, że pan kłamie. Mogłabym zagrozić, że rozpętam tutaj piekło i zaroi się od panów na czarno, ale tego nie zrobię, odnoszę bowiem wrażenie, że nie jest pan człowiekiem, który ustępuje wobec pogroźek. Czy mam rację?

Stary nie odpowiedział, tylko ponownie napełnił kieliszek.

– Odnoszę wrażenie, że darzy pan tego chłopaka sympatią. To dobrze, ponieważ w tej chwili ścigają go bardzo groźni ludzie, a jedyną nadzieją na to, że Vlatko ujdzie z życiem, jestem ja – dodała Kate.

Teraz to Ivo westchnął i było to westchnienie pełne rezygnacji. Podeszedł do kasy, z dźwięcznym szcękaniem otworzył szufladę i podniósł wierzchnią przegródkę. Poszperał w stercie kwitków, aż w końcu wyciągnął narożnik strony z „Baltimore Sun” z jakimś zapiskiem. Podał go Kate.

– Dał mi ten numer na wypadek, gdybym kiedyś potrzebował kelnera. Nawet nie wiem, czy wciąż jest aktualny.

Włożyłem papierową torbę wraz z jej śmiercionośną zawartością pod siedzenie, uruchomiłem silnik i ruszyłem z powrotem na północ. Na tym etapie mój plan miał poważny słaby punkt, z którym nie miałem szans samodzielnie się uporać.

Wyciągnąłem telefon i przytrzymałem go przed sobą, cały czas prowadząc.

– Dokąd teraz? – zapytałem.

Brak odpowiedzi. Wyłączony ekran zwrócił mi jedynie moje odbicie. Jedna przecznica, dwie przecznice. Powoli zbliżałem się do mostu na Jedenastej.

– Niech pan mnie posłucha, White! Gram w pańską grę i załatwię sobie na jutro miejsce przy stole operacyjnym. Jestem w stanie to zrobić. Sam jednak nie dam rady. Niech więc mi pan powie, dokąd teraz.

Cichy szum asfaltu pod kołami lexusa przeszedł w przerywany, rytmiczny stukot mostowych dyatacji. W połowie drogi zatrzymał mnie robotnik w pomarańczowym kombinezonie ze znakiem – uwaga, niebezpieczeństwo. Na moście trwały prace remontowe, młoty pneumatyczne właśnie kruszyły cement.

Przygryzłem wewnętrzną stronę policzków i czekałem. W pracującym na luzie silniku trzysta czterdzieści pięć koni przebiegało niecierpliwie kopytami, wyczekując uwolnienia, co przenosiło się na moje zaciśnięte na kierownicy dłonie głuchą i niespokojną wibracją.

W końcu przysłała wiadomość.

JEDŹ NA PARKING LAZ PRZY HOTELU MAYFLOWER,
MIEJSCE 347. MASZ 10 MINUT ALBO PRZEGRZAŁŚ

„Pięć mil w godzinach szczytu. To niewykonalne”.

Robotnik w pomarańczowym kombinezonie w końcu się odsunął i dodałem gazu.

Sam nie wiem, jak tego dokonałem. Ominąłem trzy węzły drogowe, na których zazwyczaj formują się korki. Dwukrotnie przejechałem na czerwonym świetle, ścinając zaś jeden zakręt, tylnym zderzakiem lekko zahaczyłem o gońca na rowerze. Chłopak upadł na maskę zaparkowanego obok samochodu. Na moment serce mi zamarło, ale nie zahamowałem.

„Przykro mi, kolego. Nie mogę”.

W lusterku wstecznym zobaczyłem, jak się podnosi, w rękę trzymając urwane koło od roweru. Sądząc po żywiołowości, z jaką wymachiwał w moją stronę środkowym palcem drugiej ręki, można było założyć, że niczego sobie nie zламаł.

Osiem minut i dziewięć sekund po otrzymaniu wiadomości wjechałem na przylegający do hotelu Mayflower parking LAZ. Nie wyszedł do mnie żaden parkingowy, domyśliłem się zatem, że obowiązuje tutaj system samoobsługowy. Automat polecił mi pobrać kwitek, po czym podniósł szlaban.

Przejechałem wzdłuż rzędów samochodów w poszukiwaniu miejsca numer trzysta czterdzieści siedem. Znajdowało się na poziomie drugim, choć jego położenia musiałem się domyślić na podstawie numeracji sąsiednich miejsc. Numer, którego szukałem, zasłaniał tył dość nieładnie zaparkowanego, ogromnego porsche cayenne w kolorze bordo.

Było dla mnie jasne, że to monstrum należy do Hockstettera. Wożenie się terenówką za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów i stawianie jej na parkingu publicznym zamiast w hotelowym garażu, gdzie postój kosztował dwa razy więcej, było bardzo w jego stylu. Na miłość boską, kiedyś sam słyszałem, jak targował się z bufetową w stołówce Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa.

To był samochód Hockstettera, ale jego samego nie było w pobliżu. Na parkingu stało mnóstwo samochodów, ale o tej porze ich właściciele siedzieli w biurach. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Nie rozumiałem, dlaczego White podał mi ten adres, miejsce jednak idealnie odpowiadało moim zamierzeniom. Musiałem tylko znaleźć sposób, żeby po wszystkich uciec. Zaparkowałem na wyższym poziomie i przesiadłem się na tylną kanapę, gdzie wrzuciłem sportową torbę. Czym prędzej się rozebrałem i zamiast garnituru włożyłem czarny dres, tenisówki i kominiarzkę, które kupiłem na Columbia Road jeszcze przed wyprawą za rzekę. Włożyłem kominiarzkę na głowę niczym czapkę, z dolną częścią podwinętą ku górze, po czym wróciłem na przednie siedzenie.

Poszukałem po omacku pod fotelem i wyciągnąłem papierową torbę.

Sprawa i wrażenie o wiele cięższej niż przedtem. Z wielką ostrożnością wsunąłem dłoń do środka, jak gdyby w torbie roilo się od skorpionów. Bardzo powoli wyciągnąłem jej zawartość.

Był tam – glock kaliber dziewięć milimetrów. Wiem to z napisu na lufie. Moja znajomość broni palnej ogranicza się do wiedzy, że otwór należy skierować w stronę, w którą chcesz, żeby poleciał pocisk. Ogromny i ciężki kawał metalu pachniał smarem i czymś jeszcze, czymś brudnym i niebezpiecznym.

Zacisnąłem palce na rękojeści, nie ważąc się przyłożyć palca wskazującego do spustu. Podobno broń przydaje człowiekowi odwagi i fałszywego poczucia bezpieczeństwa. Ponoć gdy ją trzymasz, masz się czuć potężniejszy i niezniszczalny.

Ja tylko jeszcze bardziej potęmiałem ze strachu.

Wsunąłem pistolet z tyłu spodni, siłując się z fałdami materiału. Gumka była dosyć luźna, przestraszyłem się więc, że broń może mi wypaść na ziemię. Zaciągnąłem mocniej tasiemki, które wystawały z przodu spodni, i poczułem, jak zimny metal nieco ściślej przylega do mojej nagiej skóry, lecz pistolet pozostał na miejscu.

Wysiadłem z samochodu.

Zostawiłem niedomknięte drzwi i kluczyki w stacyjce. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będę wracał w ogromnym pośpiechu i nie będę miał ani chwili do stracenia. Nie mogłem także ryzykować, że kluczyki mi gdzieś wypadną. Za sprawą zamontowanego w nich spersonalizowanego systemu otwierania na odległość namierzenie mnie stanowiłoby dla policji kwestię kilku godzin.

Ukradkiem spojrzałem na kamery zainstalowane w narożnikach. W tej kwestii nic nie mogłem zrobić. Jedyne pociecha, że parking był słabo oświetlony. Żałowałem, że nie pamiętałem o zdjęciu tablic rejestracyjnych z lexusa w chwili wyjazdu ze szpitala, teraz jednak było już na to za późno. Kiedy policja przejrzy nagrania, będzie mnie miała, to nie ulegało wątpliwości. Wierzyłem jedynie, że nie nastąpi to przed operacją.

Zszedłem po rampie prowadzącej na ostatni poziom, aby uniknąć ryzyka spotkania się z kimś na schodach. Gdy schodziłem, siła grawitacji ciągnęła mnie w dół za kolana, a podeszwy dopiero co kupionych tenisówek głucho dźwięczały na betonie.

IDZIE W TWOJĄ STRONĘ, PRZYGOTUJ SIĘ

Wiadomość mnie zaalarmowała. Właśnie się zastanawiałem, gdzie by się tutaj, do diabła, skryć, żeby móc niezauważenie do niego podejść. Zakładałem, że mam jeszcze trochę czasu, tak jednak nie było.

Porsche Hockstettera stało obok kolumny, która częściowo zasłaniała lewą burzę pojazdu. Szorstka, pomalowana farbą w kolorze cynobru i pobrudzona sadzą, była opleciona metalowymi rurami. Między nią a ścianą pozostawała strefa pograżona w mroku, idealnie nadająca się na kryjówkę. Wówczas jednak samochód znalazłby się między mną a Hockstetterem. Aby go zaatakować, musiałbym okrążyć tę ogromną bestię. Możliwe, że usłyszałyby, jak się zbliżam, co dałoby mu czas, żeby wsiąść do wozu lub rzucić się do ucieczki.

Z drugiej strony stał czarny lincoln navigator, obok którego było bardzo mało miejsca na ukrycie. Schody prowadzące na ten poziom były w głębi, bliżej kolumny, tak więc musiałem wybrać jedno z dwóch stanowisk.

W oddali usłyszałem dzwonek zapowiadający przyjazd windy.

Prędko odrzuciłem pomysł z kolumną. To było zbyt ryzykowne. Przykłęknąłem przy lincolnie, zbyt późno zdając sobie sprawę, że w trupiej poświacie wiszącej za mną świetlówki mój cień odcina się na posadzce.

Zacisnąłem zęby, modląc się, żeby Hockstetter mnie nie spostrzegł. Odgłos jego kroków brzmiał coraz bliżej. Lekko powlóczył jedną nogą, narastający odgłos drewnianych podszew sprawiał zaś, że włosy stanęły mi dęba. Chciałem się wychylić, wiedziałem jednak, że wówczas na pewno by mnie zauważył. Puls mi przyspieszył, oddech się skrócił. Zsunąłem kominiaarkę. Ciepło oddechu grzęzło w tkaninie i paliło mnie w twarz.

Kroki stały się głośniejsze i bardziej zdecydowane, aż zupełnie ustały. Stał przy samochodzie.

„Teraz, Dave. Na niego!”.

Chciałem się podnieść, ale nie dałem rady.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, jak gdyby wrosły w beton. Dotychczas nie uczyniłem niczego nieodwracalnego, ten krok wydał mi się jednak zbyt wielki. Oznaczał przekroczenie pewnej linii, zza której nie było powrotu.

Spróbowałem raz jeszcze, słysząc, jak szamocze się z teczłą i kłuczykami. Nie byłem jednak w stanie. Za bardzo się bałem.

Rozległ się dźwięk wyłączenia alarmu i klik oznaczający odblokowanie drzwi. Za chwilę Hockstetter miał mi się wymknąć. Za chwilę bym go stracił, a wraz z nim szansę na uratowanie mojej córki.

„Pomóż mi, Rachel. Pomóż mi!”.

Pomogła. Zesłała mi wspomnienie.

Przypomniałem sobie tamtą kolację.

Przygotowując makaron, powtarzałem sobie w myślach, że muszę porozmawiać z Julią. Okazać troskę i dodać otuchy, rzecz jasna. Kiedy sam byłem w jej wieku, nigdy mi ich nie zbywało, dlatego zawsze starałem się obcałowywać i ścisnąć Julię tak bardzo, jak to było możliwe. Szczególnie lubiłem ją podnosić i oprowadzać po całym domu, podczas gdy ona zwiślała mi na piersi, uczipiona rękami i nogami niczym rzep.

– Mamy pasażera na gapę!

Podróż nieodmiennie kończyła się katapultowaniem intruza na jakieś miękkie podłoże – łóżko albo kanapę – przy użyciu skutecznej metody polegającej na przyciśnięciu oboma kciukami jednocześnie miękkiej części brzucha obok kości biodrowej. Sprowokowany tym atak śmiechu sprawiała, że zwalniała uchwyt i odpadała. Ten moment nieważkości, z szeroko otwartymi oczami i uśmiechem na ustach, oznaczał radość w stanie czystym.

Po śmierci Rachel nie było już zabaw ani śmiechów, ale jedynie podszyte smutkiem szeptem. Moja żona nie pozostawiła po sobie po prostu pewnej wyrwy. Spowodowała powstanie ogromnej

przepaści i była to przepaść wyjątkowo trudna do zasypiania. Julia wciąż nie do końca to rozumiała. Poszła na pogrzeb matki, na którym ani na moment nie puszczała ręki babci. Kiedy jednak uroczystości dobiegły końca, dalecy krewni poznikali, a sąsiedzi przestali wpadać z wizytą, żeby pod pretekstem ofiarowania posiłku lub kondolencji zaspokoić swoją ciekawość, kiedy wreszcie zostaliśmy sami, Julia zapytała:

– Mama przyjdzie na kolację?

Zostawiłem talerze i zbliżyłem się do córki. Od śmierci Rachel upłynął już tydzień, Julia zaś ani razu nie zapytała o matkę. Teraz siedziała przykucnięta na podłodze w salonie, mając przed sobą kilka lalek ustawionych w idealnym szeregu.

– Julio, kochanie! Mama nie może już być z nami.

Nie oderwała wzroku od lalek.

– Ponieważ umarła – powiedziała, po raz pierwszy używając tego słowa. Poczulem, jakby ktoś przejechał mi po grzbiecie lodowatym palcem.

– Tak, kochanie – zdołałem odpowiedzieć.

– Jesteś bardzo dobrym lekarzem. Mama tak mi powiedziała. Powiedziała, że jesteś jednym z najlepszych. Nie możesz sprawić, żeby znowu żyła?

– Nie, Julio. Chciałbym to zrobić. Gdyby istniała choćby najmniejsza możliwość, żeby jej pomóc, tybom to zrobił, ale nie mogę. Nie można cofnąć śmierci.

Przez chwilę zachowała milczenie, poprzestawiała kilka lalek, schowała głowę nieco głębiej w ramionach.

– Ja również umrę?

Na końcu języka miałem cały zbiór możliwych do zastosowania w takiej sytuacji eufemizmów, które aż prosiły się o wypowiedzenie. Ot, wygodne odpowiedzi na złożone problemy. „Bóg zabiera tylko dobre osoby. Mama jest teraz w lepszym miejscu. Wszystko będzie dobrze”.

– Tak, Julio. Wszyscy musimy umrzeć. Ty jednak jesteś mała i zanim umrzesz, minie jeszcze wiele, wiele lat. Będziesz znacznie starsza niż babcia.

– A co się dzieje, kiedy umieramy?

– Nie wiem, kotku. Nikt tego nie wie. Ta zagadka stanowi element życia.

– Ty także umrzesz?

– Zanim to się stanie, również minie jeszcze dużo lat.

– Tego nie wiesz. Możesz zadławić się ciasteczkami albo dostać zawału.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, tak więc zmilczałem i położyłem jej rękę na ramieniu. Podniosła wreszcie głowę i kiedy spojrzałem jej w oczy, odczytałem z jej oblicza, że znała już odpowiedzi na te wszystkie pytania, że jedynie przygotowywała teren pod to, co naprawdę nie dawało jej spokoju. U tak inteligentnej dziewczynki nie powinno to dziwić. Przeraziła mnie jednak myśl, co może być tak straszne, żeby musiała to w ten sposób kamuflować.

– Tato, mama nas kochała?

– Bardziej niż cokolwiek w świecie, Julio.

Przez chwilę się zawahała.

– Córka Blacków mówi, że się poddała. Że odeszła bez walki. Że gdyby nas kochała, to stawiałaby czoło rakowi.

Córka Blacków, którzy mieszkają dwie przecznice dalej, miała dziewięć lat. Zdanie to usłyszała pewnie od rodziców przy kolacji i przytargła do naszego domu, zarażając nim umysł Julii niczym mentalną wszawicą. Być może najtrudniejsze było przyznać, że sam już to wszystko przemyślałem. Jako neurochirurg widziałem najróżniejsze reakcje ze strony pacjentów, którym przekazywano diagnozę niedającą nadziei. Ogromna większość z nich zwracała się ku swoim

bliskim i starała się spędzić z nimi każdą pozostałą sekundę. Zniemacka ci, którzy zawsze gdzieś tam byli, niczym dekoracje w ich życiu, przechodzili na pierwszy plan, wypychani opuszczając się kurtyną. I jakkolwiek dziwne się to wyda, wielu w tych tygodniach poświęconych rodzinie było szczęśliwszych niż dotychczas przez całe życie.

Rachel wiedziała to wszystko równie dobrze jak ja. Widziała jednak i drugą stronę medalu. Wiedziała o zaburzeniach widzenia, o nudnościach, o doprowadzających do szału migrenach, o zmianach osobowości, o demencji. Widziała pacjentów z glejakiem, którzy najnormalniej w świecie gawędzili, żeby trzy sekundy później rozebrać się na środku zatłoczonego korytarza i wytarzać się we własnych odchodach. Wszystko to na oczach rodziny, która nigdy już takiego widoku nie zapomni.

– Julio – odezwałem się, podnosząc nieco głos. – Twoja matka była niesamowitą kobietą. Pełną życia, a także mądrości. Została anestezjologiem, żeby inni nie musieli cierpieć. Potrafiła w jednej chwili uspić pacjentów, żeby to, co najgorsze, minęło jak najszybciej. Później zaś czuwała nad nimi, podczas gdy spali, żeby wszystko ułożyło się jak należy. Nie odeszła bez walki, po prostu walczyła w inny sposób.

Zorientowałem się, że płaczę. Julia obejmowała mnie i usiłowała dodać otuchy, poklepując delikatnie po plecach. Klęczałem na podłodze w tym odwróceniu ról, pocieszany przez siedmioletnią dziewczynkę.

– Ach, Julio. Bardzo cię kocham.

– Spokojnie, tatusiu. Teraz my będziemy walczyć za mamę.

„I ja będę walczył za ciebie, kochanie”.

Wziąłem trzy długie wdechy niczym pływak przed wskoczeniem do basenu, wyciągnąłem pistolet i się podniosłem.

KATE

Numer telefonu zanotowany na skrawku gazety. Dziesięć cyfr nakreślonych cienkimi i ciasnymi kreskami niczym odnoża pająka.

Kate zapamiętała je, po czym schowała świstek do spodni. Przez całą drogę powrotną do samochodu trzymała rękę na kieszeni, chroniąc ten skrawek celulozy, który zawierał jedyny możliwy trop.

Pytanie brzmiało: „Co z nim zrobić?”.

Jechała na południe, aż znalazła przyzwoicie wyglądającą kawiarnię nieopodal Portu Wewnętrznego, gdzie zamówiła największą, najmocniejszą i najgorętszą kawę, jaka tylko była w ofercie. Otrzymała potrójne espresso, którego pierwszy łyk sprawił, że palce zaczęły jej lekko dygotać, nie rozjaśniło jej jednak umysłu. Postanowiła przejść się nabrzeżem, aby rozruszać nogi i spróbować wyłkocypować najlepsze rozwiązanie. Rześła i słona bryza zdołała otrzeźwić jej myśli.

„Nie mogę tak po prostu zadzwonić pod ten numer i porozmawiać z podejrzanym. Nie dysponując żadnymi danymi poza jego imieniem, nie nawiązując kontaktu twarzą w twarz, jedyne, co osiągnę, to że schowa się do dziury i nigdy już nie wyjdzie”.

Najpierw trzeba go było namierzyć, ale to właśnie było najtrudniejsze. Vlatko musiałyby mieć włączony telefon, urządzenia niezbędne do jego zlokalizowania znajdowały się zaś w siedzibie agencji w Waszyngtonie. Co więcej, przed przeprowadzeniem namierzenia potrzebna była zgoda przełożonego, teoretycznie również i decyzja sądu, choć w wypadku poważnego zagrożenia dla życia prezydenta agencji Secret Service zawsze sobie radziły z ominięciem tego obowiązku.

Nie mogła jechać do Waszyngtonu i zrobić tego osobiście. Ryzykowałyaby spotkanie z McKenną lub z kimsz z wytypowanych do służby następnego dnia, a to oznaczałoby konieczność natychmiastowego przerwania poszukiwań Julii i powrót do działań służbowych. Pozostawała tylko jedna możliwość – poprosić o pomoc kogoś z zewnątrz. Choć było to ryzykowne, musiała zaufać komuś jeszcze.

W końcu zdecydowała się zadzwonić do centrali. Spróbowała sobie przypomnieć, kto w ten czwartek może być w pracy, nie jest jednak idiotą ani świętoszkowatym lizusem. Jedna technik, Andrea Hill, była jej dłużna przysługę. Nic wielkiego, Kate po prostu potrząsnęła trochę kilkoma opryszkami, którzy po nocach mazali po witrynie sklepu jej rodziców. Marna karta przetargowa w porównaniu z tym, o co Kate zamierzała ją poprosić, ale musiało wystarczyć.

Wybrała numer jej wydziału i poczęła cierpliwie, aż ją znajda.

– Hill.

– Cześć, Andrea, mówi Robson. Potrzebuję, żebyś mi kogoś namierzyła.

– Robi się. Podasz numer wniosku?

Kate odchrząknęła.

– Nie ma numeru wniosku.

– Przed uruchomieniem systemu musisz więc zdobyć numer. Jak chcesz, to ci podam szefa i...

– Nie, Andrea. Nie chcę, żeby pozostał po tym jakikolwiek ślad.

Po drugiej stronie słuchawki można było słyszeć gwar, jak gdyby rozmówczynie gdzieś się przemieszczała.

– W co ty się, kurde, wpakowałaś, Kate? – spytała cichszym głosem Andrea.

– W nic, przez co mogłabyś mieć kłopoty. Muszę po prostu kogoś znaleźć.

– Kate, już przez samą rozmowę z tobą o czymś takim mogę wpakować się w tarapaty. Góra strasznie się piekła, jeśli wyszukiwanie na potrzeby otwartego dochodzenia przeprowadza się wbrew regułom. Pogadaj z Soutine, ona czasami idzie nam na rękę z...

– Andrea, to nie chodzi... – przerwała i ponownie odchrząknęła. – To nie chodzi o pracę. To prywatna sprawa.

– Teraz to już mam pewność, że postradałaś zmysły. Kate, nie możesz korzystać z zasobów departamentu, żeby sprawdzić, czy chłopak nie przyprawia ci rogów.

– Andrea, nie prosiłabym cię o to, gdyby nie było to coś ważnego. Przysięgam. Potrzebuję pomocy.

Rozmówczyni mlasnęła językiem z dezaprobatą.

– Jasna cholera, Kate! Wszystkie wyszukiwania zapisują się w systemie. Na ekranie szefa wyskoczy powiadomienie.

– To przypisz mu numer jakiegoś dawnego dochodzenia, w którym nie dzieje się zbyt wiele. Proszę...

– Powiedz dlaczego.

– Słucham?

– Powiedz, dlaczego narażam tylek. Jak mnie przyłapią, to mnie wyrzucą, tak więc przynajmniej chciałabym wiedzieć, co za pokrętna historia się za tym kryje.

Kate zaczęła z odpowiedzią, udając, że się namyśla. Zastanawiała się, czy Andrea może usłyszeć przez telefon pokrzykiwania mew.

– Przysięgasz, że nikomu nie powiesz?

– Mała, będę milczeć jak grób. Pamiętasz, jak jedna z księgowości zaszła w ciążę z tym gościem od cyberoszustw? Sama wiedziałam to dużo wcześniej i nikomu nie powiedziałam. Nikomu ani słowa.

Jej głos, pełen wyczekiwania, jak gdyby podskoczył o oktawę. Kate ani przez moment nie sądziła, że Andrea byłaby w stanie dochować tajemnicy. Niemal ją widziała, jak z szeroko otwartymi oczyma miętosy w palcach kabeł telefonu, zastanawiając się, jak najkorzystniej sprzedać nowinę podczas pogawędki przy automacie z kawą. Dziobiąc życie innych na drobne kawałki, poprawiając je własnymi żenującymi żarcikami, usiłując poczuć się lepiej z własną, szarą egzystencją. Na korytarzach Secret Service nie ma cenniejszej waluty nad plotki o kolegach z pracy, najlepiej zaś, jeśli dotyczą one części ciała poniżej pasa. Liczyła jedynie, że rozmówczyni choć kilka godzin zdoła wytrzymać z gębą na kłódce.

– Dawno temu poznałam jednego gościa. Pracuje w Centralnej Agencji Wywiadowczej, w Langley. Niedawno zaczęliśmy się spotykać, ale czasami znika na całe dni. Wymawia się pracą, mnie się jednak wydaje, że ma kogoś jeszcze. Muszę wiedzieć, gdzie on jest.

– Jak wygląda?

– Wysoki, szczupły, ma smutne, zielone oczy. Czuły i inteligentny – powiedziała czym prędzej Kate, po czym przebiegł ją dreszcz, zdała sobie bowiem sprawę, że właśnie opisała Davida Evansa.

– Jej, mała! Też chcę takiego. Ma braci?

– Jedynek

– Jaka szkoda. Powiedz chociaż, że ma tylekzdolny orzechy łupać.

– Tylekma niezły.

– I o to chodzi! Naprawdę ci się ten gość podoba? Tak żeby się zaobrączkować i tak dalej?

Tym razem Kate nie musiała markować pauzy.

– Tak Naprawdę. Jestem w nim zakochana, odkąd go poznałam – przyznała w końcu.

„Po raz pierwszy na głos”.

Andrea zaśmiała się krótko i przenikliwie niczym szczęśliwy gryzoń z kawałkiem sera.

– Nic więcej nie mów, pomogę ci. W przyszłym tygodniu wyjdziemy coś zjeść i się napić – zapowiedziała podekscytowana. – Ja wybieram miejsce, ty płacisz. I wiesz mi wielką przysługę.

– Umowa stoi. Nie będziesz żałować.

– Daj mi ten numer. I uzbrój się w cierpliwość. Zanim będę mogła sprawdzić, muszę poczekać, aż nikogo nie będzie w pobliżu.

Nasz mózg to zdumiewająca maszyna. Przetwarza jedenaście milionów bitów informacji na sekundę, z czego pięćdziesiąt informacji na poziomie świadomym.

W tej samej sekundzie, w której wyłoniłem się z kryjówki, mogłem spostrzec – tak wyraźnie, jak gdyby ktoś wcisnął klawisz pauzy w telewizorze o wysokiej rozdzielczości – dziewięć następujących obrazów:

Ujrzałem Hockstettera wstukującego kciukiem treść esemesa na ekranie telefonu. Po barwie wyświetlacza rozpoznałem, że to iPhone. Zrozumiałem, że jest tą czynnością tak pochłonięty, że nie usłyszałby mnie nawet, gdybym ukrył się za kolumną. Wyraźnie dostrzegłem misterny wzór na jego idealnie wyprasowanym i zawiązanym krawacie. Kiedy podszedłem, podniósł głowę, okulary zatańczyły mu zaś na czubku nosa. Na widok lufy pistoletu wycelowanej w jego głowę z zaskoczenia i strachu otworzył oczy tak szeroko, że niemal podwoił swój normalny rozmiar. Twarz miał idealnie ogoloną, choć pod lewym uchem widać było niewielką reszkę pianki.

– Co, u diabła, ma znaczyć ta maskarada?

– To napad, frajerze – odpowiedziałem, usiłując wydobyć głos z głębi gardła. Kiedy słucha się Christiana Bale’a, wydaje się to bardzo łatwe. Moje słowa zabrzmiały jednak słabo i śmiesznie, jak gdyby ktoś zaciskał mi na krtni linkę. Starałem się zabrzmieć groźnie, rezultat był jednak żaloszny.

Zrobiłem jeszcze dwa kroki w jego stronę. Stał przy drzwiach kierowcy. Widziałem, jak kłatem oka spogląda na kłamekę, jedną rękę miał jednak zajęętą telefonem, w drugiej zaś trzy małe aktówki. Nie mogłem pozwolić, żeby otworzył i wszedł do środka.

– Czego pan chce? Nie zabierze mi pan samochodu, prawda?

Postawiłem następny krok, zwracając uwagę na przedni zderzak tuż obok mojej prawej nogi.

– Morda, skurwysynu! Ja mam pistolet, ty masz mnie słuchać.

Hockstetter cofnął się, podnosząc ręce.

– Spokojnie. Spokojnie. Oddam panu portfel.

Obszedłem róg porsche, nie przestając celować w Hockstettera z coraz bliższej odległości. Czulem, jak lekko drży mi puls.

– Dasz mi to, czego będę chciał. Obróć się!

– Tak, tak Jakpan rozkaże. Ale proszę nie strzelać.

Jeszcze dwa kroki. Byłem już bardzo blisko. Musiałem to zrobić teraz.

– Powiedziałem, że...

Nie zdołałem skończyć zdania. Hockstetter uchylił się na bok i zaatakował mnie aktówką, wykorzystując ją niczym maczugę. Narożnik z miedzianym obiciem uderzył mnie w ramię, przez co upuściłem broń.

– Gównu weźmiesz, a nie moje porsche, pacanie!

Cofnął ramię i kolejny raz zamachnął się aktówką. W ostatniej chwili zrobiłem unik i wymierzyłem kopniaka, który minął go o dobrych dwadzieścia centymetrów. Mój but uderzył jednak w drzwi, wgniatając karoserię samochodu.

– Moje cayenne! – zapiszczał Hockstetter.

Spróbował ponownie uderzyć mnie aktówką, zdołałem się jednak uchylić i aktówka przeleciała nade mną. Metalowe okucie skrzesało iskry na cementowej kolumnie i aktówka otworzyła się z trzaskiem, uwalniając zawartość w obłoku dokumentów i klisz rentgenowskich. Wystarczył mi

jeden rzut oka, żeby je rozpoznać – dokumentacja medyczna przywódcy wolnego świata wyścielała posadzkę taniego parkingu, choć żaden z nas w tym momencie się tym nie przejmował.

Hockstetter, utraciwszy swój groźny oręż, nie miał czym się bronić. Obaj jednocześnie pomyśleliśmy o tym samym – na betonie leżał pistolet. Rzuciliśmy się w cień pod kolumną, starając się wymacać broń, zwarci w warczącej i dyszącej płataninie rąk i nóg. Chwylił pistolet za rękojeść, ja zaś trzymałem broń za lufę. Siłowaliśmy się przez dłuższą chwilę. Choć byłem o wiele wyższy i dziesięć lat od niego młodszy, drań miał krzepę, do tego wstąpiła w niego furia. Zdołał trafić mnie łokciem w zebra, od czego zacharzałem. Uderzenie szarpnęło bronią, która z ogłuszającym hukiem wystrzeliła. Pocisk, na całe szczęście, poleciał gdzieś daleko od nas.

Mój niegdyśszy przełożony spróbował ugryźć mnie w przegub dłoni, ja jednak nacisnąłem drugim przedramieniem na jego gardło, odsuwając od siebie idealny garnitur jego zębów. Jego twarz czerwieńiała z wysiłku, z kolei ja pod kominiajką ledwie byłem w stanie oddychać. Od zwycięstwa w tym starciu zależały losy całej konfrontacji.

Ja zaś, wbrew wszelkim przewidywaniom, przegrywałem.

Moje palce zwalniały uścisk i ślizgały się po jego spoczonej skórze. Otwór w lufie pistoletu nieuchronnie zwracał się w moją stronę. Hockstetter wydał triumfalny skrzek Jeszcze kilka centymetrów, a zdołałby odstrzelić mi łeb. Przez ułamek sekundy dostrzegłem w tym ironię losu: ja, który zdobyłem z czaszek tyle pocisków, miałbym sam skończyć z kulą w głowie.

„Nie”.

Nagle cofnąłem przedramię, którym go podduszałem. Hockstetter zniemacka poczuł się wolny i poleciał do przodu. Zaskoczenie sparaliżowało go na moment, ja zaś skorzystałem z okazji i uderzyłem przeciwnika łokciem w krtań. Wypuścił pistolet i chwycił się oburącz za szyję, starając się złapać oddech. Ująłem pewnie broń i wyturlałem się poza zasięg jego nóg, które nawet w takich okolicznościach usiłowały mnie kopnąć.

Wstałem i wycelowałem w niego broń. Nieżyły ze mnie geniusz zbrodni, fantastyczny wykonywałem plan. Byłem przekonany, że na widok pistoletu ten arogancki palant się przerazi, że z miejsca mi się podporządkuje. Glock nie okazał się jednak tą czarodziejską różdżką, jaką znamy z filmów, gdy natychmiast po jej wyciągnięciu wszyscy wokół stają się twoimi sługami. Hockstetter wykazał niesamowite pokłady ikry. Rzecz jasna, nie była to w pełni jego zasługa. W sytuacji ekstremalnego stresu nasz pień mózgu – najgłębsza i najbardziej prymitywna część ludzkiego mózgowia – zmusza nas albo do ucieczki, albo do ataku. Na ironię może zakrawać to, że Hockstetter przemienił się teraz w maszynę przetrwania.

Spróbowałem odzyskać oddech. Porsche stało nieco przechylone. Wystrzał z broni przebił lewą przednią oponę. Rozciągnięty na ziemi Hockstetter łapczywie i głośno nadymał piersi powietrzem, przynajmniej więc mój cios łokciem nie zmiażdżył mu krtań. Nie chciałem zostać zabójcą.

„Choć to przecież właśnie po to tutaj przyszedłeś, prawda? Żeby móc nazajutrz kogoś zabić?” – odezwał się głos w mojej głowie.

„Dla mojej córki. Wszystko to robię dla mojej Julii” – odpowiedziałem samemu sobie.

– Wstawaj, gościu! Oddawaj pierdolony portfel. Dawaj szmal.

Hockstetter wydał z siebie gardłowy odgłos i spróbował na czworaka umknąć w stronę samochodu. Podeszedłem do niego od tyłu, on zaś wymierzył mi kopniaka, który trafił mnie prosto w gołębę. Potrząsnąłem kilka razy nogą, powstrzymując się od wrzasku.

Gdybym był prawdziwym rabusem, już bym mu wpakował kulę w łeb. Co tam, i tak mnie korciło, żeby to zrobić.

„Jeszcze się doigrasz, draniu!”.

Hockstetter już trzymał dłoń na klamce samochodu. Odwrócony do mnie tyłem, z szeroko rozstawionymi nogami, próbował podnieść się z kolan. Nie mogłem ani nie chciałem się powstrzymać. Cofnąłem nogę, jakbym miał zaraz kopnąć w piłkę Julii. Jak wtedy, kiedy bawiliśmy się w ogrodzie za domem, aż robiło się zbyt późno, żeby można było dostrzec piłkę, Rachel zaś po raz trzeci wołała nas na kolację.

Kopnąłem.

Są takie chwile, kiedy zajebiście jest być neurochirurgiem. Ze wszystkimi szczegółami znać wpływ uderzenia w jądra na ośrodkowy system nerwowy, wiedzieć, że oznacza to ból porównywalny z jednoczesnym złamaniem sobie dwudziestu kości, przewidzieć gwałtowne reakcje na uraz... To tylko wiedza. Chyba że znajduje ona zastosowanie wobec istoty tak odrażającej, jak Hockstetter.

Mój dawny szef ucpeł się klamki samochodu i zdołał ją jeszcze otworzyć dzięki refleksowi nerwowemu, napędzany inercją rozpoczętego ruchu. Następnie czas się dla niego zatrzymał, podczas gdy szczytowy moment intensywnego bólu, który go ogarniał, ustępował, zwracając mu kontrolę nad własnym systemem motorycznym. Padł na burtę porsche i spróbował krzyknąć, ale z jego ust wy dobyło się zaledwie krótkie:

– Pomocy...

– Jeszcze nie łapiesz, co, kretynie? Tutaj ja rozkazuję i masz mi oddać forszę. Ale to, kurwa, już!

Pochyliłem się i przeszukałem jego marynarkę, aż napotkałem charakterystyczne wybrzuszenie z prawej strony. Wyciągnąłem portfel i schowałem go sobie do kieszeni.

– I już. Takie to było trudne?

Nie odpowiedział, zajęty trzymaniem się za krocze, tak mocno zaciskając oczy i zęby, jak gdyby chciał, żeby jedne z drugimi spotkały się w pół drogi.

– Masz już, czego chciałeś. Zostaw mnie w spokoju – zdołał wydusić.

Ja jednak nie przyjechałem przecież po to, żeby mu ukraść portfel. Cała ta farsa służyła jedynie za pretekst dla tego, co chciałem uczynić naprawdę.

– Nie. Zaszłyś na nauczkę i ja ci ją wymierzę, ćwoku.

Wycelowałem mu pistolet w głowę. Uderzenie najwyraźniej doszczętnie pozbawiło go animusza, tym razem bowiem otworzył oczy i się odwrócił, chcąc wsiąść przez półotwarte drzwi. Oparł rękę na zewnątrz na brzegu karoserii, usiłując podnieść się do pionu.

„Właśnie o to mi chodziło”.

W tym momencie oparłem obcas buta o środek drzwi porsche i z całej siły przycisnąłem.

Ostry krzyk, jaki wydał z siebie Hockstetter, nie zdołał do końca zagłuszyć trzaski łamanych palców jego prawej ręki. Przestałem naciskać na drzwi, pozwalając, żeby się wyswobodził. Podniósł dłoń do twarzy, na której malował się wyraz całkowitego przerażenia i niedowierzania. Palec wskazujący, środkowy i serdeczny tworzyły względem dłoni nienaturalny kąt, wygięte w kierunku przeciwnym do tego, jaki zakładała anatomia.

Ujrawszy to, rzuciłem się do biegu, oddalając się z miejsca zbrodni ścigany jego piskami, które odbijały się echem od ścian podjazdu. Po dotarciu na wyższy poziom, gdzie zaparkowałem lexusa, ściągnąłem kominiarkę. Jakś samochód właśnie wyjeżdżał i przez chwilę się bałem, że jego kierowca usłyszał strzał lub krzyki i zadzwonił na policję.

„Kurwa! Telefon”.

Popełniłem idiotyczny błąd i nie zabrałem Hockstetterowi jego komórki, za chwilę mógł więc zadzwonić na numer alarmowy, o ile jeszcze tego nie uczynił. Dysząc z wysiłku, dobiegłem do samochodu i usiadłem za kierownicą.

Ściągnąłem górę od dresu i włożyłem zamiast niej koszulę. Dałem sobie zaledwie chwilę na

zapięcie kilku guzików i ruszyłem. Kiedy podjechałem do kabiny wyjazdowej, usiłowałem nie spoglądać na pracownika parkingu, ten jednak był zajęty czymś, co miał przed sobą, zapewne gazetą lub czasopismem, w uchu zaś miał słuchawkę. W chwili przyjazdu zapłaciłem za cały dzień z nielimitowaną liczbą wjazdów i wyjazdów, jedynie więc wsunąłem bilet do maszyny. Szlaban niezwłocznie poszedł w górę.

– Chwileczkę, proszę pana. Nie może pan tak odjechać.

Parkingowy zamachał w moją stronę. Spojrzałem na zewnątrz, w stronę rampy i zalanej słońcem ulicy. Nie mogłem zostać w tym miejscu ani sekundy dłużej. Już miałem go zignorować i nadepnąć na pedał gazu, ale wyszedł z budki i zapukał kostkami dłoni w szybę. Miał grube, mocne i przetłuszczone palce.

– Pan odblokuje drzwi.

Zastanawiałem się, czy zauważy, że zamiast spodni od garnituru mam na sobie czarne dresy, zapamięta moją twarz, zapisze numery tablic lexusa?

– Co się stało? – zapytałem, wciskając przycisk odblokowujący centralny zamek.

Parkingowy otworzył tylne drzwi z mojej strony. Oszolomiony i śmiertelnie wystraszony, obróciłem się, ale nie byłem w stanie dojrzeć, co tam robi. Po chwili zamknął je z powrotem.

– Już w porządku. Przy trzasnął pan sobie drzwiami marynarkę.

Podziękowałem mu i ruszyłem w stronę wyjazdu i wolności.

Kiedy wydostałem się na ulicę, już było słycać syreny nadjeżdżających samochodów policyjnych.

Gdzieś w Columbia Heights

Pan White zmęczony rozparł się w fotelu. Włamanie się na serwer agencji ochrony nadzorującej kamery na parkingu nie kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Jednocześnie jednak zapobieżenie ponownemu nawiązaniu połączenia oznaczało konieczność spędzenia dłuższej chwili na frenetycznym, wyczerpującym stukaniu w klawiaturę. Pracując nad tym, żeby monitory w budce strażnika nie pokazały tego, co naprawdę się działo na trzecim poziomie parkingu, ledwie miał czas, aby zerknąć na poczynania Davida.

Choć White był doświadczonym hakerem, jego umiejętności miały swoje granice. System wykrył jego wtargnięcie i spróbował go wyrzucić. Pozostał po tym ślad, który Secret Service mogłaby wykryć i który bez wątplenia wzbudziłby podejrzenia. Na szczęście zleceniodawca dostarczył mu nie tylko technologię pozwalającą kontrolować telefon Davida, ale także dostęp do najpotężniejszego narzędzia na świecie. White kliknął w ikonę na pulpicie i otworzył okno, w którym pojawiły się dwie kolejne ikony. Jedna przedstawiała bielika amerykańskiego, który rozpościł skrzydła ponad kulę ziemską. Na drugiej widniał wielokąt opisany wokół kryształu, w którym wiązka światła ulegała rozszczepieniu.

W CELU DOSTĘPU DO PRISM PODAJ LOGIN I HASŁO

White wstukał obie sekwencje znaków, system zażądał jednak podania trzeciego hasła. Z szuflady zamykanej na klucz White wyciągnął urządzenie elektroniczne z ledowym ekranem. Włączył je i wpisał na klawiaturze jedną z kombinacji numerycznych, które co kilka minut ulegały zmianie.

Nacisnął klawisz ENTER i program się uruchomił.

Na ekranie ukazała się lista komend. Wybrał DOSTĘP ZDALNY i wpisał nazwę agencji ochrony. Kilka minut później otrzymał kody pozwalające przełamać jej systemy bezpieczeństwa i wejść na jej serwery. Właściciel firmy trzymał je w pliku tekstowym jako załącznik do e-maila, którego wysłał na własne konto.

– Powinieneś bardziej uważać, przyjacielu, ponieważ jeszcze ktoś mógłby zrobić coś takiego.

Wprowadzenie kilku następujących komend umożliwiło mu zdalne wykasowanie informacji z urządzeń. Nie tylko nagrań z tego popołudnia na parkingu, ale także – aby nikt niczego nie podejrzewał – ze wszystkich obiektów chronionych przez tę firmę w całym kraju. Miało to wyglądać na ogólny błąd systemu, co oznaczało wielomilionowe straty, ale zapewniało White’owi idealny kamuflaż.

– Po raz kolejny uratowaliśmy ci tyłek, doktorku – powiedział, skupiając się na monitorze, który przysyłał obraz z kamery ukrytej w desce rozdzielczej samochodu Davida. Na ekranie było widać Evansa z szeroko otwartymi oczyma i zaciśniętą szczęką, jadącego z powrotem do szpitala.

Jego zachowanie nie odpowiadało poczynionym przewidywaniom, co wywoływało u White’a ogromny niepokój. W ostatnich godzinach jego słynna pewność siebie otrzymała potężny cios. Pod oczami zarysowały mu się wyraźne obrzęki, cera poszarzała zaś i wyblakła.

Dzięki systemowi PRISM odkrycie miejsca pobytu Hockstettera i zaaranżowanie okienka czasowego, w którym David mógłby zadziałać, było łatwe, ale do ostatniego momentu nad tym nieoczekiwanym rozwojem wypadków unosiła się aura niepewności. Jeśli schwytaliby jego marionetkę, cały plan White’a spaliłby na panewce. Oznaczałoby to dla niego utratę kolosalnego honorarium, jakie należało mu się za eliminację prezydenta, a które wynosiło okrągłe dwadzieścia pięć milionów dolarów. Nie to jednak spędzało mu sen z powiek.

Jeśli White nie zdołałby zabić prezydenta, oznaczałoby to dla niego pierwsze w życiu niepowodzenie. A to by było po prostu niedopuszczalne.

Już raz prawie do tego doszło – kilka miesięcy wcześniej, w Turcji. W wyniku splotu nieprzewidzianych zdarzeń obiekt, attaché ambasady rosyjskiej, wyskoczył z pięćdziesiątego pierwszego piętra wieżowca Isbank Tower osiem minut wcześniej niż to było zaplanowane. White musiał osobiście wydobyć dokumenty, na których zależało klientowi, co uczynił z wielkim niezadowoleniem. Sam lubił obserwować z bardzo bliska, ale nie uczestniczyć.

Nigdy jednak gra nie szła o tak ogromną stawkę, jak przy obecnej operacji, nigdy również tak bardzo nie utracił nad nią kontroli.

Teraz, gdy neurochirurg wymknął się już z parkingu i nie był potrzebny, White pozwolił sobie na chwilę oddechu. Choć nie pozwolił, żeby na monitorach parkingowego było widać, co się dzieje, kamery cały czas pracowały. White wysłał na monitory zapętlone dziesięciosekundowe nagranie „czystych” ujęć, podczas gdy rzeczywisty rozwój wypadków zapisywał na własnym dysku twardym.

Teraz odtworzył materiał na ekranie, przyglądając się postępowaniu Davida. Nie było dźwięku, ale nie był właściwie potrzebny. Neurochirurg z kominarką na twarzy przeistoczył się w coś nowego. Był niezadarny, niedoświadczony, ale także zdeterminowany i gwałtowny.

Nawet brutalny.

White z uśmiechem pogratulował samemu sobie. Dałby wszystko za możliwość obejrzenia tej sceny na własne oczy, nie zaś na niewyraźnym nagraniu o kiepskiej rozdzielczości.

Wysłał obrazki na odległy serwer, skrupulatnie programując to, co miało z nimi nastąpić nazajutrz. Jego zaniepokojenie ulotniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Drobna przeszkoda w realizacji planu tylko utwierdziła go w przekonaniu, że wybrany osobnik był odpowiedni dla danej misji, a zarazem dostarczyła mu bezcennego materiału do badań i analiz, który umożliwi udoskonalenie modelu behawioralnego przypisanego wyjątkowej osobowości lekarza.

Zapewniła mu również narzędzie pozwalające definitywnie zniszczyć Davida Evansa.

Ciąg myśli przerwał mu telefon. Spodziewał się tej rozmowy. Zleceniodawca wiedział o każdej jego wizycie w systemie PRISM i najwyraźniej uznał, że coś idzie nie po jego myśli.

– Nie ma powodów do niepokoju – oznajmił, odebrawszy połączenie.

– Widziałem, co się stało. Był pan o włos od zaważenia całej sprawy – odparł głos o stalowym brzmieniu.

– Czy kiedykolwiek pana zawiodłem?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Tym razem to co innego – odpowiedział w końcu rozmówca.

– Czyżby gra nie szła o zbawienie wolnego świata? O ratunek dla obłąconej ojczyzny dzielnych ludzi?

– Gra idzie o potęgę tego kraju. Nie pozwolę, żeby ten pajac pod krawatem wystawiał na szwank to, czego budowa kosztowała nas tyle lat wysiłku.

– Może go pan uznać za martwego.

– Oby tak było. W innym wypadku spotka to ciebie.

White parsknął z pogardą.

– W tym celu jeszcze musiałby mnie pan znaleźć.

– Jasne, te twoje zapory, twoje środki bezpieczeństwa, twoi przeznaczeni do odstrzału pośrednicy. Tym razem jednak, synku, nic ci to nie da. Wiemy, gdzie jesteś. Wiemy, ile masz w lodówce butelek tego szajsu, który ciągle pijesz. Wiemy nawet, że właśnie drapiesz się po policzku.

White odsunął dłoń od twarzy i rozejrzał się dookoła.

– Otóż to! – zauważył rozmówca. – Kiedy tobie robią coś takiego, sprawa przestaje być zabawna, prawda, synku? A teraz skup się na tym, żeby usunąć mi z drogi tę przeszkodę.

– Według rozkazu, panie generale – zapewnił z wymuszonym uśmiechem White.

Zdołałem odzyskać nieco spokoju dopiero wówczas, gdy z powrotem zamknąłem się w swoim gabinecie. Serce uderzało już nie w rytmie młota pneumatycznego, tylko oszalałego werbla. Opadłem na fotel i dokończyłem zapinanie guzików koszuli, którą w pośpiechu narzuciłem na siebie w samochodzie. Wtedy przyszło mi na myśl, że być może lepiej byłoby pozbyć się stroju, w którym widziało mnie już tego dnia zbyt dużo osób. W szafce trzymałem rezerwowy zestaw w innym kolorze, tak więc zszedłem się przebrać, po drodze dyskretnie zabierając kilka worków do utylizacji niebezpiecznych odpadów biologicznych. Włożyłem strój lekarski wraz z fartuchem, do worków upchałem dres, garnitur i koszulę. Do kolejnego worka wrzuciłem portfel, który zabrałem Hockstetterowi, nawet nie sprawdzając uprzednio jego zawartości. Wszystko cisnąłem do jednego ze szpitalnych czerwonych pojemników, który zapieczętowałem i opatrzyłem etykietą z grubymi, drukowanymi literami:

WYMAGANA SZCZEGÓLNA OSTROŻNOŚĆ RYZIKO ZAKAŻENIA WIRUSEM HIV

Poprosiłem woźnego, żeby to zabrał. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłby się otworzyć tych worków, za kilka godzin miały się zaś przemienić w stertę popiołu.

Gdy patrzyłem, jak woźny odchodzi w kierunku spalarki, poczułem ulgi i odpły w adrenaliny sprawiły, że zakręciło mi się w głowie i wyczerpany musiałem oprzeć się o ścianę. Jak gdyby ktoś wyciągnął dłoń z wnętrza pacynki brzuchomowcy, w którą się przeistoczyłem.

Zdałem sobie również sprawę, że boli mnie całe ciało. Zamknąłem się w pierwszym wolnym gabinecie lekarskim i sięgnąłem do wózka z materiałami opatrunkowymi. Na łokciach i kolanach miałem sporo otarć i zadrapań powstałych podczas walki z Hockstetterem na betonowej posadzce, na której tani dres się porozdzierał. Obficie poleałem obrażenia chloroheksydyną, gdy się jednak schyliłem, poczułem kłujący ból po lewej stronie klatki piersiowej. Wziąłem kilka głębokich wdechów, czując, jak głuchy ból zauważalny w połowie oddechu przekształca się w oszalamiające klucie w chwili napełnienia klatki piersiowej.

„Fantastycznie. Skurwiel zламаł mi żebro!”

Nieży ze mnie zabijaka. Byłem uzbrojony w pistolet, mimo to podporządkowanie sobie otyłego, pięćdziesięciokilkuletniego mężczyzny kosztowało mnie złamane żebro. Kiedy się schylałem, żeby zdezynfekować zadrapania na kolanach, zapewne tylko pogorszyłem stan złamania.

Nie mogłem pójść do pracowni radiologicznej i poprosić, żeby zrobili mi przeglądówkę, aby się upewnić, czy nie grozi mi przebicie płuca, tak więc musiałem w tym celu obmacać się palcami. Przebieg uszkodzonej kości zdawał się normalny, było to więc zapewne jedynie pęknięcie. Nic groźnego, od tego się nie umiera, ale bolało jak cholera. Musiałem nafaszerować się środkami przeciwbólowymi i w miarę możliwości dalej zachowywać się, jak gdyby nigdy nic.

Wróciłem do swojego gabinetu. Pod drzwiami czekało na mnie kilku pacjentów, którzy niebawem powinni poddać się zabiegowi chirurgicznemu.

Przyjąłem ich na automatycznym pilocie, kilkakrotnie myśląc się w nazwiskach, co nigdy dotąd mi się nie zdarzało. Traktuję pacjentów ze znaczną atencją, ich życie jest bowiem dla mnie

ważne. W tym jednak momencie jednym okiem spoglądałam na drzwi, przez które mogła wejść policja, żeby aresztować mnie za rozbój, drugim zaś zerkałam na telefon stacjonarny w oczekiwaniu na to, że zadzwoni Meyer, aby oznajmić, że w związku z operacją prezydenta nastąpił pewien nieoczekiwany zwrot wypadków. W drzwiach nikt się jednak nie pojawił, telefon zaś uparcie milczał.

Obsłużyłem pacjentów najlepiej, jak mogłem. Najpilniejsze przypadki wpisałem na nadchodzący tydzień, nie wiedząc jeszcze, że wówczas będę się znajdować w więzieniu.

Dosłownie chwilę po wyjściu ostatniego pacjenta, kiedy trzymając się za żebra, zastanawiałem się, jak bardzo zaszkodzi mojej wątrobie, jeśli łyknę jeszcze kilka proszków, odezwała się moja komórka.

– Czego, u diabła, chce pan teraz, White? – rzuciłem, odebrawszy.

– Doktorze Evans?

Zmroziło mnie. Głos należał do Pierwszej Damy. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że na wyświetlaczu aparatu pojawił się napis „numer zastrzeżony”, nie zaś puste pole, jak w wypadku telefonów od White’a.

– Przepraszam panią – odpowiedziałem cokolwiek speszony. – Pomyliłem panią z kimś innym. Nie spodziewałem się telefonu od pani.

– Szczerze mówiąc, doktorze Evans, zadzwoniłam tylko po to, żeby pana przeprosić.

– Przeprosić – powtórzyłem bezmyślnie.

W żadnym razie nie wyobrażałem sobie, że przyjdzie mi z nią rozmawiać. Przewidywałem, że załatwi to kapitan Hastings albo człowieczek w muszce zadzwoni do dyrektora szpitala. Nie byłem przygotowany na to, co potem nastąpiło.

– Sposób, w jaki zdecydowaliśmy... w jaki została podjęta decyzja o zmianie neurochirurga na potrzeby operacji prezydenta, nie był najfortunnniejszy. Powinna była zadzwonić do pana wcześniej.

– Rzeczywiście, tak byłoby najwłaściwiej – zauważyłem, nie mogąc się powstrzymać.

„Co ja wyprawiam?”.

– Przykro mi. Chciałabym, żeby pan wiedział, że to nie przeze mnie. – W jej głosie było słychać tony obronne. – Na spotkaniu gabinetu wiele osób po raz pierwszy usłyszało o chorobie mojego męża. Spotkanie trwało wiele godzin i nie obyło się bez licznych nacisków co do miejsca przeprowadzenia operacji.

– Rozumiem, proszę pani. Cały świat się upiera, że prezydent to więcej niż po prostu pacjent. Ja, niestety, nie. Dla mnie to zwykły człowiek. Gdybym potraktował go szczególnie, oznaczałoby to narażenie go na niepotrzebne ryzyko.

Na chwilę zamilkła. Słyszałem jej oddech i zastanowiłem się, skąd ze mną rozmawia. Być może z Gabinetu Owalnego, a obok siedzi jej mąż, spoglądając na nią z wyczekiwaniem. Nie, niemożliwe. Jest raczej sama w swoim pokoju i stara się opanować emocje.

– To się bardzo ceni, doktorze. Bardzo trudno dziś spotkać ludzi o niewzruszonych przekonaniach. Jako żona jestem panu za to wdzięczna.

– To jednak nie pani podjęła decyzję, co również rozumiem. Jestem pewien, że doktor Hockstetter wykona jutro kawał dobrej roboty.

– Doktorze Evans, tak naprawdę... doszło do pewnego nieprzewidzianego wypadku.

– O jakim wypadku mówimy? Czy z prezydentem wszystko w porządku?

– Prezydentowi nic się nie stało. Doktor Hockstetter, niestety, złamał rękę.

Oznajmiła to tak po prostu, możliwie spokojnym tonem. Niczego nie sugerując, bez żadnego kontekstu. W ogóle nie brała pod uwagę, żebym to ja zajął jego miejsce.

Wówczas przyszło mi do głowy, że być może to jakiegoś rodzaju sprawdzian. Stosowała

wobec mnie zagrywki polityczne, choć nie do końca wiedziałam, w jakim celu. Czyżby dopatrywała się w napadzie na Hockstettera jakiejś nieczyściej zagrywki? W takim razie po co do mnie dzwoniła? Czy może po prostu przemawiała przez nią duma?

Tak czy inaczej, od moich następnych słów w znacznej mierze zależał mój los i los mojej córki. Czy miałem iść w zaparte i czekać, aż to ona poprosi mnie o to, na co tak bardzo czekałem, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń? Czy też wprost przeciwnie – powinienem pojechać jej *ego* i wykazać się gotowością pomocy?

Na podjęcie decyzji miałem zaledwie kilka sekund. Postanowiłem zachować się tak, jak postąpiłbym, gdy bym to nie ja był sprawcą urazu Hockstettera.

– Dlaczego mi to pani mówi?

Odchrząknęła.

– Podejrzewam, że się pan domyśla.

– Domyślałam się. Nadal jednak mnie pani o to nie poprosiła.

– Prawdę mówiąc, doktorze, wcześniej byłam przekonana, że zdołam namówić pana na wycofanie się z wstępnego zastrzeżenia i podjęcie się przeprowadzenia operacji w Bethesda.

– Proszę pani... Członkowie gabinetu prezydenta mogą rozważać wszelkiego rodzaju scenariusze i reperkusje natury politycznej. Ale skalpel o milimetry od obszaru odpowiedzialnego za mowę w mózgu pani męża będę trzymał ja. Tak więc odpowiedź brzmi: nie.

– Doktorze Evans...

– Niech mi pani coś powie – przerwałem jej. – Niech mi pani powie, jak bardzo będą panią obchodzić komentarze w „Washington Post”, wyniki sondaży i słupki poparcia w sobotę rano, kiedy pani mąż będzie mógł zobaczyć córki i bez pomyłki powtórzyć ich imiona.

Cisza, która nastąpiła, zdawała się trwać wiecznie. Poczułem niepokój nawarstwiający mi się na barkach, jak gdyby były z ołowiu. Zagrałem wysoką kartą, pozostając przy swoim, aby oddalić ewentualne podejrzania, ale uzależniając wszystko od jej decyzji opartej na emocjach. Musiałem zacisnąć paznokcie w dłoniach, aby nie wykrzyknąć: „Zrobię to gdziekolwiek, ale proszę mi tę operację powierzyć, muszę ją zrobić właśnie ja”. Wówczas bowiem wykazałbym się cechami przeciwnymi do tych przez nią pożądanym, chciała przecież kogoś, komu nie zależałoby na operacji, kto rozpaczliwie by o nią nie zabiegał. Dała mi to dobitnie do zrozumienia przy okazji naszego pierwszego spotkania.

„Mów! Powiedz coś, do cholery!”.

– Wygrał pan, doktorze. Będzie tak, jak pan powiedział.

Uczucie ulgi przeszło moje ciało niczym delikatna wibracja od pięt aż po czubek głowy. Postarałem się, aby przy odpowiedzi mój głos zabrzmiał możliwie beznamiętnie.

– Proszę pani, to nie jest żaden wyścig. Tylko jedna osoba ma tutaj wygrać i ma to być pani mąż. – Słowa brzmiały krystalicznie czysto niczym wody górskiego potoku. Czuję się jednak jak oszust.

– Porozmawiam z Hastingsem, aby wszystko zaaranżował. I... doktorze. Dziękuję. Ktoś inny na pana miejscu zrobiłby awanturę o cały ten proces wyboru operatora i zmiany w ostatniej chwili. Pozwolę sobie stwierdzić, że poznanie kogoś o pana usposobieniu i profesjonalizmie to dla mnie zaszczyt.

Wymamrotałem jakąś niezrozumiałą odpowiedź, rozłączyła się jednak, zanim skończyłem. Opadłem na fotel, wyczerpany i zniesmaczony samym sobą i całą sytuacją. Pragnąłem już tylko wrócić do domu i przepasać dwanaście godzin z rzędu, ale emocje tego dnia bynajmniej nie miały się jeszcze ku końcowi.

Rzecz jasna, musiałem udać się do gabinetu Meyera, żeby przekazać mu nowe wieści. Wizyta była krótka i kłopotliwa. Kiedy wjeżdżałem na górę, poinformowano go o zmianie decyzji i ponownie trysnął radością, choć i tym razem nie podziękował mi za odzyskanie pacjenta. Odprawił mnie gestem ręki, bezgłośnie artykułując pod nosem „drugi raz proszę tego nie spierdolić”, po czym skupił się na kolejnej rozmowie telefonicznej z Hastingsem, dotychczas szefem szpitala. Pozostanie w jego gabinecie uśmiechało mi się mniej więcej tak samo, jak perspektywa wbijania sobie drzazg pod paznokcie, ale i tak jego opryskiwość, przede wszystkim zaś pojęzyczne zdanie, wydały mi się obraźliwe.

Wróciłem na neurochirurgię skrajnie wyczerpany i w podłym nastroju. Meyer polecił mi, żebym został kilka godzin dłużej w związku ze spotkaniem informacyjnym poświęconym procedurom bezpieczeństwa przewidzianym na kolejny dzień, mnie zaś nie pozostało nic innego, jak się podporządkować. Planowałem zamknąć się w gabinecie, położyć się za biurkiem i pospać trochę, ile będzie to możliwe, ale oczywiście i to nie było mi dane. Kiedy przechodziłem obok dyżurki pielęgniarek, jedna z nich dała mi znać, żebym podszedł.

– Doktorze Evans! Szukał pana niejaki Jim Robson.

Zdumiony zamrugałem oczami. To ostatnie, czego bym się spodziewał. Teś nigdy dotąd nie odwiedził mnie w miejscu pracy. Szczerze mówiąc, założyłbym się o skrzynek budweisera, że nawet nie wie, jak się nazywa szpital, w którym pracuję. Jak widać, przegrałbym ten zakład.

– Nie mam teraz nastroju na pierdoły. Na miłość boską, spław go jakoś. Powiedz, że mnie nie ma.

Pielęgniarka w dziwny sposób poruszyła oczami i zacisnęła usta. Zrozumiałem, co chciała mi powiedzieć, na sekundę przed tym, jak zza pleców doszedł mnie głos.

– Za późno, Davidzie.

Chciałbym móc stać się niewidzialny lub przesłoczyć przez blat dyżurki i schować się między rozprutymi kartonami z lateksowymi rękawiczkami. Nie pozostało mi jednak nic innego, jak obrócić się ze zdumieniem.

– Cześć, Jim!

Oto i on, w bawełnianych spodniach z kantem ostrym niczym nóż i podobnie ostrym spojrzeniem. Nic nie powiedział, co w pewnym sensie było gorsze. Wolałbym, gdyby zaczął krzyczeć i wymyślać mi od najgorszych.

– Ja... ja cię przepraszam – kontynuowałem niezdarne. – Nie miałem zamiaru cię obrażać. Po prostu jestem teraz bardzo zajęty.

– Tak dła odmiany. Nie chcę ci zabierać czasu. Możemy gdzieś tu porozmawiać?

Udaliśmy się do stołówki w towarzystwie firmowego milczenia marki Robson, tak nieuchwytnego jak dym i tak solidnego jak ceglany mur. Rachel niełatwo się wkurzała, kiedy już jednak to nastąpiło, czyniła to identycznie jak jej ojciec, choć bardzo ją denerwowało, gdy jej to wypominałem. Pograżała się we wrogim milczeniu, które starałem się rozbroić na wszelkie sposoby, od żartów po uściski. Nadaremno, najlepiej było po prostu poczekać, aż jej minie.

Obaj zamówiliśmy po odrażającej kawie, jaką tam podawali, po czym zajęliśmy stolik przy oknie. Siadając, poczułem ukłucie w żebrach, które sprawiło, że wzdygnąłem się z bólu. Jim

spojrzał na mnie ze zdumieniem, ale nic nie powiedział. Podejrzewam, że rozpoczęcie rozmowy kosztowało go sporo wysiłku i wolał nie odchodzić od tematu.

– Tak naprawdę – powiedział, odchrząknąwszy – to przy szedłem, żeby cię przeprosić.

Tego tym bardziej się nie spodziewałem, ale wzmogło to tylko moją czujność. Jim nigdy w życiu za nic mnie nie przeproszał, ale z tego, co wiedziałem, pod względem przeprosin Rachel była nieodrodną córką swego ojca. Przeprosiny mojej żony znałem aż za dobrze. Rachel należała do podgatunku wybaczalnych. Takie osoby nigdy nie przepraszają. Jeśli podczas dyskusji zdołasz taką osaczyć i skonfrontować z popełnionym błędem, przeprosi tylko po to, żeby przejść do kontrataku, argumentując, że błąd ten nieodmiennie stanowi twoją winę: „Przepraszam, że późno wracam, ale byłąbym na czas, gdybyś nie zapomniiał kupić chleba”.

Z powodu tej postawy w pierwszych latach związku z Rachel odbyliśmy wiele kłótni, aż w końcu pogodziłem się z tym, że taka już jest i się nie zmieni. Nigdy wprost nie mówiła, że nie ma racji, ale przyznawała to bardziej subtelnie i namacalnie. Robiąc sok i przynosząc mi go na śniadanie do łóżka. Kupując mi powieść w przerwie na lunch. Włączając ten durny program o lombardach, który tak lubiłem, a którego ona nie znosiła. Ja tymczasem zdałem sobie sprawę, że tego typu drobne gesty znacząły więcej niż jedno jedenastoliterowe słowo, którym niemal wszyscy szermujemy ze zbytnią łatwością.

– Za co ty mnie chcesz przeproszać? – zapytałem ostrożnie.

– Za moje zachowanie tamtej nocy. Uważam, że zasługiwałeś na reprimendę...

Użyłem filizanki z ławą niczym tarczy, aby Jim nie spostrzegł mojego uśmiechu w reakcji na spodziewanego wybacznego.

– Niemniej jednak forma, w której to zrobiłem, była koszmarna. Byłeś w moim domu, ja zaś zachowałem się jak palant. Nie tak postępujemy w Wirginii, Davidzie.

Miałem już okazyj na własnej skórze się przekonać o wirginijskim stylu zachowania mojego teścia, tak więc ograniczyłem się do uczynienia głową nieokreślonego gestu.

Jim nie był w stanie spoglądać na mnie wprost i utkwiał spojrzenie gdzieś za oknem. Światło zachodzące słońca podzieliło jego twarz na pół.

Chciał mówić dalej, co do tego nie było wątpliwości, ale dzieje naszej znajomości prowadziły dosyć wyboistą ścieżką. Rzecz jasna, nigdy nie zdarzyło nam się porozmawiać tak naprawdę. Najwyżej wymieniliśmy kilka uprzejmich – prawie zawsze stanowiących owoc moich żalonych wysiłków – i mało mówiących zdań, dopóki Jim się nie nużył i nie zwiększał głośności w telewizorze. Najbliższa szczerzej rozmowie między nami była wymiana zdań pamiętnej nocy.

– Dave, muszę cię o coś zapytać.

– Śmiało.

– Próbowaleś ułożyć się z Bogiem? Wiesz, porozmawiać z nim, poprosić, żeby przywrócił Rachel do życia. Ja to robiłem, i to wiele razy. Czując, że jest to śmieszne i dziecinne.

Jego szczerłość odebrała mi mowę. Podobnie jak wielu facetów, którzy przez całe dziesięciolecia byli jedynymi mężczyznami w rodzinie, Jim przy wykl, że to inni interpretują jego odczucia. Wypowiedzenie tych zdań musiało stanowić dlań ogromny wysiłek. Pomyślałem, że być może nie byłem wobec niego do końca sprawiedliwy.

– Nie, Jim. Nigdy nie próbowałem. Ale zrobiłbym to, gdybym uznał, że może to coś dać. Zrobiłbym cokolwiek. Możliwe, że uważasz, że nie zrobiłem wystarczająco wiele, że umarła dlatego, że nie zdałem sobie sprawy, że jest chora. Wiesz co? Nie obchodzi mnie to. Nie ma takiej rzeczy, którą mógłbyś o mnie pomyśleć, a która sama już zawniosła nie przeszła mi przez myśl.

Teść pokręcił głową.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby cię obwiniać, chociaż cholera, rzeczywiście cię obwiniam. I będę cię obwiniał, dopóki żyje, nie pozostaje mi bowiem nic innego. Całymi dniami siedzę

w domu, przeglądając stare fotografie i stawiając sobie pytania. Fotografie, na których widać trzy osoby, którym jest dobrze, fotografie, które nie pamiętam, abym robił ja. Zdjęcia z urodzin, ze szczególnych okazji, utrwalające mnóstwo szczęśliwych wspomnień, zdjęcia, które zamiast mnie robił ktoś obcy, ponieważ byłem za bardzo zajęty zaharowywaniem się dla dobra mojej rodziny. – Zrobił przerwę, żeby upić łyk kawy. Ja swoją skończyłem już wcześniej. – Przez te wszystkie lata sądziłem, że wystarczy, żebym napełniał spizarkę. Że zawsze w przyszłości będzie jeszcze czas, aby przyhamować i nacieszyć się córkami. Lecz nigdy go nie było. A kiedy byłem w domu i spędzaliśmy chwilę razem, byłem zbyt skupiony na tym, żeby odgrywać rolę pieprzonego wzorca prawości, w którym mogłyby się przeglądać. Byłem surowy, byłem zbyt ostry. Dave, byłem gównianym ojcem!

Po policzku spłynęła mu łza i rozbiła się o powierzchnię stołika. Albo tego nie zauważył, albo to zignorował.

– Gdybym dostał drugą szansę, gdybym miał więcej czasu... tym razem byłoby inaczej. Tym razem bym tego nie spieprzył. Gdybym znowu miał córeczkę, nie mówiłbym jej o znaczeniu ciężkiej pracy ani o mękach piekielnych i nigdy, przenigdy nie dałbym jej klapsa. Gdybym znów miał córeczkę, nie wpajałbym jej zasad i wartości. Powiedziałbym jej, żeby podążyła za tym, co sprawia, że jest szczęśliwa, ponieważ kiedy chcesz się opamiętać, okazuje się wówczas, że już nie żyjesz i niczego już nie można naprawić, niczego nie cofniesz, to niemożliwe...

Głos wypełnił mu się odłamkami szkła i nie był w stanie skończyć zdania.

– Nie można cofnąć czasu – dopowiedziałem za niego.

Przez kilka minut pozostawaliśmy w milczeniu. Gdzieś z tyłu, w kuchni, ktoś upuścił tacę ze sztućcami. Rozpoczęły się przygotowania do kolacji. Niebawem lokal mieli zapewnić wyściami członkowie rodzin i znajomi, aby z wyrazem niezmaczonego znużenia na twarzach przeżuwać gumowate spaghetti.

– Wiem, co czujesz – powiedziałem po dłuższej chwili. – Tak się czułem za pierwszym razem, kiedy kogoś zabiłem.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Neurochirurg to nie dentysta. Jeśli ja coś przetnę, to już zostaje przecięte. Czasami, zwłaszcza kiedy się jeszcze uczysz, przecinasz coś, czego nie powinieś. Ot tak, po prostu.

– Nie wiem, Davidzie, czy chcę tego słuchać.

– Żaden pacjent nie chce, nam zresztą również nie sprawia przyjemności opowiadanie o tym. Kiepska to dla nas reklama. Każdy z nas ma prywatny komentarz. A ten pierwszy przypadek pamięta się najmocniej.

Jim zawahał się przez chwilę, ale ostatecznie ciekawość wzięła górę nad niechęcią.

– Co się stało?

– Nazywała się Vivian Santana. Pięćdziesięciokilkuletnia nauczycielka, uwielbiała krakersy. Pochłaniała je wagonami, przez co dograła się końskiego nadciśnienia i tętniaka. To była jedna z moich pierwszych samodzielnych operacji. Miałem jedynie założyć na miejscu ten cholerny zacisk. Pod nadzorem innych zrobiłem to już z tuzin razy. Tym razem nie było jednak żadnych innych, były wyłącznie moje palce. Tętniak pękł i na kilka minut straciła dopływ krwi do mózgu. Zanim zdolałem wezwać na pomoc innego neurochirurga, było już za późno. Dwa dni później zmarła.

Teść spojrział na mnie przeciągle. Nic nie powiedział, ale sądzę, że w tym momencie pojawił się między nami błysk wzajemnego zrozumienia. Pojął, że byłem kimś więcej niż szcwanym mądrałą z dyplomem z medycyny i że trzeba mieć ikre, żeby robić to, co robimy.

– Po tym, jak możliwie opanowanym tonem wytłumaczysz się przed bliskimi pacjenta

i przełożonymi, dopada cię poczucie winy. Czujesz się przynębiony, masz ochotę rzucić to wszystko w cholerę i zostać adwokatem czy agentem ubezpieczeniowym. Jeśli masz szczęście, kolega po fachu podniesie cię z parteru, choć dzieje się to bardzo rzadko. I wcześniej czy później zdajesz sobie sprawę, że ktoś tę operację musiał przeprowadzić. Ktoś musiał trzymać skalpel. I że jedynym sposobem, żeby coś osiągnąć, jest to zrobić.

– A zatem mnie rozumiesz.

– Rozumiem cię. Możliwe, że nie można cofnąć czasu, ale zrobiłeś, co mogłeś, a więcej nie można wymagać.

Jim nachylił się w moją stronę. W jego oczach było widać dziwny błysk.

– Ale ja chcę spróbować jeszcze raz. Tym razem pójdzie mi lepiej. Dlatego cię prosiłem, żebyś się zgodził, aby Julia zamieszkała z nami.

Uszywniłem się.

– Wydaje mi się, Jim, że wypowiedziałem się jasno. Tak się nigdy nie stanie.

– Wiem, wiem. Nie będę nalegał – powiedział, unosząc dłoń. – Ale mógłbyś pozwolić, żebyśmy od czasu do czasu ją trochę porozpuszczali. Mógłbym teraz podskoczyć do ciebie do domu i zabrać ją na długi weekend. W sąsiednim miasteczku mają jarmark. Przywieziemy ci ją w poniedziałek z brzuchem pełnym waty cukrowej i mnóstwem nowych pluszaków.

Na chwilę zamarłem, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie mogłem uwierzyć w to, co się działo.

– Jutro ma zajęcia – zdołałem wykrztusić.

– W jej wieku jeden dzień szkoły nie ma znaczenia. Nie proszę cię wyłącznie ze względu na mnie. W ten sposób Aura nieco się ożywi. Co noc, kiedy gasimy światło, godzinami płacze w milczeniu. Sądzę, że tego nie zauważam, ale ja wiem. I pęka mi od tego serce.

– To niemożliwe.

Twarz Jima spochmurniała, zacisnął usta, upodabniając je do szosy najeżonej groźnymi zakrętami, ale zaraz spróbował się uśmiechnąć.

– Dlaczego, Davidzie?

Nie wiem, czy to przez upał panujący w stołówce, przez blask słońca, przez napięcie, wyczerpanie albo odwodnienie, ale poczułem, że kręci mi się w głowie. Skupienie spojrzenia wymagało ode mnie wysiłku, w skroniach czułem głuche łupanie.

– W przyszły weekend – oświadczyłem, kiedy byłem w stanie coś powiedzieć, starając się zyskać na czasie.

– W przyszły weekend jarmarku już nie będzie. Wiesz, że zawsze zabieraliśmy Rachel na jarmark? Ale matka i ja nigdy nie pozwalaliśmy jej wsiadać do zbyt wielu kolejek.

Zawroty głowy wróciły. Spróbowałem je powstrzymać, chwytając się za skronie. Przez moment wydawało mi się, że padnę na blat stolika, zdołałem jednak utrzymać się w pionie.

– Przykro mi, ale nie da rady.

– Musi dać radę.

– Wystarczy, Jim! – podniosłem głos, niemal krzyżąc. Chciałem tylko, żeby się zamknął, żeby przestał i dał mi spokój. Nie byłem w stanie przedstawić żadnej wiarygodnej wymówki, żadnego satysfakcjonującego go wytłumaczenia.

Kiedy rzeczywistość przedarła się w głąb jego mózgu, druzgocąc po drodze delikatną konstrukcję jego sztucznego uśmiechu, w wyrazie jego twarzy nastąpiła gwałtowna zmiana. Jakbym przyglądał się budynkowi wyburzanemu przy użyciu materiałów wybuchowych, po którym pozostaje jedyne nie wężowisko poskręcanej stali i przyominający spiczaste zęby gruz.

– Ja wiem, co się tutaj wyrabia – oznajmił. – Przyznaj się!

Zawroty głowy i początki migreny sprawiały, że czułem się zdezorientowany, to zdanie usłyszałem jednak bardzo wyraźnie i rozdałem je w myślach do niesamowitych rozmiarów. Tak

bardzo się bałem, że ktoś mnie przejrzy, że zacząłem bełkotać.

– O czym ty mówisz?

– O tym, co się dzieje z Julią. Myślisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

– Ja... Od kiedy to wiesz?

– Odkąd przyjechałeś do mnie do domu. Wtedy to pojąłem. Kiedy myślałeś mi o tym powiedzieć?

– Jak najpóźniej. Miałem nadzieję, że się nie dowiesz.

– Na miłość boską, Dave. Jak mógłbym się o tym nie dowiedzieć? Takie rzeczy się dostrzega. A jeśli chcesz znać moje zdanie, to jest jeszcze za wcześnie.

W tym momencie poczułem się całkowicie oszołomiony, jak gdyby ktoś cisnął łamieniem i zrzucił mnie z konia. „Było jeszcze za wcześnie na to, żeby porywać moją córkę?”.

– O czym ty mówisz?

– Nie udawaj Greka. To naturalne, że chciałyby być z inną kobietą, ale jest jeszcze na to za wcześnie. Minęło zaledwie kilka miesięcy. Okaż trochę szacunku, Davidzie. Bądź mężczyzną.

– Ale ja nie jestem z żadną inną kobietą... Jak mogłeś coś takiego pomyśleć?

– Tylko nie kłam! Od momentu, kiedy wszedłeś, wiedziałem, że coś ukrywasz. Jesteś bardzo kiepskim kłamcą, Davidzie.

– Mówię ci, że to nieprawda.

– Julia jest bardzo mała. Wszystko to może mieć na nią ogromny wpływ. Boję się, że spędzanie czasu z inną kobietą sprawi, że o nas zapomni. Aby do tego nie doszło, wraz z jej babcią chcemy spędzać z nią więcej czasu.

W bolesnych i długich miesiącach, jakie nastąpiły po śmierci Rachel, nie było miejsca na nic poza uczuciem straty. Jedynie pustka, pustka i wspomnienia. Dlatego słowa te zabolaly mnie i upokorzyły tak bardzo, jakby Jim napluł mi w twarz.

Podniosłem się, na poły świadom, że ludzie wokół przyglądają nam się z większą lub mniejszą dozą dyskrecji. Jim oddychał łapczywie, twarz mu się rozpalala. Jeśli nie przerwałby m tej rozmowy, zaraz rzucilibyśmy się sobie do gardeł, a ja nie mogłem sobie pozwolić na żaden skandal.

– Jim, wasza wnuczka spędzi z wami następny weekend. W ten jest to niemożliwe. Przykro mi, muszę już iść.

Poszedłem sobie, starając się nie biec, podczas gdy Jim za moimi plecami krzyczał, każde zdanie podkreślając uderzeniem w stół.

– Ta mała to moja krew, do licha ciężkiego! Moja krew! Nie możesz jej ode mnie izolować!

KATE

Kate wróciła do samochodu i ruszyła ku obrzeżom miasta, aż napotkała spokojne miejsce na parkingu sklepu z dywanami. Fasadę budynku pokrywały ogromne płachty z napisami Na sprzedaż i Zamknięte w związku z zakończeniem działalności. Ot, jeszcze jedno z wielu przedsiębiorstw, które padły ofiarą kryzysu. Krzykliwe i podniszczone napisy grały na jej emocjach.

Słowa, które wypowiedziała w rozmowie z Andream, były niczym dwie kamienne płyty, które zdołała odrzucić z piersi, w ich miejsce wlało się zaś poczucie ogromnej ulgi. Teraz jednak stały się one realne i nie było już sposobu na sprawienie, żeby z powrotem zniknęły.

„Jestem w nim zakochana, odkąd go poznałam”.

Przez wiele lat nie była w stanie przyznać przed sobą, że od zawsze kochała się w mężu swojej siostry. A teraz powiedziała to tak po prostu.

Przez dłuższą chwilę płakała.

Nie było jej żal siebie samej. Nigdy czegoś takiego nie czuła, osoby użalające się nad sobą wzbudzały zaś w niej wzdargę. Płakała nad niesprawiedliwością zaistniałej sytuacji, płakała nad tym, że była niedostatecznie silna, płakała ze zmęczenia. Była wyczerpana, zarówno fizycznie, jaki umysłowo, przez wszystko to, co działo się wokół. Ustawiała głośność dzwonka w telefonie na maksimum i przesiadła się na tylną kanapę. Potrzebowała zmrzyć oczy, choćby na kilka minut, żeby pozbierać się po zarwaniu niemal całej nocy.

Siedząc na tylnej kanapie, znowu trochę popłakała, pozwalając, aby duże i słone łzy przyniosły jej wytchnienie, aż w końcu zasnęła.

Obudził ją telefon.

Czuła suchość w ustach, mięśnie karku stężały jej zaś niczym fortepianowe struny. Zamrugała, zaskoczona brakiem światła. Wieczór dobiegał końca, najwyraźniej przespała kilka godzin.

„Cholera” – pomyślała, ujrawszy identyfikikator dzwoniącego.

– Cześć, szefie!

– Nie przyjdiesz – odparł McKenna. Nie było to pytanie.

– Obawiam się, że wciąż jestem chora.

– Robson, wiesz co? Znienacka się okazuje, że scenariusz na jutro z powrotem zakłada ten jebany szpital twojego szwagra. Ludzie z gabinetu prezydenta podejmują bardzo głupie decyzje w bardzo krótkim czasie. Muszę tej nocy od nowa organizować briefingi i zostać na kolejne nadgodziny. Do tego wszyscy są nerwowi jak cholera. Przede wszystkim ja, który się zastanawiam, dlaczego agentka, która zebrała komplet informacji potrzebnych do symulatora, nie służy mi teraz tutaj pomocą.

W dawnych czasach agenci Secret Service przygotowywali się do ważnych misji, korzystając z map i sporządzonych przez specjalistów kartonowych makiet w odpowiedniej skali. Teraz wszystko odbywało się za pośrednictwem komputera. Wszelkie parametry wprowadzano do oprogramowania, które idealnie odwzorowywało otoczenie, w jakim mieli znaleźć się agenci, dzięki czemu mogli oni przeciwżyć scenariusze działania i rozmaite drogi wejścia i ewakuacji, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Kate nie zwykła pracować przy gromadzeniu informacji, tym razem jednak sama zgłosiła się na ochotnika. W minionym tygodniu dwa razy

pojawiła się w Saint Claire. Za każdym razem *incognito*, nie informując o swojej obecności Davida i nie przyznając, że to on stanowią prawdziwy powód, dla którego zaproponowała swój udział. Dane, które zgromadziła, były bez zarzutu, tak więc McKenna nie narzekał. Teraz jej obowiązkiem było asystować przełożonemu przy prezentacji briefingu.

– Przykro mi, sir.

– Za twoje przeprosiny nie kupię sobie nawet gazety. Coś tu się dzieje, Robson. Nie wiem co, ale coś się tutaj dzieje. Poprosiłem Renaissance, żeby odwołała jutrzejsze wyjście, żeby to przełożyła. Może choć ona wykaże nieco zdrowego rozsądku.

„Nie. Nie może być. Jeśli operacja nie dojdzie do skutku...”

McKenna wyczekiwał jej odpowiedzi niczym przy czajony drapieżnik

– Naprawdę? To ci nowiny – skłamała Kate, przydając swojemu głosowi ton fałszywej ulgi. – Jeśli zdołamy przełożyć to na poniedziałek, wszystko pójdzie łatwiej. Przynajmniej będę mogła uczestniczyć w odprawie przygotowawczej. Mam nadzieję...

– Powiedziała, że nie – przerwał jej McKenna.

Kate poczuła, że serce, które podeszło jej do gardła, wraca na swoje miejsce.

– Słucham?

– Wszyscy w związku z tą sprawą zupełnie poszaleli i właściwie mnie to nie dziwi. Na teraz wiedzą o tym jedynie członkowie gabinetu i my, którzy jutro działamy. Agenci nie mają pojęcia, że Renegade będzie operowany, wiedzą tylko, że cała sprawa jest tajniejsza niż kolor majtek papieża Franciszka. Ale jutro będzie trzeba uruchomić pewne procedury, o sprawie dowie się więcej ludzi, podczas przejazdu może zaś dojść do czegoś nieprzewidzianego. Ktoś go zobaczy, ktoś wrzuci to na Twittera czy sam nie wiem gdzie. I przed obiadem cały świat już będzie wiedział, że Renegade leży w Saint Claire. Wszystko to wysoce wybuchowy szajs pierwszego sortu. Nie ma żadnych szans, żeby udało się to ukryć. Żadnych. I tak to właśnie przedstawiłem Renaissance.

– Pozwól, że zgadnę. Spłynęło to po niej.

– Jak po kacze. Przez pół godziny tłumaczyłem niebezpieczeństwa związane z całą operacją, korzyści ze skorzystania ze szpitala w Bethesda, czyli wszystko to, co sami, kurwa, mówili mi jeszcze dzisiejszego ranka. A kiedy skończyłem, stwierdziła: „Dziękuję za pański punkt widzenia, ale pozostaniemy przy pierwotnym planie”. I tak się zastanawiam... czy twój szwagier to Jezus Chrystus? Robson, czy oni tam mają jakiś magiczny blok operacyjny?

– Nie sądzę, sir.

– Tak mi się również zdawało. Poznałem gościa wczoraj, nie wiem, czy ci mówił.

– Szczerze mówiąc, sir, to ledwie utrzymujemy ze sobą kontakt.

– I wcale się, cholera, nie dziwię. Może i jesteście rodziną, ale ten facet to zadufany, niezdolny palant.

„Trafił swój na swego”.

– Co do tego jesteśmy zgodni.

– Teraz pojedę do Saint Claire, żeby obejrzyć teren, Robson. A przy okazji porozmawiać z twoim szwagrem. Wsadzę mu mikroskop w tyłek i jeśli dopatrzę się choćby atomu czegoś śmierdzącego, jutro stopa Renegade’a nie zostanie w tym szpitalu. Choćby nawet była to ostatnia rzecz, którą robi.

– Sądzę, że tak będzie dobrze, sir.

– Możesz sobie sądzić, co tylko chcesz. Jesteś poza sprawą.

To ostatnie zdanie sprawiło, że żołądek Kate się skurczył, jakby ktoś go kopnął.

– Co pan mówi?

– To, co słyssałaś. Jesteś poza sprawą i zawieszona do odwołania.

- Nie może mnie pan tak po prostu zawiesić za nieżyt żołądka – zaprotestowała Kate.
- Nie, ale za niestawienie się w pracy i obnoszenie się z roganami po całym Baltimore – i owszem.

Kate zamarła, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

„Czyli Andrea wszystko wyśpiewała McKennie. Wredna krowa nie wytrzymała choćby pięciu godzin”.

Nie spodziewała się tej zdrady, ale w pewnym sensie rzekoma koleżanka wyświadczyła jej przysługę. McKenna był człowiekiem zaślubionym pracy. Żadnych dzieci, żadnej partnerki, przy tym największy paranoik w całej agencji. Z pewnością wyczuł, że z Kate jest coś nie tak i zastanawiał się co. Nie mogła pozwolić, żeby swoje podejrzenia skojarzył z dyskomfortem, o jaki przyprawiała go perspektywa jutrzejszej operacji.

Wy tłumaczenie, że Kate miała kiepski dzień z winy niewiernego chłopaka, było tak żałosne, że mogło być prawdziwe. Takie kłamstwo całkowicie kłóciło się z jej charakterem. Na całe szczęście szef był nie tylko paranoikiem, ale także męskim szowinistą w starym stylu. Uważał, że wszystkie kobiety działają motywowane irracjonalnymi impulsami.

- Sir, ja...

- Zamknij się! Pewnego razu zniosłaś jedenastogodzinną służbę przy trzydziestodwuciepniowej gorączce. Naprawdę sądziłaś, że łyknę tę historię ze szcawką? Mogę ci wybaczyć ludzkie ułomności, mogę ci wybaczyć błąd, nawet to, że mnie okłamałaś. Ale nie, że uznałaś mnie za idiotę.

W jego słowach nie było zdenerwowania, był tylko ciężki, suchy i lepki smutek. Był przekonany o swojej racji.

„A najgorsze jest to – pomyślała Kate – że ma rację”.

- Rozczarowałaś mnie, Robson. I to bardzo.

Rozłączył się.

Wypadła z samochodu niczym trąba powietrzna, zostawiając otwarte drzwi, i ruszyła przed siebie wielkimi krokami. Doszła na środek opuszczonego parkingu, oświetlonego jedynie trupiożółtym blaskiem latarni.

Krzyknęła.

Było to wściekłe przekleństwo, wypuszczone zza zaciśniętych zębów, po którym zabrakło jej powietrza w płucach. Krew dudniła jej w skroniach, gdy rozglądała się dookoła, lecz jedynym echem, jakiego doczekała się jej krzyk, był odległy szum samochodów na szosie.

„Ile jeszcze? Ile jeszcze przyjdzie mi znieść?”.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Wzięła głęboki oddech i odebrała połączenie.

- Robson.

- Tu Andrea. Przykro mi.

- Jasne. Spoko, tobie jest przykro. Za to mnie zawiesili.

- Co niby miałam zrobić? Poczekalam, aż nikogo nie było, i namierzyłam pozycję urzędnika. Zrobiłam, o co mnie poprosiłaś, ale mnie nakryli. Przełożonemu wyskoczyło powiadomienie, pewnie w zdenerwowaniu źle wpisałam...

- Uspokój się, Andrea.

- Wysłali mnie do gabinetu McKenny, Kate. Do McKenny! On jest jak sfinks, patrzy na ciebie tymi nieruchomymi oczami i musisz wszystko wyznać, mówi, że jak tego nie zrobisz, będzie gorzej.

Kate zamilkła. Tak w istocie było. Uciec od jego spojrzenia było niemal niemożliwe.

Wiedziała, miała bowiem okazję spotykać się z nim wiele razy.

– Jesteś na mnie zła?

Infantylna naiwność pytania zaskoczyła Kate.

– Nie będę, jeśli powiesz, gdzie jest mój chłopak

– McKenna zatrzymał rezultat wyszukiwania. I na kilka godzin zawiesił mi dostęp do systemu.

– Nie tak brzmiało moje pytanie.

– Zabronił mi ci mówić.

– Czyli wiesz.

– Oczywiście, że wiem. Telefon jest zarejestrowany na V. Papicia, sześćdziesiąt osiem zero dziewięć Bellona Avenue, Baltimore.

Jakiś adres. Jakieś nazwisko.

– Ostatnia znana pozycja?

– To również adres w Baltimore. Nie powinnam ci go jednak podawać, McKenna mówi, że to pogwałcenie trzech różnych praw i że dzięki temu nauczysz się nie korzystać z zasobów agencji do śledzenia atrakcyjnych gości.

– Andrea, nie mam czasu do stracenia.

– Mogę za to wylecieć z roboty.

– Możesz. Mnie jednak już rzucono wilkom na pożarcie, i to po części z twojej winy. Jesteś mi to winna.

– Nic ci nie jestem winna. To ty mnie poprosiłaś, żebym to zrobiła. To twoja wina, że cię zawiesili!

– A twoją winą będzie, jeśli się okaże, że na darmo.

Andrea nie odpowiedziała od razu. Kate zacisnęła ze zniecierpliwieniem usta, ale zmusiła się, aby zaczełać, nie chcąc przysparzać jej o jeszcze większe nerwy.

– Sześćset pięćdziesiąt cztery Whitehead Court. I lepiej będzie, jak się pospieszysz. Ostatnia znana pozycja pochodzi sprzed półtorej godziny. Kiedy trafisz na miejsce, możliwe, że już go tam nie będzie – powiedziała i się rozłączyła, zanim Kate zdążyła jej podziękować.

Kate sprawdziła adres w aplikacji z mapami w telefonie. Była niedaleko, zaledwie dziesięć minut drogi od celu. Niestety, Julia miała coraz mniej czasu.

Spojrzała na uruchomione w telefonie odliczanie.

14:31:21

Pobiegła do samochodu. Teraz już miała cel i nie zamierzała pozwolić, żeby cokolwiek stanęło jej na drodze.

Kiedy wychodziłem ze stołówki, umykając przed teściem, zadzwonił mój pager, wzywając na odprawę bezpieczeństwa. Dotarwszy do sali konferencyjnej na czwartym piętrze, spostrzegłem, że wszyscy już tam byli. Dyrektor Meyer i doktor Wong siedzieli sztywni, jakby połknęli kije, naprzeciwko czterech nieznanym mi agentów Secret Service.

Za szczytem stołu stał zaś ich szef, ogromny facet o wygolonej głowie, w którym starłem się poprzedniego dnia w bunkrze, do którego mnie zabrano w celu zrobienia prezydentowi rezonansu.

Pamiętałem, że nazywa się McKenna i że kawał z niego drania. Sam również zdawał się o tym pamiętać. Odłąd zobaczył, jak wchodzę, ożywił się i nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Jak miło z pana strony, doktorze, że raczył pan do nas dołączyć. Proszę usiąść.

Przeszedłem obok niego i podążyłem na pierwsze wolne miejsce, markując przy tym beztrzęsę, choć pokonanie tego odcinka zdawało się trwać wieczność. Czulem, jak oczy McKenny wbijają mi się w plecy niczym dwa hak. Kiedy się odwróciłem, spostrzegłem, że na jego ustach błąka się uśmieшек.

Dlatego powiedział mi, że nazajutrz się zobaczymy. Tylko czekał na możliwość, żeby się odegrać, i gotów był zrobić wszystko, co w jego mocy, abym poczuł się niezręcznie i aby mi uprzykrzyć życie. Zastanowiłem się, co myśli i czy może stanowić dla mnie jakieś zagrożenie. A kiedy ujrzałem ogień, jaki płonął w jego oczach, zrozumiałem, że mam się czego obawiać.

I to bardzo.

Odprawa bezpieczeństwa była nudna i nie poświęciłem jej zbyt wiele uwagi. Postanowiono o tym, kórędy prezydent dostanie się do budynku, które części szpitala zostaną zamknięte i kto z personelu będzie uczestniczył w operacji. Ucieszyłem się, że w kwestii anestezjologa zdecydowali się na Sharon Kendall, był to doskonały wybór. Trafny był również pomysł, aby nikomu nie ujawniać tożsamości pacjenta aż do ostatnich minut przed operacją. Za sprawą adrenaliny nie będą mieli wówczas czasu, żeby dopuścić do siebie nerwy albo pozwolić, aby ciężar odpowiedzialności wpłynął na jakość ich pracy. Brzemie wcześniejszej świadomości, że przyjdzie ci operować najpotężniejszego człowieka na Ziemi, mogło przyprawić o migrenę. Coś o tym wiedziałem.

Omówili wiele innych istotnych spraw, byłem jednak zbyt zmęczony i stroskany, żeby bardziej słupić uwagę.

– Będę asystowała doktorowi Evansowi przy zabiegu – oznajmiła Stephanie.

Mruknąłem na zgodę. Wiedziałem, że będzie się starała wszelkimi metodami sprawić, aby jej kierownicza funkcja została jasno podkreślona podczas konferencji prasowej po zabiegu. Specjalizowała się w kręgosłupach, to jest w dziedzinie, w której operacje są trzy razy droższe, przyciągają trzy razy więcej pacjentów i prawie nigdy nikt nie umiera. Tego jednak opinia publiczna nie wiedziała i w oczach świata to ona będzie zasługiwać na medale. Było mi to zupełnie obojętne. Następne zdanie wyrwało mi jednak z letargu.

– W Białym Domu poproszono mnie, żebym dobrał także grupę trzech ekspertów doradców, którzy będą nadzorować zabieg z antresoli. Doradcy ci to...

– Nie było mowy o doradcach – rzuciłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Przepraszam... Czyżby środek mojej wypowiedzi wciął się w początek pańskiego zdania? – zaoponował McKenna.

– Nie było mowy o żadnych niańkach, jestem już duży. Wydaje mi się to ogromnym brakiem zaufania. Coś takiego powinno się z nami przy najmniej skonsultować.

Spojrzałem na Wong i na Meyera. Byli wkurzeni jak ja, ale się nie odezwali. Tym razem nie zamierzali mnie wesprzeć.

McKenna odczekał, aż dotrze do mnie, że jestem osamotniony w swoich zastrzeżeniach.

– Co do tej kwestii nie będzie żadnej dyskusji.

– Już odbyłem co do tego dyskusję z Pierwszą Damą. Ona zaś podjęła pewną decyzję.

– Której także nie zmieniam. To pan będzie głównym chirurgiem. Tyle tylko, że pańskie ruchy będzie śledzić kilka dodatkowych par oczu. To nic osobistego, zależy nam po prostu na jak najtrafniejszych decyzjach – oznajmił McKenna, składając ręce i nachylając się nad stołem.

– Powinien pan się trzymać tej reguły także przy kupowaniu krawatów – burknąłem.

Agent opuścił spojrzenie na swój nudny granatowy krawat, o moment za późno zdając sobie sprawę, że na dziecinną zaczepkę zareagował gestem zdradzającym niepewność. Zmarszczył brew.

– Grono doradcze będą tworzyć Lowers, Ravensdale i Hockstetter. Dwaj pierwsi właśnie zmierzają do Waszyngtonu samolotem.

Ton jego głosu niemal się nie zmienił. Istotne jest tutaj jednak słówko „niemal”. Pojawił się w nim ślad czegoś brutalnego i zwierzęcego, co sprawiło, że włosy mi się zjeżyły. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że przyjdzie mi przejść jeszcze jeden sprawdzian.

O dwóch pozostałych miałem okazję usłyszeć. Zarówno Lowers, jak i Ravensdale byli neurochirurgami światowej klasy, jeden pochodził z Zachodniego Wybrzeża, drugi był Anglikiem. Nie mieli takiego doświadczenia jak Hockstetter lub ja w usuwaniu guzów z rejonów mózgu odpowiedzialnych za mowę, ale obaj byli bardzo kompetentni. W rzeczywistości jednak niepokoiło mnie nazwisko mojego dawnego szefa. A także sposób, w jakie McKenna je wymówił.

Było w tym coś więcej niż nasza wzajemna niechęć do siebie. McKenna miał pewne podejrzenia w związku z korzystnym dla mnie wypadkiem na parkingu.

– Wydawało mi się, że doktor Hockstetter miał wypadek

– Nie jest w stanie operować – oznajmił McKenna. – Złamał rękę. Poinformowano pana o tym?

– Pierwsza Dama mi powiedziała.

– Doktor Hockstetter nie będzie mógł być przy stole. Będzie nam jednak towarzyszył z galerii dla publiczności. Dzięki temu będziemy mogli liczyć na jego rady.

I z pewnością także na wskazówki przekazywane przez interkom, którymi będzie truł mi nerwy i uszy akurat w chwili, kiedy najbardziej będzie mi potrzebny spokój. Wszystkie czynniki się sprzyściły, żeby udowodnić prawdziwość powiedzenia, że sukces ma wielu ojców, niepowodzenie zaś – tylko jednego. To ja byłem osobą odpowiedzialną za operację, ale w wypadku jej powodzenia każdy, kto w jej trakcie choćby wziął do ręki gazik, zgłosiłby się po laury.

W rzeczywistości najbardziej przejmowało mnie to, jak bardzo taki rozwój wypadków może wpłynąć na plan White'a. Jak, u diabła, jego zdaniem, miałem zabić prezydenta? Ze skalpelem w dłoni i tyłoma ważnymi naczyniami krwionośnymi w zasięgu nie byłoby to nic trudnego, o ile tylko znalazłbym w sobie wystarczająco dużo ikry. White nalegał jednak, żeby zgon wyglądał na rezultat operacji. Nie mogło być mowy o użyciu przemocy.

W sytuacji, gdy trzej spośród najlepszych neurochirurgów na świecie – z których jeden śmiertelnie mnie nienawdził – mieli śledzić mój każdy gest... Jak niby miałem spełnić polecenia White'a?

– Niezbyt mnie to cieszy, agencie McKenna. Doktor Hockstetter i ja nie pozostajemy

w najlepszych stosunkach.

McKenna wstał.

– Drodzy państwo, na tym koniec. Dziękuję wszystkim. Widzimy się jutro.

Wszyscy obecni się podnieśli i ruszyli w stronę drzwi, ja również. Doskonale jednak wiedziałem, że następne słowa będą brzmieć:

– Doktorze Evans, proszę na chwilę zostać.

Stephanie Wong odwróciła głowę i, zanim wyszła, spojrzała na mnie ze zdumieniem. Usiadłem z powrotem.

– Jestem zmęczony, McKenna. Niech się pan streszcza.

– Ciężki dzień, doktorze?

– Jak każdy.

– Zdarzyło się dziś panu coś szczególnie ciekawego?

– To, co zwykle. Pacjenci, obchody, robota papierkowa.

– Jasne. A gdzie pan był po południu, tak koło trzy nastęj?

Oho, uwaga! Teraz się zacznie.

– Wyszedłem coś zjeść.

– Ktoś panu towarzyszył?

– Nie. Do czego pan zmierza?

– Doktorze, proszę po prostu odpowiadać na pytania.

– Nie mam powodu.

McKenna wciągnął powietrze w płuca, wysysając je z pomieszczenia.

– Tak naprawdę, to ma pan. Procedura zakłada, że przed znalezieniem się na miejscu, które teraz pan zajmuję, powinien pan przejść dogłębną kontrolę bezpieczeństwa. Okoliczności jednak na to nie pozwoliły.

– I uważa pan, że wypytywanie mnie o to, gdzie jadłem lunch, na coś się przyda?

– Spytałem, czy jadł pan może z kimś. Ale skoro pan...

– Jadłem tam, gdzie zawsze. W Corner Bistro.

– W porządku. Daleko to?

– Trzy przecznice stąd.

– I zawsze, jak ma pan do pokonania trzy przecznice, wsiada pan do samochodu?

Serce przy stanęło mi na ułamek sekundy.

– Co pan mówi?

Udał, że kartkuje dokumenty, które trzymał w teczce przed sobą.

– Według rejestru ze szpitalnego parkingu, wyjechał pan o jedenastej trzydzieści osiem.

Wiedział pan, że takie rzeczy się zapisują? To dzięki karcie dostępu, z której korzystał pan. Wyszło się nagrywa. Nowoczesna technologia, wiedział pan?

Nie odpowiedziałem. Zupenie mnie tym zaskoczył. Zastanawiałem się, co ten drań może jeszcze wiedzieć.

– Dokąd pan jechał o jedenastej trzydzieści osiem, doktorze?

Spojrzenie McKenny pozostawało niewzruszone, ogniste i nieublagane. Znienacla w pokoju zrobiło się niesamowicie gorąco. Plecy zaczęły mi się obficie pocić, podobnie jak dłonie, podczas gdy starałem się wymyślić wiarygodne wyjaśnienie dwugodzinnej przerwy w mojej relacji. Postanowiłem, że powinienem trzymać się możliwie blisko prawdy.

– Mam pacjenta, nazywa się Jamaal Carter – oznajmiłem w końcu. – Ma rodzinę w Anacostii, pojechałem porozmawiać z nimi.

McKenna uniósł brew. Tym go zaskoczyłem.

– Chce mi pan powiedzieć, że jakiś pacjent tej luksusowej kliniki – powiedział, zataczając kółko

palcami wskazującymi – ma rodzinę w Anacostii?

– Nie tylko ma rodzinę, on sam tam mieszka.

– Nabiera mnie pan, doktorze. Wie pan, że kłamanie agentowi federalnemu jest wbrew prawu?

– Nie nabieram. To młodociany przestępca ranny w strzelaninie, którego podrzucili nam ze szpitala MedStar, ponieważ mieli tam komplet. Wyjąłem mu kulę z kręgosłupa, z którą z niemal całkowitą pewnością czesałby go paraliż. Zrobiłem to wbrew zdaniu moich przełożonych, którzy uważali, że wystarczy go ustabilizować i pozwolić, aby ktoś inny martwił się astronomicznym rachunkiem na kwotę, której ten chłopak nigdy w życiu nie zarobi i którego nigdy nie zdoła uregulować.

Nigdy w życiu nie mówiłbym w ten sposób o samym sobie, gdyby nie to, że miałem przed sobą agenta Secret Service... który słusznie podejrzewał, że dopiero co napadłem i poszkodowałem rywala do miejsca przy stole operacyjnym. Uznałem, że próba zaskarżenia sobie życzliwości rozmówcy przez podkreślenie własnego humanizmu może mi pomóc.

– Jak pięknie, doktorze – skonstatował McKenna, uśmiechając się prześmiewczo. – Moim zdaniem, lepiej by było, gdyby taki gnój wyładował na wózku inwalidzkim, zamiast bawić się bronią na ulicy czy siedzieć w więzieniu, marnotrawiąc pieniądze podatników. Kimże ja jednak jestem, żeby oceniać porywy serca kogoś tak dobrotliwego, jak pan?

Najwyraźniej się pomyliłem.

– Nie jestem Bogiem. Jestem tylko lekarzem. Nie chodzę na skróty, nie decyduję o innych. Ja tylko ich leczę.

– Jasne. A odwiedziny u krewnych gangstera wchodzą w zakres pańskich obowiązków zawodowych?

Ściszyłem głos, próbując przydać moim słowom bardziej poufny ton.

– Tak naprawdę, to nie. Była to przysługa natury osobistej, o którą poprosił mnie pacjent i którą postanowiłem wyświadczyć. Gdyby władze szpitala się dowiedziały, mógłbym mieć nieprzyjemności.

– Jasne. I o czym rozmawiał pan z jego krewnymi?

– To poufne kwestie, dotyczące relacji między lekarzem a pacjentem.

Kpiarski uśmiesek jeszcze mu się poszerzył.

– Dopiero co powiedział pan, że była to przysługa natury osobistej, nie może się więc pan teraz zasłaniać tajemnicą lekarską.

Westchnąłem, zyskując czas, aby obmyślić moje kolejne kłamstwo.

– Ten chłopak ma dziewczynę, dobra? Poprosił mnie, żebym przekazał jej list, a ja jak idiota się zgodziłem. Czuję się za niego odpowiedzialny. Miał kurewsko trudno w życiu i nic się nie stanie, jak ktoś raz wykaże się wobec niego życzliwością.

McKenna wstał. Przy jego niezwykłej sylwetce proces ten dawał się opisać jedynie w terminach geologicznych. Jak gdyby obserwować w zwolnionym tempie wypiętrzającą się górę. Obszedł stół konferencyjny i podszedł do mnie. Teraz to ja wstałem.

– Skończyliśmy?

– Nie, nie skończyliśmy.

McKenna podniósł dłoń i położył mi ją na ramieniu. Sam nie jestem szczególnie cherlawy, ale ta łapa zdawała się wyłuta z kamienia, a ramię, z którego wychodziła, było niczym stalowy tłok. Zmusił mnie, żebym z powrotem usiadł z taką łatwością, jak gdyby m miał pięć lat.

– Co pan, do cholery, wyprawia?

McKenna popchnął krzesło i mnie samego w stronę stołu, blokując mnie między blatem a oparciem. Jęknąłem, kiedy wysunięty brzeg z drzewa wenge wbił mi się w pęknięte żebro. Ból

był niczym pchnięcie nożem w pierś – ostry i nie do zniesienia. I nie odpuszczał. Agent nachylił się nade mną, swoim cielskiem odcinając mi drogę odwrotu, i zaczął szeptać obok mojego lewego ucha.

– Nie podoba mi się pan, doktorze. Ani, kurwa, trochę. Nie wiem, czy jest pan tylko nieznośnym elegancikiem, który uważa się za Boga, czy też coś pan przede mną ukrywa. Mam to gdzieś, czy w swojej branży jest pan supergwiazdą. Jeśli ktoś chce się zbliżyć z ostrym przedmiotem do człowieka, którego ja ochraniaam, musi być czystszy niż ła.

Spróbowałem odzyskać oddech, choć ból w klatce piersiowej przyprawiał mnie o zawroty głowy i ledwie byłem w stanie wtłoczyć powietrze w płuca. Musiałem wyrażać się jasno. Gdyby przyszło mu do głowy podwinąć mi rękawy fartucha, spostrzeżby zadrapania powstałe podczas walki i to byłby koniec.

– Popemnia pan poważny błąd – zdołałem powiedzieć.

– Gdzie pan był o pierwszej po południu?

– Już to powiedziałem.

– Proszę powtórzyć.

– Pojechałem odwiedzić rodzinę pacjenta, zjadłem coś i wróciłem do gabinetu.

– To ciekawe. O tej samej porze doktor Hockstetter, którego wczoraj wybrano, aby pana zastąpił przy być może najważniejszej operacji neurochirurgicznej w historii, został zaatakowany na parkingu. Napastnik złamał mu rękę drzwiami samochodu.

Zdołałem przekręcić szyję na tyle, żeby móc spojrzeć mu w twarz. Byliśmy tak blisko siebie, że moglibyśmy się pocałować. Jego oddech wydzielał odór gum nikotynowych, jego skóra rozswalała zaś woń tłuszczu i potu zamkniętej w klatce bestii.

– Powiedzieli mi, że miał wypadek – zauważyłem, mając nadzieję, że strach, który we mnie wzbudzał, i ból, który odczuwałem, odczyta jako oznaki zdumienia.

– Owszem, tak powiedzieli. Szczęśliwy zbieg okoliczności. Tyle tylko, że w moim fachu zbiegi okoliczności nie istnieją. I co mam powiedzieć? Pan może na tym wszystkim sporo zyskać. To już motyw. I był pan poza terenem szpitala. A to możliwość.

Wcisnąłem stopy w podłogę, starając się przewyciężyć siłę, z którą na mnie naciskał, cofnąc się na milimetr, żeby móc złapać oddech. Szpitalne chodaki ślizgały mi się po wykładzinie pomieszczenia. Zdjąłem buty i zdołałem minimalnie się odepchnąć.

– Czy Pierwsza Dama mówiła panu, że ja wcale nie chciałem go operować? Że musiała mnie o to prosić nie raz, ale dwa razy? To więc raczej gówno, nie zaś motyw, co, McKenna?

Zamrugał kilka razy. Było widać, że nie miał o tym pojęcia. Ten cios chwilowo wytrącił go z równowagi, ale zaraz potem przypuścił kontratak, wyciągając ostatni element, którego brakowało do skompletowania zbrodniczej triady. Ustalili już, że miałem okazję i środki, teraz zaś miał być może wątpliwości co do motywu. Pozostawał jednak dyminyący pistolet.

– Doktorze, czy ma pan broń?

– Słucham?

– Pistolet. Czy ma pan pistolet.

– Nie, nie mam pistoletu. Nie noszę broni, głupku. Nigdy w życiu nie trzymałem broni w rękach.

Z wyjątkiem tego, jak wymachiwałem pistoletem kilka godzin temu. I z pewnością na skórze pozostały mi drobinki prochu, mimo że kiedy siłowałem się z Hockstetterem i pistolet wypalił, miałem na sobie rękawiczki. Sama broń wciąż zaś spoczywała pod przednim fotelem w moim samochodzie. A głos drżał mi od napięcia i bólu w klatce piersiowej.

Wiedziałem, że mi nie uwierzył. Że odkryje, co od początku kombinowałem. I że nie będę miał nawet sposobności, żeby odwołać się do White'a, który to wszystko słyszał. Zanim zdołał

ich przekonać, jak wygląda prawda, Julię już dawno zdążą zeżreć szczury.

Wówczas zadzwonił telefon.

Była to komórka McKenny. Odstąpił ode mnie, aby odebrać, ja zaś mogłem w końcu odsunąć zmaltretowane żebro od krawędzi stołu.

– McKenna.

Nastąpił cykl chrząknięć i przytaknięć. Nie byłem w stanie dosłyszeć słów drugiego rozmówcy. McKenna odszedł pod okno i odwrócił się do mnie plecami, ale poziom dźwięku w telefonie miał tak wysoki, że usłyszałem, że rozmówca McKenny mówił głośno i z ekscytacją.

– Co? To niemożliwe. Kogo, do cholery, mamy dziś w balistycie?

Nastąpiły kolejne wyjaśnienia i pochrząkiwania. Barki McKenny powoli opadały, w miarę jak słowa rozmówcy pograżały jego teorię.

Rozłączył się bez pożegnania.

Wtedy zrozumiałem.

Wystrzał, który przebił oponę w samochodzie. Z pewnością technicy wyciągnęli kulę i przepuścili ją przez jeden z tych magicznych komputerów. Podczas procesu, który zawiódł mnie do celi śmierci, dowiedziałem się, że kulę porównano z informacjami w bazie danych waszyngtońskiej policji i że odkryto, że pistolet, z którego wyleciała, przewijał się w związku z wieloma napadami, w tym z dwoma połączonymi z zabójstwem. Dlatego Marcus tak bardzo podkreślał, że bym nie dał się z nim złapać. Paradoksalnie, zaszargana kartoteka broni oczyściła teraz mnie, kierując podejrzenia w zupełnie innym kierunku.

W tamtej chwili tego nie wiedziałem. Na całe szczęście McKenna, choć tak dobry, nie potrafił dostrzec związku między pistoletem a moją wizytą w Anacostii. Nie oceniajcie go zbyt surowo, śledztwo rozważył wypadków chronologicznie od początku, on zaś nie. Na karmyśc tego ogromnego orangutana trzeba przypisać, że jego zwierzęca intuicja od początku zaalarmowała go co do mojej osoby, i to całkiem słusznie. Później jednak, na koniec, kiedy trzymał w ręku ostatni fragment układanki, niewłaściwie go zinterpretował i poniósł klęskę. Być może w głowie mu się nie mieściło, żeby dziany lekarz kupił sobie trefną spluwę, a może po prostu był zmęczony i mu to umknęło? Był człowiekiem i popełniał błędy, tak jak my wszyscy, którzy tańczyliśmy do dźwięków tego koszmaru.

Nie odwrócił się. Rzucił tyłko:

– Może pan już iść, doktorze.

Nie mogłem.

Wiedziałem, co zrobiłem, i wiedziałem, że istnieje związek między Jamaalem Carterem, pistoletem a mną. I że być może za pewien czas McKenna oprzytomnieje na tyle, aby dojść do takiego samego wniosku. Nie mogłem na to pozwolić. Musiałem podciąć mu skrzydła, żeby nie odważył się mnie ponownie przesłuchiwać.

Powoli z powrotem włożyłem buty. Wstałem, zaciskając zęby, aby znieść ból, i wizualizując sobie w myślach proszki przeciwbólowe, które podkradnę z apteki, jak tylko wyjdę z tej koszarnej salki konferencyjnej, podszedłem do okna.

– Ani myślę iść.

– Słucham?

McKenna, zdumiony, odwrócił się w moją stronę. Spadek adrenaliny, jakiego doświadczył po rozmowie telefonicznej, dawał się zauważyć w jego sposobie chodzenia. Nie był już przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, który kilka minut temu wprawił mnie w przerażenie. Teraz jego cera poszarzała, policzki straciły kolor, pod oczami uformowały mu się dwa sine worki.

Nadal jednak był straszliwie niebezpieczny. Wystarczyło, że wypije kawę lub zdrzemnie się

przez pół godziny i będzie zdolny skojarzyć wątki. Istniał tylko jeden sposób, aby mu to unie możliwić.

– Powiedziałem, że ani my ślę iść, pieprzony gnoj. Nigdzie nie pójdę, dopóki nie doczekam się przeprosin.

McKenna wydał z siebie nosowe parsknięcie niedowierzania. U istoty ludzkiej na wyższym stadium ewolucji zakwalifikowalibyśmy to jako śmiech.

– Pan chyba żartuje.

– Zapytałbym, czy pana zdaniem wyglądam, jakbym żartował, ale wątpię, czy wyposażony w obie ręce i latarkę byłby pan w stanie znaleźć własną dupę, tym bardziej zatem powątpiewam w pana umiejętność interpretowania mimiki. Z jakiejś dziwacznej przyczyny uwziął się pan na mnie od momentu, gdy mnie pan zobaczył, co szczerze mówiąc, jest mi obojętne, ponieważ odwzajemniam pańską niechęć. To, co pan mi tutaj zrobił, to nadużycie władzy. Są na to odpowiednie paragrafy.

– Doniesie pan na mnie? Bogaty chłoptas próbuje mnie zastraszyć? Tak, kóguciku?

– Posłuchaj pan, ty pyrogłowy Irlandczyku! Bogatego chłoptasia to sobie w rodzinie poszukaj. Ja wyrosłem na ulicy, na stercie gówna być może całkiem podobnej do tej, przy której wychował się i pan. I samodzielnie zdołałem zostać jednym z najlepszych neurochirurgów na świecie, a to dzięki wyteżonej pracy i gotowości znoszenia najgorszych upokorzeń. I od początku całej tej afery jedyny i kategoryczny warunek, jaki postawiłem, to ten, że aby operować prezydenta, muszę mieć do niego dostęp jako do człowieka, tak po prostu, bez przeszkód stwarzanych przez jego goryli czy specyfikę stanowiska. Dlatego ucieszyłem się, kiedy odebrano mi ten zabieg, mimo że moje miejsce zajął największy lizodup, jaki kiedykolwiek trzymał w ręku skalpel. Jeśli więc w tej chwili mnie pan nie przeprosi, będzie pan musiał osobiście wytłumaczyć Pierwszej Damie, że najlepszy dostępny lekarz, od którego może zależeć, czy prezydent opuści blok operacyjny z pełną elokwencją, czy też zamieniony w warzywo, nie będzie operował jej męża, ponieważ przy cisnął go pan do stołu.

McKenna nie odpowiedział. Spoglądał na mnie szeroko otwartymi oczyma, z zaciśniętą szczęką i przemożną ochotą, żeby własnymi pięściami zrobić mi kraniotomię.

Nie odrywając wzroku, nawet nie mrugnawszy, wsadziłem rękę do kieszeni, wyciągnąłem telefon i go odblokowałem, pokazując mu podświetlony ekran.

– A więc? Pan do niej dzwoni czy ja mam to zrobić?

Oczywiście, że nie miałem bezpośredniego numeru do Pierwszej Damy. On tego jednak nie wiedział. Przesunął spojrzenie na ekran, aż w końcu spuścił oczy.

– Przepraszam.

– Co „przepraszam”?

McKenna zagrzytał zębami tak mocno, że w oknach zdrząły szyby.

– Przepraszam, doktorze Evans.

– Dziękuję. Uznam ten pański akt głupoty za wyraz nadgorliwości. Jeśli więcej się pan nie zapomni, to sprawa pozostanie między nami – oznajmiłem uprzejmie.

Być może w tym miejscu przesadziłem, sam nie wiem. I być może sprowokowałem to, co potem nastąpiło.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Powoli, nie spoglądając za siebie, ale także nie przystając. W połowie drogi dobiegł mnie głos agenta, który wymierzył i ostatni, pożezalny cios.

– Aby nie dopuścić, żeby spotkało pana coś podobnego jak Hockstettera, przydzielę dwójkę agentów, którzy do jutra będą panu towarzyszyć.

Subtelne poczucie triumfu, jakiego doznałem, zlamawszy McKennę, wyparowało.

Owszem, ledwie co zdołałem się wysmyknąć. Tego samego wieczoru miałem się jednak

zobaczyć z White'em. Z dwoma cieniami przyklejonymi do tyłka było to jednak niewykonane.

KATE

Był to podły motel na północy Catonsville, wciśnięty między Taco Bell a pizzerię, która na oko była zamknięta już od dziesięcioleci. Sam motel również pamiętał pewnie lepsze czasy. Połowa neonów z jego szyldu była przepalona, zamontowane na nim tradycyjne litery z czarnego plastiku oferowały Ta e Pokje, co jednak całkowicie jasno przekazywało pożądany komunikat.

Na parkingu stało jedynie pięć samochodów. Zakładając, że najwyżej dwa należały do pracowników motelu, oznaczało to troje lub czworo gości. Pokojów łącznie było dwadzieścia, wszystkie mieściły się w tym samym parterowym budynku. W dwóch z nich paliło się światło.

„Nie pójde zapytać w recepcji – pomyślała Kate. – Jest całkowicie oświetlona i widać ją przez wszystkie okna. Równie dobrze mogłabym tu podjechać radiowozem”.

Zapewne z tyłu było jakieś drugie wyjście, być może przez okna w łazience. Kate nie miała jednak czasu ani ochoty, aby po ciemku uganiać się po polach za potencjalnie uzbrojonym podejrzanym. Musiała jednak namierzyć Vlatka w jednym z tych pokoi. Jeśli w ogóle jeszcze był w motelu, nie zatrzymał się zaś tutaj tylko przejazdem, żeby się odlać czy kupić coś z automatu.

Kate wysiadła z taurusa, starając się, żeby podeszwy jej butów nie wydały dźwięków na lekko skruszonym betonie. Zaparkowała możliwie daleko od recepcji, aby dochodzące stamtąd światło nie oświetliło jej w chwili opuszczania samochodu. Podeszła do drzwi do pokoi, kiedy zaś zbliżyła się do numeru dwudziestego, wyciągnęła komórkę i zadzwoniła pod numer Vlatka.

Był to strzał w ciemno. Aparat mógł być wyłączony albo wyciszony. Jednocześnie jednak była to najlepsza możliwość zbliżenia do niego bez zwracania na siebie zbyt dużej uwagi. Poza tym Kate była przekonana o jednym – Vlatko chciał ponownie zobaczyć Swietlanę, tak więc nie zerwie kanału łączności.

Przyłożyła telefon do ucha.

„Jest sygnał. Dobrze”.

Odsunęła komórkę, żeby lepiej słyszeć. Z pokoju numer dwadzieścia nie dochodził żaden dźwięk. Podobnie jak z dziewiętnastki. Szła dalej. Telefon w dalszym ciągu dzwonił, nikt jednak nie odbierał.

Pokój numer siedemnaście, pokój numer szesnaście, pokój numer piętnaście.

Przełączyło na początek głosową.

Kate zadzwoniła raz jeszcze. W czternaście paliło się światło, przystanąła więc na chwilę. Nic.

Pokój numer trzynaście, pokój numer dwanaście, pokój numer jedenaście.

Znowu poczta głosowa.

Wybrała ponownie, tym razem jednak telefon nie zdążył odezwać się choćby jednym sygnałem. Ktoś pośpiesznie odezwał się po serbsku.

– Swietłana?

– Vlatko Papić?

– Koga ste trebali?

– Vlatko, jestem przy jaciółka Swietłany. Muszę z tobą porozmawiać.

Cisza.

– Vlatko?

– Kłamiesz. Swietłana nie ma przy jaciółek.

Rozłączył się.

Kate spojrzała w tył. W pokoju numer czternaście nic się nie poruszyło. Dziesiątka również

zdawała się pusta. Za to w dziewiątce paliło się światło. Podeszła zdecydowanym krokiem i zapukała do drzwi.

– Vlatko, otwórz.

Nikt nie odpowiedział. Kate usłyszała odgłos bosych stóp i jakiś przedmiot spadający na podłogę.

– Vlatko, nie zmuszaj mnie, abym wyważyła drzwi. Jestem z policji.

Hałas ustał. Kate się zdawało, że kątem oka dostrzegła, jak poruszają się zasłony. Drzwi lekko się uchyliły, choć nadal były zamknięte na łańcuch. W szparze ukazało się oko.

– Proszę pokazać odznakę.

Kate spróbowała nie uśmiechnąć się wobec takiej naiwności. Tani łańcuszek nie wytrzymałby nawet słabego kopniaka, ale Kate i tak wyciągnęła legitymację. Oko otworzyło się szeroko ze zdumienia.

– Secret Service? Ale...

– Wpuść mnie, a wszystko ci wyjaśnię.

Chłopak zamknął drzwi, zdjął łańcuch i odsunął się, dając jej przejść.

Kate rozejrzała się dookoła. Sądząc po stercie opakowań po gotowych posiłkach, jaka urosła obok telewizora, pokój był już zajęty od kilku dni. Chłopak był nagi, jeśli nie liczyć ręcznika, na jego ciele połyśkiwały wciąż krople wody. Był szczupły i niski, miał ciemne włosy i smutne oczy. Bez ubrania wydawał się jeszcze młodszy, niemal jak nastolatek.

– Byłem pod prysznicem, dlatego nie usłyszałem telefonu.

– Właśnie widzę – odparła Kate, zerkając na mokre plamy na podłodze.

– A Swietłana? Gdzie ona jest?

Kate chwyciła krzesło, odwróciła je i usiadła z rozstawionymi nogami, kładąc przedramiona na oparciu.

– Vlatko, idź coś na siebie włożyć. Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

– Ale nic jej nie jest?

– Absolutnie. Idź.

Po chwili chłopak pojawił się w jeansach i koszulce. Usiadł na brzegu łóżka i włożył znoszone trampki, po czym spojrzał pytająco na Kate.

– Vlatko, Swietłana wpakowała się w tarapaty.

– Wiedziałem. Wiedziałem. Mówiłem, że tym ludziom nie można ufać. Że to się źle skończy – powiedział chłopak, ciągnąc się za mokre włosy.

– Wiedziałeś, co się dzieje?

– A to Swietłana pani nie powiedziała?

Kate wyczuła w tonie jego głosu zaniepokojenie. Stała przed dylematem. Nie mogła zbyt mocno wypytywać go o to, co wiedział, przecież podobno trzymała ją w bezpiecznym miejscu. Nie mogła również zmusić chłopaka, żeby jej towarzyszył. Powodzenie jej planu zależało wyłącznie od tego, czy zdoła go namówić, aby poszedł z nią z własnej woli.

Pozostawało jej działać po omacku, modląc się, żeby nie popełnić przy tym błędu.

– Musisz mi to opowiedzieć własnymi słowami.

Chłopak sprawiał wrażenie bardzo inteligentnego. Mówił doskonałą gramatycznie angielszczyzną z niemal niezauważalnym akcentem.

– Mieszkam tutaj od trzech lat. Swietłana i ja byliśmy razem jeszcze w Belgradzie, ale nie udało jej się zdobyć wizy studenckiej. Miałem nadzieję, że zdołam skończyć tutaj inżynierię przemysłową, ale nie dostałem żadnego stypendium, a wszystko w tym kraju jest tak koszmarnie drogie. Łapałem różne fuchy, usiłując coś zaoszczędzić, aby pomóc przyjechać Swietłanie. Ona jednak robiła się coraz bardziej nerwowa.

– I postanowiła pójść na skróty?
– Ci goście skontaktowali się z nią w Belgradzie.
– Jacy goście? Coś o nich wiesz?
– Powiedziała mi, że to byli wojskowi, którzy teraz pracują tutaj jako ochroniarze. Wiedziałem jednak, że to kłamstwo. Powiedzieli, że załatwią jej wizę i dadzą pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jeśli zgromadzi informacje o jakimś lekarzu z Waszyngtonu. Miała przez miesiąc pomieszkać u niego w domu, i tyle. Mówiłem jej, żeby tego nie robiła, że cała ta sprawa mocno śmierdzi.

– Ale ona cię nie posłuchała.
– Powiedziała, że to właśnie tego nam było trzeba. Że w końcu będziemy mogli być razem. Po tym, jak dzieliło nas siedem tysięcy kilometrów, perspektywa, że będzie mieszkała zaledwie godzinę samochodem ode mnie, zdawała się szansą zesłaną przez niebiosa.

Kate pokręciła głową.
– Teraz władowała się w straszny bigos.
– Gdzie ona jest? Czy została aresztowana?
– Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw mi powiedz, co się stało w poniedziałek
– Od kilku dni chodziła podminowana. Przestrzegła mnie, żebym był gotów opuścić mieszkanie, jeśli coś pójdzie nie tak. Wiem tylko, że chodziło o ten poniedziałek. Ustaliliśmy, że spotkamy się tutaj, kiedy tylko otrzyma pieniądze.

– Kazała ci jednak uciekać – zauważyła Kate.
– Przesłała mi wiadomość. Jedno słowo, „uciekaj”. Wiedziałem, że ma kłopoty, ale co mogłem zrobić? Nie wiedziałem, gdzie jest, a jeśli zgłosiłbym się na policję, tylko bym jej napytał biedy.

– Słusznie postąpiłeś. Wiedzieliśmy o istnieniu Swietłany i przez cały ten czas ją chroniliśmy. Prawdą jest jednak, że wjechała do kraju nielegalnie.

Twarz Vlatka pobladła.
– Zostanie deportowana?
– To już zależy od niej. I od ciebie.
– Proszę powiedzieć, co mogę zrobić. Zrobię, co będzie trzeba.
– Kazaliśmy jej wybierać. Albo będzie zeznawać przeciwko osobom, które przygotowały tę całą operację, albo wsadzimy ją w pierwszy samolot do Belgradu.

– Nie możecie tego zrobić. Ci ludzie są niebezpieczni! Jeśli będzie zeznawać, to ją zabiją. Powiem jej, żeby odmówiła!

Kate z wy studiowaną obojętnością wyprostowała rękawy marynarki.
– Powiedz mi coś, Vlatko. Jak myślisz, co się stanie ze Swietlaną, gdy tylko wyląduje – teraz, gdy zawiodła tak niebezpiecznych ludzi?

Chłopak ze zdumieniem otworzył usta. Zamknął oczy i wydał westchnienie rozpaczy.
– Potną ją na kawałki i wrzucą do Dunaju.
– A zatem albo nam pomoże i oboje was obejmie programem ochrony świadków, albo sama wróci do domu, gdzie nie będziemy jej w stanie pomóc. A wtedy wszyscy będą stracni.

Vlatko wstał i kilkoma dużymi krokami przemierzył pokój.
– Co powiedziała?
– Że najpierw chce porozmawiać z tobą. Chcę, żebyś ją przekonał. Żeby wiedziała, jak będzie dla niej najlepiej.

– Ochronicie nas oboje?
Kate zamilkła, markując namysł nad odpowiedzią. Zależało jej, żeby brzmiała możliwie wiarygodnie.

– Tak. Normalnie by tak nie było, ponieważ nie jesteście małżeństwem albo rodzeństwem, ale

ci ludzie to grube ryby. Dlatego możemy sobie na to pozwolić.

Vlatko skinął głową.

– W takim razie zgoda. Przywieziecie ją tutaj?

– Obecnie przebywa w bezpiecznym schronieniu aż do czasu, gdy zdołamy zmobilizować środki wystarczające, żeby ją bezpiecznie przetransportować. Zobacysz się z nią rano.

– Czyli zaczęliśmy na nią tutaj?

– Tutaj nie jest bezpiecznie. Na tę noc wrócisz do siebie do mieszkania, dwoje agentów będzie zaś czuwać w samochodzie na ulicy. Tak czy inaczej, nie ma się czego bać, tamci nie mają twojego adresu. Rano już będziecie razem, zabierzemy was do centrali i tam będziesz mógł ją namówić.

– Swietłana mówiła, żebym nie wracał do mieszkania.

Kate wzruszyła ramionami.

– Mogę jeszcze dziś zawieźć cię do centrali. Prześpisz noc na podłodze, rano będziesz wyglądał koszmarnie, a ciuchy będą ci śmierdziały jeszcze bardziej niż teraz. W takim stanie wolisz zobaczyć się z dziewczyną?

Vlatko przez moment się namyślał, podczas gdy Kate z uwagą przyglądała się tapecie na ścianie.

– W porządku, proszę pani. Pojedziemy do mnie do domu.

Zaledwie kilka minut zajęło mu wrzucenie cuchnących ubrań do plecaka. Uciekł z mieszkania niemal tak, jak stał. Po kolejnych dwudziestu minutach samochód Kate zatrzymał się pół przecznicy od lokalu, gdzie chłopak mieszkał.

– Jesteśmy na miejscu. Które to twoje mieszkanie? Widać je stąd?

– Tak, na szóstym piętrze. Pierwsze okno od lewej – powiedział, wskazując do góry.

– Zostawiłeś włączone światło?

– Obawiam się, że tak Kiedy Swietłana mnie ostrzegła, wyszedłem w wielkim pośpiechu.

– W porządku. Wsiadaj.

– A pani nie idzie?

– Nie chcę, żeby któkolwiek zobaczył nas razem. Idź spokojnie. Choć sam tego nie spostrzeżesz, inni agenci już teraz cię obserwują.

Młody spojrział na nią z niepokojem w oczach.

– Agentko Robson, zostanie pani na czatach?

– Już skończyłam moją zmianę. Muszę się trochę przespać.

– Czułby m się lepiej, gdyby i pani tu została.

– Prosisz mnie, żebym przez całą noc siedziała na dupie w samochodzie, podczas gdy ty sobie wygodnie śpisz w swoim łóżeczku? Chyba żartujesz. – Vlatko zawahał się przed wyjściem. – Na miłość boską, dobrze już. Zostanę. A teraz zmykaj.

– Dziękuję za wszystko, co pani dla nas robi, agentko Robson – powiedział z uśmiechem.

Wysiadł z samochodu.

– Vlatko – zawołała go przez okno.

Chłopak wrócił do samochodu.

Kate zawahała się przez moment. Było już jednak zbyt późno. Nie miała drogi odwrotu.

– Nic. Śpij dobrze.

Patrzyła, jak odchodzi do drzwi wejściowych do budynku. Niezgrabna, niemal dziecięca sylwetka. Miły chłopak, który pragnął tylko być ze swoją dziewczyną, pracować, skończyć studia. Przez dłuższy czas wpatrywała się w okno jego mieszkania, aż w końcu światło zgasło.

„Nie myśl. Nie myśl”.

Nie ma nic trudniejszego, jak zmusić się do niemyślenia. Kiedy siedzisz po ciemku w samochodzie na opustoszałej ulicy, pilnując drzwi niewinnego chłopaka w oczekiwaniu, aż pojawią się jedne z najgroźniejszych i najbardziej bezlitosnych istot ludzkich chodzących po tym świecie, zadanie to wydaje się niemożliwe.

A jeśli w tym momencie zadzwoni do ciebie osoba, wokół której skupiają się twoje przemyślenia, dusza może ci się wywinąć na lewą stronę.

– Davidzie, gdzie jesteś? Jak ci się udało zadzwonić?

Wróciłem do domu około dwudziestej pierwszej. Nie sam. Zgodnie z obietnicą McKenny na chodniku naprzeciwko zaparkował sedan z dwójką agentów Secret Service.

Byłem zmordowany, choć za sprawą cudownych pigulek vicodiny ból w klatce piersiowej ustał. Czuję się rozgrzany, oczy miałem napuchnięte i podrażnione. Potrzebowałem drinka i dwudziestu godzin snu. Kiedy jednak tylko zamknąłem za sobą drzwi wejściowe, zadzwonił telefon.

– Ładną sobie przygruchałeś eskortę – zauważył White.

Oparłem się plecami o drzwi i pozwoliłem grawitacji ściągnąć się w dół, siadając na podłodze.

– Sam pan widzi, marnotrawią pieniądze podatników.

– To komplikuje nam sprawy.

– Powinien mi pan podziękować za to, że uwolniłem nas od McKenny.

– Nie zrozum mnie źle, Dave. Spisałeś się dziś na medal. I ten drobny gest, kiedy pokazałeś agentowi telefon, pozwalając mi popatrzeć przez obiektyw kamery na jego kłeskę. To był akt geniuszu. Masz do tego dryg. Bardzo mi będzie przykro, gdy jutro nasza współpraca dobiegnie końca.

Byłem zbyt zmęczony, żeby go jakoś obrazić.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo.

– Idź się połóż i wygaś wszystkie światła, żeby ci z Secret Service uznali, że śpisz i osłabili trochę czujność. Równo o pierwszej wyjdź przez ogródek na ulicę za domem. Poczekaj, aż zjawią się moi ludzie.

– W porządku.

– Aha, Dave. Komórkę zostaw w domu. Nie sądzę, żeby ci kłocogłowi funkcjonariusze byli na tyle sprytni, żeby śledzić sygnał twojej komórki, ale teraz nie możemy ryzykować. Nie wtedy, kiedy jesteśmy tak blisko wygraney.

Rozłączył się, ja zaś postąpiłem zgodnie z poleceniem. Przynajmniej w znacznej mierze. Zostawiłem bowiem mojego iPhone'a, ale zabrałem ze sobą telefon, który otrzymałem od Kate. I wyszedłem z domu dwie minuty przed umówioną godziną. W końcu mogłem odejść od ukrytego w tym cholernym urządzeniu mikrofonu, aby porozmawiać z Kate.

Wszedłem na skarpę w ogrodzie i schowałem się za drzewem. Na ulicy nie było żywej duszy, nie było również słycać żadnych dźwięków poza odległym szmerem telewizora Salisburyskich, pary półgłuchych staruszków, którzy zawsze zasypiali na kanapie.

Schowany przed wzrokiem oprychów w zaimprovizowanej kryjówce, wybrałem numer Kate. Odebrała po drugim dzwonku.

– Davidzie, gdzie jesteś? Jak ci się udało zadzwonić?

– Na ulicy. Nie mam wiele czasu, przyjadą po mnie, żeby m się zobaczył z White'em.

– A twój telefon?

– Kazał mi go zostawić. Masz coś?

– Podążam za tropem, o którym wolę ci teraz nie mówić. Co się stało przez te ostatnie godziny?

Przedstawiłem jej krótkie podsumowanie, wspominając również o incydencie ze szcurem i o tym, jak White mógł słrzywdzić Julię jednym kliknięciem na wyświetlaczu iPoda.

– Nie dopuścimy, żeby to zrobił. Będiesz jutro na bloku operacyjnym?

– Tak. Ten dzień to był prawdziwy koszmar. Wczoraj nastąpiła zmiana planów, która niemal

niemożliwą realizację operacji.

– David, nie określaj tego „operacją”. Nazywaj rzeczy po imieniu: tu chodzi o morderstwo.

– Lepiej się przez to poczujesz? Ponieważ ja akurat nie.

– Prawie zawsze boli, kiedy robisz to, co słuszne, prawda, Dave? Sam tak kiedyś nie powiedziałeś?

– Naprawdę teraz chcesz o tym rozmawiać?

– Lepszej okazji teraz jakoś nie widzę, Davidzie. Za kilka godzin mogę już nie żyć.

Zwlekałem z odpowiedzią, podczas gdy w myślach wracał mi obraz nocy, w której do wszytkiego doszło. Julia właśnie położyła się spać, a Rachel miała nocną zmianę. Kate przyszła zobaczyć się z małą, korzystając z jednego ze swoich nielicznych wolnych dni. Zjedliśmy w trójkę kolację, jak przy wielu innych okazjach. Kate i ja napiliśmy się wina, jak przy wielu innych okazjach. Kiedy mała poszła do łóżka, pogadaliśmy jeszcze chwilę na kanapie na tarasie, jak przy wielu innych okazjach.

Znienacka Kate mnie pocałowała. To zaś zdarzyło się po raz pierwszy.

Supelnie mnie tym zaskoczyła, nie byłem w stanie zareagować. Od dziesięciu lat nie całował mnie nikt poza Rachel, dotyk ust Kate na moich wywołał we mnie jednak dziwne, wstrząsające odczucie. Gdzieś z dala od nas można było usłyszeć brzdęk czegoś, co się właśnie stłukło i czego nie sposób już było naprawić.

Nie odwzajemniłem pocałunku, ale także od niego nie uciekłem, nie wiem, czy ze strachu, czy też z zaskoczenia. Kate natychmiast jednak uzmysłowiła sobie, co zrobiła i czego ja do niej nie czułem, dlatego się odsunęła. Umierając ze wstydu, rzuciła winę na wino i uciekła. Następnego dnia zadzwoniła z przeprosinami. Powiedziałem jej, że jakkolwiek to będzie trudne, powinniśmy powiedzieć o tym Rachel.

Ponieważ prawie zawsze boli, kiedy robisz to, co jest słuszne.

– Kate, wiem, co robisz dla Julii – odparłem. – I jestem ci za to nieskończenie wdzięczny.

– Nie, Davidzie. Nie masz zielonego pojęcia. O tym, co zrobiłam i co niebawem zrobię.

Pod koniec zdania głos jej się załamał, przechodząc w żaloszny szloch. Słyszałem, jak bezgłośnie płacze, jakusiłuje wtłoczyć powietrze w płuca mimo więzjącego jej w gardle żalu.

– Bez względu na to, co się stanie, ty i ja nigdy nie będziemy mogli być razem, prawda, Davidzie?

– Jedyne, co ci mogę zaoferować, Kate, to prawda.

– To ją powiedz. Muszę to usłyszeć.

Cisza, która nastąpiła, nie mogła trwać dłużej jak kilka sekund, lecz na tej zimnej i opustoszałej ulicy była długa jak życie i głęboka niczym wszechświat.

– Nie możemy być razem.

– To ja pierwsza cię zobaczyłam – wyszeptala.

Zajął mi chwilę, zanim zrozumiałem, że odwołuje się do dnia, w którym Rachel i ja poznaliśmy się na imprezie studenckiej.

– Wiem, Kate. Kiedy jednak ją ujrzałem, nie mogłem już spojrzeć na żadną inną. Była tym, czego zawsze pragnąłem.

– Rozumiem. Bardzo odważna była z niej kobieta. Była najodważniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałam.

Nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– I mówi to ktoś, czyja praca polega na braniu na siebie pocisków przeznaczonych dla kogoś innego?

Kate zaśmiała się słodkim, ale smutnym śmiechem, który rozrywał duszę.

– Chronię innych, ponieważ nie jestem w stanie chronić samej siebie. Gdybym tak miała w sobie tego rodzaju odwagę, co ona. Davidzie...

– Co?

– Nigdy jej tego nie powiedziałeś. Nie powiedziałeś, że cię pocałowałam.

Nie, nie powiedziałem. Nie chciałem tworzyć między nimi rozłamu. Byłoby to coś brzydkiego, bolesnego i brudnego. Ponieważ się myliłem – i teraz już to wiem. Kiedy robiąc to, co słuszne, wyrządzasz krzywdę, być może powinieneś poszukać innej drogi.

– Nie powiedziałem.

– Żałujesz?

– Nie. Gdziekolwiek jest, zna prawdę.

– Ja chciałam jej powiedzieć. Ale się nie odważyłam. A potem odeszła bez zapowiedzi i teraz już nie mogę jej tego powiedzieć ani poprosić jej o wybaczenie.

– Kate, jeśli chcesz ją przeprosić, to znajdź Julię.

Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak obcesowo, ale słowa – ostre, obiektywne i bezlitosne – same wyszły mi z ust. Wiedziałem, że zламаłem jej serce, jeszcze zanim usłyszałem odpowiedź.

– Już wiem, że tylko tego ode mnie chcesz. Załatwione, Davidzie – odpowiedziała lodowatym tonem. I się rozłączyła.

Zanim zdołałem zadzwonić jeszcze raz, żeby ją przeprosić, w głębi ulicy zajaśniały reflektory samochodu z pomocnikami White'a.

– Zwróciłeś uwagę na Juanitę?

Kiedy w towarzystwie osiłków dotarłem do Marblestone Diner, White pił akurat kawę. Po raz kolejny byliśmy sami, jeśli nie liczyć Juanity.

– Co z nią?

– Dave, ta kelnerka nas pożąda. Obserwuje nas. Nasza mała kandydatka do „American Idol” zwraca na nas uwagę, poprawia sobie włosy, kiedy na nas spogląda. I nie pojmuję, że nigdy, przenigdy nie zwrócilibyśmy uwagi na kogoś takiego jak ona, na taką krowę bez studiów czy obycia.

Nie raczyłem nawet odpowiedzieć na ten obrzydliwy komentarz.

– Proszę mnie nie wrzucać ze sobą do jednego worka.

– Proszę, to teraz przestały ci pasować zaimki w liczbie mnogiej?

– Doskonale wiem, kim pan jest. I nie ma pan ze mną nic wspólnego. Ani z nikim innym.

White wybuchnął śmiechem. Skurwysyn był w szampańskim nastroju.

– Proszę! Mechanik od głów spostrzegł, co jest u mnie nie tak? Dostrzegł usterkę w moim układzie limbicznym, w mojej korze przedczołowej? Sądzisz, że jako chłopczyk siusiałem do łóżka i podpalałem rzeczy? Podejrzewasz, Dave, że w moim budynku zniknęły koty?

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Mylisz się, Dave. Możliwe, że według zwykłych standardów jestem tym, co rozumiesz pod pojęciem psychopaty. Wierz mi jednak, to nie ja mam problem. To wy wszyscy macie ograniczenia. A ty jutro je pokonasz.

Postanowiłem, że powinienem spróbować jeszcze raz.

– White, dlaczego pan nie poczeka? Nawet jeśli operacja się uda, to on niebawem umrze. Nie sądzę, żeby dożył do końca kadencji.

– Nic nie rozumiesz. Zdawało mi się, Dave, że ty akurat jesteś lepszy od tej całej reszty. Ludzie za dużo myślą. Zawsze rozważają mnóstwo rozmaitych scenariuszy, co za dziesięć lat, co za dwadzieścia lat, niebo, piekło, konsekwencje, ple, ple, ple. Juanita, prosimy więcej kawy!

Uśmiechnął się i podniósł leżący na stole widelec. Trzy zęby srebrnego sztućca błysnęły w świetle żarówek.

– Ale to, co ważne, co prawdziwe, Dave, to jest tu i teraz. Ta konkretna chwila. Nie ma nic więcej, nie istnieje żadna chwila poza obecną. Ten widelec jest prawdziwy, ten moment jest prawdziwy. Mówisz, że niebawem umrze, nie rozumiejąc, że mój zleceniodawca wymaga, aby umarł już teraz. Już.

Juanita podeszła do nas, uzbrojona w dzbanek kawy i uśmiech. Nachyliła się nad moją filiżanką i zaczęła ją napełniać gęstym i gorącym napojem.

– Istota ludzka osiąga pełnię swojego potencjału, kiedy jest w stanie całkowicie i natychmiast zaspokoić swoje potrzeby bez chwili wahania – zakończył myśl White.

W tym momencie podniósł się lekko z siedzenia, lewą ręką chwycił Juanitę za kark i uderzył jej głową o stół. Czoło biednej kelnerki w chwili zderzenia z drewnianym blatem wydało ledwie słyszalny odgłos w porównaniu z brzdękiem filiżanek, które podskoczyły na talerzykach. Prawą ręką, w której trzymał widelec, White dźgnął Juanitę u podstawy czaszki. Widelec zagłębił się aż po rękoność w miękkiej tkance, sięgając rdzenia przedłużonego i zabijając ją na miejscu. Nogi Juanity się ugięły, jej członki przemieniły się w galaretę. Dzbanek z kawą roztrzaskał się na

kawałki o podłogę, także czyniąc więcej hałasu niż ciche, głuche tąpnięcie, jakie wydało opadające ciało kelnerki.

Tak po prostu, najzwyczajniej w świecie. Chwilę wcześniej obok mnie stała sympatyczna i uprzejma osoba. Niespełna trzy sekundy później została z niej miazga z mięsa i kości leżąca w kałuży z kawy.

White na wykrochmalonych mankietach swojej koszuli miał zaledwie kilka kropeł krwi. Wziął serwetkę z metalowego stojaka na stole i spróbował je wysuszyć, ale bez większego powodzenia.

– Masz ci los. To się nie spierze. Będzie trzeba wyrzucić – skonstatował z wyraźnym podenerwowaniem.

A ja? Co ja zrobiłem w ciągu tych trzech sekund, gdy na moich oczach unicestwiono istotę ludzką?

Absolutnie nic.

Możemy powiedzieć, że wszystko stało się tak szybko, że byłem wyczerpany, że przerażenie mnie sparaliżowało. Wszystko to prawda, ale przez ostatnie miesiące dużo o tym myślałem. A gdybym kilka minut wcześniej wiedział, co się zdarzy? Czy to by coś zmieniło, gdybym ją ostrzegł?

Nie wiem.

Nie wiem i mnie to przeraża, być może bardziej niż cokolwiek, co zdarzyło się wcześniej czy miało nastąpić nazajutrz. White bowiem wygrał. Doprowadził mnie do stanu, w którym przeciwstawne siły moralności i konieczności się wyzerowały.

– Wiem, dlaczego pan to zrobił – powiedziałem, kiedy zdołałem się pozbierać.

White przestał walczyć z krwawymi bryzgami na koszuli i uważnie mi się przyglądał.

– Dlaczego to zrobiłem, Dave?

– Właśnie wyeliminował pan jedynego świadka, który widział nas razem.

– Zgadza się. Miałem potrzebę i ją zaspokoilem. Teraz czuję się spokojniejszy.

– A co ze mną? Widziałem pańską twarz. Mógłbym opisać każdy por pańskiej odrażającej cery. Zdecydował już pan, w jaki sposób mnie zabije, kiedy będzie już po wszy stkām?

Młasnął dyskretnie językiem na znak dezaprobaty. Przypominał wykładowcę udzielającego studentowi reprimendy.

– Dave, mój drogi. Przerwanie twojego istnienia napęłniłoby mnie ogromnym spokojem. Wierz mi, najajmniej mnie nie cieszy, że wiesz, kim jestem i czym się zajmuję. Łączą nas jednak powiązania. Jutro po południu cały świat będzie znał twoje imię. Wyeliminowanie cię zanadto zwróciłoby uwagę. Byłoby to za dużo jak na zbieg okoliczności.

Argumenty zdawały się ogromnie wiarygodne, choć ani przez chwilę mu nie uwierzyłem. W tym momencie jednak, zaledwie siedem godzin przed rozpoczęciem operacji, mój los zupełnie mnie nie obchodził.

– Jak mam to zrobić?

– Już myślałem, że nigdy nie zapytasz.

Położył na stole walizeczkę, którą do tej pory trzymał obok siebie na siedzeniu. Otworzył ją i wyłożył na dłoń jej zawartość – dwie srebrne torebki z czarnymi napisami, rozmiarem i kształtem przypominające opakowania cukierków M&M's.

– Teraz rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiałem. Ten inteligentny skurwiol właśnie zapewnił mi niezawodny sposób na zabicie prezidenta na oczach tuzina osób, które niczego nie będą podejrzewać.

– Jak pan zdołał tak idealnie je wykonać? – dociekałem zdumiony.

– To już moja słodka tajemnica. Dokładne skopiowanie torebek było łatwe. Znacznie trudniej było zadbać, żeby odpowiednia torebka znalazła się we właściwym miejscu.

W rękę trzymał torebki gliadelu. Każda z nich zawierała cztery niewielkie płatki z rozpuszczalnej substancji, wielkości dwudziestopięciocentówki. Każdy płatek kosztował ponad tysiąc dolarów, były bowiem w stanie zdziałać magię, dopełniając dzieła neurochirurga. W miejscu, gdzie dopiero co wykonaliśmy cięcie, zakładaliśmy jedno z takich cudeniek, stanowiących lokalną dawkę chemioterapii. Za osiem tysięcy dolarów ekstra (od pacjenta liczyliśmy sobie trzy razy tyle) byliśmy w stanie wydłużyć życie pacjenta, spowalniając odtworzenie się glejaka.

Rzecz jasna, te akurat płatki nie miały spełnić swojej funkcji.

– Co zawierają?

– Bardzo nietypową toksynę, która działa w kilka minut. Dla twojego dobra lepiej, żebyś nie wiedział, jak się nazywa.

Wszystko to miało sens. Kiedy prezydent umrze, dokonają sekcji zwłok biorąc jednak pod uwagę, że zgon nastąpi podczas operacji, autopsja nie będzie zbyt szczegółowa. Nawet w najgorszym wypadku, aby wykryć obecność danej toksyny, trzeba szukać akurat konkretnie jej. Same w wynikach się nie pojawiają. Związek spoza listy typowych podejrzanych substancji będzie właściwie nie do wykrycia.

– Nie wiem, czy zdołam zamienić prawdziwe torebki na te.

– Lepiej dla ciebie, żebyś coś wymyślił. Bo jeśli jutro mnie zawiedziesz, Dave, nie pozwolę, żebyś mała się udusiła. Nie kliknę nawet przy cisku uwalniającego szczury. To nastąpi tylko w mało prawdopodobnym wypadku, gdy nie będę w stanie wymierzyć bardziej fantazyjnej kary. Jaka pasowałaby do Julii?

Zrobił krótką pauzę, pociągając za dolną wargę i udając, że się namyśla.

– Już wiem... Mam klienta z Emiratów Arabskich, szefka o specyficznych upodobaniach. W swoim pałacu ma ukrytą ogromną komnatę, udekorowaną jaskrawymi barwami i całkowicie dźwiękoszczelną. Wewnątrz znajduje się karuzela i maszyna do robienia waty cukrowej. Twoja córka wystarczy mu na długie tygodnie, Dave.

Okropieństwo tego, co właśnie mi powiedział, zmroziło mi serce.

– Posłuchaj mnie, White. Może mi pan zrobić, co się panu żywnie podoba. Wiem, że i tak pan to zrobi. Jeśli jednak jeszcze raz skrzywdzi pan moją córeczkę, to lepiej dla pana, żeby zabił mnie pan najpierw. Ponieważ nie ma takiego miejsca na Ziemi, gdzie zdołałby się pan przede mną ukryć.

White posłał mi błogi uśmiech, delikatny i protekcyjny.

– Idź się wyspać, Dave. Jutro wielki dzień. Aha, wychodząc, nie potknij się o ciało Juanity.

KATE

Ostatnie zdanie wypowiedziane przez Davida wciąż pobrzmiwało jej w głowie w pętli poczucia winy i wyrzutów.

– Jeśli chcesz ją przeprosić, to znajdź Julię.

Czy miała czego żałować? Pewnego wieczoru, gdy obniżyła czujność i czuła się wyjątkowo kiepsko, pocałowała własnego szwagra. Nigdy nie posunęła się do czegoś więcej, nawet w najintymniejszych wyobrażeniach. Za bardzo szanowała siostrę.

Nie, nie mogła czuć się winna tego, że zakochała się w Davidzie. Zdradziłaby tym samym samą siebie. Takie sformułowanie myśli stanowiło z jego strony paskudny gest.

„Gdybyś wiedział, Davidzie, co zaraz dla ciebie zrobię, wówczas byś mnie pokochał? Czy poczułbyś tę samą odrazę, jaką sama czuję teraz względem siebie?”

Noc posuwała się naprzód, światło księżycy ledwie docierało na ten fragment ulicy skryty między budynkami. Ciemność tym wydatniej akcentowała niewielkie wysepki światła tworzące się pod nieprzepalonymi latarniami, te ostatnie były zaś w mniejszości.

Kate poprawiła się na fotelu. Było jej niewygodnie. Choć pochyliła siedzenie w tył, po wielu godzinach przebywania właściwie bez ruchu fotel uwierał ją w całe ciało. Wyszła jedynie, żeby się wysikać między samochodami, i niezwłocznie wróciła na stanowisko obserwacyjne, obawiając się, że ktoś mógłby dostrzec jej obecność. Nic się jednak nie działo. Przez ostatnią godzinę nie przejechał choćby jeden samochód.

Dało to Kate mnóstwo czasu, żeby pogrążyć się w rozmyślaniach, które wbijały jej się w serce, jak gdyby tarzała się nago po tłuczonym szkłe.

Słowa Davida wyrządziły jej krzywdę, zarazem jednak pomogły jej otworzyć oczy.

„Od jak dawna próbuję dogonić cień? Ile lat znarnowałam, oszukując samą siebie, wmawiając sobie, że najważniejsza jest moja praca, kiedy w rzeczywistości nie chciałam być z nikim oprócz niego?”

Jakkolwiek bolesne były te pytania, istniało również jedno, które raniło ją bardziej niż wszystkie pozostałe razem wzięte.

„Czy kiedykolwiek w życiu byłam naprawdę szczęśliwa?”

Ściągnięcie Vlatka do jego mieszkania było strzałem na oślep, ostatnią szansą na namierzenie porywaczy Julii, zanim nadejdzie poranek i będzie za późno. Wiedziała, że desperacko go szukają, stanowił bowiem jedyne powiązanie między Swietaną a nimi. Z tego, co wiedziała o *modus operandi* tych łotrów, korzystali z nowoczesnych technologii, aby przy ograniczonych zasobach ludzkich pilnować możliwie rozległego obszaru. Tak więc można się było domyślać, że w mieszkaniu Vlatka zainstalowali urządzenia monitorujące. Jeśli zaś to uczynili, powrót chłopaka musiał uruchomić nieuchronny łańcuch wypadków.

Kate pogładziła broń przez ubranie. Jej ciężar, który zazwyczaj działał na nią uspokajająco, teraz zdawał się nie do wytrzymania. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z jej przewidywaniami, będzie musiała stawić im czoła. Ona sama przeciwko wykształconej, bezlitosnej grupie, która nie przestrzegała żadnych norm i która miała nad nią przewagę liczebną.

„Nie mam żadnych szans. Umrę dziś. Umrę, nie wiedząc, czy kiedykolwiek w życiu byłam szczęśliwa”.

I nagle odpowiedź objawiła jej się z oślepiającą jasnością. Niczym grom z jasnego nieba

napłynęło pewne wspomnienie.

Przed dwoma laty Julia i Kate były latem w ogrodzie Evansów i bawiły się, rzucając do siebie piłkę. Purpurowa piłka na trawniku, śmiechy, odgłos spryskiwaczy pracujących u sąsiadów. Spocona skóra, zapach chloru, smak prażonej kukurydzy i lodów. Muzyka rockowa, która dobiega nie wiadomo skąd, piosenka lekka jak powietrze, na tyle blisko, żeby podkreślić atmosferę chwili, ale wystarczająco daleko, żeby w biegu słyszały własny oddech. Obie padają na trawę i patrzą w niebo, a ich uszy się stykają. Szepcą sobie zwierzenia, żartują i odgadują kształty chmur.

I wówczas Julia mówi:

– Ciociu Kate, jak będę duża, chcę być taka jak ty.

Kate szczęka opada ze zdumienia. Nikt nigdy czegoś takiego jej nie powiedział. Z taką przytłaczającą i bezpośrednią pewnością.

– Nie wolisz być jak mama? Albo jak ktoś naprawdę ważny, czy ja wiem... SpongeBob Kanciastoporty?

Julia patrzy na nią jak na wariatkę.

– Chyba żartujesz? SpongeBob jest głupi jak but.

– Sądziłam, że go lubisz.

– Jest śmieszny, ale nie chcę być taka jak on.

– Dobrze, a co powiesz o mamie?

– Mama jest genialna. Jest naprawdę super. Ale ty, ciociu Kate, jesteś ekstramegasuper. Mama zawsze to powtarza.

– Naprawdę? Co mówi mama?

– Mówi, że jesteś najbardziej niesamowitą osobą na świecie. I ja także tak sądzę.

Julia podnosi rączkę umazaną w lodach i gładzi ją po policzkach. Jej niebieskie oczy są niczym iskra elektryczna, głębokie i doskonałe.

– Bardzo cię kocham, ciociu Kate.

„Tego dnia. Tego dnia byłam w pełni, absolutnie szczęśliwa. Warto było żyć choćby nawet tylko po to, żeby przeżyć tamto popołudnie, tamtą chwilę”.

Oparła głowę o okno, z ulgą odczuwając zimno szyby na czole. Mgiełka jej oddechu osiadła na szkle i Kate narysowała na niej palcem uśmiechniętą buzię dziewczynki.

„Julio, ty nie należysz do tego świata. Twój świat to świat zabaw, lalek i bezpieczeństwa, w którym wystarczy koldra, żeby całą noc chronić cię od potworów. I już ja zadbam o to, abyś do tego świata wróciła”.

Uśmiechnięta buźka zniknęła, w miarę jak wilgoć odparowywała z szyby. Kate ponownie uniosła się na siedzeniu, aby chuchnąć na szło, ale tego nie zrobiła. Zanim narysowana buzia całkiem wyparowała, jej oczy zaświeciły się widmowym blaskiem pochodzącym od światła samochodowych reflektorów.

Kate zapadła się w fotelu. Samochód zbliżał się bardzo powoli, jego silnik mrucał niespiesznie. Zerkając w lusterko wsteczne, oceniła po kształcie reflektorów, że musi to być zagraniczna marka, prawdopodobnie mercedes. Kiedy zrównał się z jej samochodem, poruszał się już z wyłączonym silnikiem i wygaszonymi światłami, podążając naprzód wyłącznie za sprawą spadku ulicy.

„To oni. Kurwa, to oni!”.

Wyciągnęła i odbezpieczyła pistolet, starając się jak najmniej poruszać. Kiedy mercedes przejechał obok niej, przez okna od strony kierowcy zdołała dojrzeć kilka ciemnych sylwetek

„Jest ich trzech. Może czterech. Z pewnością ktoś siedzi na fotelu obok kierowcy”.

Samochód minął jej pozycję i przejechał jeszcze dziesięć do dwunastu metrów za miejsce, w którym zaparkowała. Usłyszała zgrzyt, po czym poznała, że kierowca zaciągnął hamulec ręczny. Rozległy się dwa trzaśnięcia drzwi, ze swojego miejsca Kate nie była jednak w stanie dojrzeć, co się działo przy mercedesie. Dostrzegła jednak dwa ciemne cienie, które wyłoniły się jakby znikąd, gdy zaś dotarły pod latarnię, która oświetlała wejście do budynku Vlatka, przybrały formę dwóch mężczyzn w czarnych kurtkach.

Kate ułożyła pistolet na podolku i zmusiła się do chwycenia oburącz za kierownicę. Jej instynkt, jej wyszkolenie, jej ciało – wszystko się domagało, żeby wysiadła z samochodu i ruszyła do akcji. Niemal nieświadomie rozważyła dwie możliwe taktyczne drogi podejścia ze swojej pozycji ku podejrzanym.

Wiedziała, że może to zrobić, że może jej się to udać.

„Mogę również zawieść. Możliwe, że z jednym z tych dwóch mężczyzn z samochodu wysiadł także trzeci. Może stać teraz za drzewami albo przy wejściu do budynku, zabezpieczając tym samym drogę odwrotu. Możliwe również, że kierowca ma włączoną radiostację. Albo, co gorsza, możliwe, że żaden nie przeżyje. Albo któryś przeżyje i zdołam go schwytać, ale nie zdążę na czas wydobyc z niego informacji. A jeśli nie wrócą, White się o tym dowie”.

Wszystkie te argumenty były zbędne. Raz, drugi i tysięczny rozważyła je już bowiem w myślach przez ten czas, gdy tkwiła w tym miejscu, obserwując obiekt niedostępny komuś działającemu samodzielnie i słabiej uzbrojonomu niż te bestie. I dlatego, że mimo wszystko podjęła już decyzję.

„Davidzie, gdybyś wiedział, co dla ciebie zrobić”.

Tyle tylko, że nigdy nie będzie wiedział, ponieważ ona nigdy do tego nie dopuści. Był to kielich goryczy, który musiała wypić sama, opróżniając go aż po dno.

Zmusiła się do spojrzenia w okno Vlatka, ściskając kierownicę tak mocno, że pobielały jej kostki. Kiedy mrok pokoju chłopaka rozerwały dwa krótkie i suche rozbłyski, ciało Kate niczym echo odpowiedziało dwoma niekontrolowanymi wstrząsami.

„Użyli tłumika” – złapała się na myśli.

Zamknęła oczy, czując, jak dwie łyżycy uciekają z nich i spływają po policzkach, pozostawiając mokry ślad w miejscu, gdzie lepkie palce Julii pogładziły ją, gdy mała powiedziała, że ją kocha. Spróbowała przywołać to wspomnienie, ponownie poczuć ich dotyk, aby uciec od mrocznej przepaści, jaka rozdzierała jej się pod stopami, grożąc, że pochłonie ją na wieczność.

Powstrzymała szloch, ze wszystkich sił starając się opanować.

„Później popłaczesz. Później rozzalisz się nad sobą. Jak chcesz, możesz sobie nawet wpaковать kulkę w ten pierdolony łeb. To jednak później, teraz się skup. Skup się!”.

Ponownie otworzyła oczy. Akurat w porę, mordercy wracali już bowiem do mercedesa. Zamruczał silniki i zanim drzwi zdążyły się domknąć, odjechali.

Kate się upewniła, że ma wyłączone światła, i kiedy tamci pokonali kilka przecznic, uruchomiła silnik. Zakręciła kierownicą i ruszyła za nimi, wierzchem dłoni ocierając z twarzy łzy.

GODZINA PRZED OPERACJĄ

Świelłówka w sali przedoperacyjnej migała co osiem czy dziewięć sekund, doprowadzając mnie do szału. Kilkakrotnie uderzyłem łokciem we włącznik Szuczka ta zwykła załatwiać sprawę. Nie tym razem.

– Już od tygodnia tak wariuje. Zgłaszałam technicznym, żeby ją wymienili, ale mnie olali – powiedziała Sharon Kendall, nie podnosząc głowy. Oparta o ścianę przy drzwiach na korytarz, wczytywała się uważnie w historię choroby pacjenta.

– To tylko pacjent – przypomniałem. – Waga ciała, wzrost, historia kliniczna – wszystko to, co czytasz, jest prawdziwe. Tyle tylko, że nazywa się inaczej niżbyś się tego spodziewała.

– Jestem spokojna – powiedziała, kręcąc głową.

Nieprawda. Miała poważną, skupioną minę i przygryzała dolną wargę. Wciąż nie przyswoiła informacji, którą przekazałem jej chwilę temu, podobnie jak reszcie zespołu. Początkowo wszyscy sądzili, że ich nabieram, że to jedyny żart w kiepskim guście. Kiedy spostrzegli, że moje oblicze ani drgnęło, i zrozumieli, że to prawda, wszyscy spróbowali zamarkować spokój. Padło kilka okrzyków, ktoś podrapał się po głowie, ale nic poza tym. Jeśli jest coś, czego fachowiec z bloku operacyjnego się boi, to są to VIPy. Czy to będzie adwokat specjalizujący się w pozwach, czy siostra szefowej, jeśli ktoś ci zapowiada, że jakiś pacjent jest szczególnie i zasługuje na szczególne traktowanie, wiadomo, że będą kłopoty. Nazywamy to syndromem poleconego i jest to czynnik, który ogromnie zwiększa ryzyko spartolenia zabiegu.

Niemniej jednak ludzie ci byli pierwszorzędnymi mi profesjonalistami, tworzyli najlepszy zespół, o jakim można było pomarzyć, i tego dnia to udowodnili. Prawdopodobnie po wszystkim mogli uświadomić sobie skalę zadania, w danym momencie adrenalina nie pozwoliła jednak, aby nerwy wzięły w nich górę. Decyzja, żeby do ostatniej chwili powstrzymać się z ich wtajemniczeniem, okazała się trafiona.

Byłem od nich zresztą bardziej podenerwowany. Wbrew wszelkim przewidywaniom, minionej nocy zdołałem przespaać kilka godzin, o ile padnięcie na łóżko z wyczerpania można uznać za położenie się spać. Wstałem o wpół do siódmej, wziąłem szybki prysznic i pojechałem do szpitala, cały czas zastanawiając się nad tym, w jaki sposób doprowadzić do realizacji plan White'a. A także nad czymś znacznie groźniejszym. Kate przysięgła, że jeśli nie zdoła odnaleźć Julii przed rozpoczęciem operacji, zatelefonuje do McKenny i o wszystkim mu opowie.

Do ustalonego terminu brakowało niespełna godziny, ja zaś nie miałem od niej żadnych wieści. Mój iPhone pozostał w moim gabinecie, podobnie jak smartfon BlackBerry od Kate. Wytchnienie od nadzoru ze strony White'a miało mi dać to, że na bloku operacyjnym obowiązywał zakaz posiadania telefonów komórkowych, nie było również gdzie ich ukryć.

Miałem na sobie mój najlepszy strój chirurga i szczęśliwy czepek. Teoretycznie chodzi tylko o kawałek tkaniny, który ma nie dopuścić, żeby włosy lub krople potu spadły nam w otwartego pacjenta, tak więc powinno nadać się cokolwiek. Neurochirurdzy pod względem wiary w przesady biją jednak na głowę szamanów i baseballistów. Tak więc wybrałem spersonalizowany czepek chirurgiczny z czarnej tkaniny, z wyszytym z przodu na samym środku tygrysem bengalskim z otwartą paszczą. Mam kilkadziesiąt takich fatalaszek z przeróżnymi wшыzywaniami w rozmaitych kolorach, od żółwi po logo Supermana. Ten czepek Rachel lubiła najbardziej. Nigdy mnie nie zawiódł.

Zamysłony, przesunąłem palcami po hacie, przypominając sobie wszystkie te okazje, kiedy

razem pracowaliśmy na bloku. Kiedy wspinała się na palce i dyskretnie całowała mnie w tygrysa, żeby przywołać szczęście.

„Co za ironia, że wkładam go teraz, przed jedyną operacją, która ma mi się nie udać” – pomyślałem.

Oparłem się o ścianę i usłyszałem metaliczny chrzęst spreparowanych torebek z gliadelem. Wystraszyłem się na myśl, że Sharon mogła to usłyszeć, w dalszym ciągu wczytywała się jednak w historię choroby pacjenta. Torebki miałem ukryte za plecami, wsunięte za gumkę od spodni, gdzie wyczekiwały, aż znajdę odpowiedni moment, żeby podłożyć je w miejsce prawdziwych.

Po drugiej stronie okrągłego okienka w drzwiach prowadzących na korytarz powstało poruszenie. Oboje się wyprostowaliśmy. Oto nadszedł prezydent, a za nim agenci Secret Service. Podeszedłem do drzwi i otworzyłem.

– Tylko pan. Oni niech zaczekają na zewnątrz.

Rozległy się chóralne protesty, które prezydent zdławił gestem ręki.

– Dzień dobry, doktorze Evans. Proszę im wybaczyć, są bardzo podenerwowani. Zmusiłem ich, żeby przywieźli mnie tutaj w zwykłej terenówce, cała kolumna liczyła raptem trzy pojazdy. Dla nich to tak, jakby wyszli na ulicę bez ubrania.

Dla reszty szpitala oznaczało to szaleństwo. Wprowadzili go przez windę na zapleczu kliniki, ale całe drugie piętro, gdzie mieszczą się wszystkie sale operacyjne, zostało opróżnione trzy godziny wcześniej. Tego ranka w Saint Claire miała być operowana tylko jedna osoba. Agenci ubrani po cywilnemu pilnowali wind i klatek schodowych, nie dając nikomu wejść. Członkom personelu spoza wybranego zespołu przesłano okólnik, w którym informowano o planowanej dezynfekcji bloku operacyjnego przy użyciu środków toksycznych. Dzięki temu wolni trzymać się z dala od szpitala i cieszyć cię miłym dniem.

– Musimy zachować sterylność tej strefy, proszę pana.

– Rozumiem. Zostaną tutaj.

Daliśmy mu nieco prywatności, aby przebrał się za parawanem w niebieski strój, jaki dajemy pacjentom. Kiedy wróciliśmy do pomieszczenia, siedział na ławeczce z nogą założoną na nogę. Zdarza się to wielu pacjentom. Tak bardzo są przejęci tym, co ich niebawem czeka, że nagle zapominają, że nie mają na sobie bielizny.

– Sir – odezwałem się. – Może zechciałby pan ułożyć nogi w nieco mniej odsłaniający sposób?

Natychmiast zdał sobie sprawę, o co mi chodzi, i pospiesznie złączył nogi.

– Ach. Ach, jasne! Przepraszam panią – zwrócił się do Sharon.

– Nic się nie stało, proszę pana. Jesteśmy lekarzami, przywykliśmy.

Zachowała niewzruszone oblicze, dobrze ją jednak znałem, podejrzewałem więc, że przed upływem tygodnia będzie się przechwalać przed przyjaciółkami, że widziała ptaszka prezydenta.

– Powinien się pan także owinąć kocem, który panu daliśmy.

– Nie jest mi zimno.

– To będzie bardzo długa operacja na sali, gdzie będzie bardzo chłodno. Pana organizm będzie wytracał ciepłość. Nawet niewielki spadek temperatury może osłabić pańską zdolność do obrony przed infekcjami. Proszę się zatem owinąć.

– Zabrzniął pan jak moja żona. W porządku, zastosuję się.

Opatulił się kocem.

– Gdzie jest Pierwsza Dama? – zapytałem.

– Odwraca uwagę prasy. Przez cały rano będzie pokazywała się publicznie na mieście, rozdając uśmiechy i całym sercem żałując, że nie może być tutaj. Ale tak już musi być.

– Domyślam się, że będzie jej z tym bardzo trudno.

– To był jej pomysł. Nikt nie powinien wiedzieć o tym, co się dzieje. Uprzedziłem prokuratora generalnego i wiceprezesa, który przejmie odpowiedzialność za kraj na czas, gdy będę pod wpływem narkozy. O niczym jednak nie powiem, dopóki nie będzie po operacji. Przy okazji, żona każe przekazać panu wiadomość.

– Jaką wiadomość, sir?

– Brzmiało to dokładnie: „Proszę go wyleczyć albo pana zabiję”. Powiedziała, że pan będzie wiedział, o co jej chodzi.

Roześmialiśmy się wszyscy. Nawet ja, chcąc zamaskować, że poczułem się jak podły zdrajca.

Zostawiłem Sharon, która przekazywała mu ostatnie polecenia i zadawała rutynowe pytania, i dyskretnie wyszedłem tyłem. Między salą przedoperacyjną i wahadłowymi drzwiami prowadzącymi na salę operacyjną numer dwa był korytarz, naprzeciw którego znajdowały się umywalnia i drugie wejście. Teoretycznie nikt nie powinien wchodzić na salę operacyjną, jeśli nie był sterylny, ja jednak nie miałem chwili do stracenia. Pielęgniarki i reszta zespołu miały zjawić się dosłownie za moment. Minąłem umywalki i przez tylne wejście dostałem się na salę operacyjną.

Dwójka to największa sala operacyjna w Saint Claire i jedna z najnowocześniejszych na świecie. Każdy, kto tam wejdzie, doznaje natychmiastowego szoku. Gdy się idzie przez dziewiętnastowieczny budynek szpitala, jego duże przeszkłone okna i wiktoriańska atmosfera wzbudzają pewne uczucia, przywołują skojarzenia ze starymi lekarzami o krzaczystych brwiach i gęstych brodach, z nacieraniem masćmi i z pijawkami w szklanych słojach. Następnie wchodzi się na dwójkę i czujesz się tak, jakbyś nagle przeszkoczył trzy sta lat do przodu i znalazł się w mokrym śnie Steve’a Jobsa. Ściany, wyposażenie, wózki – wszystko w tym pomieszczeniu jest idealnie białe, o delikatnych i zaokrąglonych liniach. Ogromne zrobotyzowane ramię, mierzące dwa metry wysokości i ważące trzy tony, kontroluje stół operacyjny, pozwalając ustawić pacjenta w dowolnej pozycji, jaką tylko można sobie wyobrazić. Na świecie są jedynie trzy takie urządzenia.

Na drugim krańcu tej fantazji rodem ze Star Treka znajdował się skromny wózek instrumentariuszki. W drugiej szufladzie powinny leżeć torebki z gliadelem.

Spojrzałem w górę, w stronę kopuły z galerią. W salce obserwacyjnej rozmawiało kilka osób. Stały odwrócone do mnie bokiem, pod warunkiem więc, że zadziałałbym dostatecznie szybko, nie mogły mnie dostrzec. Wszedłem w stronę wózka, kiedy zaś do niego podszedłem, odwróciłem się plecami. Wszędzie były rozmieszczone kamery, to zaś, co działo się na dole, miało być transmitowane na monitorach u góry. Nie wiedziałem, czy kamery już nagrywają – teraz, rzecz jasna, już to wiem – ale nie chciałem swoimi poczynaniami zwrócić niczyjej uwagi. Lewą ręką wyciągnąłem torebkę zza pleców, podczas gdy prawą po omacku szukałem brzegu drugiej szuflady. Przesuwając opuszkami palców, zdołałem otworzyć ją na kilka centymetrów. Wsunąłem dłoń, starając się namacać rozpoznawalne w dotyku torebki. Były. Chwyciłem je między palec wskazujący a serdeczny, drugą ręką wkładając te, które przyniosłem.

– Doktorze Evans!

Głos McKenny rozbrzmiał przez głośniki łączące salę operacyjną z galerią niczym uderzenie bicia.

Z przejęcia cały się wzdygnąłem. Podejrzewam, że nie muszę tego opisywać, stosowne kadry powtarzano w telewizji przed, w trakcie i po zakończeniu mojego procesu. Moment, w którym zły doktor dokonywał zamiany, ale przeszkodził mu dzielny dowódca zespołu ochraniającego prezesa.

– Ściszcze to, na miłość boską! Chce pan, żebym tutaj ogłuchł?

Na obrazkach w telewizji nie było jednak widać tego, co działa się za moimi plecami. Tego, jak wystraszony wypuściłem spomiędzy palców prawdziwe torebki. Te spreparowane zdążyłem już podłożyć, tak więc w szufladzie leżały teraz wszystkie cztery, wymieszane.

– Doktorze, ma pan chwilkę? Chciałbym przedstawić pana komitetowi ekspertów. Dzięki temu będzie pan później rozpoznawał ich głosy.

Zacząłem się denerwować. Poczułem, jak tętno dudni mi w szyi, żołądek zaś opanowało coś, co jeśli nawet nie było paniką, to bardzo ją przypominało. Jak, do licha, mam rozpoznać oryginalne torebki i je stamtąd wyciągnąć? Nie mogłem się odwrócić i pozwolić, żeby zobaczyli, jak dotykałam wózka. Nie miałem rękawiczek ani nie wysterylizowałem sobie rąk. Gdyby ktoś powziął podejrzenie, że wózek uległ zanieczyszczeniu, wszystko by się opóźniło. A Julii zabrakłoby powietrza.

– Zaraz przyjdę. Chcę się upewnić, czy wszystko jest na swoim miejscu.

– Proszę, niech się pan pośpieszy.

Czułem na sobie spojrzenia pozostałych osób, które towarzyszyły McKennie tam, na górze. Ja byłem pozornie spokojny i rozglądałem się dookoła, jakbym dokonywał ostatniego przeglądu sali. W głowie pracowałem jednak nad rozwiązaniem problemu. Jak wyciągnąć właściwe torebki?

I wówczas na to wpadłem. Po temperaturze.

Wsunąłem palce aż po kostki i namacałem torebki – co jest znacznie trudniejsze niż się wydaje, gdy robi się to tyłem, z dłońmi wygiętą ku górze i ze świadomością, że obserwuje cię wiele par oczu. Zdołałem odróżnić te zimne od tych, które ponad pół godziny nosiłem przy plecach. Zimne wyciągnąłem i schowałem do spodni.

– Doktorze?

– Już idę.

Zmierzając ku schodom prowadzącym do salki obserwacyjnej, wyrzuciłem prawdziwe torebki do kosza na śmieci. Poczułem lekkie zawroty głowy, mieszaninę napięcia, euforii i poczucia winy. Gdybym był sam, wybuchnąłbym histerycznym, szaleńczym śmiechem. Tkwił mi on w gardle niczym na poły przeżuty kawałek jedzenia, który utrudnia ci oddychanie. Musiałem dwukrotnie odchrząknąć, zanim byłem gotów zapukać do drzwi salki obserwacyjnej.

Otworzył mi McKenna. Pomieszczenie było niewielkie, miało zaledwie dziesięć metrów kwadratowych, z kilkoma rzędami siedzeń, wieloma monitorami i przeszkloną ścianą pod kątem czterdziestu pięciu stopni, która wychodziła na salę operacyjną, sytuując się niemal równo nad stołem. W pokoju znajdowały się cztery osoby, ja jednak nie odrywałem wzroku od jednej.

Pierwszą był sam McKenna, który odsunął swoje zwaliste cielsko, umożliwiając mi wejście.

Drugą był Lowers, serdecznie uśmiechnięty i bardzo uprzejmy w gestach. Jego twarz wyglądała jak wycięta z czasopisma medycznego.

Trzecią był Hockstetter, z ręką na temblaku i nienawiścią w oczach, która byłaby w stanie stopić skalpel.

Czwartą osobą nie był jednak Ravensdale. Był to pan White.

KATE

Przeglądała się farmie ze szczytu wzniesienia. Samochód zostawiła z drugiej strony, z dala od zasięgu wzroku lokatorów budynku.

Śledzenie ich aż do tego miejsca wymagało ogromnego wysiłku. Dwukrotnie zatrzymywali się po drodze – raz, żeby zatankować, drugi raz w podłej przydrożnej restauracji na granicy Wirginii, gdzie przez półtorej godziny jedli kolację, podczas gdy Kate dożywiała się zjełczałymi batonikami energetycznymi, które znalazła w schowku na rękawiczki.

Do tego momentu śledzenie ich nie było nazbyt trudne. Mercedes jechał wolno, dziesięć mil poniżej limitu prędkości. Ponieważ byli uzbrojeni, z pewnością nie chcieli ryzykować, że zatrzyma ich patrol i przy okazji wlepiania mandatu poleci otworzyć bagażnik lub wysiąść z wozu.

Kiedy minęli Gainesville, musiała wzmóc czujność. Nie byli już na autostradzie, gdzie śledzenie kogoś ogranicza się do nieodrywania wzroku od jego tylnych świateł przy zachowaniu półkilometrowego odstępu. Teraz czekała ich jazda po drogach dwukierunkowych, znacznie mniej uczęszczanych i przebiegających przez miejscowości. Nie mogła obserwować ich z tak daleka, nie mogła również jechać z wyłączonymi światłami. Musiała trzymać się poza zasięgiem ich lusterka wstecznego, inaczej by ją spostrzegli. Co oznaczało, że w każdej chwili mogła ich zgubić.

Już o świcie wjechali na teren hrabstwa Rappahannock i Kate obleciał strach. Tutaj drogi miały formę cienkich czarnych języków o pomarańczowych brzegach, które wznosiły się w rozległą zieleni.

Niemal nie było tutaj miejscowości, jedynie liczne odosobnione farmy, każda położona dalej od poprzedniej. W takich okolicznościach śledzenie ich z rozsądnej odległości było niemożliwe. Musiała podążać za nimi, kierując się samą intuicją, ufając, że w oddali dojrzy czasami światła pozytywne mercedesa na jakimś zakręcie, podczas gdy na długie minuty traciła go z oczu, serce podchodziło jej zaś do gardła.

Stało się to, co się musiało stać. Zgubiła ich.

Minęło ponad dwadzieścia minut, zanim zdała sobie sprawę, że już przed nią nie jadą.

„Musiałam minąć jakiś nieoznaczony rozjazd. Ale gdzie?”

Szalejąc z niepokojem, zawróciła i ponownie wymięła kilka zwyczajnie wyglądających farm. Nieco dalej, nieopodal miejsca, gdzie widziała ich po raz ostatni, dostrzegła zjazd na drogę gruntową.

Nie popełniła głupstwa, jakim byłoby skręcenie w ziemny dukt. Podążyła dalej, aż dotarła do pobocznej szosy, która prowadziła na północ. Okrążyła wzgórze, u stóp którego biegła tamta droga gruntowa, i pieszo wspięła się na jego wierzchołek.

Przykłęka obok krzewu sumaka, który jesień przybrała w piękną czerwono-pomarańczową szatę. U podnóża wzniesienia leżała łagodna dolina. W oddali pośród mgieł majaczyły góry Shenandoah, gdzie nieustannie rozbrzmiewał świergot kardynałów.

Kate dobrze znała ten krajobraz, ponieważ wraz z Rachel dorastała godzinę drogi samochodem stąd, na takim podobnej farmie. Te bukoliczne okolice stanowiły serce Wirginii, ostatnią redutę dziewiczych terenów, które broniły się przed śmiercią pod łkami koparek Istny raj na Ziemi.

W odległości dwustu metrów od pozycji, na której się znajdowała, z dala od głównej drogi, leżała zaś farma, na której ukryli się porowacze.

Mercedes nie stał na widoku, natychmiast jednak poznała, że to musi być to miejsce. Zabudowania farmy składały się z trzech budynków. Był dom, z którego komina unosił się wysmukły słup dymu, dalej na północ stała stodoła, do której wrót prowadziły świeże ślady kół –

najpewniej to tam trzymali samochody – obok stodoły znajdował się zaś generator zasilany benzyną. Między nim a domem wznosił się kilkumetrowy ziemny kopiec.

Na południu znajdował się jeszcze spichlerz, który z pewnością nie pełnił swojej pierwotnej funkcji. Żaden ze spichlerzy, jakie widziała w dzieciństwie, nie miał ustawionej na dachu anteny do komunikacji satelitarnej najnowszej generacji.

Kate wyciągnęła komórkę i stwierdziła, że ledwie ma zasięg. Z pięciu kresek telefon pokazywał tylko jedną. Znaczek sieci 3G był zaś przekreślony.

„Dzięki tej antenie mają szerokopasmowe łącze, przez które kontrolują norę, w której przetrzymują małą. To tutaj. To tu ją trzymają”.

Spojrzała na zegarek Operacja prezydenta miała się zacząć za trzy minuty.

Teraz musiała wybierać. Mogła zadzwonić do McKenny, powiedzieć mu, co się dzieje, i polecić wyciągnąć Davida z sali operacyjnej. Następnie wezwać antyterrorystów, którym przyjazd na miejsce i szturm na farmę w pełnym rynsztunku bojowym zajęłyby kilka godzin. Wszystko to przy świadomości, że wówczas White wiedziałyby już, co się święci, i zdołałyby na odległość wprowadzić w życie zaplanowany plan zemsty.

Mogła także wejść tam sama, wykorzystując element zaskoczenia i ufając, że Bóg, szczęście i wyszkolenie przeważą na jej korzyść szalę powodzenia w niewykonalnej akcji przeciwko nieokreślonej liczbie przeciwników, którzy dysponowali przewagą ogniową.

Zamyśliła się przez chwilę, po raz kolejny w ciągu ostatnich czterdziestu godzin wahając się między głosem serca a obowiązkiem.

W końcu sięgnęła po telefon.

W galerii nad salą operacyjną numer dwa

Najlepsza była chwila, w której ujrzał twarz Dave'a, gdy ten zdał sobie sprawę z jego obecności.

Zrobił krok naprzód, aby uścisnąć mu dłoń, markując spokój, ale w jego oczach, nagle zaszklonych, było widać kłębowisko emocji. White napawał się tym, że jedyny miał pojęcie, co w tej chwili działo się w głowie Davida.

– Witam, doktorze Evans. Nie wiem, czy mnie pan pamięta, poznaliśmy się na konferencji w Londynie przed kilkoma laty – powiedział ze swoim najlepszym brytyjskim akcentem.

Nastąpiła długa przerwa, podczas gdy Dave wpatrywał się w iPada, którego White eleganckim gestem dociskał do piersi.

„Otóż to, dobrze mu się przyjrzyj. W dalszym ciągu mam wszystko pod kontrolą. Jedno kliknięcie i twoja córka umrze”.

– Oczywiście. W Marblestone, nieprawdaż?

– Ma pan doskonałą pamięć.

To, że sam Dave był zmuszony uwiarygodnić jego fałszywą tożsamość, stanowiło wisienkę na torcie. Oczywiście White tego nie potrzebował. Już dawno temu jego potężny mocodawca poinformował go o Peterze Ravensdale'u. Był on numerem dwa na liście ekspertów sporządzonej w Białym Domu.

– Przyleciał pan z Londynu?

– Z Nowego Jorku. Wynająłem samochód na lotnisku i pół godziny temu przyjechałem.

– Nie spodziewałem się pana tutaj spotkać.

– To ekscytująca okazja, żeby móc się od pana czegoś nauczyć. Mówią, że nigdy nie popełnia pan błędów.

Z prawdziwym Ravensdale'em skontaktowali się w poniedziałek, to jest tego samego dnia, w którym zginęła Swietłana. Przesłali mu z Departamentu Stanu e-maila, w którym zapytali go o stawkę za nadzorowanie operacji, nie podając nazwiska pacjenta, a Ravensdale się zgodził. Odpowiedział, że bez problemu może w piątek rano pojawić się w Saint Claire. Nie było nawet potrzeby, żeby opłacali mu przelot z Londynu, akurat bowiem planował odwiedzić krewnych w Nowym Jorku.

Jedenaście godzin później nie żył, jego zwłoki znalazły się w bezpiecznym miejscu, jego telefon komórkowy, skrzynka poczty elektronicznej i cała dokumentacja wpadły zaś w ręce White'a.

Prezydent słusznie dążył do ograniczenia wszechwładzy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Była ona tak ogromna, że nawet ci, którzy powinni go ochraniać, nie mogli się ustrzec jej nadzoru i manipulacji. Aby wprowadzić White'a do szpitala, wystarczyło wejść do bazy danych Secret Service za pomocą oprogramowania PRISM i przerobić informacje, które mieli na temat Ravensdale'a, tak aby pasowały do White'a, podrobić brytyjski paszport... et voilà, Peter Ravensdale zyskał nowe oblicze.

Kiedy tego ranka wjechał na drugie piętro kliniki Saint Claire, agent Secret Service ograniczył się do sprawdzenia jego dokumentów, zrewidowania go i powiadomienia McKenny.

– Saram się ich unikać – odpowiedział Dave na stwierdzenie White'a. – Poza tym wasza w tym głowa, żebym ich nie popełnił.

Lowers powiedział coś uprzejmego, Hockstetter wymamrotał zaś jakąś impertynencką uwagę na temat tego, co akurat było pod ręką. White ich zignorował, zbyt zajęty radowaniem się chwilą.

Było to jego mistrzowskie zagranie, jego tajna broń służąca zdławieniu ostatnich przebłyków woli u jego ofiar. Zawsze na koniec był na miejscu, aby się upewnić, że wypełnią powierzone zadanie. A to jako sąsiad w zgromadzonym tłumie ludzi, a to jako listonosz, na którego nikt nie zwraca uwagi, a to jako ukryty za swoim aparatem fotograf. Za pierwszym razem zrobił to

w Neapolu, kiedy przebrał się za policjanta, żeby dostarczyć głowę zbiegłego pisarza mafiosowi, który chciał go widzieć martwym. Od tej pory nie mógł oprzeć się impulsowi, by na własne oczy oglądać, jak ostatnia płytka domina przekracza punkt równowagi i z całkowitą precyzją upada na właściwe miejsce.

A teraz pracę nad jego arcydziełem, nad jego Kaplicą Sykstyńską, miał zwieńczyć ten wysoki zielonooki mężczyzna, który właśnie opuszczał salę obserwacyjną.

– Powodzenia, doktorze Evans. Z wielkim zainteresowaniem będziemy stąd śledzić pańskie poczynania.

Po wyjściu z sali obserwacyjnej powróciłem do mojego gabinetu. Moja obecność na sali operacyjnej była wymagana dopiero za dwie godziny. Pierwszej godziny Sharon Kendall potrzebowała, aby poddać pacjenta sedacji. W drugiej godzinie doktor Wong miała przeprowadzić kraniotomię, aby odsłonić obszar, na którym przyjdzie mi działać. Wong miała dokonać nacięcia dookoła czaszki, odciągając skórę głowy i przecinając kość piłą tarczową. Wszystko to mógłbyś wykonać i ty, czytelniku, z pomocą narzędzi dostępnych w domu. Tyle tylko, że my robimy to precyzyjnie, aby później można było wszystko odłożyć z powrotem na miejsce.

Cały ten proces mnie nie dotyczył. Choć prosty i krótkotrwały, jest bardzo intensywny i wyczerpujący fizycznie, tak więc neurochirurdzy zajmujący się najdelikatniejszymi zadaniami zwykli powierzać go rezydentom i kolegom z mniejszym doświadczeniem. Nie jest to bynajmniej oznaką arogancji. Sala operacyjna to obszar ogromnego stresu, z kolei sytuacja tak szczególna, jak ta, która akurat rozgrywała się na dwójce, może ten stres jeszcze tysiącrotnie spotęgować. Chodzi po prostu o to, że gdy fachowiec przystępuje do swojej roboty, powinien być wypoczęty.

Samo to, że oto siedziałem wygodnie w swoim gabinecie, podczas gdy szefowa oddziału w jednej z najlepszych klinik w kraju zajmowała się mokrą robotą w ramach przygotowań do operacji prezydenta Stanów Zjednoczonych, musiał stanowić kulminacyjny punkt mojej kariery.

Gdyby mój ojciec żył, w tym momencie bym do niego zadzwonił. Opowiedziałbym pocziwemu doktorowi Evansowi seniorowi, co się właśnie dzieje. Z pewnością uraczyłby mnie jakąś mądrą, uniwersalną i nieprzydatną radą, za sprawą której serce napełniłoby mi się ciepłem i miłością. Gdyby żyła Rachel, byłaby ze mną na sali, monitorując funkcje życiowe pacjenta i zerkając na mnie od czasu do czasu, w chwilach, gdy jej zdaniem bym nie patrzył. A jeśli byłbym wystarczająco uważny, mógłbym nawet kątem oka dostrzec spojrzenie pełne dumy. Wiem, ponieważ zawsze takrobiła.

Oboje poznali we mnie dzieciaka i człowieka, w którego zdołałem się przeistoczyć. Podziękowałem niebiosom, że nie ma ich już przy mnie i nie mogą zobaczyć, kim się teraz stałem: narzędziem w rękach mordercy, na równi z nim odpowiedzialnym za odrażającą zbrodnię.

Przypomniałem sobie dzień, w którym ojciec nakrył mnie na zabawie z wnętrznościami kota, co zapoczątkowało moją pasję względem medycyny. Tamtego dnia mi przebaczył. Dwadzieścia sześć lat później, ze spojrzeniem utkwionym w ścianę, podczas gdy na tacy instrumentariuszki w sali numer dwa spoczywały dwie torebki z trucizną, które sam tam umieściłem, mogłem sobie jedynie wyobrazić, że splunąłby mi w twarz za sprzeniewierzenie się wszystkimu, czego mnie nauczył.

Znienacka usłyszałem ciche brzęczenie. Telefon od Kate pozostawał ukryty w szufladzie. Wątpiłem, żeby White w tej chwili podglądał obraz z kamery mojego iPhone'a, na wszelki wypadek zostawiłem go jednak w mojej teczce.

Wyciągnąłem smartfona BlackBerry, a kiedy odczytałem wiadomość, serce wyskoczyło mi z piersi, oczy zaś napełniły się łzami. Musiałem spojrzeć ponownie i jeszcze raz, aby się upewnić, że to, co przeczytałem, to prawda.

ZNALAZŁAM JĄ. WCHODZĘ. DAVIDZIE, NIE RÓB TEGO. ZAUFAJ MI

„Znalazła ją, ale jeszcze jej nie ma. Wciąż jeszcze wszystko może się zdarzyć”.
I wówczas przyszła druga wiadomość.

COKOLWIEK SIĘ STANIE, ZAWSZE BĘDĘ CIĘ KOCHAĆ

Rozległo się pukanie do drzwi. Pospiesznie otarłem oczy, po czym się odwróciłem.

W drzwiach stała Wong z ławą z automatu i zmęczonym uśmiechem na twarzy. Jeśli spostrzegła, że płakałem, nie dała tego po sobie poznać. Oparła się o framugę, zamieszała łyżeczką paskudną miksturę i skinęła na mnie głową.

– Pudełeczko otwarte, Evans. A teraz idź tam i czyń swoją magię.

KATE

Kate wróciła do samochodu, otworzyła bagażnik, zdjęła kurtkę i wrzuciła ją do środka. Ściągnęła koc, który zakrywał stalową walizeczkę chronioną zamkiem i szyfrem. Otworzyła ją, korzystając z miniaturowego kluczyka, który miała na pęku kluczy od domu, i zostawiła w środku klucze, portfel i całą zawartość kieszeni. Nie chciała mieć przy sobie niczego, co mogłoby jej przeszkadzać.

Z walizeczki wyjęła pistolet maszynowy MP5. We wtorek wieczorem rozłożyła go, oczyściła, naoliwiła i złożyła z powrotem, tak więc był w idealnym stanie. Bardziej niepokoiła ją kwestia amunicji. Miała zaledwie trzy krótkie magazynki, łącznie czterdzieści pięć naboje, a zatem strzelanie automatycznymi seriami nie wchodziło w rachubę. Upewniła się raz jeszcze, że przełącznik trybu ognia jest ustawiony na pojedyncze strzały, założyła magazynkę, dwa pozostałe umieściła zaś na specjalnym pasie. Wyjęła z uprząży kaburę z pistoletem SIG Sauer P229 i ją również dopięła do pasa.

Na koniec włożyła kamizelkę z kevlaru. Był to lekki model z nadrukowanym na żółto napisem Secret Service. Na myśl przyszło jej wspomnienie intruzów w domu Evansów i sylwetka ich pistoletu maszynowego PP-19 Bizon.

– Sześćdziesiąt cztery naboje w magazynku – powiedziała, postukując lekko kostkami palców w kamizelkę. – Jeśli trafią mnie serią, ile kul to zatrzyma? Dwie, trzy?

„Nie myśl. Nie myśl”.

Zawahała się przed włożeniem z powrotem kurtki. Kurtka razem z kamizelką ograniczała jej ruchy, ale białe rękawy jej koszuli zbyt mocno zwracały uwagę. W czarnej kurtce nieco łatwiej będzie jej przedostać się niezauważoną do spichlerza.

„Kiedy zacnie się impreza, już ją sobie zdejmiesz. O ile to ty ją rozpoczniesz”.

Powróciła na szczyt wzgórza, ściskając oburącz rękojeść pistoletu. Musiała schodzić ostrożnie, korzystając z naturalnych osłon, jakie oferowała roślinność. W połowie zbocza znajdował się niewielki zagajnik, w którym przystanąła, aby odpocząć i ostatni raz rzucić okiem na zabudowę farmy.

„Są zbyt pewni, że nikt ich tutaj nie znajdzie. Nie postawili nikogo na warcie albo są za bardzo zmęczeni po robótce z zeszłej nocy”.

W samochodzie było ich przynajmniej trzech, za najbardziej prawdopodobne uznała więc, że udali się na odpoczynek do domu, gdzie zapewne mieli pokoje. Atak na ten budynek w pojedynkę był niewykonalny. Schody, zakątki, martwe punkty, milion okazji, żeby się za coś skryć i różne sposoby, aby przeciąć jej drogę.

„Jeśli to tam trzymają Julię, to mam przerąbane”.

Małej tam jednak nie było. Pewnie mieli ją w spichlerzu, gdzie mogli jej pilnować i gdzie rozmieścili swoje centrum łączności.

„Oto i plan: wchodzisz, wyciągasz ją, gdziekolwiek jest, po czym wbiegasz pod górę, jakby cię diabeł gonił. Doskonale”.

Nie mogła się powstrzymać przed sarkastycznym parsknięciem wobec własnego braku rozsądku. Julia od ponad pięćdziesięciu godzin przebywała zamknięta w ciasnej norze, w której ledwie mogła stanąć na nogach. Mogła być ranna albo chora, poza tym z pewnością będzie w szoku. Trzeba będzie wynieść ją na rękach.

„Ile ona może ważyć? Dwaście cztery kilogramy, dwaście pięć kilogramów? Jezu, to będzie coś wprost cudownego!”.

Lepszego planu jednak nie miała.

Pokonała ostatnie metry zбочa, czując, jak krew łomocze jej w skroniach, jak oddech przyspiesza, a świat dookoła w pewien sposób się zmienia. Światło stało się intensywniejsze, twardsze, niemal namacalne, niezniszczalne. Czas zaczął płynąć wolniej, a liście, które dotychczas spadały z drzew, teraz zaczęły szybować w powietrzu. Kiedy dotarła do drzwi spichlerza, jej zmysły za sprawą adrenaliny wyostrzyły się do granic możliwości. Była w stanie odróżnić każdy por, każdą żyłkę, każdy omszały cień na drzwiach ogromnego drewnianego budynku. Wyciągnęła dłoń ku zardzewiałej klamce, wyczuwając pod palcami chropowatość kolejnych warstw farby, których przez dziesięciolecia nagromadziło się kilkanaście. Kiedy przekęciła klamkę, cichy chrobot zabrzmiał w jej uszach niczym grzmot.

Popchnęła drzwi na tyle, żeby wślizgnąć się do środka. We wnętrzu unosił się gęsty i ciężki odór obornika i rozkładającej się słomy, który zmusił ją do zatkania nosa. Spichlerz miał dwa poziomy: górny, z oknem wyposażonym w bloczek linowy, i dolny, wypełniony poukładanymi pod ścianami belami siana. Na kilku belach ktoś zaaranżował improwizowany stół, rozkładając grube, zielone płótno, na którym spoczywały laptopy, broń oraz sprzęt elektroniczny i łącznościowy. Na krzesle zaś, z głową zwieszoną do tyłu, chrapał wysoki brodaty mężczyzna w białej koszulce, wysokich butach i spodniach bojówkach. Słońce wchodzące przez okno na pierwszym piętrze padało prosto na niego, tworząc okuśną kolumnę światła, w której tańczyły ty sięjące drobinek kurzu.

Coś najwyraźniej zwróciło uwagę mężczyzny, znieacka bowiem przestał chrapać, popatrzył kilka razy zezem, po czym zwrócił wzrok w stronę wejścia, w którym stała Kate.

– Nie ruszaj się, skurwielu! – powiedziała, biorąc go na muszkę.

Brodacz wyprostował się na jej widok a jego oczy stały się małe i okrutne.

– Bardzo powoli podnieś ręce do góry i wstań.

Zastanawiała się, czy to jeden z tych, którzy ubiegłej nocy byli w Baltimore i wpakowali dwie kule w głowę Wlatka Papicia.

– Teraz podejść – oznajmiła, zbliżając się ku niemu. – Kiedy powiem, podejdziesz do mnie, odsuwając się od tego stołu. Nawet nie myśl o tym, żeby opuścić gło...

Nie zdążyła skończyć zdania. Błysk w oczach brodatego, lekki ruch jego ramion i skłon w lewą stronę posłużyły jej za sygnał ostrzegawczy. Nie byli sami. Za nim był ktoś jeszcze, ktoś, kto zaraz ją zaatakuję. Wiedzioną instynktem, przykłęka, wbijając kolano w podłogę i przenosząc ciężar ciała do przodu.

W ostatniej chwili. Brodacz się odsunął, skacząc na bele siana, podczas gdy w miejscu, w którym stał, w słupie światła pojawiła się lufa broni. Nastąpił rozblysk i rozległ się huk. Kilkanaście pocisków przeszło powietrze, przelatując przez miejsce, w którym przed momentem znajdowała się Kate, po czym wbiło się we wrota spichlerza.

Snop światła uniemożliwił jej dojrzenie, kto strzelał ani gdzie się znajdował. Kate na ślepo wystrzeliła w kierunku rozblysku, bez zastanowienia, bez celowania. Po prostu pociągnęła za spust raz, drugi, trzeci. Usłyszała trzaski głuche uderzenie.

„Trafiłam go. Trafiłam”.

– Ej! Spokojnie! – krzyknęła do mężczyzny z brodą, który rzucił się na ziemię i zakrywał głowę rękami.

Wstała, nie przestając w niego celować, i przeszła z jednego krańca plamy słońca w drugi. Wystarczył jej rzut oka, żeby zrozumieć, że strzelec nie żył. Jeden z pocisków MP5 trafił go w oko, odrywając połowę twarzy. Odwróciła się w kierunku brodacza.

– Nawet o tym nie myśl, kurwa! Nawet o tym nie myśl.

Tamten tymczasem podniósł się nieznacznie i trzymał palce na rękojeści pistoletu, który leżał na płótnie. Jego lufa była zwrócona w stronę Kate. Na twarzy brodacza malowało się napięcie. Nie zdążył podnieść się na kolana, ale wystarczyło, żeby zacisnął uchwyt na broni i mógłby wystrzelić.

– Opuść tę rękę! Opuść rękę, ale już! – powiedziała. W połowie „ale już” głos jej zdrzął i się załamał niczym w niepewnego nastolatka.

Być może to skłoniło brodacza, żeby spróbował swoich szans, zaciskając palce i pociągając za spust pistoletu. Pocisk przeleciał metr ponad głową Kate. Jej odpowiedź była jednak celna. Pierwsza kula weszła pod prawą pachę mężczyzny, przerywając jego tętnicę pachową i niemal urywając mu ramię. Już to by wystarczyło, żeby w ciągu minuty umarł z upływu krwi, choć nie dane mu było tego doczekać. Kolejny pocisk zdruzgotał jego klatkę piersiową, tworząc potężną wyrwę w tkankach i przebijając oba płuca, zanim wyszedł z drugiej strony przez ranę dwa razy większą od tej, jaką spowodował w chwili kontaktu z ciałem. Brodacz usiłował krzyknąć, lecz z jego ust bryzgnęła jedynie krew, po czym padł bez życia na ziemię.

„Trzeba być idiotą – pomyślała Kate – żeby sądzić, że będzie się szybszym od kuli”.

Zrobiła dwa kroki w jego stronę, aby się upewnić, że nie stanowi już zagrożenia. Podłoże z ciemnej i żyznej ziemi stawało się jeszcze ciemniejsze za sprawą krwi, która w dalszym ciągu coraz słabszym strumieniem wypływała z rany na ramieniu.

„Nigdy nikogo nie zabiłam – pomyślała Kate. Po czym sumienie zmusiło ją, żeby przypomniała sobie wydarzenia ubiegłej nocy. – Przy najmniej nie własnymi rękami”.

Na zewnątrz rozległy się krzyki. Strzelanina trwała zaledwie kilka sekund, ale wywołała gigantyczny hałas. Huk wystrzałów niósł się zapewne przez całą dolinę.

Na stole, przy pasku brodacza i gdzieś pod ciałem pierwszego strzelca rozległy się trzaski i czyjś stanowczy głos, który mówił coś w obcym języku.

„Idą tu”.

Zawiesiła MP5 na ramieniu, podeszła do brodacza i z zeszywniałych palców wyjęła mu pistolet. Wycelowała w laptopy i pudła ze sprzętem elektronicznym, które stały na stole, i opróżniła magazynek, wyrysowując ramieniem w powietrzu wachlarz. Pociski zniszczyły wszystko, co znajdowało się na stole, przemieniając warte dziesiątki tysięcy dolarów urządzenia w stertę dymiącego, nienadającego się do niczego złomu.

„Nici z dowodów rzeczowych. Ale być może spieprzy im to system łączności i zyskam trochę na czasie”.

Zdesperowana rozejrzała się dookoła, uzupełniając w myślach rzut obiektu, którego opracowanie przerwała jej strzelanina z tymi szumowinami. Spichlerz miał dwie pary wielkich wrót, po jednej na każdym krótszym boku. Między nimi rzędami leżały bele siana, tworząc pośrodku korytarz szerokości około trzech metrów. Była jeszcze drabina prowadząca na strych i nic poza tym.

„Gdzie jesteś, Julio?”.

Nie miała czasu na to, żeby jej teraz szukać. Za chwilę towarzysze zabitych przyjdą tutaj, żeby sprawdzić, co się dzieje. Jako dawni wojskowi byli dwa razy bardziej niebezpieczni, ale także bardziej przewidywalni. Poczekają, aż zbiorą się wszyscy, po czym zaatakują przez jedne z wrót lub z obu stron jednocześnie.

„Na górę. Musisz wejść na górę”.

Odrzuciła pistolet i wdrapała się po drabinie. Podbiegła do okna, które dzieliło od drabiny kilka metrów. Z podstawy okna wychodziło ramię dźwigu, który służył do podnoszenia beli siana. Wychyliła się i pospiesznie rzuciła okiem, co pozwoliło potwierdzić jej najgorsze przypuszczenia. Z tego, co widziała, było ich trzech i nadbiegali ku spichlerzowi od strony głównego budynku.

„Niedobrze, idioci. Nie biega się tak blisko siebie, kiedy w okolicy jest przeciwnik z bronią”.

Miała tylko kilka sekund, zanim straciłaby ich z linii strzału, więcej jednak nie potrzebowała. Wymierzyła pół metra przed ostatnim z nich i otworzyła ogień. Pomocnik White'a, młody i szczupły mężczyzna, padł na brzuch, pośrodku jego szarej koszulki wykwiła zaś plama szkarłatnej krwi. Pozostali zniknęli Kate z pola widzenia, osłonięci teraz przez bryłę budynku.

„Teraz to oni mają przewagę. Podejdą każdy z innej strony. Wiedzą, że jestem tu, na górze. Mają krótkofalówki, żeby skoordynować się w czasie. A nawet gdyby ich nie mieli, to wystarczy, że będą mówić po serbsku, wtedy zaś za cholere nie będę wiedziała, co planują”.

Strych był bardzo wąski, tworzące go deski nie były jednak zwarte, ale zionęły między nimi kilkucentymetrowe szpary. Żadnej osłony ani żadnego miejsca, w którym można było się ukryć. Jeśli Kate zeskokczyłaby na dół, mogłaby pilnować tylko jednego z dwóch wejść.

„Tu, na górze, jestem jak cel na strzelnicę. Jeśli jednak spróbuję zejść po drabinie, będę celem na strzelnicę, który nie ma się jak bronić”.

Podczas gdy usiłowała zdecydować, w stronę których wrót się skierować, dostrzegła, że te po prawej lekko się otwarły. Strzeliła dwukrotnie w ich stronę, po czym odwróciła się i wystrzeliła w te po lewej, chcąc ich zmylić, żeby nie myśleli, że jest sama. Nic to jednak nie dało. Deski użyte do wykonania wrót były bardzo grube i kule nie zdołały się przez nie przebić. Atakujący tymczasem mieli inne, bardziej złowieszcze zamiary. Rozległ się brzdęk tłuczonego szkła i z obu stron spichlerza buchnęły liczne słupy ognia, w błyskawicznym tempie wgrzyzając się w wysuszoną słomę.

„Koktajle Mołotowa. Tego nie przewidziałam. Co za szczone skurwysyny”.

Tego podręcznik taktyczny Secret Service nie przewidywał. Nie ma takiej książki na świecie, która by uczyła, jak się zachować, gdy jesteś sama, uwięziona na strychu spichlerza, otoczona przez przeciwników, którzy z bronią automatyczną blokują ci drogi ucieczki.

W tym momencie posłyszała piski. Stłumione, zdławione, ale nie do pomylenia. Spojrzała w dół i pośród dymu zdołała spostrzec, że na podłożu pośrodku spichlerza wyróżniał się kwadrat w innym odcieniu, jak gdyby niedawno wruszono tutaj grunt, po jego jednej stronie widniało zaś metalowe jarzmo. Wówczas zrozumiała, skąd pochodził kopicie ziemi na zewnątrz.

Julia została tutaj zagrzebana.

– Julio, kochanie! Spokojnie! Tu ciocia Kate!

– Szczury! Szczury!

Nie ma także na świecie podręcznika, który przygotowałby cię na sytuację, gdy szczury zjadają żywcem twoją siostrzenicę.

Kiedy wchodzisz na salę operacyjną, w której przed chwilą przeprowadzono kraniotomię, wyczuwasz szczególnie zapach. Coś poza środkami dezynfekującymi, substancjami chemicznymi i twoim potem. To zapach przeciętej kości i krwi. Kiedy go wyczuwasz, wiesz już, że pewna część pacjenta dostała się do twojego organizmu i teraz stanowi część ciebie samego. Możliwe, że brzmie to niezdrowo i ponuro, dlatego chirurdzy wołają o tym nie mówić, ale takie są fakty.

Prezydent zajmował pozycję siedzącą i był w pełni przytomny. Wybudziliśmy go, kiedy bolesny proces usuwania górnej części czaszki dobiegł końca. Doktor Wong nawierciła kość w czterech miejscach, unieruchamiając ją systemem stalowych kołców znanym jako Mayfield, który sprawiał, że głowa nie mogła drgnąć choćby o milimetr.

Stałem przed nim, aby mógł mnie zobaczyć. Choć trudno było, żeby mnie rozpoznał opatulonego w fartuch, z maseczką i okularami z soczewkami powiększającymi. Bez wątpienia jednak rozpoznał wyszytego na moim czepku ty grysa.

– Doktorze Evans, co pan tutaj porabia?

Pod wpływem sedacji niektórych pacjentów nachodzi ochota na żarty. Czyni to cały proces zdecydowanie zabawniejszym. W takiej sytuacji normalnie nastąpiłby ogólny wybuch śmiechu, nikt się jednak nie odezwał. Wszyscy wyczekiwali w napięciu.

– Sir, doktor Wong otworzyła mi dostęp do obszaru, w którym znajduje się pański nowotwór. Teraz ustawimy przed panem monitor z obrazkami i ze słowami. Musi pan czytać te słowa na głos i opisywać, co widać na obrazkach. Dzięki temu będę mógł skorzystać ze stymulatora w celu odróżnienia zdrowej tkanki od nowotworu.

Ustawiłem się na pozycji, kiedy rozległ się dzwonek telefonu na sali operacyjnej. Serce mi podskoczyło. Przez chwilę zamarzyłem, żeby była to Kate, która chce mi powiedzieć, że znalazła Julię.

– Dzwonił neuropatolog – oznajmiła pielęgniarka, która odebrała. – Wysłaliśmy mu próbki tkanki. Potwierdza diagnozę: to glejak wielopostaciowy.

– W porządku – odparłem, ukrywając rozczarowanie.

Zajrzałem do mózgu prezydenta, gotów przystąpić do bitwy przeciwko mojemu najgorszemu wrogowi. Tkwił tam, na poły ukryty pośród tkanki mózgu. Nikt, kto nie jest fachowcem, nie byłby w stanie spostrzec różnicy. Glejak wielopostaciowy jest niewidoczny na pierwszy rzut oka, jego zdolność przetrwania wynika bowiem z tego, że jest tkanką identyczną jak ta, do której przylega, tyle tylko, że nieśmiertelną i nie do powstrzymania przez organizm, w którym zamieszkuje.

Położyłem palec na obszarze, o którym wiedziałem, że jest zdrowy. Mózg teksturą przypomina pastę Colgate, gdy zostawić ją na pewien czas poza tubką. Jest nieco gumowaty, miękką, zarazem jednak stawia opór.

– Poczł pan to, panie prezydencie?

– Nic nie poczułem. Z jakiejś przyczyny nie mogę jednak przestać myśleć o psie, którego kiedyś miałem – odparł zaskoczony.

– Sir, w mózgu nie ma zakończeń nerwowych. Nie poczuje pan nic z tego, co będę robił. Działania na mózgu powodują jednak niespodziewane rezultaty. Zapewne naciskając, pobudziłem u pana to akurat wspomnienie.

Dalej zapoznawałem się z jego fakturą, ucząc się jej przez palce. Chciałem wiedzieć, jaka naprawdę powinna być w dotyku. Następnie przeszedłem do obszaru, który stanowił problem,

i ponownie bardzo powoli zacząłem go dotykać. Przez bardzo cienką powierzchnię lateksowej rękawiczki wy czułem teksturę nowotworu. Miał nieco inny odcień, był troszkę lżejszy w dotyku.

– Nimbus, proszę.

Pielęgniarka podała mi długie czarne narzędzie z rozdwojoną końcówką. Służyło ono do wytwarzania drobnych wyładowań elektrycznych, stymulujących mózg pacjenta.

– Proszę zacząć czytać, panie prezydencie.

– Pies. Chłopiec rzuca piłkę.

– Bardzo dobrze, proszę kontynuować. Niech pan nie przestaje.

Kiedy namierzy sz nowotwór, do działania przystępuje narzędzie ostateczne.

– Cavitron, proszę.

Do ręki podano mi stalową końcówkę urządzenia połączonego rurą z metrowej wysokości maszyną. Narzędzie to, nazywane transformerem, stanowiło moją najpotężniejszą broń, emitowało bowiem ultradźwięki na bardzo krótką odległość, rozbiła tkankę i zasyłała ją. Przy jego użyciu konieczny jest pewny chwyt i absolutna precyzja w koordynacji oko-ręka, aby nie wsunąć końcówki o milimetr głębiej niż to potrzebne, i przypadkiem nie usmażyć mózgu pacjenta. Możliwe także, że skrzep, który wyda ci się nowotworem, w istocie stanowi część mózgu, wówczas zaś...

– Ziemiak Ziemiak Ziemiak

...wówczas zaś pacjent zaczyna się na jednym wyrazie, który odtąd do końca jego żalonych dni będzie stanowił sto procent jego zasobów leksykalnych.

W porę cofnąłem ssawkę transformera. Było bardzo blisko. Światła nad stołem były bardzo silne, mnie zaś robiło się coraz cieplej. Pot zaczynał przesłaniać mi wzrok

– O, czyli to jednak nie tutaj. Dziękuję, sir – powiedziałem tonem jakby od niechcenia.

Obróciłem się do pielęgniarki.

– Proszę podkręcić klimatyzację.

– Dave, temperatura ciała pacjenta... – zaproponowała Sharon Kendall.

– Jeśli trzeba, połóżcie mu na piersiach i na nogach koce termiczne. Ja muszę się schłodzić.

Kontynuowaliśmy jeszcze przez dłuższy czas, na sali zaś można było usłyszeć jedynie dźwięk ssawki, miarowe pikanie monitora i głos prezydenta, który monotonicznie recytował to, co pojawiał się na ekranie.

Nagle przerwał.

– Jestem wykończony.

Zawsze się tak dzieje. Choć pacjent nie może się poruszyć, proces zaburza równowagę chemiczną mózgu i wywołuje wrażenie koszarowego zmęczenia.

– Sir, proszę nie przerywać. Musimy kontynuować. Niech pan pomyśli, że każde słowo, które pan przeczyta, to jeszcze jeden dzień życia, którym będzie się pan mógł nacieszyć ze swoimi córkami.

Od tej chwili straciłem poczucie czasu. Zawsze mi się to zdarza, gdy się koncentruję, nigdy w życiu nie byłem jednak tak skoncentrowany, jak w tym momencie. W myślach narysowałem sobie drzwi i przez nie przeszedłem, pozostawiając za nimi wszystko, czym się przejmowałem. Gdzieś tam Kate starała się uratować moją córkę. Po zakończeniu tego, co robiłem, jeśli by się jej nie udało, musiałem ustąpić przed szantażem White'a, podobnie musiałbym zresztą postąpić nawet wtedy, gdyby zdołała uratować Julię, ponieważ nie miałem żadnej możliwości, aby się dowiedzieć, co się dzieje, i nie zamierzałem ryzykować. Tymczasem jednak była to operacja, do której przygotowywałem się przez całe życie. I Bóg mi świadkiem, że zamierzałem przeprowadzić ją jak należy.

Dalej więc dotykałem, pytałem, zasyłałem.

– A zatem na tym kończymy. Więcej wyciągnąć nie mogę. Co pan powie, panie prezydencie? Może być czy skrącamy bardziej?

Prezydent wybuchnął krótkim i zmęczonym, ale szczerym śmiechem.

– Przy wieżowcu Wrigley był fryzjer, który zawsze mnie o to pytał. A jak uważają pańscy koledzy?

Zdjąłem okulary z soczewkami powiększającymi i zrobiłem krok w tył. Doktor Wong nachyliła się nad obszarem działań i wydała pomruk aprobaty.

– Zgadza się. Nie ma już widocznej tkanki nowotworowej. Doskonała robota, doktorze Evans. Zgadza się panowie?

Przez głośnik można było usłyszeć głosy moich kolegów po fachu.

– Doktorze Evans, był pan niesamowity – stwierdził Lowers. – Czuję się zaszczycony, że mogłem oglądać to na żywo. Doktorze Hockstetter?

Nastąpiła niezręczna pauza, ostatecznie jednak nawet Hockstetter musiał ustąpić.

– Dobra robota, Evans – przyznał niechętnie.

– Coś wspaniałego. Nie mogę się doczekać końca – dodał White.

„Oczywiście, że nie możesz” – pomyślałem.

– W porządku, pozostała jeszcze jedna rzecz i zamykamy. Siostró, proszę podać gliadel – powiedziała Wong.

Pielęgniarka podeszła do drugiej szuflady wózka zabiegowego, wyjęła torebki i podała jedną z nich doktor Wong. Ta pociągnęła za pasek w górnej części torebki i przedarła aluminium. Wzięła szczypcę, wyjęła jeden z płatków z gliadalem i mi go podała.

– Proszę, Davidzie.

Uważnie przyjrzałem się zatrutemu platkowi. Wystarczyło, żebym włożył go na miejsce, i żądania White'a zostałyby spełnione, moja córka odzyskałaby zaś wolność. Nikt nigdy by się nie dowiedział, co się stało.

Chwyliłem szczypcę, gotów zabić prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

KATE

Nie było czasu do stracenia. Parter i wrota oznaczały pewną śmierć. Jeśli nie zginęłaby w płomieniach, wykończyliby ją dwaj czekający na zewnątrz bandyci. Czekanie oznaczało wyrok zarówno na nią, jak i na dziewczynkę. Musiała wyciągnąć małą z nory, zanim pożą ją gryzonia.

Pozostawała tylko jedna możliwość. Odwróciła się, podbiegła do okna i zrobiła krok w pustkę. Zdołała oprzeć stopę na ramieniu dźwigu, które zatrzeszczało, protestując przeciwko jej ciężarowi. Od ziemi dzieliło ją pięć metrów. Nawet jeśli nie skręci sobie karku, resztą zajmą się Serbowie.

„Dalej! Nie patrz w dół”.

Dostawiła drugą stopę. Teraz już całym ciałem opierała się na dźwigu. Musiała rozłożyć ramiona, aby zachować równowagę, choć i tak niewiele brakowało, żeby spadła.

„Nie mogę. Nie mogę”.

I wtem Rachel znowu była przy niej, na dole, jak przed trzydziestu laty. Obie znowu były dziewczynkami, Rachel krzyczała zaś, ile sił w płucach, żeby Kate zeskokczyła z gałęzi, zanim ta się złamie.

„Dalej, głupia kuro! Rusz się!”.

Zrobiła pierwszy krok. Później drugi. I trzeci.

Dotarła do końca, nie zwracając uwagi na zawroty głowy, na swój odwieczny lęk wysokości, na dym i płomień wydobywające się z okna, które właśnie opuściła. Przykucnęła i uklękała, czując, jak ramię dźwigu niebezpiecznie się telepie, po czym, wychylając się przed siebie, wyciągnęła ramię. W ostatnim momencie jej palce zdołały chwycić za hak na końcu bloczka. Siła grawitacji dopełniła reszty i Kate opadła, błyskawicznie się rozprostowując.

Puściła hak, podkuliła nogi, gdy zaś spadła na ziemię, przeturlała się na bok, ale to nie wystarczyło, żeby dostatecznie zamortyzować lądowanie. Usłyszała trzask i poczuła przeszywający ból w prawej nodze.

„Coś złamałam. Kurwa, jak boli!”.

Nie było czasu na stawianie diagnozy. Z trudem się podniosła i, kulejąc, podeszła do północnego narożnika spichlerza. Chwyliła MP5, zmieniła magazynek i się wychyliła. W odległości trzech metrów od niej jeden z porywaczy z głupawym uśmiechem palił papierosa, od niechcenia mierząc bronią w stronę wrót. Był to ten łysy, który przeszedł tuż obok niej na tarasie domu Davida. Kate nie ostrzegła go, nie kazała rzucić broni, nie dała mu żadnej szansy. Wycelowała, nacisnęła spust i w ułamku sekundy odstrzeliła mu łeb.

Usłyszała coś za plecami.

Nie zdążyła się odwrócić, nie wiedziała nawet, co się stało, nie usłyszała bowiem żadnego wystrzału. Nagle leżała na ziemi, nie mogąc poruszyć prawą ręką, z której wypływała krew. Pocisk trafił ją na wysokości przedramienia. Na poły świadoma poczuła, że kolejne uderzyły ją w plecy, ale wyglądała na to, że kamizelka zdołała wyhamować ich impet. A może po prostu nie bolały tak bardzo, jak ogromna dziura w przedramieniu.

MP5 bezużytecznie leżał pod nią. Pozostawał jej tylko pistolet. Nie podnosząc się, sięgnęła lewą ręką po broń, wyciągnęła ją z kabury, odwróciła się i strzeliła, tak jak przez tyle lat tysiące razy to ćwiczyła.

Napastnik spojrział na nią z niedowierzaniem. Kula trafiła go w żołądek, przechodząc przez niego na wylot. Bizon, który jeszcze dymił w jego rękach, wyślizgnął się na ziemię. Kate nie powtórzyła jego błędu i strzelała dalej, aż opróżniła magazynek, ani razu przy tym nie pudłując.

Serb opadł na kolana i zawisł w chwiejnej równowadze, po czym runął przemieniony w górę mięsa.

„Możliwe, że nie ułożyło mi się w życiu. Być może to dlatego, że cały czas przygotowywałam się na tę chwilę” – pomyślała Kate.

Nie zatrzymała się. Wyjając z bólu, podniosła się i zdołała ściągnąć kurtkę, aby narzucić ją sobie na głowę, po czym weszła do palącego się spichlerza. Bele siana płonęły, tworząc wokół istne piekło, ogień sięgał już belek stropowych. Za moment cały budynek mógł się zwalić na norę, w której była Julia.

Na czworaka, z trudem chwytając powietrze pośród kłębow dymu, Kate przedostała się na środek spichlerza. Nic nie widziała, oczy jej łzały, poranione członki krzyczały z bólu. Szukała na ślepo, macając podłoże pokryte żarzącym się sianem.

Wtem jej palce natrafiły na metal. Zaokrąglony kawałek stali, przyczepiony do czegoś pod ziemią.

Jarzmo.

Pociągnęła, ale nic się nie stało. Musiała wstać i szarpnąć z całych sił. Wówczas ubita ziemia na pokrywie nory nagle ustąpiła, otwierając się i sprawiając, że Kate runęła plecami w tył. Ponownie wstała, akurat w porę, żeby spostrzec dziesiątki uciekających z dziury ciemnych kształtów.

Nachyliła się nad otworem i ujrzała Julię. Na twarzy i na ramionach miała pełno krwi i ran po ugryzieniach. Włosy miała skołtunione, z piżamy zostały strzępy, każdy skrawek skóry był zaś pokryty ziemią i brudem.

Ale żyła.

Uniosła ku niej ręce i Kate wyciągnęła ją z dziury, jak gdyby dziewczynka nic nie ważyła. Z małą w ramionach pomknęła ku wrotom, podczas gdy za jej plecami płonące belki zaczynały łamać się i spadać. W ostatniej chwili wybiegły ze spichlerza i runęły na trawę, przetaczając się po niej skłębione.

Pozostały w objęciach na dłuższą chwilę, płacząc w milczeniu, aż zdołali odzyskać oddech. Dziewczynka wciąż ścisłała w dłoni długi i wąski kawałek drewna.

– Rzuciły się na mnie, ciociu Kate. A do obrony miałam tylko to. Odłamałam to ze ściany.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, kochanie.

– Ciociu Kate, zabierz mnie do mamy. Na pewno się niepokoi.

Kate ponownie wybuchła płaczem. Czule pocałowała ją w czoło i nie wypuszczając z objęć, wyciągnęła telefon i wybrała numer.

– Spokojnie, kotku. Niebawem będziesz w domu.

Ze szczypcami w dłoni podniosłem wzrok ku galerii, szukając White'a.

„Tego właśnie chciałeś – pomyślałem. – Naciesz się swoim triumfem, wieprzu!”.

Kiedy już miałem umieścić płatek w polu operacyjnym, coś mnie powstrzymało. White był na miejscu, jego twarz była trzecia od lewej w rzędzie foteli, w odróżnieniu jednak od pozostałych nie spoglądał w dół, ale na własne kolana. Patrzył na ekran iPada. Kiedy zaś ponownie podniósł wzrok, dostrzegłem w nim zaskoczenie. Wściekłość. Strach. Porażkę.

Czytałem w jego oczach tak wyraźnie, jakbym to ja spoglądał na ekran tabletu.

„Kate tam jest. Udało jej się”.

Podniosłem dłoń do maseczki i ściągnąłem ją z twarzy. Pragnąłem, żeby ujrzał mój wyzywający uśmiech, zanim zrobię to, co zamierzałem uczynić.

Najwyraźniej w świetle otworzyłem szczypcę i pozwoliłem, żeby płatek upadł na posadzkę.

– Doktorze Evans? – odezwała się zdumiona pielęgniarka.

Na galerii White wściekle kiwał po wyświetlaczu iPada, po czym podniósł się na nogi. Widziałem, jak mówi coś do McKennie i otwiera drzwi. I nagle uświadomiłem sobie, że wciąż może wyrządzić wiele zła na sposoby, których nie byłem sobie w stanie nawet wyobrazić. Nie mogłem jednak powiedzieć prawdy McKennie. W tym momencie w swojej naiwności wierzyłem jeszcze, że mogę z całej tej sytuacji wyjść obronną ręką.

– David, bądź bardziej uważny. Właśnie wyrzuciłeś do śmieci tysiąc dolarów – zauważyła doktor Wong.

– To tutaj leżą kolejne trzy tysiące – oznajmiłem, wyrywając jej z rąk torebkę z gliadelem i rzucając jej zawartość na podłogę.

– Davidzie, to nie jest śmieszne.

Podszedłem do pielęgniarki, zabrałem jej drugą torebkę, otworzyłem ją i również opróżniłem. Wszyscy patrzyli na mnie jak na wariata.

– Słuchaj, Stephanie. Mam powody sądzić, że te dwie torebki nie nadawały się do użytku. Byłabyś tak uprzejma zamówić dwie nowe torebki z apteki i zamknęłabyś za mnie pacjenta? Jestem z mordowany, idę odpocząć.

I pozostawiając wszystkich w stanie całkowitego zdumienia, wybiegłem z sali operacyjnej.

Ściągnąłem fartuch i rękawiczki, po czym wyrzuciłem je do pojemnika na odpady toksyczne w przedsiönku sali operacyjnej. White opuścił galerię, zanim ja wyszedłem z bloku, tak więc nie wiedział, że ruszyłem za nim. O to mi właśnie chodziło.

Miał nade mną kilka metrów przewagi. Wychyliłem się na korytarz i zobaczyłem, jak wchodzi do windy, po drodze pozdrawiając skinieniem głowy agentów Secret Service. Ich zadaniem było blokowanie wejścia na to piętro, nie zaś drogi wyjścia, dlatego ani drgnęli. Cofnąłem się do przedsiönka, aby mnie nie spostrzegł, a kiedy drzwi kabiny się zamknęły, nie ruszyłem za nim biegiem, tylko udałem się do mojego gabinetu, otworzyłem drzwi i chwyciłem mój biały fartuch. W jego kieszeni pozostawiłem BlackBerry od Kate i kluczyki od samochodu. Żwawym krokiem, markując jednak spokój, wróciłem na korytarz i nacisnąłem przycisk przywołania windy.

Nie zamierzałem dopuścić, żeby mi uciekł. Nie tylko ze względu na to, co mógł nam zrobić

teraz, ale także przez to, co mógł jeszcze uczynić w przyszłości. I wówczas popełniłem największy błąd mojego życia. Na moją obronę powiem, że nie orientowałem się w sytuacji ani nie wiedziałem, że w tym samym momencie, gdy wchodziłem do windy, Kate balansowała na dźwigu spichlerza pięć metrów nad ziemią.

Poza tym, bądźmy szczerzy, pragnąłem osobiście dorwać White'a, nie zaś oddawać go w ręce McKenny. Chciałem, żeby zapłacił za to, co zrobił Świećlanie, Juanicie, a także mojej córce.

Wybrałem przycisk parkingu. White powiedział, że przyjechał samochodem, z pewnością więc udał się tam, nie zaś do głównego holu. Powstrzymałem się przed niecierpliwym tupaniem w podłogę, aż drzwi kabiny się zamknęły, osłaniając mnie przed spojrzzeniami agentów, którzy z kamiennym wzrokiem pilnowali dojścia do windy. Kiedy drzwi otworzyły się ponownie, pobiegłem do samochodu, uruchomiłem silnik i czym prędzej pojechałem do wyjazdu, piszcząc oponami na zakrętach.

Kiedy wyjechałem zza rogu, White wkładał akurat bilet do automatu podnoszącego szlaban. Widziałem, jak podnosi głowę i patrzy na mnie w lusterku wstecznym. Ruszył i przejechał kawałek pod otwierającym się szlabanem. Ja musiałem się zatrzymać, żeby poszukać mojej karty pracownika szpitala, przez co straciłem sporo cennych sekund. Kiedy wyjechałem na ulicę, White był już kilka przecznic przede mną. Jechał czarnym lincolnem, chyba najpopularniejszym samochodem w tym cholernym mieście, a kiedy skręcił w Szesnąstą, niemal go zgubiłem. Kierując się wyłącznie intuicją, pojechałem na południe i po pokonaniu kilku przecznic dostrzegłem go w odległości pięćdziesięciu metrów przede mną. Przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym i niemal rozbijając się o autobus, zdołałem się do niego zbliżyć, ale na kolejnych światłach ponownie zdołał ode mnie odsłoczyć. Na wysokości K Street wybrał zjazd, szczęśliwie na następnym skrzyżowaniu zredukowałem nieco dzielący nas dystans. Pozostało między nami tylko kilka samochodów. Kiedy skręcił w stronę Key Bridge, wiedziałem, że nadeszła odpowiednia chwila. Nie miał już dokąd uciec. Zdołałem wyprzedzić dzielące nas trzy samochody, w końcu minąłem z lewej strony samego White'a. Szarpnąłem za kierownicę, wcisnąłem się na jego pas i jednocześnie nadepnąłem na hamulec, czując, jak guma z opon odrywa się na asfalcie, samochód staje zaś w poprzek jezdni. Lexus przeciął tor jazdy lincolna i samochód White'a otarł się bokiem o kamienny murek.

White nie miał wyboru i musiał zahamować.

Sięgnąłem pod fotel i wyciągnąłem glocka, którego użyłem do zastraszenia Hockstettera. Otworzyłem drzwi i wysiadłem z wozu, celując w White'a. Kierowcy jadący za mną, którym zablokowałem przejazd, trąbili jak opętani do czasu, aż ujrzeni broń. Ci będący najbliżej porzucili swoje pojazdy i przerażeni odbiegli w przeciwnym kierunku.

Szedłem przed siebie, aż dotarłem do okna samochodu White'a.

– Wysiadaj! Ale już!

White otworzył drzwi i wysiadł z rękami w górze. W jednej z nich trzymał iPada.

I się uśmiechał.

– Patrzcie państwo! Ten, który ponoć nigdy nie walczył.

– Nie ruszaj się, skurwielu! Mów, gdzie jest moja córka.

White zignorował mnie i podszedł do pieszej części mostu, z elegancją przeskoczył przez murek i zbliżył się do stalowej balustrady. Wyciągnął ramię w tył i wrzucił iPada w nurt Potomacu. Widziałem, jak spada, trzepocząc futerałem marki Louis Vuitton niczym najdroższy gołąb na świecie, po czym znikną pod wodą.

Sam podążyłem za White'em, czując się jak idiota. Dlaczego, gdy trzymałem pistolet w rękę, wszyscy zdawali się mnie ignorować?

– Mam nadzieję, że twoi sprzymierzeńcy okażą się szybsi od moich chłopców, Dave.

Naprawdę mam taką nadzieję. Będą się musieli nieźle nabiegać, aby ocalić twoją córkę przed szczurami.

Zbliżyłem się do niego, cały czas trzymając go na muszce. Zdawał się spokojny i spoglądał ponad balustradą w kierunku Białego Domu.

– A byłem tak blisko. Cóż, może innym razem.

– Kto to nagrał, White? Kto cię zatrudnił?

Obrócił się i zmarszczył brew, jak gdyby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu. Następnie spojrzął na broń i zmrugał oczyma.

– Tak naprawdę, Dave, mógłbym cię w tym momencie zabić. Jeśli tego nie robię, to dlatego, że w dalszym ciągu jesteś mi przydatny. Potrzebuję cię, żeby mieć na kogo zwalić całą winę.

– To ci się nie uda, White. Pójdiesz siedzieć i zgnijesz w pierdlu.

Ponownie się uśmiechnął.

– Godny był z ciebie przeciwnik. Być może pewnego dnia jeszcze po ciebie wrócę. Być może do tego czasu się nauczysz, że broń należy odbezpieczyć.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio, zgąłem ramię i spojrzałem na bok pistoletu, szukając bezpiecznika. To taki przełącznik którego, warto dodać, pistolety marki Glock w ogóle nie mają. White po raz kolejny mnie oszukał.

Kiedy podniosłem z powrotem wzrok, White zdążył wejść na balustradę. Zanim zdołałem go powstrzymać, złożył ręce wzdłuż ciała i rzucił się do rzeki.

Epilog

Pamiętnik doktora Evansa

Jeśli przez ostatni rok nie mieszkałeś, czytelniku, pod kamieniem, to sam wiesz, co zdarzyło się później.

W chwilę po tym, jak White zeskoczył z mostu, otrzymałem wiadomość od Kate. Ponownie wsiadłem do samochodu, zdołałem utorować sobie drogę przez most i ruszyłem w stronę Wirginii. Policja niemal natychmiast przystąpiła do pościgu, stacje telewizyjne niebawem zaś zaczęły go transmitować. Bak mojego lexusa był jednak pełen i policjanci musieliby się bardzo pospieszyć, żeby mnie dopaść, zanim sam zdecydowałbym się zatrzymać. Jechałem na spotkanie mojej córki, wciskając gaz do dechy i uśmiechając się od ucha do ucha. Jedyne, czego pragnąłem, to ponownie ją uściskać, i nikt ani nic nie mogło mi tego uniemożliwić. Wydaje mi się, że kamery helikoptera CNN uchwyciły, gdy wybiegam jak wariat z samochodu i pędzę ku Kate i Julii. Kate, choć poważnie ranna, ani na chwilę nie puszczała dłoni malej.

Możliwe także, że widzieliście na YouTube nagranie tego, co zdarzyło się na moście. Facet, który sfilmował to komórką, miał puls nałogowego palacza i był w nerwach niczym zestrachany psiak. Stał tak daleko, że na filmie ledwie widać, jak stoję i celuję z pistoletu do kogoś, kogo przesłania samochód. Później gazać, jak coś upada, i sły chać jakiś hałas, nic poza tym.

To nagranie uratowało mi skórę, choć prokurator robił wszystko, co tylko mógł, żeby umniejszyć jego znaczenie, nie ulegało wątpliwości, że w samochodzie ktoś był i że nie był to doktor Ravensdale. „Zupełnym przypadkiem” dyski twarde w systemie monitoringu kliniki Saint Claire, jakna złość, wszystkie się popsęły akurat w chwili, kiedy White wybiegał z galerii nad salą operacyjną. Nie ma nawet jednego ujęcia, na który m by figurował.

Nic.

Z braku White'a czy jakichkolwiek wskázówek co do tożsamości jego zleceniodawcy, a także dlatego, że wszyscy jego pomocnicy na farmie zginęli, winą za wszystko można było obciążyć wyłącznie niżej podpisanego. Tak więc prasa i prokuratura wytoczyły przeciwko mnie najcięższe działa. Zwłoki Swietłany odnalazły się na farmie, pod jej paznokciami wykryto zaś ślady mojej krwi i naskórka. Ten skurwiel White najwyraźniej podrzucił je tam w czwartek wieczorem. Pamiętacie, jak wspominałem, że obudziłem się z głębokimi zadrapaniami na przedramieniu, których pochodzenia nie potrafiłem wyjaśnić? Oto ich gena. Przeraza mnie myśl, że kiedy spałem nieprzytomny w salonie, Serbowie wciągnęli do mojego domu zwłoki tej dziewczyny, podrapali mnie jej martwymi paznokciami i sfabrykowali tym samym niepodważalne dowody, że to ja ją zamordowałem. Na szczęście broniący mnie adwokat zdołał uwolnić mnie od tego zarzutu, wskazując czas powstania zadrapań. Wiele osób widziało we wtorek moje odsłonięte przedramiona bez żadnych ran, Swietłana nie żyła zaś już od dłuższego czasu, co był w stanie potwierdzić patomorfolog. Z pewnością White zamierzał po zakończeniu operacji zabić mnie w jakiś sposób, który tym bardziej obciążałby mnie odpowiedzialnością za śmierć Swietłany. Na szczęście nigdy nie doszliśmy do tego etapu jego planu, już jednak na samą myśl przechodzą mnie dreszcze.

Sytuacji nie poprawił także pożar naszego domu. Wszystkie kamery i urządzenia elektroniczne, które poukrywano w ścianach, uległy samozapłonowi. White najwyraźniej zamontował w nich

bomby zapalające i jakiś katalizator, które zdążył uruchomić ze swojego iPada, zanim rzucił się do ucieczki. Nie wiadomo, jakie polecenia ten psychopata wstukał w urządzenie, gdy ujrzał, jak rzucam płatkę z gliadelem na posadzkę, oczywiście poza komendą otwierającą klatki ze szcurami. Jestem jednak przekonany, że jedno z nich dotychczas spaliło moje domy.

Strażacy stwierdzili, że nigdy nie widzieli tak szybkiego pożaru, który osiągnąłby tak wysoką temperaturę. Kiedy pojawili się na miejscu zdarzenia, budynek płonął ogniem piekielnym. W niespełną godzinę zostały po nim zgłiszczą. Strażacy mogli najwyżej zadbać o to, żeby płomienie nie objęły dachów sąsiednich domów.

Stracił mi wszystko. Nasz dom, nasze rzeczy, nasze pamiątki. Najbardziej zabolala mnie strata pożegnalnego listu Rachel i jej bluzy ze studiów. Julii najbardziej żal było jej maskotek i zdjęcia mamy, tego samego, które miałem w telefonie i które stało na jej szafce nocnej. Zawsze patrzyła na nie przed zaśnięciem. Na szczęście kopie wszystkich naszych zdjęć trzymałem na dropboksie. Przynajmniej to udało się uratować.

Przy okazji spłonął także mój telefon komórkowy. Co prawda nie w tak spektakularnych okolicznościach, jak nasz dom. Pielęgniarka wyczuła swąd spalenizny wydobywający się z mojego gabinetu i spostrzegła, że z mojej teczki uchodzi dym. Dzielnie zgasiła pożar gaśnicą, policja nie znalazła jednak nic poza kałużą stopionego plastiku i aluminium.

Nie spłonął za to mój laptop, który nie znajdował się w domu, gdzie go zostawiłem, ale w moim gabinecie, przykryty dokumentacją pacjentów. Na jego dysku agenci Secret Service znaleźli dziesiątki podpisanych przeze mnie e-maili, których nigdy nie napisałem, a w których przygotowywałem i planowałem zamach na prezydenta we współpracy ze skrajnie pravicowymi i ugrupowaniami z Europy Wschodniej.

Tak więc oskarżono mnie o udział w spisku i usiłowanie zabójstwa, sami zaś wiecie, że proces przed kamerami przegrałem już na wstępie. Ten kraj nie zdołał należycie osądzić Lee Harveya Oswalda, z kolei John Hinckley był niezrównoważony... Ja jednak doskonale nadawałem się do przeżucia i pożarcia przez medialną maszynę. Biały neurochirurg, bogaty szaleniec, terrorysta. Idealna tarcza, żeby skupić na sobie nienawiść całego narodu.

Nikt nie uwierzył w moją opowieść, którą przedstawiłem od początku – tę samą, którą właśnie wam opowiedziałem.

Wiele osób nadal sądzi, że pan White to postać mityczna. Jego ciała w Potomacu nigdy nie znaleziono. W samochodzie nie natknięto się na żadne ślady poza kilkoma jasnymi włosami, które stanowiły świętą próbkę DNA, ponieważ jednak nie było jej z czym porównać, na wiele się nie zdała. Teraz przynajmniej, gdy wiem, czego szukać, kiedy jakiś zgon zwróci moją uwagę, będę wiedział, że on tam gdzieś jest. I wy również.

Jak się zdaje, istnieją internetowe fora zrzeszające detektywów amatorów, którzy uwierzyli w moją opowieść i doszukują się śladów pana White'a nie tylko przy okazji każdej nowej sprawy tego typu, ale także w zdarzeniach z przeszłości, cofając się aż do dwudziestego drugiego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. W tych czasach White nie był nawet blyskiem w oku swojego ojca, nie mają się więc co wysilać.

Wysilał się jednak prokurator. Gdyby zamiary White'a spełniły się zgodnie z jego oczekiwaniem, to ja byłbym koźlem ofiarnym, nie mam co do tego wątpliwości. Ani przez chwilę nie sądziłem, że powstrzyma się przed zrzuceniem całej winy na mnie. Być może się myślę i wszystkie dowody obciążające moją osobę stanowiły jedynie element odwracający uwagę w sytuacji zagrożenia, jak atrament wypuszczany przez uciekającą kałamarnicę. Mocno w to jednak wątpię.

Na szczęście nie zdołał do końca zrealizować swoich planów. Gdybym nie przeżył i nie mógł się bronić albo gdybym tymczasem zginął, sąd pospiesznie uznałby mnie za winnego i byłoby po

sprawie. Mój adwokat walczył jednak jak lew, poza tym dysponowałem zeznaniami Kate i samej Julii. Tak więc udało mi się uniknąć większości zarzutów.

Większości, ale nie wszystkim. Na stole wciąż pozostało utrudnianie działań wymiaru sprawiedliwości, spiskowanie w celu zabójstwa głowy państwa i coś jeszcze. Pewnie oglądaliście proces w telewizji. Kiedy skazano mnie na pięć lat w więzieniu o zaostrzonym rygorze, połowa zgromadzonej publiczności zaczęła gwizdać, druga połowa zaś wybuchła aplauzem.

Wysłuchałem wyroku jakby zupełnie nieprzytomny – nie mogłem pojąć niesprawiedliwości, jakiej się wobec mnie dopuszczano. Za całą tę historię mojej rodzinie i mnie samemu przyszło zapłacić krwią i wielkim bólem, nie zasługiwaliśmy więc jeszcze na to. Zabrali mnie do celi w budynku sądu, gdzie miałem oczekiwać na przewiezienie do więzienia.

I wówczas pewien ogromny facet w ciemnym garniturze i krawacie, z ogoloną głową i rudą bródką podszedł do mnie i przez kraty podał mi telefon. Przyłożyłem słuchawkę do ucha i jakież było moje zdziwienie, gdy usłyszałem głos Pierwszej Damy.

– Doktorze Evans, proszę szczerze odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Da pan radę?

Sprawiła wrażenie spiętej, wściekłej i wycieńczonej.

– Tak, proszę pani.

– Chciał go pan zabić?

– Nie, proszę pani.

– Wniósł pan te zatrute torebki na salę. Ugiął się pan przed szantażem. Zdradził moje zaufanie i zaufanie całego kraju.

– Proszę pani, jestem ojcem. Pewien świr przetrzymywał moją córkę. Pani lepiej niż kogokolwiek inny powinna zrozumieć, dlaczego to zrobiłem.

– I doskonale pan wiedział, co jest pana obowiązkiem.

– Tak, proszę pani. Uratowanie pani męża. I czy tego nie zrobiłem?

Rozłączyła się bez słowa pożegnania. Oddałem aparat McKennie, który patrzył na mnie z taką nienawiścią, że się ucieszyłem, że dzielą nas od siebie kraty. Jego zawodową dumę wdeptał w ziemię taki nędzny amator jak ja. Było mi go prawie żal. Prawie.

– Nie przetrzymasz w kiciu nawet tygodnia, doktoru. Mam tam kumpli. I wszyscy oni z wielką ochotą zabawią się z taką sławą jak ty za pół paczki cameli.

Zapomnijcie, co powiedziałem. Ani trochę nie było mi go żal.

– Ej, McKenna! Rozumiem więc, że cofasz tamte przeprosiny?

Kroki pędzącego słońca, jakimi wściekły pomknął do wyjścia, były niczym muzyka dla moich uszu.

Jak się okazuje, zbrodnia nie popłaca, ale uratowanie pacjenta od nowotworu – owszem. Nie zdążyłem dotrzeć na blok D więzienia Leavenworth, dołączyć miałem trafić. Adwokat poinformował mnie, że Biały Dom pociągnął za różne sznurki, aby zapewnić mi odseparowanie od reszty osadzonych, dzięki czemu prezydent zyskał kilka punktów poparcia w stanach niebieskich i stracił osiem procent w stanach czerwonych. Mówią, że rozważał także decyzję o ułaskawieniu, nie spotkałaby się ona jednak z aprobatą wyborców. W dalszym ciągu dla wielu jestem najbardziej nienawidzonym człowiekiem w Ameryce.

Na szczęście nie osadzili mnie także na oddziale specjalnym z pedofilami i gwałcicielami. Sądzę, że to tamtej rozmowie z Pierwszą Damą zawdzięczam pewne szczególne względy. Mój wyrok odsiedziałem tutaj, w jednej z cel śmiertelnych. Dzięki temu nikt nie wypruł mi flaków, ale także psychiczny wymiar kary był znacznie bardziej dotkliwy. Dlatego więźniowie tak nie znoszą odizolowania.

Najzabawniejsze, że przesiedziałem tutaj dłużej, niż on by przeżył, gdyby m go nie zoperował. Tak już wygląda wdzięczność moich tego świata.

Co teraz ze mną będzie? Tego nie wiem.

Nieskończoność trudniej jest się podnieść niż upaść. Moje dotychczasowe życie w niespełna tydzień uległo unicestwieniu za sprawą pozbawionego skrupłów psychopaty. Nie widziałem mojej córki od procesu, kiedy pożegnała się ze mną ogromnym uściskiem.

– Dziękuję, tato.

Nic więcej nie powiedziała. Nie było również takiej potrzeby.

Co trzy dni rozmawiamy przez telefon przez dziesięć minut – tyle mi pozwalają. Przede wszystkim to ja mówię, opowiadam jej bajki i wspominam mamę. Od czasu tamtych wydarzeń stała się dość małowarna, choć Jim i Aura starają się to zmienić za pomocą mnóstwa wirginijskich pomidorów i okazjonalnych wypraw na jarmark. Zabawne, ale ostatecznie to oni zaopiekowali się Julią. Cieszę się, że komuś w tej historii wreszcie udało się osiągnąć to, co chciał. I, szczerze mówiąc, po piekło, przez jakie przeszła moja malutka, plan moich teściów, żeby ją porzpuścić, wydał mi się fantastyczny.

Pewien udział ma w tym także Kate.

Kate, rzecz jasna, została wydalona z szeregów Secret Service. Wyczerpująco i bez upiększeń przedstawiła przebieg wypadków i od początku przyjęła na siebie część winy. Prokurator nie postawił jej zarzutów, biorąc pod uwagę nienaganny przebieg jej służby i bohaterstwo, jakim wykazała się podczas akcji na farmie w hrabstwie Rappahannock. Nie zdołała jednak uniknąć zwolnienia ze służby i potępiających spojrzeń towarzyszy.

Nadal pamiętam, jak stoi na podium, z lewą ręką na Biblii, ponieważ prawą wciąż miała na temblaku, i opowiada, jak zidentyfikowała adres narzeczonego Świetlany i podjechała pod jego mieszkanie akurat w momencie, gdy z budynku wychodzili podejrzeni osobnicy, których zdedydowała się śledzić. Myślę o tym, jak jechała w nieznaną i w pojedynkę, z otwartą przybitą stawiła czoła tym bestiom, i serce mi tonieje z wdzięczności za jej ogromną ofiarność.

Zostałem usunięty z izby lekarskiej stanu Maryland. Nigdy więcej nie będę mógł prowadzić praktyki lekarskiej na terenie Stanów Zjednoczonych, moje ręce zostały jednak stworzone po to, aby leczyć. Nie zamierzam poświęcać ich cemukolwiek poza chirurgią. Podejrzewam więc, że pobiorę zaliczkę na poczet praw autorskich do tej książki, wezmę ze sobą Julię i wyjedziemy do innego kraju, w jakies ciepłe miejsce, gdzie mogę okazać się przydatny. Oboje zasłużyliśmy sobie na to, żeby zapomnieć i zacząć od nowa.

Zanim jednak postanowisz mnie skrzytykować, jak wielu już to uczyniło, za przyjęcie oferty wielkiego wydawnictwa i spisanie mojej historii, żeby mieć z tego jakiś pożytek, pozwolę sobie przypomnieć, że to ty byłeś na tyle ciekawski, że postanowiłeś ją kupić. Chyba że pobrałeś tę książkę z Internetu, nie płacąc ani grosza. W takim wypadku, kolego, jesteś mi winien forszę za cały ten czas, przez który dostarczałem ci rozrywki.

Już kończę. Niebawem przyjdą strażnicy, aby wyprowadzić mnie z celi śmierci, tyle tylko, że ja, w odróżnieniu od pozostałych, którzy tutaj przebywają, przejdę w przeciwnym kierunku, z mroku ku światłu i wolności. Niedługo wrota się otworzą, wyjdę na ulicę, tam zaś będzie na mnie czekać Julia. Czy na jej twarzy zastanę uśmiech? Czy przybiegnie, aby mnie uściskać, czy też sam będę musiał pójść i ją podnieść, przytulić do siebie i przyśiąć na wszelkie świętości, że już nigdy się nie rozstaniemy?

I najważniejsze – czy z czasem się zmieniła, czy też zachowała to intensywne, głębokie i niewinne spojrzenie, te elektrycznie niebieskie oczy swojej matki, miłości mojego życia?

Zostawiam was. Już słyszycie, że nadchodzą.

Niebawem się przekonam.

Podziękowania

Muszę podziękować wielu osobom.

Antonii Kerrigan i jej zespołowi: Loli, Hilde, Victorowi... Dzięki za rozpuszczanie wieści!

Martinowi Robertsowi, który przełożył tę książkę na język angielski precyzyjnie i z ogromną wprawą.

Rodrigo Pedrosie, wielkiemu neurochirurgowi i wspaniałemu przyjacielowi, za korygowanie mojej ignorancji co do zagadnień medycznych i za mnóstwo pomocy. A także Raquel, jego czarującej żonie, anestezjolożce, za jej informacje na temat farmakologicznych metod popełniania samobójstwa. Wszystkie błędy medyczne występujące w powieści to ich wina. Nie, to tylko taki żarcik

Manuelowi Soutiño za cierpliwość, z jaką raz za razem czytał rękopis – jak zawsze – uspokajając moje obawy, podczas gdy ja pisałem dalej.

Dziękuję także całej cudownej ekipie z wydawnictwa Planeta: Marceli Serras, Ángeles Aguilerze, Puri Plazie, Sergi Álvarezowi, Laurze Franch, Laurze Verdura, Paco Barrerze... i wszystkim pozostałym, którzy się tutaj nie zmieszczą, tyle jednak zrobili dla moich książek

Prawdziwemu panu White'owi, który pojawił się w moim życiu. Wiesz, że przegrałeś i że zawsze będziesz przegrywać.

Moim dzieciom, których miłość była inspiracją dla tej powieści i którym ją dedykuję, choć jeszcze nie mogą jej przeczytać.

Tobie, czytelniku, dziękuję raz jeszcze za zapewnienie moim książkom sukcesu w czterdziestu krajach i za ziszczenie marzenia tego opowiadacza. Ślę uściski i proszę o ostatnią przysługę: jeśli dobrze się bawiłeś, to mi o tym napisz.

juan@juangomezjurado.com

twitter.com/juangomezjurado

- 1 Gra słów – w języku angielskim „*punch*” oznacza zarówno poncz, jak i fangę (cios, uderzenie) [przyj. tłum.].
- 2 Sieć ośrodków prowadzących szkolenia dla funkcjonariuszy różnych agencji rządu Stanów Zjednoczonych [przyj. tłum.].